

MORGAN MATSON

Piękna i zarazem prawdziwa opowieść o rodzinie,
miłości, przyjaźni i pożegnaniu z kimś bliskim.

- PUBLISHERS WEEKLY



Lato
Innej szansy

Uwaga! Warto zaopatrzyć się w chusteczki!

- THE BOSTON GLOBE

morgan matson

Lato
drugiej
szansy

Tłumaczenie
Małgorzata Kaczarowska



Tytuł oryginału: *Second Chance Summer*

Copyright © 2012 by Morgan Matson. Published by arrangement with Folio Literary Management, LLC and GRAAL Literary Agency.

Polish language translation copyright © 2014 by Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

Redakcja: Anna Pawłowicz

Projekt okładki: Joanna Wasilewska

Zdjęcia na okładce:

Sylwetki: © Charmaine Paulson | Dreamstime.com

Widok: © Masta4650 | Dreamstime.com

ISBN 978-83-7686-261-3

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2014

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

Wydanie pierwsze w wersji ebook Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2014

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo.Sp.z.o.o.)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Dedykacja

Podziękowania

Letni dom

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Metamorfoza

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Zgubione, znalezione

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Prawdy i wyzwania

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Początek pięknej przyjaźni

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Najlepsze i najgorsze czasy

Rozdział trzydziesty

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rozdział trzydziesty drugi

Rozdział trzydziesty trzeci

Rozdział trzydziesty czwarty

Rozdział trzydziesty piąty

Rozdział trzydziesty szósty

Rozdział trzydziesty siódmy

Rozdział trzydziesty ósmy

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Rozdział czterdziesty

Dla Mamy i Jasona

Love is watching someone die
– Death Cab for Cutie

Podziękowania

Ta książka nie powstałaby bez pomocy niezastąpionej Alexandry Cooper. Dziękuję, dziękuję i jeszcze raz dziękuję za Twoją cierpliwość, wiarę i nadzwyczajne zdolności redaktorskie.

Dziękuję wszystkim wspaniałym pracownikom wydawnictwa Simon & Schuster: Justinowi Chandzie, Amy Rosenbaum, Annie McKean, Venessie Williams. Ogromne podziękowania dla Lucy Ruth Cummins za prześliczną okładkę.

Dziękuję Rosemary Stimoli za wykazanie się mocami nadprzyrodzonymi jako moja agentka i za wiarę w tę książkę od samego początku.

Dziękuję zespołowi z Wielkiej Brytanii: Jane Griffiths, Kat McKennie, Mary-Anne Hampton i France Bernatavicius.

Dziękuję Lauren Strasnick, nadzwyczajnej przyjaciółce korespondencyjnej, za przyjaźń i nieocenioną pomoc przy książce.

Dziękuję mojej matce, Jane Finn, za wszystko, czego nie dałoby się tutaj wymienić... Ale przede wszystkim za

wszystkie magiczne wakacje w Pensylwanii.

Chociaż ta książka była pisana w większości w Los Angeles, wprowadzałam w niej poprawki w wielu innych miejscach i jestem wdzięczna wszystkim tym, którzy mnie gościli:

Dziękuję Susan MacTavish-Best za możliwość wykorzystania jej prześlicznie urządzonego domu w Mill Valley, Ericowi Berlowowi za wypożyczenie mi swojej letniej willi w Sierra Nevada – nigdy nie pracowałam w piękniejszym miejscu, a także Nancy Quinn i Ginger Boyle, które ułatwiły mi wynajęcie domu w górach Poconos.

Na koniec chciałam wyrazić najgłębszą wdzięczność Aleksowi MacDonaldowi. Dziękuję, że pomagałeś mi wyszukiwać miejsca do pracy nad tekstem, smażyłeś jajecznicę, kibicowałeś mi i zawsze wiedziałeś, kiedy potrzebuję lodów. Nie poradziłabym sobie bez Twojego wsparcia i zaangażowania.

Letni dom

Rozdział pierwszy

Uchyliłam drzwi sypialni, żeby sprawdzić, czy korytarz jest pusty. Nikogo nie zauważyłam, więc zarzuciłam na ramię torbę i po cichu zamknęłam za sobą drzwi, i zesłam po dwa stopnie po schodach do kuchni. Była dziewiąta rano, za trzy godziny mieliśmy wyjeżdżać do letniego domu, a ja zamierzałam uciec.

W kuchni leżały obszerne listy rzeczy do zrobienia, przygotowane przez moją matkę, stały torby z jedzeniem i przyborami kuchennymi oraz pudełko pełne pomarańczowych buteleczek z lekami dla ojca. Starłam się nie patrzeć na nie, kiedy skradałam się przez kuchnię do tylnych drzwi. Chociaż od lat nie wymykałam się już z domu, wydawało mi się, że to tak samo, jak z jazdą na rowerze – której, tak w sumie, też od lat nie próbowałam. Dzisiaj rano obudziłam się złana zimnym potem, z walącym sercem; instynkt podpowiadał mi, że powinnam stąd wyjść, że wszystko będzie lepiej, jeśli tylko znajdę się gdzieś – gdziekolwiek indziej.

– Taylor?

Zastygłam w miejscu, a potem odwróciłam się i zobaczyłam, że w drzwiach kuchni stoi Gelsey, moja

dwunastoletnia siostra. Miała jeszcze na sobie prastarą piżamę w brokatowe baletki, ale jej włosy były już związane w idealny koczek.

– Co znowu? – zapytałam, cofając się o krok od drzwi i starając się wyglądać możliwie nonszalancko.

Zmarszczyła brwi, a jej spojrzenie pobiegło do mojej torby, zanim znowu skoncentrowało się na mojej twarzy.

– Co ty tu robisz?

– Nic – odparłam. Miałam nadzieję, że udało mi się swobodnym ruchem oprzeć o ścianę, chociaż chyba nigdy w życiu nie opierałam się o żadną ścianę. – Czego chcesz?

– Nie mogę znaleźć iPoda, nie zabrałaś go?

– Nie – odparłam krótko, opierając się pokusie, by przypomnieć jej, że nie dotknęłabym jej iPoda, wypełnionego wyłącznie muzyką baletową i koszmarnym boysbandem, na punkcie którego miała ostatnio świra. Nazywał się The Bentley Boys, a w jego skład wchodził trzech bracia z nieskazitelnie potarganymi grzywkami i wątpliwym talentem muzycznym. – Zapytaj mamę.

– Okej – odparła, patrząc na mnie podejrzliwie. Zrobiła piruet i wybiegła z kuchni, wołając po drodze: – Mamo!!!

Zdążyłam właśnie dojść do wyjścia, kiedy drzwi otwarły się gwałtownie, zmuszając mnie, żebym odskoczyła. Mój starszy brat Warren wszedł z trudem, niosąc pudełko z piekarni i tacę z kawą na wynos.

– Cześć – powiedział.

– Hej – mruknęłam, patrząc tęsknie ponad jego ramieniem na zewnątrz i żałując, że nie spróbowałam ucieczki pięć minut wcześniej – albo, co miałoby nawet więcej sensu, że nie wyszłam po prostu przez drzwi frontowe.

– Mama kazała mi kupić kawę i rogaliki – wyjaśnił, stawiając jedno i drugie na blacie. – Lubisz z sezamem, prawda?

Nie cierpiałam sezamu – tak naprawdę Warren był jedyną osobą w rodzinie, która go lubiła – ale nie zamierzałam mu teraz o tym przypominać.

– Jasne – odparłam szybko. – Super.

Warren wybrał jeden kubek z kawą i wypił łyk. Chociaż miał dziewiętnaście lat i był starszy ode mnie tylko o dwa lata, założył jak zwykle spodnie khaki i koszulkę polo. Wyglądał, jakby lada moment spodziewał się zaproszenia na zebranie rady nadzorczej lub na partyjkę golfa.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał po chwili.

– Nie mam pojęcia – odparłam z nadzieją, że sam pójdzie ich poszukać. Skinął głową i wypił jeszcze łyk, jakby miał dla siebie cały czas świata. – Chyba słyszałam mamę na górze – dodałam, kiedy stało się jasne, że mój brat zamierza spędzić całe przedpołudnie, sącząc kawę i gapiąc się w przestrzeń.

– Powiem jej, że już wróciłem – zdecydował i w końcu odstawił kawę. Skierował się do drzwi, ale jeszcze zatrzymał się i odwrócił do mnie. – Czy tata już wstał?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem – rzuciłam lekko, jakby to było po prostu rutynowe pytanie. Jeszcze kilka tygodni temu było całkowicie nie do pomyślenia, żeby mój tata o tej godzinie spał – a nawet żeby w ogóle był w domu.

Warren znowu skinął głową i wyszedł z kuchni. Kiedy tylko zniknął mi z oczu, wypadłam na zewnątrz.

Przebiegłam przez nasz podjazd i odetchnęłam głęboko, kiedy znalazłam się na ulicy, a potem ruszyłam możliwie jak najszybszym krokiem wzdłuż Greenleaf Road. Prawdopodobnie powinnam była wziąć samochód, ale pewne rzeczy wchodzą człowiekowi w nawyk, a kiedy ostatni się stąd raz wymykałam, od zdobycia prawa jazdy dzieliło mnie kilka lat.

Odchodząc coraz dalej od domu, zaczęłam się uspokajać. Racjonalna część mojego mózgu podpowiadała mi, że w jakimś momencie będę musiała wrócić, ale nie miałam ochoty jej słuchać. Chciałam tylko udawać, że ten dzień – całe to lato – nigdy się nie wydarzy, a to stawało się tym łatwiejsze, im większy dystans dzielił mnie od domu. Szłam już dłuższą chwilę i właśnie zaczęłam szukać w torbie ciemnych okularów, kiedy usłyszałam metaliczny brzęk klamerek i podniosłam

głowę.

Poczułam się od razu gorzej, ponieważ zobaczyłam Connie z białego domu naprzeciwko nas, która szła z psem i machała do mnie. Była mniej więcej w wieku moich rodziców; w jakimś momencie wiedziałam, jak ma na nazwisko, chociaż teraz nie mogłam sobie tego przypomnieć. Wrzuciłam futerał okularów do torby obok czegoś, co – jak teraz zauważyłam – było iPodem Gelsey (ups), który musiałam pomylić z moim własnym. Nie mogłam uniknąć rozmowy z Connie inaczej niż ostentacyjnie ją ignorując albo obracając się na pięcie i uciekając między drzewa. Miałam przeczucie, że wybór którejkolwiek z tych opcji spowodowałby, że moja matka natychmiast by się dowiedziała o moim zachowaniu. Westchnęłam i zmusiłam się do uśmiechu, kiedy Connie podeszła bliżej.

– Cześć, Taylor! – pomachała mi z szerokim uśmiechem. Jej pies, duży i głupi golden retriever, napiął smycz i pociągnął ją do mnie, sapiąc i machając ogonem. Popatrzyłam na niego i zrobiłam pół kroku do tyłu. Nigdy nie mieliśmy psa, więc chociaż teoretycznie je lubiłam, nie miałam specjalnego doświadczenia we wzajemnych kontaktach. Obejrzałam wprawdzie więcej odcinków dokumentalnego serialu *Grzeczny pies*, niż wypadłoby komuś, kto nie ma własnego czworonoga, ale to nie pomagało, kiedy stawałam oko w oko z prawdziwym

psem.

– Cześć, Connie – odparłam i od razu zaczęłam się dyskretnie wycofywać, z nadzieją, że zrozumie aluzję. – Miło cię widzieć!

– Ciebie też! – powiedziała odruchowo, ale zauważyłam, że jej uśmieche zbladł, spojrzenie prześlizgnęło się po mojej twarzy i ubraniu. – Wyglądasz dzisiaj troszkę inaczej – zauważyła. – Jesteś bardzo... swobodna.

Ponieważ Connie zazwyczaj widywała mnie w mundurku Akademii Stanwich – w białej bluzce i gryzącej spódnicy w szkocką kratę – nie miałam wątpliwości, że teraz wyglądam inaczej, skoro wyszłam z domu praktycznie tak, jak wstałam z łóżka, nie zwracając sobie nawet głowy szczotkowaniem włosów. Do tego miałam na sobie klapki, szorty i sprany biały T-shirt z logo drużyny pływackiej z Lake Phoenix. Teoretycznie nie należał do mnie, ale przywłaszczyłam go sobie tak dawno temu, że uważałam go już za mój własny.

– Rzeczywiście – przyznałam, pamiętając o uśmiechu. – No cóż...

– Macie jakieś wspaniałe plany wakacyjne? – zapytała radośnie, najwyraźniej zupełnie nieświadoma, że próbuję czym prędzej skończyć tę rozmowę. Pies, być może rozumiejąc, że to jeszcze chwilę potrwa, położył się koło niej i oparł łeb na łapach.

– Właściwie to nie – powiedziałam z nadzieją, że może w ten sposób zakończę temat, ale Connie patrzyła na mnie dalej z uniesionymi brwiami, więc stłumiłam westchnienie i uzupełniłam: – Wyjeżdżamy dzisiaj na całe wakacje do naszego letniego domu.

– Och, to cudownie! – wykrzyknęła. – Zazdroszczę wam. A gdzież on się znajduje?

– W górach Poconos – odparłam. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się pewnie, gdzie to jest, więc dodałam: – To pasmo Appalachów w Pensylwanii.

– A tak, oczywiście – pokiwała głową, chociaż widziałam po jej twarzy, że nadal nie ma pojęcia, o czym mówię. Nie było w tym w sumie nic dziwnego. Rodziny moich przyjaciół miewały letnie domy w miejscach takich jak Nantucket czy Cape Cod. Nikt, kogo znałam, nie miał willi w górach północno-wschodniej Pensylwanii.

– No proszę, dom w górach. – Connie wciąż uśmiechała się promiennie. – Brzmi wspaniale.

Skinęłam głową, ale wolałam jej nie odpowiadać, ponieważ za nic nie chciałam wracać do Lake Phoenix. Nie chciałam wracać do tego stopnia, że wolałam wyslizgnąć się ukradkiem z domu, bez żadnego planu i z iPodem siostry zamiast zapasów, niż tam jechać.

– No dobrze. – Connie pociągnęła smycz, zmuszając psa, żeby wstał ociężale. – Pamiętaj, żeby pozdrowić ode mnie mamę i tatę! Mam nadzieję, że wszystko u nich

w porządku i... – Urwała w pół słowa, otworzyła szerzej oczy, a jej policzki lekko się zaróżowiły. Natychmiast rozpoznałam te oznaki, chociaż widywałam je dopiero od dwóch tygodni. Przypomniała sobie.

To było coś, z czym kompletnie nie potrafiłam sobie radzić, ale nieoczekiwaną korzyścią okazało się, że mogłam to wykorzystywać dla własnych potrzeb. Z dnia na dzień wszyscy w mojej szkole jakoś się o tym dowiedzieli, nawet nauczyciele zostali poinformowani, chociaż nie miałam pojęcia dlaczego ani przez kogo. Jednakże tylko tym należało tłumaczyć, że dostałam najwyższe oceny ze wszystkich testów na koniec roku, nawet z trygonometrii, z której poważnie groziła mi trója. Jakby to nie było jeszcze wystarczającym dowodem, nauczycielka angielskiego, oddając wypracowania, położyła pracę na mojej ławce i oparła na niej rękę na dłuższą chwilę, aż wreszcie na nią spojrzałam.

– Wiem, że musi być ci trudno koncentrować się teraz na nauce – powiedziała przyciszonym głosem, jakby cała klasa i tak nie podsłuchiwała, chłonąc każde słowo. – Po prostu staraj się, na ile możesz, dobrze?

Przygryzłam wtedy wargi i Dzielnie Skinęłam Głową, świadoma przez cały czas, że tylko udaję, zachowuję się tak, jak ona tego oczekuje. Zgodnie z przewidywaniami dostałam szóstkę z wypracowania, chociaż przekartkowałam tylko zakończenie *Wielkiego*

Gatsbyego.

Wszystko się zmieniło, a raczej – tak naprawdę – wszystko miało się zmienić, chociaż na razie nic się nie zmieniło. To sprawiało, że wyrazy współczucia brzmiały dziwnie, jakby ludzie współczuli mi, że mój dom się spalił, chociaż stał jeszcze nietknięty i tylko w pobliżu zarzyły się złowieszczo węgielki, czekając na odpowiedni moment.

– Oczywiście, pozdrowię ich – powiedziałam szybko. Dzięki temu Connie nie zaczęła zmagać się z kolejną podnoszącą na duchu przemową, od których mnie już mdliło, ani – to było jeszcze gorsze – nie zaczęła opowiadać o znajomym znajomej, cudownie uleczonym za pomocą akupunktury/medytacji/tofu – może powinniśmy tego spróbować? – Dziękuję bardzo.

– Trzymaj się – powiedziała, kładąc większy niż zwykle nacisk na tę standardową formułkę. Kiedy poklepała mnie po ramieniu, zobaczyłam w jej oczach współczucie, ale także lęk, chęć trzymania się od nas na odległość, bo skoro coś takiego spotykało moją rodzinę, równie dobrze mogło się przytrafić jej samej.

– Ty też – odparłam, starając się uśmiechać aż do chwili, kiedy po raz ostatni mi pomachała i poszła dalej ulicą, prowadzona przez psa. Skierowałam się w przeciwną stronę, ale przestałam już czuć, że ta ucieczka w czymkolwiek pomoże. Jaki sens miało

uciekanie, skoro wszyscy uparli się przypominać mi o tym, przed czym uciekałam? Chociaż od dłuższego czasu nie odczuwałam takiej potrzeby, kiedy byłam młodsza, uciekałam regularnie. To się zaczęło, kiedy miałam pięć lat i rozzłościłam się, bo matka zajmowała się tylko malutką Gelsey, a Warren jak zwykle nie chciał się ze mną bawić. Wymaszerowałam na zewnątrz i zobaczyłam nasz podjazd, a dalej cały szeroki świat, niezwykle dla mnie kuszący. Poszłam wzdłuż ulicy, zastanawiając się przede wszystkim, ile czasu minie, zanim ktoś w ogóle zauważy moją nieobecność. Oczywiście, niedługo zostałam znaleziona i odprowadzona do domu, ale uciekanie przed tym, co mi nie odpowiadało, weszło mi w krew i stało się ulubioną metodą radzenia sobie z problemami. Rodzina przywykła do tego tak bardzo, że kiedy ze łzami w oczach oznajmiałam od drzwi, że wychodzę z domu i nigdy, przenigdy już nie wrócę, matka kiwała tylko głową, rzucała mi szybkie spojrzenie i przypominała, żebym się nie spóźniła na obiad.

Wyciągnęłam właśnie iPod Gelsey, zdecydowana przecierpieć nawet Bentley Boys, jeśli to miałyby odwrócić moją uwagę od ponurych myśli, kiedy usłyszałam za sobą niski szum silnika sportowego samochodu.

Uświadomiłam sobie, że wyszłam z domu na dłużej niż mi się wydawało, i odwróciłam się, wiedząc z góry, kogo

zobaczę. Za kierownicą nisko zawieszzonego, srebrnego auta siedział mój ojciec i uśmiechał się do mnie.

– Cześć, mała – powiedział przez otwarte okno po stronie pasażera. – Podrzucić cię?

Wiedziałam, że nie ma sensu dłużej udawać, więc otworzyłam drzwi i wsiadłam do środka. Tata popatrzył na mnie, unosząc brwi.

– Co tam słysząc? – zapytał jak zwykle.

Wzruszyłam ramionami i popatrzyłam na szary dywanik pod moimi nogami, nieskazitelnie czysty, chociaż samochód miał już rok.

– A, tak tylko, miałam ochotę się przejechać.

Tata skinął głową.

– Oczywiście – powiedział ze śmiertelną powagą, jakby wierzył w każde moje słowo. Oboje wiedzieliśmy doskonale, co tak naprawdę robiłam, ponieważ to zwykle ojciec mnie znajdował. Miałam wrażenie, że zawsze wie, gdzie jestem, ale zamiast odwozić mnie prosto do domu, zabierał mnie na lody, jeśli tylko nie było za późno i jeśli obiecałam, że nie powiem o niczym matce.

Zapięłam pas, a tata ku mojemu zdziwieniu nie zawrócił, tylko skręcił w ulicę prowadzącą do centrum.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam.

– Pomyślałem, że moglibyśmy kupić coś na śniadanie – wyjaśnił, spoglądając na mnie, kiedy zatrzymał się na czerwonym świetle. – Nie mam pojęcia dlaczego, ale

wszystkie rogaliki w domu okazały się z sezamem.

Uśmiechnęłam się, a kiedy stanęliśmy pod sklepem spożywczym, weszłam z tatą do środka. Ponieważ przy ladzie kłębił się tłumek, odsunęłam się na bok i zostawiłam mu robienie zakupów. Rozglądając się po sklepie, zauważyłam na początku kolejki Amy Curry, trzymającą się za ręce z wysokim i przystojnym chłopakiem w T-shircie z logo Colorado College. Nie znałam jej za dobrze, dopiero w zeszłe wakacje wprowadziła się na naszą ulicę razem z matką i bratem, ale kiedy uśmiechnęła się i pomachała do mnie, odpowiedziałam tym samym.

Tata przesunął się na początek kolejki, a ja słuchałam, jak szybko wymienia rzeczy, które chce kupić i dodaje coś, co sprawiło, że sprzedawca się roześmiał. Kiedy patrzyło się na mojego ojca, nie było jeszcze widać, że jest bardzo źle. Wydawał się odrobinę szczuplejszy, jego skóra miała leciutko żółtawy odcień, ale ja starałam się tego nie widzieć, patrząc, jak wrzuca kilka centów do kubka na drobne. Starałam się nie widzieć, jak bardzo wydaje się zmęczony, starałam się przełknąć narastającą w gardle gulę. A przede wszystkim starałam się nie myśleć o tym, co powiedzieli nam specjaliści od tych rzeczy: że zostało mu około trzech miesięcy życia.

Rozdział drugi

Czy musimy tego słuchać? – jęknęła siedząca z przodu Gelsey, chyba po raz trzeci w ciągu dziesięciu minut.

– Możesz się czegoś nauczyć – odparł Warren, który prowadził. – Prawda, Taylor?

Wyciągnęłam się na tylnym siedzeniu, a zamiast odpowiedzieć, zasłoniłam oczy ciemnymi okularami i podkręciłam dźwięk w iPodzie. Lake Phoenix leżało tylko trzy godziny jazdy od naszego domu w Stanwich w Connecticut, ale miałam wrażenie, że to najdłuższa podróż samochodowa w moim życiu. Ponieważ mój brat prowadził jak emeryt (całkiem serio; dostał kiedyś mandat za zbyt wolną jazdę, stanowiącą zagrożenie na drodze), potrzebowaliśmy czterech godzin, żeby dotrzeć na miejsce. To naprawdę była jedna z najdłuższych podróży samochodowych w moim życiu.

Jechaliśmy tylko we troje starym land cruiserem, należącym do mnie i Warrena – rodzice pojechali pierwsi, samochodem mamy, wypchanym po dach wszystkimi rzeczami, których mieliśmy potrzebować przez całe lato. Spędziłam większość drogi, starając się ignorować sprzeczki mojego rodzeństwa, przede

wszystkim dotyczące tego, czego mamy słuchać – Gelsey chciała puszczać tylko Bentley Boys, Warren upierał się, żeby włączyć jego CD z wykładami akademickimi i ostatecznie wygrał, więc monotony głos z brytyjskim akcentem mówił mi znacznie więcej, niż kiedykolwiek chciałam wiedzieć o mechanice kwantowej.

Chociaż nie jechałam wtedy od pięciu lat, wciąż potrafiłam przewidzieć każdy zakręt. Rodzice kupili ten dom, zanim się urodziłam, i swego czasu spędzaliśmy tam każde lato, od początku czerwca do końca sierpnia. Tylko tata zostawał w Connecticut, żeby pracować, i przyjeżdżał do nas na weekendy. Te wakacje były dla mnie najlepszą częścią roku i siedząc w szkole, odliczałam dni do czerwca i wszystkiego tego, co wiązało się z latem w Lake Phoenix. Jednak kiedy miałam dwanaście lat, wakacje zakończyły się tak całkowitą katastrofą, że poczułam ulgę, kiedy się okazało, że w następnym roku tam nie jedziemy. Warren uznał, że musi się skoncentrować na nauce i zapisał na kursy przygotowawcze w college'u Yale, a Gelsey właśnie zmieniła nauczycielkę baletu i nie chciała przerywać lekcji na całe lato. Ponieważ ja z kolei nie chciałam wracać do Lake Phoenix i stawić czoła temu, co tam zostawiłam, znalazłam sobie letni obóz oceanograficzny (przez krótki czas chciałam zostać hydrobiologiem, ale już mi to przeszło) i ubłagałam rodziców, żeby pozwolili mi na niego jechać. Od tamtej

pory co roku działało się coś, co uniemożliwiało nam spędzenie wakacji w Lake Phoenix. Gelsey jeździła na dłuższe obozy baletowe, a Warren i ja zapisywaliśmy się na uniwersyteckie kursy i programy dla wolontariuszy (on wybudował plac zabaw w Grecji, a ja bezskutecznie próbowałam się nauczyć chińskiego na intensywnym kursie w Vermoncie). Mama zaczęła wynajmować nasz dom letnikom, kiedy stało się jasne, że wszyscy jesteśmy zbyt zajęci, żeby wziąć sobie wolne na całe lato i spędzić je razem w Pensylwanii.

W tym roku miało być tak samo – Gelsey po raz kolejny wybierała się na obóz baletowy, na którym była traktowana jak wschodząca gwiazda, Warren załatwił sobie staż w kancelarii prawniczej naszego ojca, a ja zamierzałam spędzać większość czasu na kąpielach słonecznych. Naprawdę nie mogłam się doczekać wakacji, ponieważ na miesiąc przed zakończeniem roku szkolnego mój chłopak Evan zerwał ze mną, a nasi znajomi, chcąc uniknąć podziału grupy, stanęli zgodnie po jego stronie. Nagły brak przyjaciół i jakichkolwiek przejawów życia towarzyskiego w normalnych okolicznościach sprawiłby, że perspektywa wyjazdu z miasta na całe lato wydawałaby się niezwykle kusząca. Ale wcale nie chciałam wracać do Lake Phoenix. Od pięciu lat moja noga nie postąpiła w Pensylwanii. Jeszcze trzy tygodnie temu żadne z nas nie brałoby pod uwagę tego,

że mogliśmy spędzić wakacje razem, w piątkę, ale właśnie to miało teraz nastąpić.

– Dojeżdżamy! – oznajmił radośnie Warren, a ja poczułam, że samochód zwalnia.

Otworzyłam oczy, usiadłam i rozejrzałam się. Drzewa po obu stronach szosy były intensywnie zielone, podobnie jak rosnąca pod nimi trawa, i tak gęste, że ledwie widziałam podjazdy i domy stojące w oddaleniu. Popatrzyłam na termometr – temperatura była o pięć stopni niższa niż w Connecticut. Czy mi się to podobało, czy nie, byłam znowu w górach.

– Nareszcie – mruknęła siedząca z przodu Gelsey.

Rozprostowałam szyję, ponieważ spałam w niewygodnej pozycji, i wyjątkowo tym razem zgodziłam się całkowicie z moją siostrą. Warren zwolnił jeszcze bardziej, włączył kierunkowskaz i w końcu skręcił w nasz podjazd. Wszystkie podjazdy w Lake Phoenix były wysypane żwirem, a nasz służył mi zawsze do odmierzenia letniego czasu. W czerwcu ledwie byłam w stanie przejść boso od samochodu do werandy, krzywiąc się przy każdym kroku, kiedy kamyczki wbijały się w moje delikatne, blade stopy, przez cały rok osłonięte bezpiecznie butami. Ale już w sierpniu miałam stopy stwardniałe i ciemnobrązowe, z wyraźnie odcinającymi się białymi paskami od klapków, mogłam też przebiec boso po podjeździe, nawet tego nie zauważając.

Odpięłam pas i pochyliłam się między przednimi siedzeniami, żeby lepiej się przyjrzeć. Na wprost przede mną stał nasz letni dom. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, było to, że wyglądał dokładnie tak samo jak zawsze – ciemne drewno, spadzisty dach, okna na całą ścianę i okalająca go weranda.

Drugą rzeczą, jaką zauważyłam, był pies.

Siedział na werandzie, tuż pod drzwiami, a na widok samochodu nie ruszył się z miejsca ani nie uciekł, zaczął tylko machać ogonem, jakby na nas czekał.

– Co to ma być? – zapytała Gelsey, kiedy Warren zgasił silnik.

– Co takiego? – zapytał Warren. Gelsey pokazała palcem, więc zmrużył oczy, patrząc przez szybę. – Aha – powiedział zaraz, a ja zauważyłam, że nie ruszył się, żeby wysiąść z samochodu. Nie chciał się do tego przyznać, ale bał się psów od czasu, kiedy miał siedem lat, a skretyniała babysitterka puściła mu *Cujo*.

Otworzyłam drzwi i wysiadłam z auta, żeby się lepiej przyjrzeć. Nie był to najładniejszy pies na świecie. Nieduży, ale nie tak malutki jak te, które można nosić w torebce albo przez przypadek rozdeptać. Miał złocistobrązową sierść, sterczącą sztywno na wszystkie strony i nadającą jego pyskowi wyraz permanentnego zaskoczenia. Wyglądał na całkowitego mieszańca, z ogromnymi stojącymi uszami owczarka niemieckiego,

krótkim pyskiem i długim ogonem jak u collie. Zauważyłam, że ma obrozę z identyfikatorem, więc najwyraźniej nie był bezpański.

Gelsey także wysiadła z samochodu, ale Warren został na swoim miejscu i uchylił tylko okno, kiedy do niego podeszłam.

– Ja, no... zostanę tutaj i zajmę się bagażami – wymamrotał, podając mi klucze.

– Serio? – zapytałam, unosząc brwi. Warren poczerwieniał i szybko zamknął okno, jakby się spodziewał, że ten mały piesek jakimś cudem wedrze się do wnętrza land cruisera.

Przeszłam przez podjazd i weszłam po trzech schodkach na werandę. Spodziewałam się, że pies ucieknie, kiedy podejde, ale on zaczął tylko machać szybciej ogonem, uderzając nim hałaśliwie o deski.

– Idź sobie – powiedziałam, podchodząc do drzwi. – Poszedł.

Zamiast posłuchać, podbiegł bliżej, jakby zamierzał wejść razem ze mną do środka.

– Nie – powiedziałam stanowczo, starając się naśladować Randolpha George'a, brytyjskiego okularnika prowadzącego program *Grzeczny pies*. – Idź sobie. – Zrobiłam krok w kierunku psa, który w końcu zrozumiał, o co mi chodzi. Odskoczył i zszedł po schodach werandy, a potem oddalił się podjazdem, jak mi się wydawało,

z ogromnym ociąganiem.

Kiedy tylko minęło zagrożenie ze strony krwiożerczego psa, Warren otworzył drzwi i ostrożnie wysiadł, rozglądając się po pustym podjeździe.

– Mama i tata powinni już tu chyba być?

Wyciągnęłam komórkę z kieszeni szortów i stwierdziłam, że Warren ma rację. Wyruszyli kilka godzin przed nami i prawdopodobnie nie jechali całą drogę sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Gelsey, możesz zadzwonić... – Odwróciłam się do siostry i zobaczyłam, że jest zgięta w pół, z nosem prawie przy kolanach. – Wszystko w porządku? – zapytałam, starając się jej przyjrzeć.

– W porządku – odparła stłumionym głosem. – Tylko się rozciągam. – Wyprostowała się powoli, z czerwoną jak burak twarzą. Patrzyłam, jak jej cera wraca do zwykłego koloru – bladego, z piegami, których z biegiem lata będzie przybywać. Uniosła ramiona, tworząc idealny okrąg nad głową, a potem opuściła je i przeszła do krążenia barków. Na wypadek, gdyby koczek i chodzenie ze stopami na zewnątrz nie dość jasno oznajmiały światu, że ma do czynienia z baletnicą, Gelsey nabrała zwyczaju częstego rozciągania się, także w miejscach publicznych.

– No dobra, to kiedy z tym skończysz – powiedziałam, bo właśnie zaczęła się przechylać do tyłu pod przerażającym kątem – możesz zadzwonić do mamy?

Nie czekając na jej odpowiedź – szczególnie że miałam przecucie, że zabrzmiałaby ona: *A ty nie możesz?*, wybrałam klucz z pęczka, przekręciłam go w zamku i po raz pierwszy od pięciu lat weszłam do domu.

Rozejrzałam się i odetchnęłam z ulgą. Obawiałam się, że po kilku latach wynajmowania dom zmieni się całkowicie – meble zostaną poprzestawiane, pojawią się nowe rzeczy albo po prostu będę odnosić wrażenie – trudne do uchwycenia, ale wyraźne – że ktoś przebywał w mojej przestrzeni życiowej. Trzy misie wiedziały o tym doskonale, podobnie jak ja tamtego lata, kiedy wróciłam z obozu oceanograficznego i natychmiast zauważyłam, że pod moją nieobecność matka pozwoliła nocować w moim pokoju jakimś gościom. Ale tutaj, rozglądając się, nie miałam takiego uczucia. To był nasz letni dom, dokładnie taki, jak go zapamiętałam, jakby przez cały ten czas czekał, aż w końcu tutaj wrócę.

Na dole nie było ścian działowych, więc widziałam wszystkie pomieszczenia, które nie były sypialniami albo łazienką. Wysoki sufit wznosił się aż pod szczyt spadzistego dachu, a plamy światła słonecznego kładły się na zasłaniających drewnianą podłogę sizalowych dywanikach. Zauważyłam obdrapany drewniany stół, z którego nigdy nie korzystaliśmy – służył tylko do zostawiania ręczników i poczty. Kuchnia, maleńka w porównaniu z okazałym cudem w naszym domu

w Connecticut, znajdowała się po prawej stronie, a drzwi z niej prowadziły na osłoniętą werandę z widokiem na jezioro. Tam właśnie zwykle jedliśmy wszystkie posiłki, z rzadkimi wyjątkami w przypadku ulewnego deszczu. Od werandy biegła ścieżka prowadząca na nasz pomost nad jeziorem Phoenix, a przez okno kuchni widziałam błyski późnopołudniowych promieni słońca, odbijających się w wodzie.

Za kuchnią znajdował się kącik wypoczynkowy z dwoma kanapami przed kamiennym kominkiem – tam właśnie moi rodzice siadali zawsze po obiedzie, czytając albo zajmując się swoją pracą. Dalej zobaczyłam miejsce dla dzieci, z obitą wytartym sztruksem kanapą, na której Warren, Gelsey i ja przeważnie spędzaliśmy wieczory. Jeden z wbudowanych w ścianę regałów zajmowały gry planszowe i puzzle, a my zazwyczaj całe lato prowadziliśmy rozgrywki lub układaliśmy obrazki. Tylko *Ryzyko* zostało odłożone na najwyższą półkę, poza naszym zasięgiem, po tych wakacjach, kiedy uzależniliśmy się od tej gry, zawieraliśmy tajne sojusze i praktycznie odmówiliśmy wychodzenia na zewnątrz, pochyleni nad planszą.

Nasze pokoje mieściły się wzdłuż korytarza – rodzice spali na górze – co oznaczało, że Warren, Gelsey i ja musieliśmy dzielić jedyną łazienkę na dole. Nie tęskniłam za tym, szczególnie że przywykłam do swojej łazienki

w Connecticut. Poszłam do swojego pokoju, zaglądając po drodze do łazienki, jeszcze mniejszej niż ją zapamiętałam. Zdecydowanie za małej, szczerze mówiąc, żebyśmy mogli korzystać z niej we troje i nie pozabijać się przy tym.

Podeszłam do moich drzwi, z prastarą tabliczką POKÓJ TAYLOR, o której całkiem już zapomniałam, i otworzyłam je, przygotowując się psychicznie na konfrontację z pokojem, który ostatni raz widziałam pięć lat temu, a także wszystkimi związanymi z nim wspomnieniami.

Kiedy weszłam do środka, okazało się, że mam przed sobą po prostu ładne, dość nijakie pomieszczenie. Moje łóżko wyglądało tak jak zawsze, ze starą ramą z brązu i narzutą w czerwono-białą szachownicę, a pod nim mieściła się wepchnięta polówka. Drewniana komoda i lustro w drewnianej ramie nie zmieniły się, tak samo jak stary kufer u stóp łóżka, w którym znajdowały się dodatkowe kołdry na zimne noce, jakie nawet latem zdarzały się w górach. Ale w tym pokoju nie było już niczego kojarzącego się ze mną. Obciachowe plakaty z nastoletnim aktorem, na punkcie którego miałam wtedy obsesję (od tamtego czasu zaliczył kilka opisywanych szeroko przez prasę pobytów na odwyku), zostały już zdjęte. Zniknęły odznaczenia z zawodów pływackich (głównie za zajęcie trzeciego miejsca), podobnie jak kolekcja błyszczyków do ust, gromadzonych przeze mnie pieczołowicie na przestrzeni lat. Spróbowałam się

napomnieć, że to akurat dobrze, bo na pewno i tak już by się do niczego nie nadawały, ale mimo wszystko nie dawało mi to spokoju. Rzuciłam torebkę i usiadłam na łóżku, patrząc na pustą szafę i opróżnioną komodę w poszukiwaniu jakiegoś dowodu na to, że mieszkałam tutaj przez dwanaście wakacji. Niczego nie znalazłam.

– Gelsey, co ty wyprawiasz?

Głos Warrena wystarczył, żeby wyrwać mnie z tych przemyśleń. Wyszłam na korytarz, żeby zobaczyć, co się dzieje. Moja siostra wyrzucała ze swojego pokoju pluszowe zabawki. Zrobiłam unik przed nadlatującym słoniem i stanęłam obok Warrena, oglądającego z niepokojem stosik gromadzący się pod jego drzwiami.

– Co tu się dzieje? – zapytałam.

– Zamienili mój pokój w pokój dla dziecka – oznajmiła Gelsey głosem pełnym pogardy i wyrzuciła przez drzwi kolejnego pluszaka, fioletowego konia, którego słabo sobie przypominałam. Rzeczywiście, jej pokój został przemeblowany. W kącie stały kołyska i przewijak, a na podwójnym łóżku piętrzyły się oburzające ją pluszowe zwierzaki.

– Letnicy mieli pewnie małe dziecko – stwierdziłam, odchylając się, żeby uniknąć centralnego trafienia puchatą żółtą kaczką. – Nie możesz poczekać, aż mama przyjedzie?

Gelsey przewróciła oczami – nabrała w tym wprawy w ciągu ostatniego roku i potrafiła wyrazić niezwykle

szeroką skalę emocji każdym przewróceniem oczami, być może dlatego, że stale to ćwiczyła. W tym momencie dawała mi do zrozumienia, jak bardzo nie na czasie jestem z wiadomościami.

– Mama będzie tu najwcześniej za godzinę – powiedziała. Popatrzyła na trzymanego pluszaka, małego kangurka, i obróciła go kilka razy w rękach. – Właśnie z nią rozmawiałam. Musieli pojechać z tatą do Stroudsburga, żeby spotkać się z jego nowym onkologiem.

Ostatnie słowo wymówiła ostrożnie, tak jak wszyscy to robiliśmy. Kilka tygodni temu nawet go nie znałam i myślałam, że tata ma tylko jakieś niezbyt poważne, łatwe do wyleczenia bóle w krzyżu. Wtedy nie do końca wiedziałam nawet, co to jest trzustka i kompletnie nie zdawałam sobie sprawy z tego, że nowotwór trzustki jest niemal zawsze śmiertelny, a „czwarte stadium” to słowa, których nigdy nie chce się usłyszeć.

Lekarze opiekujący się ojcem w Connecticut pozwolili mu spędzić lato w Lake Phoenix pod warunkiem, że dwa razy w miesiącu będzie odwiedzał onkologa, który ma monitorować rozwój choroby, a w razie potrzeby zatrudni opiekę pielęgniarską, jeśli nie chce pójść do hospicjum. Rak został wykryty tak późno, że najwyraźniej nie dało się już nic zrobić. Początkowo nie potrafiłam tego przyjąć do wiadomości. We wszystkich serialach medycznych, jakie kiedykolwiek oglądałam, zawsze istniał jakiś sposób,

w ostatniej chwili cudownie pojawiała się nieodkryte wcześniej lekarstwo. Nikt nigdy nie poddawał się tak po prostu przy leczeniu pacjenta. Jak się okazało, prawdziwe życie wyglądało inaczej.

Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie z Gelsey, ale potem opuściłam wzrok na podłogę i piętrzący się na niej stos wyrzuconych pluszaków. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa o szpitalu i o tym, co to musi oznaczać, ale nie zdziwiło mnie to. Nie rozmawialiśmy o tym, co działo się z tatą. W naszej rodzinie raczej unikało się takich rozmów i czasem, odwiedzając koleżanki i obserwując ich stosunki rodzinne – przytulanie się, gadanie o przeżywanych emocjach – czułam się nie tyle zazdrosna, ile zakłopotana.

Nasza trójka nigdy nie była szczególnie blisko, zapewne po części dlatego, że tak bardzo się różniliśmy. Warren od przedszkola wykazywał niezwykle zdolności do nauki i nikogo nie dziwiło, że przez całą szkołę był prymusem. Pięć lat różnicy między mną a Gelsey – nie wspominając o tym, że potrafiła być najnieznośniejszą smarkulą na świecie – sprawiało, że nie byłyśmy szczególnie zżyte jako siostry. Poza tym Gelsey spędzała tyle czasu, ile tylko mogła, na nauce tańca, który mnie kompletnie nie interesował. Gelsey i Warren także nie byli ze sobą szczególnie związani. Po prostu nigdy nie robiliśmy niczego razem. Dawniej zdarzało mi się

żałować, że tak się to wszystko układa, szczególnie gdy byłam młodsza i właśnie przeczytałam *Opowieści z Narnii*, w których rodzeństwo przyjaźniło się i opiekowało się sobą nawzajem. Dawno temu pogodziłam się z tym, że w naszym przypadku to niemożliwe. Nie mówię, że było mi z tym szczególnie źle – tak po prostu wyszło i wiedziałam, że to się nie zmieni.

Tak samo, jak nie miało się zmienić to, że w naszej rodzinie to ja byłam tą przeciętną osobą. Odkąd pamiętałam, nic się nie zmieniło – Warren był inteligentny, Gelsey utalentowana, a ja byłam po prostu Taylor, pozbawioną szczególnych zdolności.

Gelsey znowu zaczęła wyrzucać pluszowe zwierzaki na korytarz, a ja miałam właśnie wracać do swojego pokoju z poczuciem, że jak na jeden dzień spędziłam z rodzeństwem aż za dużo czasu, kiedy moją uwagę przykuło coś pomarańczowego.

– Hej – odezwałam się, pochylając się i podnosząc pluszową zabawkę, która wydała mi się znajoma. – To chyba moje.

Rzeczywiście, doskonale znałam tego pluszaka: to był mały pingwin z szalikiem w biało-pomarańczowe pasy. Trudno byłoby go nazwać arcydziełem sztuki zabawkarskiej – widziałam teraz, że jest tandetnie zrobiony, a w kilku miejscach zaczyna z niego wyłazić wypełnienie. Ale tamtego wieczora w wesołym

miasteczku, tamtego wieczora, kiedy po raz pierwszy się całowałam, tamtego wieczora, kiedy Henry Crosby wygrał go dla mnie, ten pingwin wydawał mi się najcudowniejszą rzeczą na świecie.

– Pamiętam go. – W oczach Warrena pojawił się wyraz, który zdecydowanie mi się nie spodobał. – Czy przypadkiem nie masz go z wesołego miasteczka? – Mój brat miał pamięć fotograficzną, chociaż zazwyczaj używał jej do zapamiętywania mało znanych faktów, a nie do dręczenia mnie.

– Owszem – mruknęłam, cofając się o krok.

– Czy to nie ten, którego wygrał dla ciebie Henry? – Warren wymówił to imię ze szczególnym naciskiem. Miałam poczucie, że właśnie spotyka mnie kara za to, że nabijałam się z mojego brata i jego lęku przed małymi, nieszkodliwymi pieskami. Rzuciłam mu wściekłe spojrzenie. Zaintrygowana Gelsey patrzyła na nas na zmianę.

– Jaki Henry? – zapytała.

– No wiesz... – Na twarzy Warrena zaczął się pojawiać złośliwy uśmiezek. – Henry Crosby. Miał młodszego brata, chyba Dereka czy jakoś tak. Henry chodził z Taylor.

Davy'ego – poprawiłam w myślach Warrena. Czułam, że moje policzki robią się gorące, co było absurdalne, i zaczęłam się rozglądać za drogą ucieczki. Gdybym mogła

się jakoś wycofać z tej rozmowy tak, żeby nie pokazać po sobie, jak bardzo jestem zakłopotana, zrobiłabym to natychmiast.

– A fakt – odparła powoli Gelsey. – Chyba go sobie przypominam. Był dla mnie miły. I wiedział, jak się nazywa każde drzewo.

– I jeszcze... – zaczął Warren, więc przerwałam mu, zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze. Nie byłam pewna, ile bym wytrzymała.

– Dobra, tylko pamiętaj, że powinnaś to posprzątać, zanim mama tu przyjedzie – oznajmiłam głośno, wiedząc doskonale, jak mało prawdopodobne jest, żeby mama nakrzyczała na Gelsey za cokolwiek. Staralam się jednak udawać, że wierzę w to z całego serca i wycofałam się z całą godnością, na jaką można się zdobyć, trzymając pluszowego pingwina. Bez żadnego powodu poszłam do kuchni.

Henry Crosby. To imię rozbrzmiewało echem w mojej głowie, kiedy odstawiłam pingwina na blat i otwarałam, a potem zamknęłam szafkę kuchenną. To był ktoś, o kim z całej siły starałam się nie myśleć za dużo przez te wszystkie lata. Został przez ten czas zredukowany, skrócony do historyjki opowiadanej na babskich spotkaniach, kiedy padało sakramentalne pytanie: *Kto był twoim pierwszym chłopakiem?* Miałam odpowiedź przygotowaną i wkułą na pamięć, tak że nawet nie

musiałam się nad tym zastanawiać:

A, taki jeden Henry. Przyjaźniliśmy się, kiedy spędzałam wakacje w naszym letnim domu. Zaczęliśmy ze sobą chodzić, jak miałam dwanaście lat. Pocałował mnie po raz pierwszy w wesołym miasteczku... – W tym momencie wszystkie wzdychałyśmy, a jeśli któraś dziewczyna zapytała mnie, co się potem stało, uśmiechałam się tylko, wzruszałam ramionami i odpowiadałam coś w rodzaju: „Wiesz, mieliśmy po dwanaście lat, więc chyba trudno się dziwić, że nie okazało się to związkiem na resztę życia”. Wtedy dziewczyny zaczynały się śmiać, a ja kiwałam głową i także się uśmiechałam, ale w myślach rozważałam własne słowa. W zasadzie wszystkie te fakty były prawdziwe, ale żaden z nich – szczególnie to, dlaczego nam nie wyszło – nie był prawdą. Wtedy odsuwałam od siebie myśli o tamtych wakacjach, włączałam się do rozmowy, degradując moje postępowanie i to, co się wydarzyło między Henrym, Lucy a mną do błahej historyjki, którą opowiedziałam przed chwilą.

Chwilę później do kuchni wszedł Warren i skierował się prosto do wielkiego kartonowego pudła na blacie.

– Przepraszam – powiedział, otwierając je. – Tak tylko się wygłupiałem.

Wzruszyłam ramionami, jakby mnie to w ogóle nie obeszło.

– Nie ma sprawy – odparłam. – To już zamierzchła przeszłość.

To była prawda, ale kiedy tylko przejechaliśmy linię dzielącą Lake Phoenix od reszty świata, moje myśli zaczęły krążyć wokół Henry’ego, chociaż starałam się podkreślić dźwięk w iPodzie i zagłuszyć je na dobre. Złapałam się nawet na tym, że wypatruję jego domu, i z zaskoczeniem zauważyłam, że biały dom został teraz pomalowany na intensywnie niebieski kolor, a na stojącym przed nim znaku zamiast dawnego FORT CROSBY widniał napis SZCZĘŚLIWY ZAKĄTEK MARYANNE oraz rysunek kieliszka do martini, co oznaczało, że musiał się tam wprowadzić nowy właściciel. Czyli Henry’ego już tu nie było. Nie odrywałam wzroku od domu, aż zniknął mi z oczu, a istnienie Maryanne, kimkolwiek by nie była, utwierdziło mnie w przeświadczeniu, że naprawdę mogę go już nigdy nie zobaczyć. Ta świadomość wywołała we mnie dziwną plątaninę uczuć – nostalgii i rozczarowania, ale przede wszystkim chłodnej fali ulgi, od której moje serce zaczęło mocniej bić. Takiej ulgi, jaką się czuje, kiedy się okaże, że coś nam uchodzi na sucho.

Warren zaczął rozpakowywać pudło, ustawiając na blacie butelki keczupu w idealnie równych rzędach, jakby miała je czekać decydująca bitwa między sosami.

Popatrzyłam na nie.

– Czy powinnam wiedzieć o tym, że Pensylwania ma

problemy z dostawami keczupu?

Warren potrząsnął głową, nawet na mnie nie patrząc.

– Wolę się zabezpieczyć – wyjaśnił. – Pamiętasz chyba, co się stało poprzednio.

Owszem, pamiętałam. Mój brat nie był szczególnie wybredny pod względem jedzenia, w odróżnieniu od Gelsey, która żywiła się chyba wyłącznie makaronem i pizzą, odmawiając spróbowania czegokolwiek choćby umiarkowanie przyprawionego. Jednakże keczup stanowił wyjątek – Warren dodawał go niemal do wszystkiego, schłodzony, a nie w temperaturze pokojowej, a do tego uznawał tylko markę Heinz. Twierdził, że umie odróżniać poszczególne marki i udowodnił nam to kiedyś w supermarkecie, kiedy byliśmy młodszy i okropnie się nudziliśmy. Dlatego przeżył prawdziwą traumę pięć lat temu, kiedy po przyjeździe do Lake Phoenix przekonaliśmy się, że w lokalnym supermarkecie skończył się keczup Heinza i została tylko sklepowa marka. Warren odmówił wzięcia jej do ust nawet na próbę i wykorzystał służbową kartę naszego ojca, żeby zamówić skrzynkę keczupu Heinz z dostawą ekspresową. Ojciec nie był szczególnie szczęśliwy, kiedy to odkrył, podobnie zresztą jak księgowy z jego firmy.

Teraz, aby zabezpieczyć się przed podobną tragedią, Warren włożył dwie butelki do prawie pustej lodówki i zaczął wstawiać resztę do szafki.

– Chcesz, żebym ci powiedział, jak wynaleziono keczup? – zapytał, używając formułki, którą miałam nieszczęście znać aż za dobrze. Warren uwielbiał ciekawostki od najwcześniejszego dzieciństwa, a ktoś z rodziny, kto zapewne chciał jak najlepiej, podarował mu *Przypadkowe odkrycia* – książkę o słynnych rzeczach, które zostały wynalezione przez przypadek. Od tamtej pory Warren do każdej rozmowy musiał wtrącić przynajmniej jedną informację tego typu. Jego pęd do zdobywania niepotrzebnej wiedzy (dzięki jego równie upiornej obsesji na punkcie trudnych słów wiedziałam, że takie ciekawostki nazywało się dawniej *silva rerum*) nie osłabł od tamtej pory. W końcu zaczęliśmy na to tak narzekać, że Warren przestał nam opowiadać różne rzeczy i zamiast tego pytał, czy może je opowiedzieć, co moim zdaniem nie było wiele lepsze.

– Może później – odparłam, chociaż musiałam przyznać, że trochę zaciekawiło mnie, dzięki jakiemu przypadkowi odkryto keczup. Miałam tylko nadzieję, że to nie okaże się czymś obrzydliwym albo wstrząsającym, jak w przypadku coca-coli, która była efektem nieudanej próby zrobienia aspiryny. Rozejrzałam się za drogą ucieczki i zobaczyłam przez okno kuchni jezioro za drzewami. Nagle uświadomiłam sobie, że tam właśnie pragnę się znaleźć.

Wyszłam na zabudowaną werandę i otworzyłam boczne

drzwi, kierując się w stronę jeziora. Kiedy wyszłam na dwór, zwróciłam twarz ku słońcu. Pięć drewnianych stopni prowadziło na łagodne trawiaste zbocze, poniżej którego widać było pomost. Chociaż znajdował się dokładnie za naszym domem, dzieliliśmy go z sąsiadami. Nie był szczególnie długi ani imponujący, ale ja zawsze uważałam, że miał idealną długość, żeby rozpędzić się przed skokiem do jeziora na bombę, a woda na jego końcu była dość głęboka, żebym nie musiała się obawiać uderzenia o dno.

Po obu stronach pomostu na trawie leżały kajaki i czółno, ale ledwie je zauważyłam, podchodząc bliżej. Na jeziorze obowiązywał zakaz używania łodzi motorowych, więc żaden ryk silnika nie zakłócał popołudniowej ciszy, tylko w oddali widziałam sylwetkę samotnego kajakarza. Otoczone ze wszystkich stron sosnowym lasem jezioro Phoenix było duże i miało trzy niewielkie wysepki. Mimo to – ponieważ nasz pomost znajdował się w miejscu zwężenia – drugi brzeg był na tyle blisko, że dało się zobaczyć pomosty i stojących na nich ludzi.

Popatrzyłam na pomost naprzeciwko naszego, od zawsze należący do rodziny Marino. Przez dwanaście wakacji w Lake Phoenix moją najlepszą przyjaciółką była Lucy Marino, więc w swoim czasie znałam jej dom równie dobrze, jak własny. Nocowałyśmy u siebie nawzajem prawie codziennie, a nasze rodziny tak do tego

przywykły, że moja matka zaczęła kupować ulubione płatki śniadaniowe Lucy. Zazwyczaj starałam się nie myśleć o niej, ale trudno było nie zauważyć, szczególnie w świetle niedawnych wydarzeń towarzyskich, że była ostatnią przyjaciółką, której opowiadałam o wszystkim. Nikt w szkole nie wiedział, jak powinien zareagować na wiadomość o moim ojcu, i z czasem okazało się, że ja także nie wiem, jak mam o tym z kimkolwiek rozmawiać. Ponieważ zostałam wyrzucona z dotychczasowej grupy znajomych, koniec roku i przygotowania do przyjazdu tutaj zastały mnie samą jak palec, bez nikogo, do kogo mogłabym otworzyć usta. Ale kiedyś opowiadałam Lucy o wszystkim, aż do czasu, kiedy nasza przyjaźń – tak jak wszystko inne – skończyła się w tamte wakacje.

Z przyzwyczajenia popatrzyłam na pale podtrzymujące jej pomost. Przez lata ja i Lucy wypracowałyśmy ogromnie złożony system komunikacyjny pomiędzy naszymi pomostami, wykorzystujący latarki i autorską wersję alfabetu Morse'a, kiedy było ciemno, oraz niezwykle nieprecyzyjne flagi sygnalizacyjne w dzień. Jeśli jedna z nas chciała jak najszybciej pogadać z drugą, przywiązywałyśmy jedną z dwóch różowych bandan, które obie miałyśmy, do pala przy pomoście. Muszę teraz przyznać, że nie był to szczególnie skuteczny sposób na porozumiewanie się i zazwyczaj jedna z nas dzwoniła, zanim ta druga zauważyła błyski latarki, flagi lub bandanę.

Oczywiście teraz na palach pomostu Lucy nie było żadnej bandany.

Zrzuciłam klapki i weszłam boso na nagrzane słońcem deski pomostu. Były już tak wyglądzone przez lata chodzenia po nich, że nie musiałam się obawiać żadnych drzazg, które zagrażały mi chociażby na naszej werandzie. Zaczęłam iść szybciej, prawie biegłam, chcąc znaleźć się na końcu pomostu, odetchnąć zapachem wody i sosen, zawinąć palce stóp na krawędzi desek.

Kiedy jednak dotarłam do końca pomostu, zatrzymałam się gwałtownie. Kątem oka zauważyłam poruszenie z boku – kajak, który widziałam wcześniej na jeziorze, kołysał się teraz, przycumowany do pala, a osoba nim płynąca – jakiś chłopak – wspinała się po drabince, przytrzymując się jedną ręką, a w drugiej niosąc wiosło. Odbijające się w wodzie słońce nie pozwalało mi przyjrzeć się jego twarzy, ale kiedy wyszedł na pomost, uznałam, że to po prostu ktoś z sąsiadów. Podeszedł bliżej, poza strefę blasku, a potem stanął jak wryty, patrząc na mnie. Zamrugałam ze zdumienia i uświadomiłam sobie, że także się na niego gapię.

Naprzeciwko mnie, starszy o pięć lat, prawie dorosły i znacznie przystojniejszy, niż go zapamiętałam, stał Henry Crosby.

Rozdział trzeci

Poczułam, że opada mi szczęka – do tej pory nie miałam pojęcia, że coś takiego może się naprawdę człowiekowi przytrafić. Zamknęłam szybko usta i znowu zamrugałam, starając się zmusić do posłuszeństwa umysł, który próbował rozpaczliwie pojąć, skąd tuż przede mną wziął się prawie dorosły Henry.

Rzucił wiosło na pomost, zrobił pół kroku w moją stronę i zaplótł ramiona na piersi.

– Taylor Edwards – powiedział. To nie było pytanie.

– Henry? – zapytałam dość słabo, chociaż to oczywiście musiał być on. Przede wszystkim jakiś przypadkowy kajakarz nie rozpoznałby mnie. A poza tym wyglądał tak samo jak dawniej, tylko znacznie, znacznie lepiej.

Był wysoki i barczysty, z krótko obcięzonymi, bardzo ciemnymi włosami, które wydawały się prawie czarne. Nie zauważyłam już piegów, które miał na pewno, kiedy byliśmy młodszy, ale jego oczy nadal zachowały orzechowy kolor, chociaż teraz bliżej im było do zieleni niż do brązu. Miał mocniej zarysowaną szczękę i umięśnione ramiona. To zupełnie nie pasowało do moich

wspomnień – kiedy go widziałam po raz ostatni, był niższy ode mnie, chudy, z podrapanymi łokciami i kolanami. Podsumowując, Henry był teraz naprawdę przystojny. I naprawdę niezadowolony, że mnie widzi.

– Cześć – powiedziałam po to tylko, żeby coś powiedzieć.

– Witam – odpowiedział lodowato. Miał znacznie niższy głos, który nie załamywał się na co drugim słowie, jak ostatnio, kiedy go słyszałam. Nasze spojrzenia się spotkały, a ja nagle zaczęłam się zastanawiać, jakie zmiany on zauważył we mnie i co myśli o tym, jak teraz wyglądam. Niestety ja niewiele się zmieniłam od czasów dzieciństwa, dalej miałam niebieskie oczy i proste włosy w kolorze pośrednim między blondem a brązem. Byłam średniego wzrostu i raczej patykowata, z pewnością nie udało mi się wyhodować tych wszystkich krągłości, na jakie rozpaczliwie liczyłam, mając dwanaście lat. Pożałowałam, że nie poświęciłam rano odrobiny czasu, żeby zrobić coś ze sobą, i nadal wyglądałam, jakbym dopiero co zwlekła się z łóżka. Henry przeniósł wzrok na mój strój, a kiedy uświadomiłam sobie, co mam na sobie, zakłęłam w myślach. Nie tylko wpadłam właśnie na kogoś, kto najwyraźniej mnie nienawidził, ale jeszcze do tego byłam ubrana w ukradziony mu T-shirt.

– Dobra – powiedział i zapadła cisza. Serce tłukło mi się gwałtownie, nagle zapragnęłam odwrócić się i uciec,

wsiąść do samochodu i nie zatrzymywać się, dopóki nie znajdę się znowu w Connecticut. – Co ty tu robisz? – zapytał w końcu nieprzyjemnym tonem.

– Mogłabym zapytać o to samo – odparłam, przypominając sobie, że zaledwie chwilę temu pewnym siebie głosem powiedziałam Warrenowi, że Henry to zamierchła przeszłość i byłam pewna, że nigdy więcej go nie zobaczę. – Myślałam, że stąd wyjechałeś.

– Myślałaś, że ja wyjechałem? – zapytał i roześmiał się, chociaż nie sprawiał wrażenie rozbawionego. – Serio?

– Tak – stwierdziłam, lekko rozdrażniona. – Przejeżdżaliśmy dzisiaj koło twojego domu i wyglądał zupełnie inaczej. Najwyraźniej należy teraz do jakiejś pijaczki imieniem Maryanne.

– Wiesz, Taylor, przez pięć lat dużo się zmieniło – powiedział, a ja uświadomiłam sobie, że po raz drugi użył mojego pełnego imienia. Dawniej mówił tak do mnie tylko wtedy, gdy był na mnie wściekły, a zazwyczaj nazywał mnie „Edwards” albo „Tay”. – Na przykład przeprowadziliśmy się. – Wskazał dom obok naszego, stojący tak blisko, że widziałam doniczki na parapecie. – Właśnie tutaj.

Przez chwilę po prostu patrzyłam w milczeniu na to, co mi pokazywał. To był dom Morrisonów i zakładałam po prostu, że oni dalej tam mieszkają – pan Morrison, pani Morrison i ich wredny pudel.

– Mieszkasz koło mnie?

– Mieszkamy tutaj od kilku lat – wyjaśnił. – Ale wasz dom zawsze wynajmowali letnicy, więc myślałem, że nigdy tu już nie wrócisz.

– Ja też tak myślałam, jeśli chcesz wiedzieć – przyznałam.

– No to co się stało? – Popatrzył prosto na mnie, zaskakując mnie zielenią swoich oczu. – Dlaczego nagle tu jesteś?

Poczułam, że nagle przestałam oddychać, a popołudniowy blask słońca odrobinę przygasł. Nie udało mi się uciec zbyt daleko od moich myśli.

– No cóż – powiedziałam powoli, odwracając spojrzenie od Henry’ego i wpatrując się w taflę jeziora. Szukałam sposobu, żeby mu to wyjaśnić, chociaż przecież odpowiedź nie była skomplikowana. Wystarczyło, że powiem: *Mój tata jest chory, więc postanowiliśmy spędzić wakacje razem.* To nie było takie trudne. Trudność sprawiały dopiero kolejne pytanie. *Jak bardzo jest chory? Na co? Czy to poważne?* A potem nieodmienna reakcja, kiedy ludzie uświadamiali sobie, jak bardzo jest to poważne. I że nie powiedziałam tego na głos, ale miałam na myśli to, że spędzamy razem ostatnie wakacje.

Nie miałam przeciwiczonych tych wyjaśnień, ponieważ starannie unikałam takich rozmów. W szkole wieści

rozeszły się bardzo szybko, oszczędzając mi konieczności tłumaczenia, w jakiej jestem sytuacji. A jeśli razem z moją matką wpadałyśmy w sklepie spożywczym na kogoś znajomego, kto pytał o mojego ojca, zostawiałam jej przekazywanie złych wieści. Patrzyłam w inną stronę albo odchodziłam o kilka kroków, jakby wabił mnie nieodparty zew regału z płatkami śniadaniowymi, i udawałam, że ta trudna rozmowa nie ma nic wspólnego ze mną. Nie byłam pewna, czy potrafiłabym powiedzieć to na głos – i odpowiedzieć na kolejne pytanie – nie tracąc panowania nad sobą. Nie płakałam jeszcze ani razu z tego powodu i nie chciałam ryzykować, że nastąpi to właśnie w obecności Henry’ego Crosby’ego.

– To długa historia – powiedziałam w końcu, nie odrywając spojrzenia od gładkiego jeziora.

– Tak, nie wątpię – stwierdził Henry sarkastycznie.

Zamrugalam, słysząc ton jego głosu. Dawniej nigdy tak do mnie nie mówił. Kiedy się kłóciliśmy, to były typowe dziecinne kłótnie – z poszturchiwaniem się, przezywaniem i robieniem głupich kawałów – byle tylko jakoś to zakończyć i wrócić do bycia przyjaciółmi. Kiedy go teraz słyszałam – a także własne, równie nieprzyjemnie brzmiące odpowiedzi – miałam wrażenie, że rozmawiam w obcym języku z kimś, z kim zawsze gadałam po angielsku.

– A dlaczego wy się przeprowadziliście? – zapytałam

odrobinę bardziej napastliwym tonem, niż zamierzałam. Odwróciłam się do niego i także zaplotłam ręce na piersiach. Przeprowadzki w Lake Phoenix zdarzały się rzadko. Po drodze widziałam znajome tabliczki przed większością domów, świadczące o tym, że ich dawni właściciele nadal w nich mieszkali.

Spodziewałam się szybkiej odpowiedzi, więc z zaskoczeniem zauważyłam, że Henry odrobinę poczerwieniał i wsadził ręce do kieszeni szortów, co zawsze było sygnałem, że nie wie, co ma powiedzieć.

– To długa historia – powtórzył za mną, opuszczając wzrok. Przez chwilę jedynym słyszalnym dźwiękiem było głucho postukiwanie plastikowego kajaka o drewniany pał.

– Tak czy inaczej teraz tu mieszkamy – dodał po chwili.

– Jasne. – Miałam wrażenie, że już to ustaliliśmy. – Rozumiem.

– Chodzi mi o to, że mieszkamy tu na stałe – doprecyzował, a kiedy na mnie popatrzył, postarałam się ukryć zaskoczenie. Chociaż w Lake Phoenix można było mieszkać przez cały rok, mało kto to robił – to była przede wszystkim miejscowość letniskowa. Pięć lat temu Henry mieszkał w stanie Maryland, a jego tata pracował w jakiejś instytucji bankowej w Waszyngtonie i podobnie jak inni ojcowie, przyjeżdżał do Lake Phoenix tylko na weekendy, przez resztę tygodnia pozostając w mieście.

– Aha – pokiwałam głową, jakbym go zrozumiała. Nie

miałam pojęcia, co to oznacza w kontekście reszty jego życia, ale Henry najwyraźniej nie zamierzał wdawać się w szczegółowe wyjaśnienia, a ja miałam poczucie, że nie mam prawa go wypytywać. Nagle uświadomiłam sobie, że dzieli mnie od niego dystans znacznie większy niż tych kilka metrów na pomoście.

– Owszem – potwierdził Henry. Byłam ciekawa, czy on czuje to samo co ja i też ma wrażenie, że rozmawia z kimś nieznanym. – Muszę lecieć – stwierdził krótko i odwrócił się, żeby sobie pójść.

Nie chciałam kończyć naszej rozmowy w tak nieprzyjemny sposób, więc kiedy mnie mijał, powiedziałam – głównie z grzeczności:

– Miło cię znowu widzieć.

Zatrzymał się tuż koło mnie, bliżej niż wcześniej, na tyle blisko, że teraz zauważyłam na jego policzkach ślady piegów, tak delikatnych, że z trudem mogłam je dostrzec i połączyć liniami jak konstelacje. Poczulałam szybszy puls u nasady gardła i nagle przypomniałam sobie jeden z pierwszych razów, kiedy się niezgrabnie całowaliśmy. Pięć lat temu, właśnie na tym pomoście. *Całowałam się z tobą* – przemknęło mi przez myśl, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Popatrzyłam na Henry'ego, który nadal stał tak blisko, ciekawa, czy on także przypomniał sobie to samo. Ale on wciąż patrzył na mnie chłodno i sceptycznie, a kiedy

ruszył dalej, zrozumiałam, że celowo nie odpowiedział na moje „miło cię widzieć”.

Może innego dnia zignorowałabym to, ale teraz byłam poirytowana i zmęczona po czterech godzinach spędzonych na słuchaniu boysbandu i wykładów o energii światła. Poczułam, że złość bierze we mnie górę.

– Słuchaj no, ja serio nie chciałam tu przyjeżdżać – powiedziałam, a mój głos zabrzmiał donośniej i odrobinę piskliwie.

– No to dlaczego tu jesteś? – Henry także podniósł głos.

– Nie miałam nic do powiedzenia – warknęłam, wiedząc, że zaraz posunę się za daleko, ale wiedząc też, że nie zdołam się już powstrzymać. – Gdyby to ode mnie zależało, nigdy w życiu bym tu nie wróciła.

Wydawało mi się, że przez ułamek sekundy na jego twarzy pojawiła się prawdziwa uraza, ale zaraz powróciło to samo kamienne spojrzenie.

– No cóż, może nie tobie jednej by na tym zależało – odparł.

Postarałam się nie wzdrygnąć, chociaż wiedziałam, że zasłużyłam sobie na taką kontrę. Popatrzyliśmy na siebie w chwilowym impasie, a ja uświadomiłam sobie, że jedną z niedogodności wdawania się w kłótnię na pomoście jest to, że nie ma dokąd uciec, jeśli ta druga osoba stoi między tobą a brzegiem.

– No dobra – odezwałam się w końcu, odwracając

spojrzenie i zaplatając ramiona ciasniej na piersi. Staralam się, żeby mój głos brzmiał, jakby to wszystko mnie nie obchodziło. – Do zobaczenia.

Henry oparł wiosło na ramieniu jak siekiere.

– Pewnie się tego nie da uniknąć, Taylor – odparł ponuro i popatrzył na mnie jeszcze raz, a potem odwrócił się i poszedł. Nie chciałam patrzeć, jak odchodzi, więc wróciłam na koniec pomostu.

Popatrzyłam na jezioro, na słońce, które zaczęło się zastanawiać nad zachodzeniem, i odetchnęłam głęboko. Czyli Henry mieszkał w domu obok. Nic nie szkodzi. Jakoś to przeżyję. Po prostu spędzę całe wakacje w domu. Nagle wyczerpana tymi myślami, usiadłam i musnęłam stopami powierzchnię wody. W tym momencie zauważyłam coś w rogu deski.

HENRY
+
TAYLOR
NA ZAWSZE

Pięć lat temu razem wryliśmy ten napis w środku krzywego serca. Nie mogłam uwierzyć, że nadal tu jest po takim czasie. Przesunęłam palcami po znaku plusa, zastanawiając się, jakim cudem w wieku dwunastu lat myślałam, że wiem, co to znaczy „na zawsze”.

Gdzieś za sobą usłyszałam chrzęst opon na żwirze

i trzask drzwiczek samochodu – moi rodzice w końcu przyjechali. Podniosłam się i poszłam z powrotem do domu, zastanawiając się, jakim cudem właściwie się tu znalazłam.

Rozdział czwarty

trzy tygodnie wcześniej

To były zdecydowanie najgorsze urodziny w moim życiu. Siedziałam na kanapie obok Warrena, a Gelsey leżała przed nami na brzuchu na dywanie, z nogami ułożonymi w romb, jak u żaby – zawsze krzywiłam się boleśnie na ten widok. Oglądaliśmy sitcom, chociaż żadne z nas ani razu się jeszcze nie roześmiało, a ja miałam poczucie, że moje rodzeństwo siedzi ze mną tylko dlatego, że ich zdaniem tak wypada. Widziałam, że Warren rzuca tęskne spojrzenia w stronę laptopa i mogłam się domyślić, że Gelsey wolałaby być w swoim pokoju, zamienionym w zaimprovizowaną salę baletową, i ćwiczyć jakieś *fouette* czy coś w tym rodzaju.

Moje rodzeństwo próbowało udawać, że urządzamy prawdziwe przyjęcie – na tyle, na ile to było możliwe w tych okolicznościach. Zamówili moją ulubioną pizzę z ananasem i pepperoni, postawili na niej świeczkę i bili brawo, kiedy ją zdmuchnęłam. Zamknęłam oczy, chociaż nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio pomyślałam sobie życzenie podczas zdmuchiwania

świeczki i wierzyłam, że mogłoby się spełnić. Tym razem gorączkowo, zaciskając powieki, życzyłam sobie, żeby z moim tatą wszystko było dobrze, żeby cała ta historia okazała się tylko pomyłką, fałszywym alarmem. Wkładałam w to życzenie tyle samo nadziei co wtedy, kiedy byłam malutka i jedyną rzeczą, jakiej pragnęłam na całym świecie, był własny kucyk.

Nagrany śmiech z sitcomu odbił się echem od ścian, a ja popatrzyłam na zegar na odtwarzaczu DVD.

– O której mieli wrócić? – zapytałam.

– Mama nie była pewna, czy w ogóle dzisiaj zdążą do domu – odparł Warren. Nasze spojrzenia na moment się spotkały, ale zaraz znowu wbił oczy w telewizor. – Powiedziała, że zadzwoni.

Pokiwałam głową i skoncentrowałam się na sytuacjach ekranowych, chociaż nie umiałabym powiedzieć, o co tam chodziło. Rodzice byli w instytucie onkologicznym Sloana-Ketteringa na Manhattanie, gdzie mój ojciec przechodził szczegółowe badania już od trzech dni. Okazało się, że problemy z kręgosłupem, który dokuczał mu od kilku miesięcy, wcale nie były problemami z kręgosłupem. Nasza trójka musiała radzić sobie sama, więc wykonywaliśmy domowe obowiązki bez narzekania, kłócąc się znacznie mniej niż zwykle i nie wspominając ani słowem o tym, czego się baliśmy, jakby powiedzenie tego na głos mogło urzeczywistnić nasze obawy.

Matka zadzwoniła do mnie z samego rana, przeprasząc, że nie będą na moich urodzinach, a chociaż zapewniłam ją, że nic się nie stało, poczułam twarde węzeł zaciskający się w żołądku. W jakimś stopniu miałam wrażenie, że zasłużyłam sobie na to. Zawsze byłam blisko z tatą – to ja chodziłam z nim na zakupy i pomagałam wybierać prezenty gwiazdkowe i urodzinowe dla mamy, tylko ja miałam podobne do niego poczucie humoru. Dlatego to ja powinnam była zauważyć, że coś jest nie tak. Powinnam mimo wszystko dostrzec pewne oznaki – to, że tata krzywił się, siadając na nisko zawieszonym fotelu swojego sportowego wozu, męczył się bardziej niż zwykle przy podnoszeniu cięższych rzeczy, poruszał odrobinę ostrożniej niż zwykle. Ale nie chciałam, żeby to się okazała prawda, chciałam, żeby to po prostu po cichu minęło, więc nie mówiłam ani słowa. Ojciec nie znosił lekarzy, a chociaż – jak przypuszczam – moja matka zauważała to samo co ja, nie zmuszała go do wizyty w przychodni. Poza tym byłam zaabsorbowana własnym szkolnym melodramatem i w pełni przekonana, że zerwanie z Evanem i następstwa tego to najgorsze, co może mnie w życiu spotkać.

Rozmyślałam właśnie nad własną głupotą, kiedy mrok za oknem rozjaśniły światła reflektorów, zbliżające się do naszego podjazdu, a chwilę później usłyszałam szum otwierających się drzwi garażu. Gelsey usiadła, a Warren

wyłączył dźwięk. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w nagłej ciszy.

– To chyba dobry znak, że wrócili, prawda? – zapytała Gelsey. Z jakiegoś powodu patrzyła na mnie, oczekując odpowiedzi, więc odwróciłam się do telewizora, gdzie parada wygłupów zaczynała zwalniać i wszystko zmierzało do szczęśliwego końca.

Usłyszałam, że drzwi otworzyły się i zamknęły. Do pokoju zajrzała mama, ale wyglądała na wykończoną.

– Możemy porozmawiać w jadalni? – zapytała i wyszła, nie czekając na naszą odpowiedź.

Wstałam z kanapy, czując, że węzeł w moim żołądku zaciska się mocniej. To na pewno nie był dobry znak, o którym mówiła Gelsey i którego ja sobie życzyłam. Domyślałam się, że dobre wieści matka przekazałaby nam od razu. Nie kazałaby nam przychodzić do jadalni, co już samo w sobie brzmiało niepokojąco. Pomijając tych kilka razy w roku, kiedy jedliśmy elegancki obiad na najlepszej zastawie, jadalnia pozostawała miejscem, w którym rozmawiało się o Poważnych Sprawach.

Przeszłam za Warrenem i Gelsey przez kuchnię do jadalni i zobaczyłam, że ojciec siedzi na swoim zwykłym miejscu, u szczytu stołu, i wydaje się mniejszy niż zaledwie kilka dni temu. Moja mama stała przy szafce kuchennej, na której czekało kwadratowe białe pudło z cukierni, i przytuliła mnie szybko i niezręcznie jedną

ręką. Nasza rodzina nigdy nie okazywała sobie szczególnie dużo czułości fizycznej, więc był to sygnał równie niepokojący, jak konieczność wysłuchania wieści w jadalni.

– Strasznie mi przykro z powodu twoich urodzin, Taylor. – Wskazała białe pudełko, a ja zauważyłam, że zamykająca je nalepka miała logo Billy's, mojej ulubionej cukierni. – Kupiłam je dla ciebie, ale może... – Popatrzyła w stronę jadalni i przygryzła wargę. – Może zostawimy to na później.

Chciałam zapytać, na jakie później, ale z każdą minutą coraz dokładniej wiedziałam, jaka byłaby odpowiedź. Kiedy matka odetchnęła głęboko i podeszła do stołu, żeby usiąść koło ojca, popatrzyłam na drzwi frontowe. Poczulałam znajomy impuls, podpowiadający mi, że wszystko byłoby prostsze, gdybym mogła po prostu wyjść, nie musieć sobie radzić z tym, co zaraz nastąpi, zabrać tylko mój tort i zniknąć.

Oczywiście, nie zrobiłam tego. Poszłam za matką do jadalni i obserwowałam, jak ściska rękę ojca, patrzy na nas, jeszcze raz oddycha głęboko i w końcu potwierdza to, czego się wszyscy obawialiśmy.

Kiedy powiedziała to na głos, miałam wrażenia, że jej słowa dobiegają z głębin wody. W uszach mi dzwoniło, a kiedy rozejrzałam się wokół, zobaczyłam, że Gelsey już płacze, ojciec jest bledszy niż kiedykolwiek, a Warren

marszczy brwi tak, jak robił to zawsze, kiedy nie chciał pokazać swoich uczuć. Uszczypnęłam się mocno w rękę na wypadek, gdybym dzięki temu mogła obudzić się z koszmaru, w którym tkwiłam i z którego nie potrafiłam się wydostać. Ale szczypanie nic nie pomogło, nadal siedziałam przy stole, a matka mówiła kolejne okropne słowa. *Rak trzustki. Czwarte stadium. Cztery miesiące, może więcej... A może mniej...*

Kiedy matka umilkła, Gelsey miała czkawkę od płaczu, a Warren wpatrywał się w sufit, mrugając częściej niż zwykle. Wtedy właśnie ojciec odezwał się po raz pierwszy.

– Powinniśmy chyba zrobić plany na wakacje – powiedział zachrypniętym głosem. Popatrzyłam na niego, a on odwzajemnił moje spojrzenie. Nagle zawstydziłam się, że nie wybuchnęłam płaczem tak jak moja młodsza siostra, że czuję tylko to straszne, puste odrętwienie. Zupełnie jakbym go w jakiś sposób zawiodła. – Chciałbym spędzić wakacje z wami wszystkimi w naszym letnim domu – powiedział i popatrzył na nas. – Co o tym myślicie?

Rozdział piąty

To chyba są jakieś żarty. – Mama zamknęła drzwi szafki kuchennej trochę mocniej, niż to było konieczne i odwróciła się do mnie, potrząsając głową. – Uwierzysz, że zabrali wszystkie moje przyprawy?

– Mhm – mruknęłam. Zostałam zwerbowana, żeby pomóc matce wypakować rzeczy kuchenne, ale zajmowałam się przede wszystkim porządkowaniem i układaniem na nowo sztućców w szufladzie, co wydawało się lepsze od szarpania się z jednym z wielkich pudeł, które czekały na rozpakowanie. Na razie matka nie zauważyła tego, ponieważ była pochłonięta inwentaryzacją rzeczy zostawionych w kuchni. Najwyraźniej zeszłoroczni letnicy zabrali wszystko, co nie zostało przybite gwoździami, łącznie ze szczotką, ścierkami i wszystkimi przyprawami z lodówki. Trzeba jednak przyznać, że zostawili też mnóstwo własnych rzeczy, choćby tę kołyskę, której obecność tak oburzyła Gelsey.

– Nie wiem, jak mam coś gotować bez przypraw – mruknęła matka, otwierając jedną z górnych szafek i unosząc się na palcach, żeby przejrzeć jej zawartość.

Stopy ustawiła przy tym w idealnej pozycji pierwszej, ponieważ była dawniej zawodową baletnicą, a chociaż kontuzja ścięgnię zmusiła ją do rezygnacji z tańca jeszcze przed trzydziestką, wciąż wyglądała, jak – by w każdej chwili mogła wrócić na scenę. – Taylor? – zapytała trochę ostrzej, więc spojrzałam na nią.

– Co? – zapytałam i poprawiłam łyżeczkę w szufladzie. Sama słyszałam obronną nutę w moim głosie.

Matka westchnęła.

– Możesz przestać być taka nadęta?

Nie wiem, czy istniało inne zdanie, które mogłoby sprawić, że nadęłabym się jeszcze bardziej. Wbrew swojej woli poczułam, że się krzywię nieprzyjemnie.

– Wcale nie jestem nadęta.

Mama popatrzyła przez okno werandy na jezioro, a potem znowu na mnie.

– Te wakacje będą wystarczające trudne dla nas wszystkich nawet bez takiego zachowania.

Zamknęłam szufladę ze sztucami gwałtowniej, niż to było konieczne, czując przyływ poczucia winy wymieszanego z irytacją. Nigdy nie byłam ulubienicą matki – w odróżnieniu od Gelsey – ale zawsze byliśmy w niezłych stosunkach.

– Wiem, że nie chciałaś tu przyjeżdżać – powiedziała łagodniej. – Ale musimy jak najlepiej wykorzystać ten czas. Zgoda?

Otworzyłam szufladę i znowu ją zamknęłam. Przebywałam w tym domu zaledwie od kilku godzin, ale już czułam się tu klaustrofobicznie. Świadomość, że po sąsiedzku obok mieszka mój były chłopak, który mnie nie znosi – nie bez powodu zresztą – także mi nie pomagała.

– Po prostu – powiedziałam, odrobinę się zacinając – po prostu nie wiem, co mam tu robić przez całe lato. A poza tym...

– Mamo! – Gelsey wpadła do kuchni. – Kołyska dalej jest w moim pokoju. I światło się nie pali.

– Ta rodzina Murphych pewnie powykręcała żarówki – mruknęła matka, potrząsając głową. – Zaraz zobaczę. – Wyszła z kuchni razem z Gelsey, trzymając rękę na jej ramieniu, ale zatrzymała się w progu i spojrzała na mnie. – Taylor, później o tym pomówimy. Czy mogłabym prosić, żebyście ty albo Warren podjechali po pizzę? Dzisiaj chyba nie uda mi się niczego ugotować.

Wyszła, a ja zostałam w kuchni jeszcze na kilka minut. Moje spojrzenie przykuły stojące na blacie buteleczki z pomarańczowego plastiku, w których były pigułki dla ojca. Patrzyłam na nie przez chwilę, a potem poszłam poszukać taty, ponieważ wiedziałam, że Warren będzie na pewno tam, gdzie on.

Znalazłam ich obu – nie musiałam długo szukać w tak małym domu – siedzących przy stole w jadalni, tatę w okularach, ze stosem papierów i laptopem, a Warrena

z opasłą książką, nad którą marszczył brwi z mądrą miną, robiąc w trakcie lektury notatki w swoim notesie. Miał zagwarantowane przyjęcie na Uniwersytet Pensylwanii, ale kiedy teraz się na niego spojrzało, można by pomyśleć, że jest już współwłaścicielem firmy prawniczej, a studia – nie wspominając o wcześniejszym college’u – to tylko formalność.

– Hej. – Szturchnęłam brata w plecy, siadając obok taty.
– Mama powiedziała, żebyś podjechał po pizzę.

– Ja? – zmarszczył brwi Warren, ale zaraz wstał, kiedy tata rzucił mu spojrzenie. – Znaczy, jasne. Jak się nazywała ta pizzeria w mieście?

Oboje z Warrenem popatrzyliśmy na tatę. Mój brat miał może pamięć fotograficzną, ale to nasz ojciec zawsze pamiętał istotne informacje – wydarzenia, daty, nazwy pizzerii.

– Pyszna Pizza – odparł tata. – O ile jeszcze istnieje.

– Zobaczę. – Warren wygładził koszulkę polo i podszedł do drzwi. Po kilku krokach przystanął, żeby na nas spojrzeć. – Wiecie, że pizza została wymyślona, żeby zagospodarować resztki jedzenia, we Włoszech, w piętnastym...

– Synu, może opowiesz o tym przy obiedzie? – przerwał mu tata.

– Jasne. – Warren zarumienił się lekko i wyszedł z pokoju. Chwilę później usłyszałam trzaśnięcie drzwi

wejściowych i warkot silnika samochodu.

Tata popatrzył na mnie ponad ekranem laptopa, unosząc brwi.

– No dobrze, mała. Czy matka naprawdę chciała, żeby to twój brat pojechał po pizzę?

Postarałam się ukryć uśmiech i wzruszyłam ramionami, skubiąc nitkę wystającą z mojego T-shirtu.

– Niewykluczone, że zasugerowała, że to mogłoby być jedno z nas. Ja dokonałam delegacji zadań.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się lekko, a potem znowu zagłębił się w swoich papierach. Nie przestał pracować pomimo diagnozy, twierdząc, że chce tylko pozamykać niedokończone sprawy, ale ja wiedziałam, że byłby nieszczęśliwy, gdyby mu zabrano to zajęcie. Był współwłaścicielem kancelarii adwokackiej specjalizującej się w apelacjach. Spędzał w pracy wszystkie soboty i większość niedziel. Było całkiem normalne, że jadł z nami obiad raz czy dwa razy w tygodniu, a przez resztę czasu pracował. Przywykłam do telefonu dzwoniącego późno wieczorem lub wczesnym rano, do cichego szumu drzwi garażu, otwierających się i zamykających o czwartej nad ranem, kiedy tata jechał wcześniej do biura, ponieważ był czyjąś ostatnią nadzieją na drugą szansę.

– Co robisz? – zapytałam po kilku minutach, podczas których pisał coś w milczeniu.

– Streszczenie sprawy sądowej – odparł, podnosząc na mnie wzrok. – Pracuję nad tym już od kilku tygodni. Skończyłbym wcześniej, ale... – urwał w pół zdania, a ja wiedziałam, co ma na myśli. Kilka tygodni temu – dokładnie trzy tygodnie temu – dowiedzieliśmy się, co mu jest, a to sprawiło, że wszystko inne zeszło na dalszy plan.

– Myślałam, że streszczenie powinno się robić szybko – powiedziałam, starając się trochę poprawić mu humor. Tata nagroził mnie uśmiechem.

– Dobrze – powiedział z aprobatą. Uwielbiał zabawę słowami, nawet jeśli inni reagowali na to jękami rozpacz, a ja byłam jedyną osobą, która to znosiła, a nawet próbowała sama coś wymyślać. – Po prostu... – popatrzył na monitor i potrząsnął głową. – Po prostu chciałbym to zrobić dobrze. To chyba będzie moja ostatnia sprawa.

Pokiwałam głową, patrząc na zadrapania na drewnianym blacie i nie mając pojęcia, jak mam zareagować. Wszyscy wiedzieliśmy, co się dzieje z moim tatą, ale nie rozmawialiśmy właściwie

O tym od moich urodzin, więc nie wiedziałam, co powinnam powiedzieć.

– No dobrze, wracam do roboty – powiedział tata ciszej i po dłuższej chwili. Znowu zaczął coś pisać, a chociaż zamierzałam pójść rozpakowywać swoje rzeczy, nagle poczułam, że nie mogę tak po prostu

zostawić go, żeby pracował w samotności nad swoją ostatnią sprawą. Siedziałam koło niego w ciszy przerywanej tylko stukotem klawiatury, aż w końcu usłyszeliśmy chrzęst opon na żwirze i głos matki, wołającej nas na obiad.

Łazienka była za mała.

To stało się jasne jak słońce, kiedy wszyscy zaczęliśmy się szykować do pójścia spać – Warren nazywał to „wieczornymi ablucjami” – mniej więcej o tej samej porze.

– Nie zostawiliście dla mnie miejsca – stwierdziłam, przepychając się koło Gelsey, która rozpaczliwie powoli myła zęby, i zaglądając do apteczki. W środku zobaczyłam soczewki kontaktowe i przybory toaletowe Warrena, pudełko na aparat ortodontyczny Gelsey i jej pomadki ochronne, a także zdecydowanie więcej tubek pasty do zębów, niż wynikałoby z logicznych wyliczeń.

– Powinnaś zajrzeć tu wcześniej – powiedział Warren od drzwi, dodatkowo zajmując i tak za małą przestrzeń. – Możesz się pospieszyć? – zapytał Gelsey, która uśmiechnęła się do niego z ustami pełnymi pasty i zaczęła czyścić zęby jeszcze wolniej. Gdybym tego nie zobaczyła, nie uwierzyłabym, że to możliwe.

– Nie wiedziałam, że muszę sobie rezerwować miejsce w szafce – warknęłam, przesuwając jego pudełka ze

szkłami kontaktowymi na bok i starając się zrobić trochę miejsca na mój tonik i płyn do demakijażu.

Gelsey wreszcie skończyła myć zęby, wypłukała szczoteczkę i starannie odłożyła ją na stojak.

– Możesz trzymać swoje rzeczy pod prysznicem – stwierdziła, wzruszając ramionami i odsuwając pasiastą zieloną zasłonę prysznicową, która wisiała tu od zawsze. – Myślę, że tu się znajdzie trochę... – urwała gwałtownie i wrzasnęła.

Sekundę później zobaczyłam dlaczego – w kącie wanny siedział ogromny pająk. Przypominał kosarza, a ja w sumie już dawno temu dowiedziałam się na jakiejś wycieczce przyrodniczej, że kosarze są całkowicie nieszkodliwe. Ale to nie znaczyło, że miałam ochotę oglądać pająka wielkości mojej głowy, łączącego po naszej wannie. Cofnęłam się o krok i wpadłam na Warrena, który także starał się jak najszybciej odsunąć.

– Tato – pisnęła Gelsey, uciekając z łazienki.

Kiedy chwilę później pojawił się ojciec w towarzystwie mamy, czekaliśmy przy drzwiach, a ja nie odrywałam spojrzenia od pająka na wypadek, gdyby postanowił się rzucić do uciezki.

– Pająk – oznajmił Warren, wskazując wannę. – Z rodziny *Pholcidae*.

Tata skinął głową i wszedł do łazienki.

– Zabijesz go? – zapytała Gelsey, która chowała się na

wszelki wypadek za mamą. Uznałam, że to odrobinę zbyt melodramatyczne.

– Nie – odparł tata. – Potrzebuję kartki papieru i szklanki.

– Już przynoszę. – Warren oddalił się pospiesznie i wrócił z jednym z moich czasopism oraz szklanką. Podał je przez próg tacie, a potem wszyscy wycofaliśmy się trochę. Nie chodziło tylko o naszą arachnofobię, po prostu ojciec zajął niemal całe miejsce w małej łazience. Dostał się do college’u ze stypendium sportowym i grał jako wspomagający w drużynie futbolowej, a teraz nadal był potężny, mimo że ostatnio trochę schudł – wysoki, barczysty, z donośnym głosem, wyszkolonym przez lata przemawiania na sali sądowej.

Chwilę później tata wyłonił się zza zasłony prysznicowej, trzymając szklankę przyciśniętą do czasopisma. Pająk biegał nerwowo po twarzy gwiazdki, której zdjęcie zdobiło okładkę. Tata skrzywił się, prostując, a matka natychmiast zabrała mu czasopismo i podała je mnie.

– Taylor, możesz go wypuścić na zewnątrz? – Podeszła krok bliżej do ojca i zapytała ciszej: – Robin, wszystko w porządku?

Pełne imię taty brzmiało Robin, ale wszyscy mówili do niego Rob. Wersję „Robin” słyszałam tylko wtedy, kiedy mama była zła albo zmartwiona, albo kiedy dziadek

przyjeżdżał z wizytą.

Wciąż się krzywił, a ja doszłam do wniosku, że nie jestem w stanie patrzeć na to, czego nigdy dotąd nie widziałam – tatę okazującego, że coś go boli. Trzymając czasopismo i uwięzionego pajaka, odwróciłam się, zadowolona, że mam jakąś wymówkę, żeby stąd pójść.

Wysłałam przez frontowe drzwi i zesłałam na podjazd, gdzie podniosłam szklankę. Spodziewałam się, że pajak od razu ucieknie, ale siedział jak skamieniały na napisie *10porad, jak być piękną w te wakacje*.

– Rusz się – powiedziałam, potrząsając magazynem, aż w końcu zrozumiał, o co mi chodzi, i uciekł pospiesznie. Strzepnęłam jeszcze raz okładkę i miałam właśnie wracać, ale wspomnienie twarzy mojego ojca sprawiło, że zostawiłam czasopismo razem ze szklanką na werandzie i poszłam podjazdem w stronę ulicy.

Byłam boso, więc krzywiłam się przy każdym kroku, przypominającym mi, jak dawno temu potrafiłam chodzić po czymś takim bez butów – czyli jak dawno temu byłam tutaj poprzednim razem. W połowie drogi do szosy minęłam nasz śmietnik, ciężką drewnianą konstrukcją, zrobioną w taki sposób, żeby uniemożliwić niedźwiedziom włamanie się do środka. Musiałam się zatrzymać i dać stopom trochę odpocząć, ale przy okazji zauważyłam świetliki, które zaczęły rozbłyskiwać w trawie. Potem prawie doskakałam do końca podjazdu

i wyszłam na gładki chodnik.

Poczułam, że wbrew mojej woli coś mnie ciągnie do domu obok. Światła z okien, które – jak już wiedziałam – należały do rodziny Henry’ego – kładły się kwadratowymi plamami na ich podjeździe. Popatrzyłam na jasne okna, zastanawiając się, czy Henry jest w domu, a jeśli tak, to który pokój należy do niego, a potem uświadomiłam sobie, że zachowuję się absurdalnie. Odwróciłam głowę i dopiero teraz zauważyłam, że obok domu stoi rozstawiony namiot. Kiedy na niego patrzyłam, w środku zapaliło się światło, a na jego tle wyraźnie odcinała się sylwetka lokatora, kimkolwiek był. Szybko odwróciłam się i zrobiłam kilka kroków, ociągając się, jakbym wyszła po prostu popatrzeć na gwiazdy.

Uznałam, że w sumie to jest całkiem niezły pomysł – na niebie wisiał ogromny księżyc, zalewając ulicę strugami blasku. Odchyliłam głowę i zaczęłam wypatrywać gwiazd.

Uwielbiałam je od małego, a dziadek, oficer marynarki, przysłał mi kiedyś książkę o gwiazdozbiorach. Nie nauczyłam się nigdy ich rozpoznawać, ale zapamiętałam sporo historii, takich jak ta o kochankach zesłanych na przeciwne końce wszechświata albo o bogini ukaranej za próżność i zawieszanej do góry nogami. Jeśli tylko noc była dostatecznie pogodna, patrzyłam w niebo i szukałam kształtów, starając się zrozumieć, co sprawiło, że dawno temu ludzie układali opowieści o tym, co widzą. W Lake

Phoenix gwiazdy zawsze były lepiej widoczne, a dzisiaj objęły w posiadanie całe niebo. Patrzyłam na nie, aż – chyba po raz pierwszy tego dnia – poczułam, że jestem w stanie normalnie oddychać. A może to był pierwszy raz od trzech tygodni?

Naprawdę nie wiedziałam, jak uda mi się przetrwać te wakacje. Minęło dopiero kilka godzin, a ja już miałam wrażenie, że nie dam sobie z tym rady. Zupełnie jakbyśmy wszyscy udawali, że nic specjalnego się nie dzieje. Nie rozmawialiśmy nawet o tym, z jakiego powodu wszyscy tutaj wylądowaliśmy. Zamiast tego przez cały obiad słuchaliśmy, jak Warren opowiada nam ze szczegółami o wynalezieniu pizzy.

Skręciłam, żeby wrócić do domu, i zatrzymałam się w pół kroku. Na skraju podjazdu, tam gdzie żwir dochodził do chodnika, siedział ten sam pies, którego widziałam po południu. Popatrzyłam na ulicę, żeby sprawdzić, czy nie zbliża się właściciel, niosący smycz i plastikową torebkę. Ulice w Lake Phoenix były na tyle bezpieczne, a ruch zazwyczaj na tyle niewielki, że ludzie wyprowadzali swoje psy bez smyczy. Znałam tylko jeden przypadek, kiedy to się okazało problemem – kiedy Morrisonowie pewnego wieczora poszli na spacer ze swoim wrednym pudlem i spotkali niedźwiedzia, bez wątplenia szukającego śmietnika do obrabowania. Pan i pani Morrison pospiesznie się wycofali, ale ich pudel

uznał chyba niedźwiedzia za coś w rodzaju dużego psa i przydreptał bliżej, żeby się przywitać. Na szczęście w porę się zorientował, że to nie najlepszy pomysł, i uciekł cały i zdrowy, ale potem widziałam zawsze, że Morrisonowie prowadzą go na smyczy – w dodatku bardzo krótkiej.

Ale dzisiaj wieczorem ulica była pusta, żaden zapóźniony spacerowicz nie szukał swojego odrobinę łamiącego przepisy czworonoga. Zrobiłam jeszcze krok, a pies nie wstał, nie poruszył się ani nawet nie zeszytniał. Zaczął tylko szybciej machać ogonem, jakby to właśnie na mnie czekał. Jego wypłowiata obroża miała kolor niebieski, co zapewne oznaczało, że mam do czynienia z osobnikiem płci męskiej, a na przyczepionym do niej identyfikatorze coś było napisane. Najwyraźniej miał dom, po prostu postanowił do niego nie wracać. Chwilowo potrafiłam go doskonale zrozumieć.

Niezależnie od tego, skąd się wziął ten pies, musiał gdzieś mieszkać – na pewno nie na naszym podjeździe. Obeszłam go i skierowałam się do domu, zakładając, że powinien sobie sam poradzić. Zrobiłam zaledwie kilka kroków, kiedy usłyszałam za sobą ciche brzęczenie, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że pies idzie za mną. Zatrzymał się i usiadł pospiesznie, jakbym dzięki temu miała nie zauważyć, że ruszył się z miejsca. Miałam wrażenie, że biorę udział w jakiejś dziwacznej wersji gry

w Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy, więc wskazałam mu ulicę.

– Nie – powiedziałam tak stanowczo, jak potrafiłam, starając się przypomnieć sobie porady z *Grzecznego psa*.
– Idź sobie.

Opuścił jedno ucho, przekrzywił głowę i popatrzył na mnie z czymś, co wyglądało prawie jak nadzieja, a jego ogon dalej bębnił o ziemię. Nie ruszył się z miejsca.

Kiedy przyjrzałam się mu z bliska, zauważyłam, że jest dość zaniedbany, a w jego sierści widać kołtuny. Uznałam, że nie ma w tym nic dziwnego – gdyby właściciele naprawdę o niego dbali, raczej nie pozwalaliby mu się tak włóczyć samopas po nocy.

– Idź sobie – powtórzyłam, jeszcze bardziej stanowczo.
– Już.

Utrzymałam z nim kontakt wzrokowy, tak jak to zalecano zawsze w programie. Pies patrzył na mnie przez chwilę, a potem opadło mu drugie ucho i wyglądał, jakby westchnął. Wstał jednak, co niewiele zmieniło w kwestii jego wysokości, ponieważ łapy miał odrobinę za krótkie w stosunku do reszty ciała. Rzucił mi jeszcze jedno przeciągłe spojrzenie, więc postarałam się nie okazać ani odrobiny wahania. Po kolejnej chwili odwrócił się i powędrował powoli w stronę ulicy.

Kiedy doszedł do końca żwirowej drogi, zatrzymał się na moment, skręcił w lewo i poszedł przed siebie.

Chociaż zamierzałam zaraz wracać do domu, patrzyłam, jak robi się coraz mniejszy i mniejszy, a brzęczenie kółka przy jego obroży cichnie, aż w końcu zniknął mi z oczu za zakrętem.

Rozdział szósty

Następnego dnia obudziłam się gwałtownie, zamrugałam i rozejrzałam się po pokoju, przez moment nie pamiętając, gdzie jestem. Potem moje spojrzenie padło na siedzącego na komodzie pingwina i wszystkie wspomnienia wróciły. Jęknęłam i przewróciłam się na drugi bok, ale chociaż zamknęłam oczy, wiedziałam, że nie uda mi się już zasnąć.

Usiadłam i zmrużyłam oczy w blasku słońca, wpadającym przez okno. Najwyraźniej dzień miał być prześliczny, chociaż w moim odczuciu to niewiele zmieniało. Wstałam z łóżka, popatrzyłam jeszcze raz na pingwina, a potem wepchnęłam go na najwyższą półkę w szafie i zamknęłam drzwi, żeby przestał być pierwszą rzeczą, jaką będę rano widziała po przebudzeniu.

Wyszłam na korytarz, związując po drodze włosy w koński ogon, i zauważyłam, że w domu jest niesamowicie cicho. Popatrzyłam na zegarek mikrofalówki w kuchni i zrozumiałam, dlaczego – była dopiero ósma. Jeszcze całkiem niedawno ojciec o takiej porze byłby od dawna na nogach. Zdążyłby już zaparzyć sobie dzbanek kawy i odpowiadałby właśnie na poranne

e-maile, zajęty już swoją pracą. Pusty ekspres do kawy wystarczył, żeby mi przypomnieć, ile się zmieniło. Że normalność, której powrotu podświadomie oczekiwałam, jest już nie do odzyskania. Mogłam sama zaparzyć kawę, ale nie miałam pojęcia, jak to się robi – to od zawsze należało do taty, podobnie jak pamiętanie ważnych informacji.

Nie miałam ochoty siedzieć samotnie w cichym domu, więc wyszłam na zewnątrz. Dawniej poszłabym na pomost, ale po wczorajszym spotkaniu z Henrym nie byłam pewna, czy kiedykolwiek jeszcze tam zajrzę. Zamiast tego założyłam klapki i przesłam podjazdem, dochodząc do wniosku, że może kiedy wrócę ze spaceru, reszta rodziny zdąży się już obudzić, a wtedy będziemy mogli...

Zatrzymałam się w pół kroku, uświadamiając sobie, że nie wiem, jak zakończyć to zdanie. Nie miałam pojęcia, co mam zamiar robić przez te wakacje, nie licząc obserwowania, jak znany mi dotąd świat się kończy. Ta myśl wystarczyła, żebym przyspieszyła, jakbym mogła jakimś cudem zostawić to za sobą, razem z domem i pustym ekspresem do kawy.

Celowo skręciłam i skierowałam się w przeciwną stronę niż dom Henry'ego, po raz pierwszy zauważając, że po drugiej stronie także mamy nowych sąsiadów. Na podjeździe stała Toyota Prius, a na nieznannej mi tablicy był napis SKRÓT DO LATA.

Nasza ulica, Dockside Terrace, była pusta o tak wczesnej porze, jeśli nie liczyć zaspanego faceta z tryskającym energią golden retrieverem. Po drodze przyglądałam się tablicom przed domami i przypomiinałam sobie, ile z nich widziałam wcześniej. Niemal wszystkie domy w Lake Phoenix miały nazwy, nie numery, ale nasz stanowił wyjątek, ponieważ nie potrafiliśmy się zdecydować na żadną nazwę. Dawniej w każde wakacje przeprowadzaliśmy głosowanie, ale ostatecznie nic nam nie pasowało.

Po jakichś dwudziestu minutach spaceru uznałam, że czas wracać. Temperatura rosła, pojawiało się też coraz więcej osób z psami lub uprawiających jogging, które machały do mnie radośnie, a ja uświadamiałam sobie coraz dobitniej, że wyglądam, jakbym dopiero co zwlekła się z wyrka, i że nie mam na sobie nawet stanika. Miałam właśnie zawrócić, kiedy zobaczyłam przecinkę w lesie ciągnącym się wzdłuż drogi. Nie potrafiłam sobie przypomnieć szczegółów, ale byłam całkiem pewna, że znajdę tam ścieżkę prowadzącą niemal prosto do mojego domu.

Zatrzymałam się na skraju lasu, a potem weszłam w przecinkę i natychmiast poczułam się, jakbym wkraczała w inny świat. Było tu ciszej i ciemniej, słońce docierało do podszycia wąskimi snopami, zatrzymując się na koronach drzew. Nie byłam w lesie od lat, ale kiedy

weszłam na ścieżkę, wszystko to wydało mi się znajome – kropelki rosy na mchu, zapach sosen, gałązki i liście chrzęszczące pod moimi stopami. To było takie samo uczucie, jak tamto towarzyszące wejściu do domu – świadomość, że nawet jeśli opuścisz jakieś miejsce, to nie znaczy, że ono zniknie. Idąc przed siebie, zrozumiałam ze zdumieniem, że tęskniłam za tym.

Po pół godziny wszystkie moje ciepłe uczucia względem lasu zdążyły wyparować. Zgubiłam ścieżkę, po której szłam wcześniej, miałam nogi podrapane przez gałęzie, na mojej szyi ucztowały komary i wolałam się nawet nie zastanawiać, jak wyglądają moje włosy. Przede wszystkim jednak byłam wściekła na siebie i lekko zaskoczona tym, że udało mi się zgubić tak blisko domu.

Nie miałam ze sobą komórki, która dzięki wbudowanemu kompasowi, nie wspominając o GPS-ie, bardzo by mi się teraz przydała. Nie widziałam żadnych domów, niczego, co pozwoliłoby mi ustalić, gdzie się znalazłam, ale jeszcze nie zaczęłam wpadać w panikę. Na razie miałam nadal nadzieję, że jeśli tylko znajdę swoją ścieżkę, będę mogła cofnąć się nią do ulicy. Nie zależało mi już na skrótach, chciałam tylko wrócić do domu.

Gdzieś w pewnej odległości usłyszałam ptasie krakanie, a potem ktoś mu odpowiedział – ale marnie je naśladowując, to na pewno nie był inny ptak. Chwilę później krakanie rozległo się powtórnie, tym razem nieco lepsze,

a ja szybkim krokiem ruszyłam w kierunku, z którego dobiegał ten dźwięk. Jeśli w lesie byli jacyś obserwatorzy ptaków, to znaczyło, że może będą mogli pokazać mi drogę do ulicy i może nie zgubiłam się tak do końca.

Znalazłam ich szybko, w czym pomogły mi powtarzane próby naśladowania ptasich głosów. Dwóch chłopaków, jeden wysoki, drugi mniej więcej wzrostu Gelsey, wpatrywało się w jakieś drzewo, stojąc plecami do mnie.

– Cześć! – zawołałam. Nie obchodziło mnie już, że zrobię z siebie idiotkę, chciałam tylko wrócić do domu, zjeść śniadanie i posmarować bąble po komarach maścią z kalaminem. – Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale...

– Cśśśś! – rzucił głośnym szeptem wyższy, nie odrywając wzroku od drzewa. – Próbujemy zaobserwować. – Obejrzał się i urwał gwałtownie. To był Henry, wyglądający na równie zaskoczonego, jak ja się czułam.

Znowu poczułam, że opada mi szczęka, więc pospiesznie zamknęłam usta. Nie miałam cienia wątpliwości, że się rumienię, a nie byłam jeszcze dość opalona, żeby to ukryć.

– Cześć – mruknęłam, zaplatając ramiona ciasno na piersiach i zastanawiając się, jak to jest, że za każdym razem, kiedy go widzę, wyglądam jeszcze gorzej niż poprzednio.

– Co ty tu robisz? – zapytał, nadal głośnym szeptem.

– A co, nie wolno mi nawet wchodzić do lasu? – zapytałam zdecydowanie głośniej, więc dzieciak koło Henry’ego także się obejrzał.

– Cśś! – powiedział z lornetką przytkniętą do oczu. Kiedy ją opuścił, uświadomiłam sobie ze zdumieniem, że to młodszy brat Henry’ego, Davy, ledwie podobny do siedmiolatka, którego zapamiętałam. Teraz wyglądał prawie tak, jak Henry w jego wieku – poza tym, że był bardzo opalony jak na sam początek lata i z jakiegoś powodu nosił mokasyny. – Tropimy łuszczyka indygowego.

– Davy, zachowuj się grzeczniej. – Henry szturchnął go w plecy, a potem znowu spojrział na mnie. – Pamiętasz Taylor Edwards, prawda?

– Taylor? – zapytał Davy, otwierając szeroko oczy i patrząc na Henry’ego z przerażeniem. – Serio?

– Hej – powiedziałam, pomachałam mu i natychmiast z powrotem zaplotłam ramiona.

– Co ona tu robi? – zapytał Davy scenicznym szeptem.

– Potem ci powiem – odparł Henry, marszcząc brwi.

– Ale dlaczego z nią rozmawiasz? – nie ustępował Davy, nie zwracając już sobie głowy szeptaniem.

– Tak czy inaczej – odezwałam się głośniej – czy moglibyście...

Z drzewa, w które wpatrywali się bracia Crosby,

rozległ się trzepot skrzydeł i dwa ptaki – jeden brązowy, a drugi szafirowy – wzbiły się w powietrze. Davy złapał lornetkę, ale nawet ja wiedziałam, że jest już za późno – zdążyły zniknąć nam z oczu. Jego ramiona opadły, wypuścił lornetkę, która zawisała mu na szyi.

– Wrócimy tu jutro, okej? – powiedział cicho Henry, kładąc rękę na ramieniu brata. Davy tylko wzruszył ramionami, wpatrując się w ziemię. – Musimy już iść. – Henry spojrzał na mnie, ledwie dostrzegalnie skinął głową i odwrócił się.

– Yyy – zaczęłam, wiedząc, że lepiej będzie się przyznać do wszystkiego niż deptać im po piętach w lesie, z nadzieją, że doprowadzą mnie do domu. A jeśli jeszcze nie wracali i okazałoby się, że idę za nimi, podczas gdy oni tropią jakiegoś innego ptaka? – Idziecie do domu? Bo troszeczkę pomieszałam kierunki, więc jeśli tak... – urwałam, ponieważ na twarzy Henry'ego odbiło się jednocześnie niedowierzanie i irytacja.

Westchnął ciężko i pochylił się, żeby naradzić się z Davym.

– Spotkamy się w domu, dobrze? – zapytał. Davy skrzywił się pod moim adresem, a potem pobiegł i zniknął wśród drzew.

– Czy on się tu nie zgubi? – zapytałam. Nic na to nie wskazywało, ale kiedy ja weszłam do lasu, też myślałam, że się nie zgubię.

Henry z jakiegoś powodu uznał chyba, że to bardzo zabawne.

– Davy zna ten las jak własną kieszeń – wyjaśnił, unosząc kącik ust w tłumionym uśmiechu. – Pobiegł na skróty, nie mam pojęcia, jak znajduje drogę. Ja nigdy tamtędy nie szedłem, ale on potrafi dotrzeć do domu znacznie szybciej niż ja. – W tym momencie chyba sobie przypomniał, z kim rozmawia. Jego uśmiech zbladł, i na jego twarz powrócił wyraz irytacji. – Chodźmy – powiedział krótko i skierował się w zupełnie inną stronę, niż szłam wcześniej.

Przez kilka minut wędrowaliśmy przez las w milczeniu, a Henry nie patrzył na mnie, tylko prosto przed siebie. Odliczałam minuty do chwili, kiedy znajdę się w domu i będzie już po wszystkim.

– Dziękuję – powiedziałam w końcu, nie mogąc wytrzymać dłużej ciszy.

– Nie ma za co – odparł Henry, nadal na mnie nie patrząc.

– Ja tylko... – zaczęłam, nie do końca pewna, co zamierzam powiedzieć, ale z poczuciem, że powinnam udzielić jakichś wyjaśnień. – Nie chciałam, żeby tak wyszło. Starłam się tylko znaleźć drogę do domu.

– Nic nie szkodzi – powiedział Henry odrobinę mniej szorstkim tonem. – Ostatecznie idziemy w tę samą stronę. A poza tym... – popatrzył prosto na mnie z cieniem

uśmiechu. – Mówiłem ci, że nie da się tego uniknąć.

Miałam mu właśnie odpowiedzieć, kiedy zobaczyłam, że drogę tarasują nam dwa ogromne zwalone drzewa, porośnięte już mchem. Wokół leżały potrzaskane kawałki desek różnych rozmiarów.

– Co to jest? – zapytałam. Przewrócone drzewa i sterczące deski piętrzyły się jak ogromna przeszkoda, w najwyższym miejscu sięgając mi prawie do pasa.

– W zeszłym miesiącu była burza – wyjaśnił Henry, obchodząc rumowisko. – Na drzewie był zrobiony domek i rozleciał się przy upadku.

To wyjaśniało deski ze sterczącymi z nich gdzieś gwoździami. Ruszyłam za nim, kiedy nagle wróciło do mnie wspomnienie z taką siłą, że zatrzymałam się w miejscu. – A twój ciągle jeszcze jest? – zapytałam i w następnej sekundzie uświadomiłam sobie, że Henry nie mieszka już w swoim dawnym domu. – Chodzi mi o to, czy ten domek na drzewie dalej tam jest?

Domek na drzewie, który Henry zbudował razem ze swoim tatą, ogłosiliśmy zgodnie strefą zakazu wstępu dla młodszego rodzeństwa i spędzaliśmy w nim całe godziny, szczególnie kiedy padało i nie dało się cały dzień siedzieć nad jeziorem.

– Dalej tam jest – potwierdził Henry. – O ile dobrze pamiętam. Wydaje mi się, że da się go zobaczyć z ulicy.

– Cieszę się – powiedziałam, dopiero w tym momencie

uświadamiając sobie, że mówię to szczerze.

– Tak, ja też – potwierdził Henry.

Popatrzyłam na zwalone drzewa, obchodząc je ostrożnie, nadal lekko zaskoczona, że widzę je na ziemi zamiast na swoich miejscach. Wydawało się zupełnie głupie, że coś tak wielkiego i pozornie niezmiennego może zostać przewrócone przez jakiś tam wiatr i deszcz.

Henry ruszył już dalej przed siebie, więc żeby go szybciej dogonić, zaczęłam przelazić przez leżące pnie. Byłam prawie przy czubku drzewa, tam, gdzie było najcieńsze, więc uznałam, że to nie powinno się okazać za trudne.

– Auć – mruknęłam cicho, kiedy kolejna gałąź zadrapała mnie w nogę.

Henry obejrzał się, mrużąc oczy.

– Co ty robisz? – zapytał, podchodząc bliżej.

– Nic – odparłam, słysząc irytację we własnym głosie, chociaż wiedziałam, że nie zasłużył sobie na to. Pomagał mi przecież wydostać się z lasu, a ja w tym momencie starałam się tylko pospieszyć, żeby nie musiał na mnie czekać.

– Nie idź tędy – powiedział z równą irytacją w głosie. – Drewno jest już zbutwiałe, więc...

Pień, na którym stałam, zapadł się z trzaskiem, a ja poleciałam do przodu, szykując się na nieunikniony upadek, kiedy Henry tak po prostu zdążył mnie złapać.

– Wybacz – wysapałam, czując, jak mocno wali moje serce, pompując do całego ciała adrenalinę.

– Uważaj – rzucił, kiedy złąziłam z pnia. – Davy w ten sposób skręcił sobie nogę w zeszłym miesiącu.

– Dzięki. – Oparłam się na nim, przenosząc część ciężaru ciała i wyciągając stopę z drzewnej miazgi. Staralam się nie zastanawiać nad tym, jakie paskudne pełzające stwory mogą mieszkać w przegniłym pniu. Dopiero kiedy znowu stanęłam pewnie na ziemi, uświadomiłam sobie, że Henry dalej mnie przytrzymuje i że czuję ciepło jego dłoni na plecach przez cienki materiał T-shirtu. Podniosłam głowę – nadal wydawało mi się dziwne, że muszę to robić, żeby na niego spojrzeć – i zobaczyłam, jak blisko jesteśmy. Nasze twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów, a Henry chyba zorientował się w tym samym momencie, ponieważ natychmiast opuścił ręce i cofnął się o kilka kroków.

– Nic sobie nie zrobiłaś? – zapytał szorstkim, rzeczowym tonem.

– Nic – zapewniłam go. Zajęłam się starannie mokrymi liśćmi, które przykleiły mi się do kostek, głównie po to, żeby nie zauważył, jak bardzo jestem zdenerwowana.

– To dobrze – stwierdził. Ruszył dalej, a ja starannie stawiałam stopy w tych samych miejscach, co on, żeby uniknąć kolejnego wypadku. Wydawało mi się, że dosłownie chwilę później wyszliśmy z lasu; zamrugalam,

oślepią słońcem, i zobaczyłam, że od domu dzielią mnie zaledwie dwie przecznice.

– Trafisz stąd? – zapytał Henry.

– Oczywiście – odparłam, lekko dotknięta.

Henry tylko potrząsnął głową i po raz pierwszy odkąd się znowu spotkaliśmy uśmiechnął się naprawdę.

– Wiesz, nie masz najlepszego na świecie wycucia kierunku – stwierdził. Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale nie dał mi dojść do słowa. – Po prostu musiałem cię wyprowadzić z lasu. – Przez chwilę patrzył na mnie spokojnie i dodał: – To przecież nie było po raz pierwszy. – Odwrócił się i odszedł, zostawiając mnie zastanawiającą się nad tym, co powiedział i o co mu chodziło.

Chwilę później, kiedy zniknął mi już z oczu, olśniło mnie. Po raz pierwszy spotkaliśmy się właśnie w tym lesie. Kiedy szłam do domu i osłaniałam oczy przed słońcem, które po leśnym półmroku wydawało mi się strasznie jasne, uświadomiłam sobie, że tak bardzo pograżałam się w myślach o tym, jak skończyła się moja znajomość z Henrym, że prawie zapomniałam, jak się ona zaczęła.

– Taylor, gdzieś ty była? – zapytała matka, kiedy weszłam do domu. Otworzyła szeroko oczy na widok moich podrapanych nóg. Próbowałam po cichu przemknąć się do pokoju z nadzieją, że wszyscy jeszcze śpią, ale nie

miałam szczęścia. Mama rozpakowywała hurtowe ilości papierowych toreb z POCO Mart, najbardziej przypominającego supermarket sklepu w Lake Phoenix. Do większych supermarketów trzeba było jechać ponad pół godziny samochodem.

– Poszłam na spacer – odparłam wymijająco i rozejrzałam się po kuchni, nie patrząc jej w oczy. Zobaczyłam, że ekspres do kawy dalej jest pusty – mama piła wyłącznie herbatę – co oznaczało, że dwie godziny po moim wyjściu ojciec nadal jeszcze spał.

– Spotkałam w sklepie Paula Crosby’ego – powiedziała mama, mając na myśli tatę Henry’ego. Poczulałam, że robi mi się gorąco, ale podziękowałam losowi, że spotkała go, zanim jego synowie mieli okazję opowiedzieć mu, jak zgubiłam się w lesie.

– Przy nabiale. Powiedział mi, że teraz mieszkają obok nas.

– Proszę, kto by pomyślał – powiedziałam. Czulałam, że policzki robią mi się coraz ciemniejsze, więc otworzyłam lodówkę i wsadziłam do niej głowę, udając, że szukam tam czegoś niezwykle ważnego.

– Powinnaś wpaść i przywitać się z Henrym – ciągnęła moja matka, podczas kiedy ja skoncentrowałam się na ustawianiu kartonów z mlekiem datą ważności do przodu.

Trudno jest w nieskończoność stać z głową w lodówce, a ja poczułam, że mam tego dość. W dodatku zaczęło mi

być zimno w uszy.

– Mhm – powiedziałam, zamykając drzwi i opierając się o nie.

– A ja chyba powinnam się przywitać z Ellen – stwierdziła mama z wyraźnym brakiem entuzjazmu, któremu się nie dziwiłam. Matka Henry’ego sprawiała wrażenie osoby, która nie przepada za dziećmi, chyba że są cicho i nie płaczą się pod nogami. Do mojego domu zawsze wpadaliśmy biegiem, czasem nie przerywając bitwy na wodne pistolety, ale przed drzwiami Henry’ego natychmiast się uspokajaliśmy i cichliśmy – nie musieliśmy sobie nawet o tym przypominać. To nie był dom, w którym robiło się namioty z koców. A chociaż moja matka nie powiedziała nigdy niczego wprost, miałam wrażenie, że w gruncie rzeczy nie przepada za panią Crosby.

Wyciągnęłam jabłko ze stojącej na blacie torby, a matka wyjęła mi je z ręki, umyła szybko, wytarła i oddała z powrotem.

– Ty i Henry byliście bliskimi przyjaciółmi – zauważyła.

Popatrzyłam przez okno kuchni na dom Crosbych, głównie po to, żeby matka nie zobaczyła mojego wyrazu twarzy.

– Chyba tak – odparłam. – Ale mammo, to było dawno temu.

Zacząła składać torby, w czym mogłabym jej pomóc, ale tylko oparłam się o blat i zaczęłam jeść jabłko.

– Dzwoniłaś już do Lucy? – zapytała matka.

Ugryzłam energicznie jabłko, zastanawiając się, dlaczego jej się wydaje, że zawsze wie, co jest dla mnie najlepsze. Dlaczego nie zapytała mnie na przykład, czy nie miałabym ochoty zadzwonić do Lucy? Bo, tak przy okazji, absolutnie nie miałam na to ochoty.

– Nie – powiedziałam, starając się powstrzymać od przewrócenia oczami. – I chyba nie zamierzam.

Rzuciła mi spojrzenie mówiące jasno, że jej zdaniem popełniam błąd, a potem odłożyła papierowe torby tam, gdzie je zawsze przechowywała, czyli pod zlew.

– Powinnaś utrzymywać kontakt z przyjaciółmi z dzieciństwa. Znają cię lepiej niż ktokolwiek inny.

Po porannym spotkaniu z Henrym nie byłam przekonana, czy rzeczywiście powinnam. Patrzyłam, jak matka podchodzi do lodówki, niosąc wakacyjny kalendarz. Stowarzyszenie Przyjaciół Lake Phoenix wydawało go co roku i w każde wakacje, jakie potrafiłam sobie przypomnieć, taki kalendarz wisiał na naszej lodówce. Miał kształt wydłużonego prostokąta, tak żeby było widać jednocześnie wszystkie trzy letnie miesiące, ozdobione po bokach zdjęciami roześmianych dzieci na żaglówkach, zakochanych par wypoczywających nad jeziorem i starszych państwa podziwiających wschód

słońca. Mama przyczepiła go do lodówki niedobranymi magnesami, które mieliśmy od zawsze, a ja nagle poczułam się wdzięczna losowi, że rodzina Murpnych nie zabrała także i ich. Pochyliłam się, żeby popatrzeć na puste pola reprezentujące kolejne letnie dni, które na nas czekały.

Ten kalendarz zawsze – szczególnie na początku lata – pokazywał mi, ile czasu zostało do końca wakacji. W dawnych latach miałam wrażenie, że lato ciągnie się bez końca, więc w sierpniu byłam już na tyle nasycona piankami z grilla, lodami i bąblami po komarach, że zaczynałam niecierpliwie wyczekiwać jesieni – chłodniejszej pogody, rajstop, Halloween i Gwiazdki.

Kiedy teraz patrzyłam na ten kalendarz i dokonywałam w głowie obliczeń, nagłe uczucie paniki sprawiło, że zaczęłam mieć trudności z oddychaniem. W moje urodziny, trzy tygodnie temu, lekarze powiedzieli tacie, że ma jeszcze cztery miesiące. Może więcej... A może mniej. Trzy tygodnie z tych miesięcy już minęły. To oznaczało... Wpatrywałam się w kalendarz tak uporczywie, że zaczął mi się rozmazywać przed oczami. Była połowa maja, więc mieliśmy jeszcze resztę tego miesiąca i cały czerwiec, a potem cały lipiec. Ale co będzie potem? Popatrzyłam na sierpień, ozdobiony zdjęciem starszej pary, trzymającej się za ręce i oglądającej wschód słońca nad jeziorem. Uświadomiłam sobie, że nie wiem, co się wtedy wydarzy,

jak będzie wyglądał mój świat. O ile tata będzie jeszcze żył.

– Taylor? – zapytała mama. – Wszystko w porządku?

Nic nie było w porządku i zwykle właśnie w takim momencie wyszłabym z domu – wsiadła do samochodu i pojechała dokądś, poszła na długi spacer, zrobiła cokolwiek, byle uniknąć zmierzenia się z problemem. Tego dnia nauczyłam się jednak, że wychodzenie z domu na pewno mi w niczym nie pomoże – a jeśli już, to tylko pogorszy moją sytuację.

– W porządku – warknęłam, chociaż jakaś cząstka mnie wiedziała, że mama nie zasługuje na takie traktowanie. Chciałam jednak, żeby potrafiła się domyślić, co mi jest, nawet nie pytając. No i naprawdę chciałam, żeby zrobiła to, czego nie zrobiła teraz, kiedy mi na tym najbardziej zależało – żeby coś na to poradziła. Ale nie mogła nic na to poradzić, więc wyrzuciłam nadgryzione jabłko i wyszłam z kuchni.

Łazienka była jakimś cudem pusta, więc wzięłam długi gorący prysznic, zmywając brud z zadrapań na nogach i nie ruszając się stamtąd, dopóki nie zużyłam całej ciepłej wody z naszej małej termy.

Kiedy wróciłam do kuchni, powitał mnie zapach kawy. Ekspres bulgotał i syczał, a jego dzbanek był już w połowie napełniony. Zobaczyłam, że tata siedzi na werandzie z laptopem i parującym kubkiem w rękę,

śmiejąc się z czegoś, co powiedziała mama. Choć wiedziałam, co mówi kalendarz na lodówce, to wszystko przestało mieć sens w chwili, kiedy tata siedział na słońcu i wyglądał na całkiem zdrowego, chyba że się wiedziało, jak jest naprawdę. Podeszłam do drzwi werandy, oparłam się o futrynę, a tata obejrzał się na mnie.

– Cześć, mała – powiedział. – Co tam słyszeć? – Zanim zdążyłam przecisnąć jakieś słowa przez gulę tworzącą mi się w gardle, popatrzył na jezioro i uśmiechnął się. – Prześliczna jest dzisiaj pogoda, prawda?

Metamorfoza

Rozdział siódmy

Przemiana” na jedenaście liter. – Spojrzałam na krzyżówkę w „Pocono Record” i postukałam ołówkiem w puste kwadraciki przy dziewiętnaście poziomo. Starając się skoncentrować, popatrzyłam przez okno werandy na jezioro. Nie pasjonowałam się rozwiązywaniem krzyżówek, ale coraz bardziej desperacko szukałam sobie jakiejś rozrywki. Po pięciu dniach w Lake Phoenix umierałam z nudów. A najgorsze w tym wszystkim było, że – w odróżnieniu od innych rodzinnych wyjazdów albo występów baletowych Gelsey – nie mogłam się nikomu poskarżyć na nudę ze świadomością, że zostanę zrozumiana. Nie miałam się dobrze bawić w te wakacje. To nie miała być przyjemność. Ale to nie zmieniało faktu, że naprawdę potwornie się nudziłam i zaczynałam dostawać ataków klaustrofobii od siedzenia w domu.

Usłyszałam dobrze znajomy chrzęst opon ciężarówki FedE-xu na naszym podjeździe, więc zerwałam się, żeby odebrać codzienną przesyłkę, po to tylko, żeby mieć coś do roboty. Kiedy wyszłam na zewnątrz, zobaczyłam, że tata trzyma już białe pudełko i kiwa głową kierowcy, który

po kilku dniach zaczął mi się wydawać dobrze znajomy.

– W tym rejonie mam pracę tylko dzięki panu – powiedział kierowca, zdejmując ciemne okulary. – Praktycznie tylko dla pana są tu jakieś dostawy.

– Nie wątpię. – Tata otworzył pudełko.

– Przy okazji, czy mogliby państwo trzymać swojego psa uwiązanego? – poprosił kierowca, wsiadając do furgonetki. – Dzisiaj mało go nie rozjechałem. – Uruchomił silnik i wycofał się podjazdem, a potem wcisnął klakson, wyjeżdżając na ulicę.

Tata spojrzał na mnie, unosząc brwi.

– Jakiego psa?

– O Boże – powiedziałam, przechyliłam się przez balustradę werandy i oczywiście zobaczyłam znajomego psa kręcącego się przy naszym podejździe. – Poszedł! – krzyknęłam na niego.

– Wynoś się stąd!

Pies popatrzył na mnie, a potem podreptał do ulicy i zniknął nam z oczu, chociaż miałam przecucie, że nie na długo.

– To ten pies – wyjaśniłam, kiedy brzęczenie kółka przy obroży cichło w oddali. – Wydaje mu się, że tu mieszka.

– Aha – odparł tata, nadal lekko zaskoczony. Widziałam, że moje wyjaśnienie nie na wiele się przydało. Podeszedł do werandy i wszedł po schodach, opierając się trochę na poręczu. – No cóż, dopilnuj tylko,

żeby twój brat go nie zobaczył.

– Jasne – obiecałam i poszłam za tatą na tylną werandę, gdzie wyjął z pudełka gruby plik papierów z powtykanymi w nie kolorowymi karteczkami. Jak dotąd codziennie dostawał ze swojej firmy podobne przesyłki, najwidoczniej mające związek ze sprawą, nad którą pracował. Kiedy go zapytałam, czy firma nie mogłaby mu przysłać tych dokumentów e-mailem, zamiast codziennie wysyłać ciężarówkę FedExu w góry Pensylwanii, wyjaśnił mi, że to kwestia bezpieczeństwa.

Opadłam na krzesło naprzeciwko niego i westchnęłam, przez cały czas pamiętając o tym, że nie jestem w stanie zrobić jedynej rzeczy, o jaką poprosił nas tata – czyli przestać kręcić się po domu.

Po pierwszym pełnym dniu w Lake Phoenix stało się całkowicie jasne, że Warren, Gelsey i ja nie mamy pojęcia, co ze sobą zrobić. Dlatego też spędziliśmy pierwsze dwa dni, po prostu chodząc za tatą z kąta w kąt, na wypadek gdyby chciał poodnawiać z nami relacje rodzinne. Pod koniec drugiego dnia siedzieliśmy wszyscy przy stole na werandzie, podczas gdy nasz ojciec pracował. Gelsey miała ze sobą zniszczony egzemplarz autobiografii primabaleriny Suzanne Farrell, ja wzięłam czasopismo, pozbawione już zbrukanej przez pająka okładki, a Warren otworzył podręcznik. W zasadzie czytaliśmy, tyle że, ile razy tata podnosił głowę znad

roboty, my także podnosiliśmy głowy, a Warren uśmiechał się sztucznie. Czekaliśmy na jakąś wskazówkę, coś, co podpowie nam, jak powinniśmy się zachowywać, ale stawało się jasne, że „chwile spędzane z rodziną” to fraza używana nie bez powodu. Z definicji nie oznaczało to spędzania razem absolutnie całego czasu.

Dawniej w czasie wakacji nie siedzieliśmy w domu, chyba że padało. Zgodnie ze swoją nazwą Lake Phoenix było miejscowością letniskową nad jeziorem, więc jezioro – wraz z plażą nad nim – stanowiło tu główną atrakcję. Był jeszcze basen ze zjeżdżalnią, na którym spędzałam sporo czasu, kiedy byłam mała, a także kort tenisowy i pole golfowe. Wszystko razem przypominało dziwną mieszankę prywatnego klubu i obozu, tylko nie aż tak bardzo elegancką. Nie było tu należących do milionerów willi i posiadłości, ale trzeba było wykupić kartę członkowską, żeby chodzić na plażę i na basen. A ponieważ Lake Phoenix było takie małe i tak oddalone od świata, było też niezwykle bezpieczne, a ja mogłam chodzić, gdzie chciałam, odkąd skończyłam jakieś siedem lat. Po okolicy jeździł busik dla dzieciaków, kursujący od Centrum Rekreacyjnego do plaży i basenu, ale ja rzadko z niego korzystałam. Zazwyczaj jeździłam wszędzie na rowerze.

Kiedy dawniej tu przyjeżdżaliśmy, matka spędzała czas na plaży lub grając w tenisa, ojciec pracował na

werandzie albo grał w golfa, a nasza trójka albo chodziła na lekcje golfa i tenisa, do których zmuszali nas rodzice, albo siedziała na plaży lub na basenie. Wracaliśmy do domu na obiad, który jedliśmy razem na werandzie, odrobinę bardziej opaleni niż tego samego dnia rano. Nigdy nie siedzieliśmy w domu przez cały dzień, kiedy na zewnątrz świeciło piękne słońce.

– Dość tego – oznajmił tata, kiedy podniósł głowę i zobaczył, że na niego patrzymy, a Warren wciąż się uśmiecha. – Doprowadzacie mnie do szału.

Popatrzyłam na brata, który odpowiedział mi pytającym spojrzeniem. Naprawdę nie wiedziałam, o czym tata mówi – szczególnie że bardzo się starałam nie robić niczego, co mogłoby go doprowadzać do szału.

– Yyy – powiedziałam w końcu po chwili, kiedy się okazało, że moje rodzeństwo nie zamierza się odezwać. – Co takiego robimy?

– Nic nie robicie – odparł tata z irytacją. – I na tym polega problem. Nie chcę, żebyście się na mnie gapili przez cały dzień, czuję się, jakbym był jakimś eksperymentem naukowym. Albo, co jeszcze gorsze, występował w reality show.

Zobaczyłam, że Warren otwiera usta, żeby mu odpowiedzieć, ale zamyka je zaraz z powrotem – najlepszy dowód, że żadne z nas nie zachowywało się tak jak zwykle. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby mój brat

wycofał się z dyskusji.

– Słuchajcie, doceniam to, co staracie się robić – powiedział tata trochę łagodniej. – Ale chciałbym, żeby to były zupełnie zwykłe wakacje tak długo, jak długo to będzie możliwe. Zgoda?

Pokiwałam głową, chociaż nie byłam pewna, na czym miałyby polegać „zwykłe” wakacje. W zwykłe wakacje, przynajmniej takie, jakie mieliśmy od kilku lat, nie wyjeżdżalibyśmy razem.

– No dobrze. – Gelsey usiadła prosto, a w jej brązowych oczach coś zaśniło. – To co mamy w takim razie robić?

– Co chcecie. – Tata rozłożył ręce. – Byle tylko nie wiązało się to z siedzeniem przez cały czas w domu. Są wakacje, powinniście się dobrze bawić.

Najwyraźniej taka zachęta wystarczyła mojej siostrze, bo zerwała się od stołu i wpadła do domu, podniesionym głosem pytając matkę, czy można by tu zainstalować drążek baletowy. Tata z uśmiechem odprowadził ją wzrokiem, a potem spojrzał na mnie i Warrena. Na razie nie ruszyliśmy się z miejsca.

– Mówiłem serio. – Zaczął nas odpędzać machaniem ręki. – Poza tą sprawą mam jeszcze jeden bardzo ważny projekt, nad którym muszę popracować, i będę potrzebował trochę spokoju.

– Projekt? – zainteresował się Warren. – Jaki projekt?

– A, taki jeden – odparł wymijająco tata, patrząc na trzymane papiery.

– No dobrze – powiedział Warren, a ja słyszałam, że troszeczkę za bardzo stara się, żeby jego głos brzmiał swobodnie, tak jak zawsze, kiedy czuł się urażony, ale nie chciał tego okazać. – Nie chcesz, żebyśmy spędzali czas z tobą?

– Nie o to chodzi. – Twarz ojca na moment spochmurniała. – Jasne, że chcę spędzać z wami czas, ale to się robi po prostu dziwaczne. Zajmijcie się czymś i cieszcie się wakacjami. – Warren odetchnął głęboko, zapewne zamierzając poprosić, żeby ojciec sprecyzował, co dokładnie ma na myśli. Tata chyba to wyczuł, bo mówił dalej: – Możecie robić, co chcecie, zależy mi tylko, żebyście mieli jakieś zajęcie. Znajdźcie sobie pracę. Przeczytajcie dzieła zebrane Dickensa. Nauczcie się zonglować. Wszystko mi jedno, po prostu przestańcie wisieć nade mną.

Skinęłam głową, chociaż żadna z tych propozycji nie wydawała mi się dobrym pomysłem na spędzanie wolnego czasu. Nigdy nie pracowałam, kompletnie nie interesowałam się zonglowaniem, a Dickensa praktycznie skreśliłam po pierwszym roku angielskiego w liceum. Przestałam go rozumieć już na pierwszej stronie *Opowieści o dwóch miastach*, ponieważ nie byłam w stanie pojąć, jak można nazywać jakąś epokę

jednocześnie najlepszą i najgorszą.

W odróżnieniu ode mnie, Warren i Gelsey nie mieli takich problemów ze znalezieniem sobie zajęcia. Gelsey zamierzała ćwiczyć codziennie na drążku pod okiem naszej matki, szlifując swoje techniki, żeby nie opuścić się w treningach baletowych. Mama pojechała także do Centrum Rekreacyjnego Lake Phoenix i przekonała jakoś właścicieli, żeby pozwolili Gelsey korzystać z jednej z sal – kiedy stała pusta i nie odbywały się w niej zajęcia jogi dla seniorów – i żeby mogła tam ćwiczyć kilka razy w tygodniu. Gelsey zgodziła się też pójść na kompromis z matką i pozwoliła zapisać się na lekcje tenisa. Warren rzucił się do czytania chyba wszystkich podręczników akademickich dla pierwszego roku i można go było znaleźć na werandzie lub na pomoście, jak radośnie podkreślał coś mazakiem. Wszystko po raz kolejny przypomniało mi, że moje rodzeństwo jest wyjątkowe – jak zawsze mieli co robić, mogli się zająć tym, co zawsze, rzeczami, w których chyba od urodzenia byli najlepsi. A to jak zawsze zostawiało mnie samą i daleko za nimi, podczas gdy oni wędrowali swoimi ścieżkami do sławy.

Dlatego przez ostatnich pięć dni głównie łąziłam po domu i czułam, że zawadzam. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak mały jest ten dom i jak niewiele ma miejsc, w których można by się ukryć. Ponieważ po dwóch krępujących spotkaniach z Henrym

zaczęłam unikać zarówno pomostu, jak i lasu, praktycznie przestałam wychodzić na zewnątrz, nie licząc cowieczornego wynoszenia śmieci (co z jakichś powodów stało się moim obowiązkiem) i odganiania psa, który nie zamierzał nigdzie iść. Matka powiedziała, że zajrzała do domu Henry'ego, żeby zanieść sadzonki geranium jego mamie, ale nie zastała jej, a drzwi otworzyła jej jakaś blondynka mniej więcej w moim wieku.

Bardzo starałam się o tym nie myśleć, a już na pewno nie zamierzałam dopuścić, żeby mnie to zadręczało. Co mnie w sumie obchodziło, czy Henry miał dziewczynę? Ale to w jakiś sposób sprawiało, że te dwa spotkania z nim stawały się jeszcze bardziej upokarzające, a ja starannie unikałam patrzenia na sąsiedni dom, nie pozwalając sobie na zastanawianie się, czy Henry jest w środku.

Kiedy teraz siedziałam przy stole i patrzyłam, jak tata przegląda swoje papiery, ogarnęło mnie uczucie klaustrofobii, które ostatnio coraz bardziej się nasilało. Czułam, że muszę wyjść na zewnątrz, ale nie miałam kompletnie dokąd pójść.

– Jak ci idzie? – zapytał tata, a ja zorientowałam się, że próbuje przeczytać moją krzyżówkę do góry nogami.

– Utknęłam na tym – powiedziałam, stukając palcem puste kratki. – „Przemiana” na jedenaście liter.

– Hmmm – powiedział, odchylił się na krześle, zmarszczył brwi i potrząsnął głową. – Nie mam pojęcia, ale może później sobie przypomnę. W razie czego ci podpowiem. – Odsunął się od stołu i wstał. – Mam kilka spraw do załatwienia w mieście. Chcesz się ze mną przejechać?

– Jasne – zgodziłam się bez namysłu. To był zdecydowanie ciekawszy pomysł niż bezcelowe surfowanie po Internecie, którym zajmowałam się ostatnio przez całe popołudnia, ponieważ deptanie ojcu po piętach przestało być akceptowanym sposobem spędzania czasu. Weszłam do domu po buty.

Kiedy wróciłam, tata stał przy drzwiach auta od strony kierowcy i podrzucał kluczyki w rękę. Podeszłam bliżej, czując żwir pod cienkimi podeszwami kłapek, i zatrzymałam się przed maską samochodu.

– Wszystko zabrałaś? – zapytał ojciec.

– Wszystko – odparłam powoli, poprawiając płócienną torbę na ramieniu. Nie potrafiłam zapomnieć o buteleczkach z lekami na blacie w kuchni. Nie miałam pojęcia, na co były ani jakie miały efekty uboczne. O ile wiedziałam, tata nie siedział za kierownicą od tamtego dnia, kiedy wyjeżdżaliśmy, a on znalazł mnie i zabrał na rogaliki. – Chcesz, żebym poprowadziła? – zaproponowałam, uświadamiając sobie, że nie wiem, jak powinnam sformułować pytanie, które naprawdę chciałam

zadać. Ojciec machnął ręką i otworzył drzwi samochodu. – To znaczy... – zaczęłam, czując, że serce bije mi szybciej. Nie miałam absolutnie żadnego doświadczenia w krytykowaniu mojego ojca czy choćby podważaniu jego oceny sytuacji. – Czy możesz prowadzić? – zapytałam, żeby jak najszybciej to z siebie wyrzucić.

Pytanie zawisło w powietrzu, a kiedy ojciec spojrzał na mnie ponad maską, wyraz jego twarzy dał mi jasno do zrozumienia, że posunęłam się za daleko.

– Mogę – odparł trochę szorstko. Otworzył drzwi od strony kierowcy, a ja obeszłam samochód, czując, że zaczyna mnie piec twarz.

Przez kilka minut jechaliśmy w ciszy, aż w końcu postanowiłam się odezwać.

– To co masz do załatwienia? – sama słyszałam, że mój głos jest nienaturalnie pogodny, zupełnie jakby należał do kogoś innego. Tak prawdopodobnie przejawiał się mój odpowiednik sztucznego uśmiechu Warrena.

– No cóż... – Tata zerknął na mnie, a potem zatrzymał się pod znakiem stopu. – Wiedziałam, że darował mi już wcześniejsze pytanie i też chce o nim zapomnieć. – Twoja matka zamówiła na dzisiejszy obiad kukurydzę w kolbach. Muszę też odebrać pocztę. No i... – umilkł na moment, patrząc na drogę. – Pomyślałem, że może będziesz chciała zajrzeć do ratusza i zapytać o jakąś pracę.

– Aha, pracę – powiedziałam. Wyglądałam przez okno,

czując zalewającą mnie falę zawstydzenia. Tata zauważył, że w odróżnieniu od Warrena i Gelsey nie mam żadnych talentów, których rozwijaniem mogłabym wypełnić swój czas. Niestety nie miałam także żadnego doświadczenia z pracą – większość wakacji spędziłam na działalności wolontariackiej, kursach językowych oraz obozach, na których musiałam robić sekcje różnym stworzeniom.

– Oczywiście nie zmuszam cię do niczego – dodał tata, kiedy zbliżaliśmy się do głównej ulicy Lake Phoenix, nazywanej oczywiście Main Street. – To tylko luźna propozycja.

Skinęłam głową, a kiedy tata skręcił w Main Street i zaparkował, zastanowiłam się nad jego słowami. Wiedziałam, że nie mogę po prostu siedzieć beczynn timerze domu i, szczerze mówiąc, nie miałam zbyt wielkiego pola manewru.

– Dobra – powiedziałam, zarzuciłam torbę na ramię i wysiadłam z samochodu. Zamykając drzwi, popatrzyłam na budynek ratusza, w którym mieściły się wszystkie urzędy Lake Phoenix. – Spróbuję.

Ojciec uśmiechnął się do mnie.

– Dzielna dziewczynka – powiedział. Odwzajemniłam uśmiech, ale od razu poczułam przyływ paniki. Pragnęłam zatrzymać tę chwilę, zmusić ją do pozostania w miejscu, zatopić ją w bursztynie. Ale kiedy o tym pomyślałam, tata już odwrócił się i ruszył przed siebie ulicą.

– Spotkamy się za pół godziny? – zaproponował.

Spojrzałam na zegarek. W domu prawie nigdy go nie nosiłam, ponieważ zawsze miałam przy sobie telefon, ale pomijając kilka pozbawionych przekonania SMS-ów, wymienionych z luźnymi znajomymi, do których zwróciłam się z powodu skrajnego osamotnienia, moja komórka milczała przez cały czas. A ponieważ nie potrzebowałam stałych dowodów na to, że nikt do mnie nie dzwoni, nie przeszkadzało mi, że zostawiam ją w pokoju. To jednak oznaczało, że musiałam nosić przy sobie coś, co pokazywałoby mi czas.

– Za pół godziny, jasne – potwierdziłam. Tata skinął głową i skierował się do sklepu warzywnego Hensona, bez wątplenia w celu zdobycia kukurydzy dla matki.

Odwróciłam się i poszłam w stronę ratusza, żałując, że tego dnia nie doprowadziłam się trochę bardziej do porządku. Miałam na sobie to, co po zaledwie kilku dniach stało się de facto moim letnim uniformem – dzinsowe szorty i koszulkę na ramiączkach. Obawiałam się, że taki strój w połączeniu z informacją, że nigdy wcześniej nie pracowałam, może poważnie obniżyć moje szanse na znalezienie zatrudnienia. Ale kiedy stanęłam przed obłożonym drewnem budynkiem z wymalowanym na oknie symbolem Lake Phoenix (feniks wznoszący się z jeziora ze skrzydłami ociekającymi wodą, na tle wstającego – a może zachodzącego – słońca), uświadomiłam sobie, że

naprawdę nie mam innego wyboru, jak tylko spróbować. Wprostowałam się i popchnęłam drzwi.

Kwadrans później miałam już pracę. Wyszłam na słońce, mrużąc oczy, zanim zdążyłam założyć z powrotem ciemne okulary. Czułam się trochę oszołomiona. Dostałam trzy białe T-shirty z logo Lake Phoenix (których koszt miał zostać potrą – cony z mojej pierwszej wypłaty), książeczkę pracownika oraz polecenie zgłoszenia się do pracy na plaży za trzy dni. Jillian, kobieta zajmująca się pośrednictwem pracy, powtórzyła mi kilka razy, przeglądając moje zgłoszenie i szukając w komputerze ofert, że przychodzę zdecydowanie za późno, żebym mogła się spodziewać dobrej propozycji – albo, tak właściwie – jakiegokolwiek propozycji.

Biura w ratuszu były większe, niż się spodziewałam – rzadko tu bywałam, jeśli nie liczyć przypadków, kiedy przyjeżdżaliśmy na niedzielny brunch, a Warren i ja musieliśmy siedzieć grzecznie całymi godzinami (a przynajmniej tak nam się wydawało), zanim udało nam się dostać pozwolenie, żeby pobiec na plażę. W końcu znalazłam biuro zatrudnienia, które znajdowało nastolatkom wakacyjne prace w okolicy Lake Phoenix – w charakterze ratowników, instruktorów na kursie jogi dla seniorów albo w barze przy plaży lub na basenie. Większość znajomych dzieciaków zaczynała pracować

dorywczó – na początek zajmując stanowiska najniższe w hierarchii, zazwyczaj związane z czyszczeniem toalet – mniej więcej w wieku czternastu lat, a z upływem czasu dostawały coraz lepsze propozycje. Gdybym przyjeżdżała do Lake Phoenix w każde wakacje, prawdopodobnie już kilka lat temu znalazłabym pierwszą pracę, ale tymczasem pole „doświadczenie zawodowe” w moim zgłoszeniu było zawstydzająco puste.

Jillian zdołała mi jednak znaleźć zajęcie – szukano kogoś do pracy na plaży. Opis stanowiska był bardzo ogólnikowy, co trochę mnie zaniepokoiło, ale Jillian stwierdziła, że skoro nie mam zrobionego kursu ratowniczego i nie umiem za dobrze żeglować, będę najprawdopodobniej pracować w barze. Ponieważ nie wspominała o tym, żeby w zakresie obowiązków znajdowało się czyszczenie toalet, zgodziłam się. Podałam informacje bankowe, wypełniłam formularz podatkowy i przesłałam od braku wakacyjnych planów do odkrycia, że zatrudnienie wiąże się ze służbowymi T-shirtami.

Stojąc w upale wczesnego popołudnia na Main Street uświadomiłam sobie, że mam jeszcze trochę czasu do zabicia, zanim wróci tata. Zajrzałam do maleńkiej biblioteki, odnowiłam swoją kartę i wypożyczyłam trzy kryminały. Kusilo mnie, żeby zostać tam na dłużej i porozkoszować się klimatyzacją, ale chciałam też skorzystać z okazji i przejść się po Main Street.

Dzielnica handlowa w Lake Phoenix była niewielka i obejmowała tylko tę jedną ulicę. Nie mieliśmy nawet kina – żeby pójść na film, trzeba było jechać dwadzieścia minut do sąsiedniego miasteczka, Mountainview, w którym znajdowało się połączenie kina, salonu gier i pola do minigolfa. Wybieraliśmy się tam, ile razy padało. W Lake Phoenix były tylko jedno światła, stacja benzynowa i kilka sklepów. Wśród nich znajdowała się Pyszna Pizza, a obok niej warzywniak Hensona. Była jeszcze lodziarnia Sweet Baby Jane, w której Gelsey zamawiała zawsze koktajl truskawkowy, sklep ze sprzętem komputerowym, Café Pocono, które wszyscy zawsze nazywali „restauracją”, oraz sklep Daj Mi Znak, specjalizujący się w wykonywaniu na zamówienie tablic na domy.

Idąc wzdłuż ulicy, zauważałam od razu nowe sklepy za każdym razem, kiedy jakiś nie pasował mi do tego, czego się spodziewałam – chociaż jednocześnie nie potrafiłam sobie przypomnieć, co tam było wcześniej. Na pewno nowością był salon piękności dla psów połączony ze sklepem zoologicznym, noszący nazwę Na Psa Urok – był zupełnie pusty, tylko za ladą ruda dziewczyna przeglądała jakieś czasopismo. Doszłam prawie do końca Main Street, kiedy stanęłam przed innym nowym sklepem, nazywającym się Czas Chrupania. To była najwyraźniej piekarnia i cukiernia – w jednym oknie piętrzyły się wystawione bochenki chleba, a w drugim stał prześliczny

tort. Na ich widok zaburczało mi w brzuchu, a kiedy starałam się zajrzeć ponad ciastem do wnętrza sklepu, usłyszałam, że ktoś za mną odchrząknął. Obejrzałam się i zobaczyłam poirytowanego starszego pana w za dużej czapeczce baseballowej i z nieprzyjemnym wyrazem twarzy.

– Wchodzisz? – warknął, kiwając głową w stronę drzwi, które – jak dopiero teraz zauważyłam – zatarasowałam.

– A, proszę – powiedziałam i otworzyłam drzwi, przytrzymując je przed starszym panem, który mruknął coś pod nosem, wchodząc do środka. Miałam właśnie zamknąć drzwi i wrócić do miejsca, w którym umówiłam się z tatą, kiedy ciekawość wzięła we mnie górę. Poza tym ze środka poczułam chłód klimatyzacji i cudowny zapach świeżego pieczywa oraz maślanego lukru. Weszłam do środka, a drzwi zamknęły się za mną.

W piekarni było chłodno, a ja potrzebowałam chwili, żeby mój wzrok przyzwyczał się do ciemniejszego wnętrza po jaskrawym słońcu ulicy. Stopniowo zaczęłam widzieć dwa małe drewniane stoliki z krzesłami, stojące pod oknem, a także oszkloną ladę biegnącą niemal przez całą szerokość sklepu. Wystawiano w niej ciasta i ciastka, a na regałach za ladą leżało pieczywo, którego zapach poczułam na ulicy. Znowu zaburczało mi w brzuchu i zaczęłam się zastanawiać, czy nie kupić sobie

jakiejś przekąski przed lunchem.

Za ladą nie było nikogo, co najwyraźniej oburzyło starszego pana, który raz za razem uderzał hałaśliwie w srebrny dzwonek, narzekając na marną obsługę. Podeszłam krok bliżej, żeby przyjrzeć się czemuś, co wyglądało jak ciasto kawowe z malinami, i zauważyłam na szklanej ladzie dzisiejsze wydanie „Poconos Record” złożone z krzyżówką na wierzchu, a także ołówek obok. Zrobiłam jeszcze krok, żeby zobaczyć, czy ktoś miał więcej szczęścia ode mnie w przypadku dziewiętnaście poziomo, ale kiedy się pochylałam, starszy pan jeszcze raz z całej siły uderzył w dzwonek, a z zaplecza rozległ się głos:

– Chwileczkę! Zaraz idę.

– Ładne mi zaraz – mruknął starszy pan, patrząc na mnie w poszukiwaniu aprobaty. Ale ja zastygłam w bezruchu, rozpoznając ten głos. Popatrzyłam na drzwi i zastanowiłam się, czy uda mi się uciec, zanim zostanę zauważona. Doszłam do wniosku, że miałabym szansę, ale w tym momencie otworzyły się metalowe drzwi na zaplecze i wyszedł przez nie Henry.

Rozdział ósmy

Henry po prostu gapił się na mnie, a ja patrzyłam w jego zielone oczy i starałam się stłumić gwałtowną chęć wybuchnięcia histerycznym śmiechem, ponieważ wszystko wskazywało na to, że nie mogę zrobić ani kroku w Lake Phoenix, żeby na niego nie wpaść. Starszy pan popatrzył na nas, znowu zmarszczył brwi i jeszcze raz uderzył w dzwonek.

To wyrwało Henry'ego z odrętwienia.

– Przepraszam – powiedział szybko, podczas kiedy starszy pan odchrząknął z niezadowoleniem. – Czym mogę służyć?

– Czekam tu godzinami – burknął klient. Teraz, kiedy pojawił się ktoś, kto mógł go obsłużyć, wolał marnować czas na narzekanie niż na zakupy.

– Przepraszam – powtórzył Henry dokładnie takim samym tonem, jak poprzednio, a ja poczułam, że zaczynam się uśmiechać. Żeby to ukryć, pochyliłam się i popatrzyłam na ladę, gdzie leżały rzędy małych ciasteczek z lukrem, rurek cannolo i ciasteczek czekoladowych, ale tylko część uwagi poświęcałam (trzeba przyznać, że apetycznym) słodkościom. Kątem oka

obserwowałam, jak Henry kiwa głową, słuchając narzekań starszego pana. Miał na sobie dzinsy i jasnozielony T-shirt z czarnym logo Czasu Chrupania z przodu, a także plamę mąki na ramieniu. Zaskoczyło mnie, że tu pracuje, choć to było absurdalne uczucie, ponieważ teraz niczego o nim nie wiedziałam. Ale kiedy znałam go wcześniej – a poranne spotkanie w lesie potwierdziło to – Henry najlepiej czuł się na dworze. W rzadkich chwilach w ciągu ostatnich kilku lat, kiedy moje myśli wracały do Lake Phoenix i osób, które tam zostawiłam, zawsze sobie wyobrażałam, że Henry jest na jakiejś wycieczce.

Brzęknięcie kasy sprowadziło mnie na ziemię, a Henry podał starszemu panu resztę i postawił na ladzie zielone pudełko.

– Dziękuję panu – powiedział, nadal wypranym z emocji głosem profesjonalisty. – Życzę miłego dnia.

– Ta, jasne – burknął starszy pan, zabrał pudełko i wyszedł ze sklepu. Dopiero kiedy odwróciłam się znowu do lady, uświadomiłam sobie, że zostaliśmy z Henrym sami.

Popatrzyłam na niego, a potem na siebie, po raz drugi tego dnia żałując, że nie odstawiłam się odrobinę bardziej, ale zaraz odsunęłam tę myśl. Henry widział mnie już wyglądającą, jakbym właśnie wstała z łóżka, a także podrapaną w lesie. Poza tym wszystko wskazywało na to,

że chodzi z jakąś blondynką. Co mnie w ogóle nie interesowało.

– Dobra. – Henry potrząsnął głową. – Chyba powinniśmy przestać tak na siebie wpadać.

– Pracujesz tutaj? – zapytałam i natychmiast skłębłam się w duchu za głupotę. Jasne, że tutaj pracował, inaczej nie stałby tutaj za ladą i nie obsługiwał nerwowych fanów baseballa. – Chciałam powiedzieć – poprawiłam się, starając się, żeby to nie brzmiało jak pytanie – że to tutaj pracujesz.

– Owszem – odparł Henry. Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu, co oznaczało, że moja próba zamaskowania wcześniejszej wpadki spełzła na niczym. – To piekarnia mojego taty.

– Aha – powiedziałam, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia. O ile pamiętałam, ojciec Henry’ego był, tak samo jak mój, jednym z licznych ojców w garniturach, wysiadających w piątek wieczorem z autobusu z aktówką w ręku. Rozejrzałam się po piekarni, bezskutecznie próbując połączyć te dwa obrazy. – Ale wydawało mi się, że on pracował w banku? – zauważyłam.

– Pracował – odparł krótko Henry, a ja natychmiast pożałowałam swojego pytania. Jego ojciec prawdopodobnie stracił pracę, a Henry nie marzył o tym, żebym mu o tym przypominała. – Mówi, że generalna zasada jest taka sama – dodał po chwili nieco

łagodniejszym tonem. – Trzeba tylko pilnować, żeby wszystko ładnie rosło.

Jęknęłam, słysząc ten żart – bardzo w stylu mojego ojca – a Henry obdarzył mnie cieniem uśmiechu.

Zapadła cisza, aż w końcu Henry wepchnął ręce w kieszenie i odchrząknął.

– No dobrze, czym mogę służyć? – zapytał, znowu bezosobowo i profesjonalnie.

– A prawda – odpowiedziałam szybko, uświadamiając sobie, że jestem klientką i że nie powinnam być tak zaskoczona, że sprzedawca chce wiedzieć, co zamierzam kupić. – No... – Zobaczyłam tacę pełną babeczek z lukrem w pastelowych barwach i natychmiast odwróciłam od nich spojrzenie. Za bardzo przypominały mi o urodzinach, byle jakim przyjęciu i wiadomościach o moim tacie. Szukając czegokolwiek innego, postukałam w szkło lady przed czymś obok. – Tuzin tych poproszę.

– Kiedy się przyjrzałam, zobaczyłam, że miałam pecha pokazać mu owsiane ciasteczka z rodzynekami. Nienawidziłam płatków owsianych w dowolnej postaci, szczególnie kiedy ktoś próbował przemycić je jako deser, Gelsey nie brała do ust rodzynek, a reszta rodziny także nie przepadała za takimi ciastkami. Poprosiłam właśnie o coś, czego najprawdopodobniej nikt w naszym domu nie zamierzał jeść.

– Serio. – To nie było pytanie, a Henry uniósł tylko

brwi. – Płatki owsiane?

Popatrzyłam na niego – to niemożliwe, żeby Henry po pięciu latach pamiętał, że nie znoszę ciasteczek z płatków owsianych. To nie wchodziło w grę.

– Tak, płatki owsiane – odparłam powoli. – A bo co?

– A nic – powiedział, wziął z regału za sobą kolejne zielone pudełko i zaczął do niego wkładać ciasteczka. – Wydawało mi się, że ich nie lubisz.

– Zadziwiające, że to pamiętasz – stwierdziłam, obserwując, jak pudełko napełnia się Najpaskudniejszymi Ciastkami Świata.

– Tata nazywa mnie słoniem. – Ponieważ popatrzyłam na niego, nie wiedząc, jak powinnam zareagować, wyjaśnił: – Mówi się, że mają świetną pamięć. – Sięgnął na przód tacy, żeby zabrać ostatnie dwa ciasteczka. – Niewiele rzeczy zapominam – dodał cicho.

Miałam właśnie skinąć głową, kiedy dotarło do mnie podwójne znaczenie jego słów. Skoro Henry nie zapomniał, jakich ciasteczek nie lubiłam pięć lat temu, nie zapomniał także tego, co wtedy zrobiłam.

Włożył wszystkie ciasteczka owsiane do pudełka, wyprostował się i popatrzył na mnie.

– Mamy tylko jedenaście – powiedział. – Mogę dołożyć jedno z czekoladą?

– Tak! – odparłam, zapewne odrobinę za szybko. Wydawało mi się, że zauważyłam jego uśmiech, kiedy

pochylił się, żeby dołożyć do pudełka samotne czekoladowe ciasteczko, a potem zamknął pokrywkę i postawił pudełko na ladzie. Policzył mi należność, a ja zauważyłam, że wydając resztę, trzymał banknoty za końce i upuścił bilon na moją rękę, jakby starał się uniknąć przypadkowego kontaktu.

– Dobra – powiedziałam, uświadamiając sobie, że pozostaje mi tylko zabrać pudełko i wyjść. – Dzięki.

– Nie ma za co – odparł. Popatrzył na mnie i lekko zmarszczył brwi. – Co to za koszulka? – zapytał, wskazując moją płócienną torbę, z której wystawał jeden z nowych firmowych T-shirtów.

– A, to. – Wepchnęłam go głębiej do środka. – Właśnie dostałam pracę w barze na plaży.

– Serio? – zapytał, autentycznie zaskoczony. Tym razem to wyraźnie było pytanie.

– Serio – odparłam trochę nieufnie, ale przypomniałam sobie, że Henry nie ma pojęcia, że to moja pierwsza praca i w związku z tym nic jeszcze nie umiem. – A bo co?

Henry zaczerpnął tchu, żeby mi odpowiedzieć, ale w tym momencie otworzyły się drzwi sklepu i weszły dwie kobiety mniej więcej w wieku mojej matki, ubrane w przypominające kaftany wdzianka plażowe i sandały.

– Nic takiego – potrząsnął głową Henry. – Nieważne.

Kobiety stały mi za plecami, zaglądając do wnętrza lady, więc zrozumiałam, że czas się pożegnać.

– Na razie – rzuciłam, biorąc zielone pudełko.

– Trzymaj się z dala od lasu – odparł z lekkim uśmiechem.

Nasze oczy na moment się spotkały, a ja zastanawiałam się, czy właśnie daje mi okazję, żebym zacisnęła zęby i przeprosiła za wszystko. Jasne, że nie mogliśmy się już przyjaźnić, ale byliśmy teraz sąsiadami, a to by sprawiło, że nasze stosunki stałyby się odrobinę mniej napięte. A przynajmniej pozwoliłoby mi zapuszczać się znowu na pomost.

– Podać coś jeszcze? – zapytał Henry, ale całkiem życzliwym głosem. Czulałam na sobie spojrzenia kobiet, czekających na moją odpowiedź. Ale ja od zawsze byłam tchórzem, to właśnie spowodowało tamtą katastrofę, a teraz nic się najwyraźniej nie zmieniło.

– Nie, dziękuję – odsunęłam się, a kobiety poprosiły o ciasto kakaowe. – To wszystko. – Odwróciłam się i wyszłam z powrotem na popołudniowe słońce.

Kiedy wróciłam na umówione miejsce, tata opierał się o samochód. Pod jego nogami stała papierowa torba z warzywniaka, a w rękę trzymał plastikową torebkę z cukierkami lukrecjowymi. Sprzedawano je w warzywniaku, a ile razy ojciec przyjeżdżał tam po coś – albo wysyłał kogoś z nas – dokładał do kupionych rzeczy jedną torebkę, zawsze z czarną lukrecją. Jego upodobania do tego konkretnego rodzaju słodczy pogłębiły się

dodatkowo, kiedy Warren poinformował go, że czerwona lukrecja tak naprawdę w ogóle nie jest robiona z lukrecji.

– Cześć, mała – uśmiechnął się do mnie, kiedy podeszłam. – Co słysząc? – Popatrzył na pudełko z piekarni i uśmiechnął się szerzej. – I co kupiłaś?

Westchnęłam i otworzyłam pudełko.

– Ciasteczka owsiane – oznajmiłam ponuro.

– Aha. – Tata zająrzył do pudełka, marszcząc brwi. – Dlaczego?

– To długa historia – odparłam, nie chcąc się przyznać do tego, że widok byłego chłopaka wytrącił mnie z równowagi. – Ale dostałam pracę. Zaczynam za trzy dni w barze na plaży.

Tata znowu się uśmiechnął, z autentycznym zadowoleniem.

– To świetnie, mała – powiedział. – Twoja pierwsza praca! To ważny krok w życiu. Pamiętam, jak... – Urwał w pół słowa i zacisnął oczy, a na jego twarzy pojawił się skurcz bólu.

– Tato? – Podeszłam krok bliżej, słysząc lęk we własnym głosie. – Tatusiu?

Twarz ojca znowu się wykrzywiła, przycisnął rękę do pleców, a cukierki lukrecjowe rozsypały się na ziemi.

– W porządku – powiedział przez zaciśnięte zęby. Nie uwierzyłam mu, nadal zaciskał oczy i widziałam na jego czole kropelki potu. – Tylko... muszę chwilę odpocząć.

– Jasne. – Ścisnęłam mocniej pudełko z piekarni i rozejrzałam się po ulicy za kimś, kto mógłby nam jakoś pomóc albo powiedzieć mi, co powinnam zrobić. Czułam, jak mocno tłucze się moje serce, żałowałam, że nie ma tu matki i że zostałam z tym sama.

– Wszystko w porządku? – Ruda dziewczyna, którą widziałam przez okno, stała teraz w drzwiach salonu Na Psa Urok, obserwując z niepokojem mojego ojca. W rękę trzymała telefon bezprzewodowy. – Chcą państwo, żebym gdzieś zadzwoniła?

– Nie – odparł mój ojciec z pewnym wysiłkiem, otworzył oczy i wyjął z tylnej kieszonki białą złożoną chusteczkę, którą szybko otarł czoło. Zawsze nosił przy sobie chusteczkę i prał ją z resztą swoich rzeczy, a kiedy naprawdę nie miałam pomysłu (albo naprawdę byłam bez grosza), dawałam mu kolejną na Dzień Ojca. Wsadził ją z powrotem do kieszeni i uśmiechnął się bez przekonania do dziewczyny. – Nic mi nie jest.

– Okej. – Dziewczyna skinęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca, nadal patrząc na mojego ojca.

Ojciec odwrócił się do mnie, a ja zauważyłam, że był znacznie bledszy niż jeszcze chwilę temu, oddychał też znacznie ciężiej.

– Nie chciałem cię nastraszyć, mała – powiedział.

Skinęłam głową i przełknęłam ślinę, nie do końca pewna, co się właśnie stało ani jak powinnam

zareagować.

– Czy... – zaczęłam i usłyszałam, że mój głos się łamie.

– To znaczy...

– W porządku – powtórzył tata, ale kiedy pochylił się po papierową torbę, zobaczyłam, że trzęsą mu się ręce. Kiedy podchodził do drzwi od strony kierowcy, kluczyki dzwoniły mu w rękę. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, podeszłam o krok bliżej i wyciągnęłam rękę. Tata popatrzył na mnie, a na jego twarzy odmalował się okropny, pełen rezygnacji smutek. Szybko odwrócił głowę.

Pozwolił mi zabrać kluczyki i bez słowa przeszedł na drugą stronę. Otwierając drzwi, zobaczyłam pod nogami rozsypane cukierki lukrecjowe i pustą torebkę, która zatrzymała się pod kołem minivana dwa miejsca dalej. Wsiadłam do samochodu i przechyliłam się, żeby otworzyć drzwi po stronie pasażera. Zauważyłam kątem oka dziewczynę, nadal stojącą w drzwiach sklepu zoologicznego. Uniosła rękę, a ja skinęłam głową, starając się nie zauważać, że wciąż jest zaniepokojona.

Tata usiadł w fotelu trochę ostrożniej niż zaledwie godzinę temu. Wrzuciłam pudełko z piekarni i swoją torbę do tyłu, a potem przysunęłam bliżej fotel – wiedziałam przecież, jak wysoki jest mój ojciec, ale nigdy nie zauważałam tego wyraźniej niż wtedy, kiedy wsiadałam za kierownicę samochodu, który on wcześniej prowadził, i okazywało się, że nie sięgam stopami do pedałów.

Uruchomiłam silnik i większość drogi do domu jechaliśmy w milczeniu, a tata patrzył w okno. Nie wiedziałam, czy dalej go coś boli, ale z jakichś powodów nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów, żeby o to zapytać. Po rozmowie w jadalni w moje urodziny bardzo niewiele rozmawialiśmy o jego chorobie, a mnie szczególnie na tym nie zależało. Widać było, że tata woli udawać, że wszystko jest tak jak zawsze – tyle sam przecież powiedział – ale w takich chwilach to wszystko, czego nie powiedzieliśmy, uniemożliwiało mi powiedzenie czegokolwiek.

– Widziałeś nazwę tego salonu dla psów? – zapytałam, kiedy nie byłam w stanie dłużej wytrzymać ciszy. Rzuciłam okiem na tatę i zobaczyłam, że kącik jego ust drgnął lekko w uśmiechu.

– Widziałem – przyznał, odwracając się do mnie. – Ktoś ma poczucie humoru pod psem.

Jęknęłam, wiedząc, że tego się spodziewa, ale poczułam także falę ulgi. Atmosfera w samochodzie stała się mniej ciężka i łatwiej mi było oddychać.

– Ciekawe, czy jakby im to powiedzieć, próbowaliby się odszczekiwać? – powiedziałam, skręcając w Dockside Terrace. Tata roześmiał się i uśmiechnął do mnie.

– Nieźle – powiedział, co było w jego ustach najwyższym komplementem, jeśli chodziło o żarty słowne.

Zaparkowałam obok samochodu matki i zgasiłam silnik, ale żadne z nas nie ruszyło się z miejsca.

– Naprawdę się cieszę, że masz tę pracę – powiedział ojciec zmęczonym głosem. – Przepraszam, jeśli to zostało przyćmione... – Umilkł na chwilę i odchrząknął. – Przez to wszystko.

Skinęłam głową i przesunęłam palcem po pękniętej skórze na kierownicy. Gdybym się postarała, pewnie udałoby mi się w tym miejscu odskubać jej kawałek.

– Słuchaj – zaczęłam niepewnie. – Czy nie powinniśmy... no wiesz... porozmawiać?

Ojciec skinął głową, chociaż lekko się skrzywił.

– Oczywiście, jeśli tylko chcesz – odparł.

Poczułam nagły przypływ złości, tak gwałtowny, jakby ktoś podpalił fajerwerki.

– Nie chodzi o to, czy chcę – rzuciłam nieprzyjemnym tonem, od razu żałując każdego słowa. – Chodzi o to, że jesteśmy tu, przyjechaliśmy tu wszyscy i nie rozmawiamy ani... – Zabrakło mi jednocześnie słów i złości, pozostało tylko nieprzyjemne uczucie gdzieś w środku. Wiedziałam, że ostatnią rzeczą, jaką powinnam robić, było podnoszenie głosu na tatę, więc zaczerpnęłam tchu, żeby go przeprosić, ale ojciec tylko skinął głową.

– Porozmawiamy – obiecał i odwrócił głowę, patrząc na werandę, jakby widział tę chwilę w przyszłości, kiedy to nastąpi.

– Powiem... wszystko to, co należy powiedzieć. – Nagle gwałtownie przełknęłam ślinę, walcząc z uczuciem, że zaraz się rozplączę. – Ale na razie, dopóki jeszcze możemy, chciałbym, żeby dla was wszystkich był to kawałek zwykłych wakacji. Zgoda? – Skinęłam głową. – Dobrze. Obrona nie ma więcej pytań.

Uśmiechnęłam się, bo tata zawsze używał zwrotów prawniczych, kiedy chciał zakończyć jakiś temat, ale nie potrafiłam odsunąć od siebie pytania, które dręczyło mnie, odkąd usłyszałam jego diagnozę, pytania, którego – jak mi się wydawało – nie będę w stanie zadać.

– Ja tylko...

Ojciec uniósł brwi, a ja zauważyłam, że już wygląda lepiej niż kilka minut temu. Gdybym nie wiedziała, gdybym tego nie zobaczyła, mogłabym udawać, że to się w ogóle nie wydarzyło, że nic mu nie jest.

– Co jest, mała?

Uśmiechnęłam się wbrew sobie, chociaż nadal czułam się, jakbym się miała zaraz rozpląkać. W ten sposób tata nazywał tylko mnie. Gelsey zawsze była „księżniczką”, a Warren „synem”. Ja zawsze byłam dla niego „mała”.

Nie byłam pewna, czy mogę zapytać o coś, nad czym się zastanawiałam, od kiedy powiedział nam o swojej chorobie. To pytanie zaprzeczało wszystkiemu, co zawsze widziałam w ojcu. To on wychodził szukać włamywaczy, kiedy matce wydawało się, że słyszy na zewnątrz jakieś

hałas, to jego wołaliśmy, napotykać pająka. To on brał mnie na barana i niósł, kiedy zmęczyłam się na spacerze. Wierzyłam, że potrafi pokonywać smoki i potwory chowające się w szafie. Ale zależało mi na tym, żeby się tego dowiedzieć, a nie byłam pewna, czy będę miała inną okazję, żeby o to zapytać.

– Boisz się? – zapytałam prawie szeptem, ale z jego twarzy odczytałam, że usłyszał mnie wyraźnie.

Nie odpowiedział, skinął tylko raz głową.

Ja także skinęłam głową.

– Ja też – powiedziałam. Uśmiechnął się do mnie smutno i jeszcze chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

Autobus nadjechał ulicą i zatrzymał się przed domem obok, tym z tabliczką Skrót do Lata. Wsiadła z niego ciemnowłosa dziewczynka w białym stroju do tenisa, wyraźnie – co widać było nawet z tej odległości – niezadowolona z życia. Poszła w stronę swojego domu, znikając za drzewami.

– To wszystko? – zapytał ojciec, kiedy dziewczynka zniknęła nam z oczu, a autobus pojechał dalej.

– To wszystko – potwierdziłam, a on wyciągnął rękę i potargał moje włosy, a potem położył mi dłoń na czubku głowy. Chociaż zwykle nie byliśmy szczególnie skłonni do serdeczności, bez namysłu przysunęłam się do niego, a on objął mnie ramieniem i przytulił. Przez chwilę siedzieliśmy nieruchomo, a potem niemal jednocześnie

odsunęliśmy się, zupełnie jakbyśmy się umówili. Wsiadłam z samochodu, otworzyłam tylne drzwi i zabrałam swoją torbę, pudełko pełne nieszczęsnych ciasteczek oraz torbę z warzywniaka, którą ojciec pozwolił mi zabrać.

Kiedy wchodziliśmy na werandę, tata opierał się o poręcz, ale nagle zatrzymał się i popatrzył na mnie z uśmiechem. Sprawiał teraz wrażenie mniej zmęczonego.

– Metamorfoza – powiedział. Zmarszczyłam brwi, próbując zrozumieć, o co mu chodzi. – „Przemiana” na jedenaście liter – wyjaśnił i uniósł brwi, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Możliwe – stwierdziłam. Zobaczyłam na stole porzuconą krzyżówkę i zapragnęłam podbiec do niej, żeby sprawdzić, czy to prawidłowa odpowiedź. – Zaraz się przekonamy.

Rozdział dziewiąty

Gelsey, jedziemy! – krzyknęłam w stronę domu. Stałam przy samochodzie, z kluczykami w ręku, od jakichś dziesięciu minut. Spojrzałam na zegarek i stwierdziłam, że naprawdę powinnam była już wyjechać. Chociaż nie miałam żadnego doświadczenia z pracą, przeczuwałam, że spóźnianie się do niej pierwszego dnia nie jest zbyt dobrze widziane. Gelsey miała tego dnia pojechać na rowerze na pierwszą lekcję tenisa, ale okazało się, że w jej rowerze (technicznie rzecz biorąc, moim starym rowerze, który był już dla mnie za mały) pękła dętka, a potem Gelsey w ogóle się załamała, więc na mnie spadł obowiązek dostarczenia jej na miejsce.

Trzasnęły drzwi i Gelsey wyszła na werandę, z matką depczącą jej po piętach. Zauważyłam, że mama zatrzymała się pod drzwiami, zupełnie jakby chciała odciąć drogę ucieczki, na wypadek gdyby Gelsey postanowiła wracać do środka.

– Wreszcie! – oznajmiłam. – Spóźnię się.

– Zdążysz – powiedziała matka, a Gelsey rzuciła mi tylko wściekłe spojrzenie, jakby to była z jakichś

powodów moja wina. Matka przyglądała jej włosy i poprawiła rękawy białej tenisowej sukienki, która należała do mnie, kiedy byłam w wieku Gelsey.

– Jesteś gotowa? – zapytała Gelsey, jakby to na mnie trzeba było tyle czasu czekać. Odsunęła się od matki i zeszła z werandy.

Ojciec, osłaniając oczy przed słońcem, wyszedł z garażu, w którym naprawiał nasze rowery, ponieważ większość z nich nie nadawała się do jazdy.

– Bawcie się dobrze w swoim pierwszym dniu! – zawołał. – A kiedy wrócicie, wszystkie rowery będą już gotowe.

– Świetnie – odparłam, starając się, żeby to zabrzmiało entuzjastycznie, i usiłując sobie przypomnieć, ile lat minęło, od kiedy ostatni raz jechałam na rowerze.

– Bawcie się dobrze i odnieście sukcesy! – zawołał tata. Odwróciłam się, żeby mu pomachać, ale on odwrócił się już do swojego warsztatu i sięgnął po pompkę, nucąc jakąś melodię i fałszując przy tym.

– Możemy już wreszcie jechać? – zapytała Gelsey tonem pełnym pogardy. Miałam ochotę odpowiedzieć jej tak samo, a może nawet dodać wykład o tym, że to jej wina, że dopiero teraz jedziemy, kiedy uświadomiłam sobie, że prawdopodobnie nie mamy na to czasu.

– Powodzenia! – zawołała matka od drzwi, uśmiechając się do mnie. Nie byłam pewna, czy ma na

myśli mój pierwszy dzień w pracy, czy odwiezienie Gelsey na miejsce w jednym kawałku, ale odpowiedziałam uśmiechem bez przekonania i wsiadłam do samochodu.

Uruchomiłam silnik, starając się nie wpadać w panikę, kiedy zobaczyłam, że mam tylko siedem minut na podwiezienie mojej siostry do Centrum Rekreacyjnego i dostanie się na plażę. Nie wspominając nawet o tym, że uzyskałam wyjątkowo nieprecyzyjne informacje od Jillian na temat tego, z kim mam tam rozmawiać. Kiedy tylko wyjechałam na ulicę i zniknęłam rodzicom z oczu, nacisnęłam mocno pedał gazu, jadąc znacznie szybciej, niż zalecały stojące wzdłuż drogi znaki KOCHAMY NASZE DZIECI. ZWOLNIJ, PROSZĘ.

Gelsey, która do tej pory ze złością patrzyła w okno, spojrzała teraz na szybkościomierz.

– Gaz do dechy? – zapytała, unosząc brwi.

– Nie musiałabym tak pędzić, gdybyś była w porę gotowa – powiedziałam, ścinając kolejny zakręt na Dockside Terrace. – Miałam już zamiar jechać bez ciebie.

– Szkoda, że tego nie zrobiłaś – odparła Gelsey i obsunęła się niżej w fotelu. Zatrzymałam się gwałtownie, tak że szarpnęło nami porządnie, a potem znowu przyspieszyłam, jadąc w stronę miejsca, które zawsze nazywaliśmy Diabelskim Siodłem. Znajdowało się ono między wysokimi wzgórzami, z których jedno

opadało stromo, a drugie równie stromo wspinało się do góry, tworząc ogromną literę U. Kiedy uczyłam się jeździć na rowerze, to miejsce było moim Waterloo, a od tamtego czasu nie zrobiło się ani odrobinę mniej strome. – Naprawdę myślałam, że mama tylko blefuje. Jak ona może mnie do tego zmuszać?

– Tenis nie jest taki straszny – rzuciłam. Zjechałyśmy ze wzgórza i wjechałyśmy na następne, a ja próbowałam sobie przypomnieć własne lekcje sprzed lat. Nigdy nie polubiłam tego sportu tak jak tata i Warren, nigdy też nie przesiadywałam w Centrum Tenisowym, ćwicząc na ścianie backhand, tak jak robiły to inne dzieciaki.

– Naprawdę – powiedziała bezbarwnym tonem Gelsey.

– Naprawdę – odparłam, przypominając sobie, że Lucy i ja spędzałyśmy niewiele czasu na grze w tenisa, za to mnóstwo na gadaniu. – Głównie gada się ze znajomym, a tenis jest na drugim planie.

– Ze znajomymi – powtórzyła Gelsey, znowu wyglądając przez okno. – Jasne.

Popatrzyłam na moją siostrę, a potem znowu na drogę i pożałowałam doboru słów. Gelsey nigdy nie nawiązywała łatwo kontaktów i o ile wiedziałam, nigdy nie miała najlepszej przyjaciółki. Zapewne po części dlatego, że do tej pory spędzała absolutnie cały czas w studiu baletowym, ale na pewno nie ułatwiała sobie specjalnie życia tym, że kiedy zaczynała się denerwować,

maskowała to wywyższaniem się albo pogardą.

– Słuchaj – zaczęłam trochę niepewnie, patrząc na nią. – Wiem, że to na początku może być trudne, ale...

– Taylor! – krzyknęła ostro Gelsey, więc spojrzałam na drogę i z całej siły wcisnęłam pedał, hamując z piskiem opon.

Dokładnie na środku drogi zobaczyłam dziewczynę na rowerze. Jechała szybko, trzymając jedną ręką kierownicę, a drugą przyciskając do ucha komórkę.

– Boże – mruknęłam, czując, jak gwałtownie przyspieszył mi puls. Popatrzyłam na drugą stronę drogi i ominęłam ją szerokim łukiem. Kiedy ją wyprzedzałyśmy, Gelsey pochyliła się i nacisnęła klakson.

– Hej! – zaprotestowałam i odepchnęłam jej rękę. Dziewczyna skręciła gwałtownie, a jej rower zachybotał się niebezpiecznie, zanim odzyskała równowagę i popatrzyła na nasz samochód. Imponująco płynnym ruchem przycisnęła komórkę ramieniem do ucha i złapała kierownicę drugą ręką, tak że tę bliżej mojego samochodu miała wolną i mogła pokazać nam wystawiony palec. Twarz zasłaniały jej ciemne włosy, ale nie było wątpliwości, co w tym momencie o nas myśli. Kiedy ją minęłyśmy, popatrzyłam na nią w lusterku wstecznym, obserwując, jak zmienia się w kropkę w fioletowym T-shircie.

– Nie rób tego – powiedziałam, skręcając na parking

przy kompleksie rekreacyjnym.

– Zajmowała całą drogę – odparła Gelsey, ale jej głos przestał brzmieć tak pewnie, kiedy zatrzymałam się pod głównym wejściem. Budynek wyglądał tak samo jak zawsze, wysoki i drewniany, z wyrzeźbionym nad drzwiami napisem Centrum Rekreacyjne Lake Phoenix. Tuż przy wejściu trzeba było pokazać pracownikowi legitymację, żeby wejść na basen i korty tenisowe.

Popatrzyłam na Gelsey i zobaczyłam, jak ściska paski płóciennej torby tak mocno, że kostki jej pobieleły. Kiedy spojrzała na mnie, zrozumiałam, że się boi. Prawdopodobnie powinnam powiedzieć coś, co doda jej otuchy i będzie pasowało do mojej roli starszej siostry, ale nie miałam pojęcia, co to by mogło być.

– Muszę już iść. – Gelsey odetchnęła głęboko i otworzyła drzwi samochodu. – Zadzwoń do mamy, żeby mnie zabrała do domu, albo wrócę pieszo, albo nie wiem.

– Okej, baw się dobrze – rzuciłam.

Gelsey przewróciła teatralnie oczami i wysiadła z samochodu, a potem ruszyła sztywno w stronę wejścia, jakby czekał na nią pluton egzekucyjny, a nie lekcja tenisa. Spojrzałam na zegarek, zakląłam i wrzuciłam wsteczny bieg. Wycofałam się z parkingu, spóźniona już pięć minut pierwszego dnia mojej pracy.

Od przyjazdu nie byłam ani razu na plaży, ale wysiadając z samochodu, stwierdziłam, że niewiele się zmieniło. Na trawie obok parkingu stały stoły piknikowe i ławy do siedzenia. Łagodne zbocze (ze schodami dla tych, którzy nie mieli ochoty turlać się po trawie, co ja uwielbiałam robić, kiedy miałam osiem lat) schodziło na piaszczystą plażę. Nie była szczególnie zatłoczona – zauważyłam tylko kilka rozłożonych ręczników i koców, okupowanych przez jakieś rodziny i osoby, które po prostu się opalały. Kilkoro ambitnych dzieciaków zajmowało się już budowaniem zamku z piasku, ale w wodzie nie było jeszcze nikogo. Zrozumiałam dlaczego, kiedy zobaczyłam, że wysokie krzeselko, stojące nad wodą, jest puste – ratownik jeszcze nie przyszedł. Na końcu plaży znajdowała się przystań i wypożyczalnia sprzętu wodnego, gdzie na drewnianych konstrukcjach czekały żaglówki, kajaki i łódki. Główną atrakcją było tu jezioro, rozciągające się tak daleko, jak sięgał wzrok. Duża pływająca drewniana platforma wraz z drabinką była zakotwiczona poza wygradzoną linami sekcją, w której powinny pozostawać dzieci, a kołyszące się żółte boje wyznaczały granicę, za którą nie powinni zapuszczać się dorośli. Jezioro ze wszystkich stron otaczał sosnowy las, porastający także trzy wysepki. Niebo nad nami było pogodne i intensywnie błękitne, z białymi strzępami chmur. Kiedy teraz patrzyłam w przeszłość, wydawało mi się, że

całe wakacje spędzałam właśnie na tej plaży. Basen nigdy mnie specjalnie nie bawił, z powodu szorstkiego betonu i zapachu chloru, ale tutaj czułam się jak w domu.

– Ty jesteś Taylor?

Odwrociłam się i zobaczyłam niskiego mężczyznę z bardzo czerwoną twarzą, chyba po czterdziestce, ubranego w koszulkę polo z logo Lake Phoenix i mrużącego oczy.

– Dzień dobry. – Podeszłam do niego pospiesznie, starając się jednocześnie przygładzić włosy i wymyślić jakąś wymówkę, dlaczego spóźniłam się pierwszego dnia do pracy. – To znaczy, tak. – Wyciągnęłam do niego rękę. Warren poprzedniego wieczora udzielił mi lekcji robienia dobrego pierwszego wrażenia i podkreślał, jak bardzo istotny jest mocny uścisk ręki. Facet zdążył się już odwrócić i schodził po schodach w stronę baru, zapraszając mnie gestem, żebym szła za nim.

– Jestem Fred Lefevre – rzucił przez ramię. – Tędy.

Bar przylegał do budynku, w którym mieściły się toalety, magazyny ze sprzętem i biura administracyjne, a Fred wszedł przez otwarte drzwi do gabinetu podpisanego Dyrektorem plaży. Zaprosił mnie do środka, ale kiedy tylko przekroczyłam próg, stanęłam jak wryta.

Wszędzie były ryby. Nie żywe, tylko wypchane i oprawione jako trofea, zajmowały niemal całe miejsce na ścianach, za biurkiem wisiał kalendarz wędkarski, zaś na

biurku stały oprawione w ramki zdjęcia Freda, trzymającego ogromne złowione okazy. Wszędzie stały pudełka z przynętą i wędki, a kiedy Fred usiadł naprzeciwko mnie za biurkiem, zauważyłam, że jest spalony słońcem, jak ktoś, kto spędza większość czasu na dworze. Odchylił się do tyłu w skrzypiącym skórzanym fotelu na kółkach i popatrzył na mnie. Natychmiast się wyprostowałam na składanym metalowym krzeselku, którego zimno czułam na nogach.

– Czyli to ty jesteś naszą spóźnioną pracownicą – powiedział.

Nie byłam pewna, czy chodzi mu o to, że zostałam późno zatrudniona, czy może miał na myśli to, że spóźniłam się dzisiaj do pracy, więc tylko skinęłam głową. Fred podniósł najbliższe zdjęcie i patrzył na nie przez chwilę, zanim znowu przeniósł swoją uwagę na mnie. Na fotografii trzymał rybę prawie dorównującą mu długością.

– Wiesz, co to jest? – zapytał. Moja wiedza o rybach ograniczała się praktycznie do tego, co można było znaleźć w menu restauracji z owocami morza, więc potrząsnęłam głową. – To jest łosoś – powiedział tęsknie. – Czyż nie jest prześliczny?

– Mhm – odparłam z największym entuzjazmem, na jaki mogłam się zdobyć.

– To było dwa lata temu – wyjaśnił, odstawiając zdjęcie, ale nie odrywając od niego wzroku. – Od tamtej

pory nie złapałem równie dużej sztuki. I właśnie dlatego tu jesteś.

Zamrugałam oczami i popatrzyłam na fotografię ogromnej, niezadowolonej ryby, jakby mogła mi w jakiś sposób pomóc.

– Przepraszam, co takiego?

– Uwielbiam wędkować – stwierdził Fred, odrywając w końcu spojrzenie od swojej zdobyczy i przenosząc je na mnie. – A czerwiec i lipiec to najlepsze miesiące, tylko że nie mogę spędzać czasu na jeziorze, jeśli muszę zarządzać tutaj wszystkim.

– Okej – powiedziałam, nadal czekając na wyjaśnienie, co ja mam z tym wspólnego.

– Dlatego poprosiłem Jillian o jeszcze jednego pracownika – ciągnął Fred. – Kogoś, kto będzie robił wszystko to, co należy zrobić! Głównie w barze, ale potrzebuję też kogoś, kto zajmie się kinem pod gwiazdami. W zeszłym roku okazało się...

– Urwał na chwilę. – Umiarkowanym sukcesem – podsumował. – Chodzi mi o to, żebym mógł stąd pójść i mieć świadomość, że wszystko będzie zrobione. Ty będziesz za to odpowiadać. Jasne?

– No cóż. – Zastanowiłam się nad tym zakresem moich obowiązków. Nie brzmiało to aż tak źle, ale nie byłam pewna, czy się do tego nadaję. – Ja tylko...

– Świetnie! – Fred wstał, najwyraźniej uznając to

spotkanie za zakończone. – Powiedzmy, że będziesz przychodzić cztery razy w tygodniu. Możesz dopasować się do pozostałych, tak żeby nie było żadnych dziur w grafiku.

Odruchowo także wstałam, ponieważ Fred wisiał nade mną i najwyraźniej chciał, żebym opuściła wytapetowany rybami gabinet.

– Ale...

– To bardzo łatwa praca, Taylor – stwierdził, obchodząc biurko i otwierając przede mną drzwi, na wypadek gdybym jeszcze nie zrozumiała aluzji, że mam już sobie iść. – Po prostu masz mi ułatwić życie. Chcę łowić ryby i nie chcę, żeby mi ktoś przeszkadzał, więc jeśli tylko tego dopilnujesz, będziesz sobie świetnie radzić. Okej?

– Okej – odpowiedziałam, robiąc krok do tyłu, a potem jeszcze jeden, kiedy zaczął zamykać drzwi. – Ale gdzie mam...

– Idź na początek do baru – odparł Fred. – Zobacz, w czym tam trzeba pomóc. Witamy w załodze! – Z tymi słowami zamknął mi drzwi przed nosem.

Rozejrzałam się, a ponieważ nie miałam innej możliwości, poszłam do baru. Zawsze wchodziłam od frontu, kiedy udało mi się zebrać dość bilonu albo znalazłam w torbie zapiaszczony banknot dolarowy, zazwyczaj po to, żeby kupić cherry coke albo lody Milky

Way do podziału z Lucy. Ale w korytarzu niedaleko drzwi do gabinetu Freda zobaczyłam drzwi z tabliczką WsTąp tylko dla pracowników baru, więc odetchnęłam głęboko i otworzyłam je z nadzieją, że spotkam kogoś, kto powie mi dokładnie, co mam robić i najlepiej powstrzyma się przy tym od opowieści wędkarskich.

Widziany od drugiej strony bar był raczej mały i ciasny. Pod jedną ścianą stał dystrybutor napojów, a także ogromna stalowa lodówka i dwie zamrażarki. Dalej znajdowały się grill i frytkownica. Poza tym były tu jeszcze półki z paczkami czipsów oraz plakaty pokazujące dostępne w sprzedaży lody, a na ladzie leżały cukierki sprzedawane po dwadzieścia pięć centów.

– Nie. Ruszaj. Się... – powiedział jakiś głos za mną. Odwróciłam się na pięcie i zobaczyłam chłopaka siedzącego nieruchomo na blacie i trzymającego uniesioną nad głowę zrolowaną gazetę.

Myślałam, że jestem w barze sama, więc teraz serce tłukło mi się gwałtownie z zaskoczenia.

– Cześć – wyjąkałam, kiedy zdołałam się trochę uspokoić. – Jestem...

– Cśśś – syknął niskim i opanowanym głosem, nadal nie patrząc na mnie. – Nie wystrasz jej.

Zamarłam bez ruchu i spróbowałam zobaczyć, na co się zamierza gazetą, ale widziałam tylko pusty blat. Nagle poczułam przyływ panicznego strachu, który sprawił, że

nie tylko miałam ochotę się ruszyć, i to szybko, ale też wskoczyć na blat obok niego.

– Czy to mysz? – zapytałam szeptem, czując ciarki na plecach. Jeśli tak, to nie obchodziło mnie, co powie, zamierzałam się stąd wynosić tak szybko, jak to możliwe.

– Nie – mruknął chłopak, nadal skoncentrowany na blacie. – To mucha, która mnie prowokuje od rana. Ale ja jej jeszcze pokażę.

– Aha – odparłam cicho i przestąpiłam z nogi na nogę, zastanawiając się, ile czasu to potrwa, a także co powinniśmy zrobić, gdyby przyszli jacyś klienci. W zapadłej ciszy skorzystałam z okazji, żeby przyjrzeć się chłopakowi, który nadal koncentrował się tylko na musze. Trudno było to stwierdzić na pewno, kiedy siedział, ale wydawał się niski i raczej krępy. Miał modne nerdowskie okulary i ostrzyżone na jeża ciemnoblonde włosy.

– Zaraz ją dopadnę – wyszeptał nagle, pochylając się z naszykowaną gazetą. – Nie ruszaj się tylko, a...

– Boże wielki! – Drzwi wejścia służbowego otworzyły się gwałtownie, tak że chłopak i ja podskoczyliśmy, a mucha zapewne zdołała uciec. Dziewczyna przepchnęła się między nami i powiesiła torebkę na wieszaku w kącie. Kątem oka zauważyłam długie ciemne włosy oraz fioletowy T-shirt i zaczęło mnie ogarniać złe przeczucie. – Nie uwierzysz, co mnie spotkało dzisiaj! Jechałam sobie spokojnie do pracy, kiedy jakaś kompletna kretyńska... –

Dziewczyna odwróciła się do nas i znieruchomiła.

Ja zrobiłam to samo. Przede mną stała dziewczyna w fioletowej koszulce, której omal nie przejechałam dzisiaj na drodze i która pokazała mi środkowy palec.

Która, tak przy okazji, była Lucy Marimo, moją była najlepszą przyjaciółką.

Rozdział dziesiąty

Wpatrywałam się w Lucy – podobnie jak w przypadku Henry’ego, mój mózg potrzebował chwili, żeby połączyć jej wygląd w wieku dwunastu lat z obecną wersją. Jako dzieci byliśmy prawie równego wzrostu, ale najwyraźniej Lucy urosła znacznie mniej niż ja, ponieważ była teraz ode mnie niższa o dobre dziesięć centymetrów, za to z zaokrągloną figurą, o jakiej obie dawniej marzyłyśmy. Jej włosy dalej były ciemnobrązowe i lśniące, ale burza nieposłusznych loków zniknęła – stały się teraz gładkie i proste. Jej oliwkowa skóra była już opalona, miała też fachowo nałożony makijaż i najwyraźniej przez te pięć lat, jakie minęły od naszych pierwszych niezgrabnych prób z tuszem do rzęs, nauczyła się paru rzeczy.

Lucy zamrugnęła, a potem zmrużyła oczy i zaplotła ręce na piersi.

– Co ty tu, do cholery, robisz? – zapytała, jednocześnie zdumiona i wściekła. Chłopak na blacie popatrzył na mnie i uniósł brwi.

– Ja... nie... – zaczęłam i machnęłam ręką w kierunku gabinetu Freda. – Fred kazał mi tu przyjść. Pracuję tutaj.

– Serio. – To nie było pytanie.

– Serio? – zdziwił się chłopak. Zeskoczył z blatu i porzucił swoją broń, odkładając na bok gazetę.

– Tak – odparłam bez przekonania, na które powinnam się była zdobyć. Zaczęłam się zastanawiać, czy to na pewno był dobry pomysł, uświadomiłam też sobie, że obecność tutaj Lucy wyjaśnia, dlaczego Henry zdziwił się, kiedy mu powiedziałam, gdzie będę pracować.

– To świetnie – stwierdził chłopak. – Przybyły posiłki.

– Wyciągnął rękę i potrząsnął moją dłońią odrobinę za mocno. Może czytał tę samą książkę, co Warren. – Jestem Elliot.

W tym momencie wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Zobaczyłam go w wieku dziesięciu lat, jeszcze mniejszego i bardziej krępego, z okularami, które trudno by nazwać modnymi, kręcącego się przy barze na basenie. Był jednym z tych dzieciaków, które zawsze mają przy sobie karty i bezustannie próbują namówić kogoś do gry. Był właściwie przyjacielem Henry’ego, ale czasem spotykaliśmy się we trójkę, szczególnie kiedy padał deszcz i nie mieliśmy nic lepszego do roboty.

– Taylor – powiedziałam. – Czy...? – Urwałam, uświadamiając sobie nagle, jak żalosne jest pytanie kogoś, czy cię pamięta.

– Aha, Taylor. – Brwi Elliota uniosły się do góry, popatrzył na Lucy, a potem na mnie. Lucy patrzyła prosto

przed siebie, na jezioro, jakby nawet sam mój widok był dla niej nie do zniesienia. – Przepraszam, że cię nie poznałem. Kopę lat, no nie?

Skinęłam głową.

– Rzeczywiście – powiedziałam. Zapadła cisza, aż w końcu Elliot odchrząknął.

– Witamy – powiedział. – Będiesz pracować w barze?

– Tak jakby – odparłam. Popatrzyłam na Lucy i nasze spojrzenia na moment się spotkały, zanim ostentacyjnie odwróciła głowę. – Mam też robić coś z filmami... – Zawiesiłam głos, uświadamiając sobie, jak niewiele wiem o swoich możliwych obowiązkach.

– Czyli Fred znalazł w końcu swojego zastępcę na czas wędkowania – zrozumiał Elliot, a Lucy tylko wzruszyła ramionami. Popatrzył na mnie. – Starał się o to od lat, ale teraz krążą plotki, że zaczął się umawiać z Jillian i to mu dało chody.

– Nie masz przypadkiem lekcji? – zapytała Lucy, patrząc na okrągły zegar, wiszący krzywo nad mikrofalówką.

Elliot popatrzył na własny zegarek – dopiero teraz zauważyłam, że jest wielki, plastikowy i zasłania mu prawie cały nadgarstek. Wyglądał jak zegarek nurka, przeznaczony do wytrzymywania głębokości większych niż osiągalne w Lake Phoenix.

– Za dziesięć minut – westchnął. – Niestety.

– Lekcji? – zapytałam, kątem oka widząc, że Lucy przewraca oczami. Ale ponieważ tak niewiele wiedziałam o tym miejscu, byłam zdesperowana, żeby wydobyć wszystkie możliwe informacje z jedynej osoby w barze, która była skłonna ze mną rozmawiać.

– Prowadzę lekcje żeglowania i pracuję w barze – wyjaśnił Elliot. – W większości mamy tutaj różne obowiązki. Dzisiaj mam grupę początkującą, która ma chyba alergię na zapamiętywanie jakichkolwiek informacji. – Skierował się do drzwi, zatrzymał i odwrócił do nas. – Jeśli zobaczycie tę muchę, pomścijcie mnie – oznajmił ponuro. – Zgoda?

Lucy z roztargnieniem skinęła głową, co oznaczało, że Elliot zapewne często wyskakiwał z podobnymi tekstami. Kiedy wyszedł na zewnątrz, a drzwi zamknęły się za nim, Lucy odwróciła się do mnie, nadal z zaplecionymi rękami i nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Dobra. Oparła się o blat i przyglądała mi się w milczeniu.

– Wróciłaś.

– Owszem – odparłam lekko drżącym głosem. Czułam się wytrącona z równowagi i zrozumiałam, że niezależnie od tego, jak teraz wyglądam, pewne rzeczy nie uległy zmianie. Nadal bałam się konfrontacji, a Lucy przepadała za nimi. – Niedawno.

– Tak słyszałam – powiedziała. Zamrugałam

i zamierzałam zapytać, od kogo, ale coś w wyrazie jej twarzy mnie powstrzymało. Mogła o tym usłyszeć od wielu osób, łącznie z Jillian. Lake Phoenix było na tyle małe, że plotki zazwyczaj szybko się rozchodziły. – Ale nie sądziłam, że się spotkamy – dodała, unosząc jedną brew. Umiała to robić od zawsze, a mnie to nigdy nie wychodziło, więc byłam okropnie zazdrosna, tym bardziej, że wszelkie próby wyglądały tak, jakbym krzywiła się z bólu. – A już na pewno nie myślałam, że zobaczę cię tutaj.

Schowałam ręce do kieszeni szortów i popatrzyłam na porysowaną drewnianą podłogę. Czułam potrzebę rozprostowania nóg, co było sposobem, w jaki moje ciało mówiło mi, że czas uciekać. Popatrzyłam na drzwi i zastanowiłam się nad tą możliwością.

– Jeśli to ma być problem, mogę zrezygnować z pracy tutaj – powiedziałam po chwili. – Zobaczą, czy nie uda mi się znaleźć innego miejsca.

Zobaczyłam, że na twarzy Lucy pojawił się wyraz urazy, zanim powróciła poprzednia obojętność. Wzruszyła ramionami i popatrzyła na swoje paznokcie, pomalowane na ciemnofioletowo – byłam ciekawa, czy wybrała ten kolor, żeby pasował jej do bluzki. Lucy, którą znałam, na pewno by tak zrobiła.

– Nie musisz tego robić ze względu na mnie – oświadczyła znudzonym głosem. – Wszystko mi jedno.

– Jasne – odparłam cicho. Odetchnęłam głębiej i zamierzałam powiedzieć to, co prawdopodobnie powinnam była powiedzieć od razu, co powinnam była powiedzieć do Henry’ego, kiedy tylko go zobaczyłam. – Lucy, naprawdę...

– Co pani podać? – Lucy zeskoczyła z blatu, a kiedy się obejrzałam, zobaczyłam klientkę – znękaną matkę przytrzymującą na biodrze niemowlaka. Drugie dziecko ledwie sięgało głową do okienka, ale nie odrywało spojrzenia od miseczki z cukierkami.

– Dwie wody, porcję frytek i sprite bez lodu – wyrecytowała kobieta.

Lucy wybiła należność na kasie i popatrzyła na mnie. Zrobiłam niepewny krok w stronę kubeczków, sięgając po nie, ale kompletnie nie wiedząc, co powinnam zrobić.

– Zawołaj Elliota. – Lucy potrząsnęła głową. – Nie masz pojęcia, co robisz. – Odwróciła się do kobiety i błyskawicznie przestawiła miseczkę z cukierkami poza zasięg dzieciaka, który właśnie do niej sięgał. – Dziewięć dwadzieścia dziewięć – powiedziała.

Otworzyłam drzwi i szybko zamknęłam je za sobą, wychodząc na korytarz. Całe to spotkanie sprawiło, że byłam roztrzęsiona. Z jakichś powodów miałam wrażenie, że zaraz wybuchnę płaczem, więc cieszyłam się, że mam minutę na otrząśnięcie się z tego stanu. Wiedziałam też, że Elliot zaczyna zaraz lekcję, więc nie miałam wiele czasu,

żeby go znaleźć. Zaczęłam go szukać w innych pomieszczeniach w budynku, ale trafiłam tylko do magazynku żeglarskiego, z kamizelkami ratunkowymi i bojami, a także magazynku z talerzami, kubkami i torbami koncentratu do dystrybutorów napojów. Na drzwiach Freda wisiała tabliczka Poszedłem na ryby, więc z tej strony także nie mogłam się spodziewać pomocy. Zaczęłam wpadać w panikę, wiedząc, że im dłużej to trwa, tym bardziej wściekła będzie Lucy, kiedy w końcu zauważyłam Elliota, siedzącego na plaży obok stojaka na rowery, w towarzystwie chłopaka z kręconymi włosami, grającego na gitarze. Wokół nich leżało jakieś dziesięć kamizelek ratunkowych, ale nie widać było jeszcze żadnych dzieciaków. Z niewyobrażalną ulgą podeszłam tam, zaczynając mówić, zanim jeszcze się zatrzymałam.

– Lucy potrzebuje twojej pomocy w kuchni – powiedziałam, kiedy Elliot popatrzył na mnie, a chłopak z gitarą przerwał grę w połowie akordu. – Ja nie mam jeszcze pojęcia, co powinnam robić.

Elliot uniósł brwi.

– Ale chyba ci pokazała, prawda? – zapytał. – Lucy świetnie umie uczyć, to od niej nauczyłem się tutaj wszystkiego.

– Aha. – Obejrzałam się na budynek baru i pomyślałam o tym, jak wyrzuciła mnie za drzwi, wyraźnie chcąc się mnie pozbyć. – No cóż – bąknęłam. – Wydaje mi się, że

ona... no... nie ma na to ochoty.

– Jasne. – Elliot skinął głową, uśmiechnął się do mnie współczująco i zerwał się na nogi. – Cóż, chyba trudno się jej dziwić, prawda? – Skierował się w stronę baru, zanim zdołałam wymyślić jakąś odpowiedź. – A prawda. – Odwrócił się do mnie jeszcze i wskazał chłopaka z kręconymi włosami. – Taylor, to jest Leland. Leland, to jest Taylor, nowa tutaj. – Po tych słowach podbiegł do budynku, a chwilę potem usłyszałam trzask zamykanych drzwi.

Leland był wysoki, miał jasną, piegowatą cerę i wypłowiałe od słońca włosy, które chyba dawno nie widziały grzebienia. Zagrał jeszcze jeden akord i podniósł głowę, obdarzając mnie sennym uśmiechem.

– Cześć – powiedział. – Ty też jesteś ratowniczką?

– Nie, pracuję w barze – wyjaśniłam.

– Fajnie – odparł i zagrał jeszcze kilka akordów, zatrzymując palce na ostatnich dwóch strunach. Kiedy patrzyłam, jak gra, wydawało mi się trochę dziwne, że tak wyluzowany i oderwany od rzeczywistości facet ma być ratownikiem. Nie tego się spodziewałam.

– A właśnie. – Leland rozplątał długie nogi i wstał. – Muszę iść do roboty. Pewnie się będziemy widywać. – Powłócząc nogami, poszedł w kierunku plaży, najwyraźniej bez pośpiechu.

Popatrzyłam w stronę baru, a potem na swój krzywo

zaparkowany samochód. Jakaś część mnie, bardzo duża, chciała tylko wsiąść do niego i odjechać stąd, nie zatrzymując się, dopóki od tego miejsca nie zacznie mnie dzielić wiele kilometrów i kilka stanów. Ale rezygnacja z pracy po dwudziestu minutach pierwszego dnia wydawała mi się żałosna, a poza tym wiedziałam, że jeśli teraz zniknę, potwierdzę wszystko to, co Lucy i tak już o mnie myślała. Dlatego zmusiłam się, żeby pójść z powrotem do baru, czując nagły przyływ współczucia dla mojej siostry i tego, z czym musiała się zmierzyć dzisiaj rano. Odetchnęłam głęboko i otworzyłam drzwi dla pracowników z poczuciem, że to ja stanę zaraz przed plutonem egzekucyjnym.

Reszta dnia pracy przebiegała nieszczególnie dobrze. Lucy praktycznie się do mnie nie odzywała. Albo przekazywała mi polecenia przez Elliota, kiedy wpadał pomiędzy lekcjami, albo po prostu mnie ignorowała. Kilka razy wyszła, żeby pogadać z kimś przez komórkę, a po szczycie w porze obiadowej posłała mnie do magazynków, żebym zrobiła tam porządek. To była ogłupiająca robota – liczenie i układanie równo kamizelek ratunkowych, a potem inwentaryzacja talerzy i kubków – ale przynajmniej byłam sama i nie musiałam sobie radzić z niemiłą ciszą albo falami irytacji napływającymi w moją stronę. Przerwę na lunch

spędziłam, siedząc sama na plaży, na uboczu, w cieniu sosny. Grupki dzieci bawiły się w wodzie, prowadząc bitwy na dmuchanych materacach, które dobrze pamiętałam. Zobaczyłam Elliota na kajaku, nadzorującego dzieciaki pływające żaglówkami po trasie wytyczonej przez boje i sprowadzającego z powrotem łódkę, która zamierzała chyba zdryfować do Delaware. Po przerwie wróciłam do magazynku i zaczęłam znowu liczyć kubki, czas włócił się niemiłosiernie, a godziny mijały rozpaczliwie powoli. Kiedy w końcu wybiła piąta i zamknęłam magazynek, byłam wykończona. Pachniałam olejem do smażenia frytek i majonezem, którymi się niechcący polałam, stopy koszmarnie mnie bolały i pragnęłam tylko doczołgać się do łóżka i nigdy więcej tutaj nie wracać.

Na zewnątrz natknęłam się na Elliota i Lucy, która zamykała metalową żaluzję zasłaniającą okienko baru. Zobaczyłam, że z plaży wraca Leland z gitarą na ramieniu i z zaskoczeniem zauważyłam, że w wodzie nadal są pływacy, a kilka osób opala się na dmuchanych materacach.

– Jak to jest? – zapytałam, kiedy Elliot podszedł do mnie, a Lucy szarpnęła żaluzję, żeby zobaczyć, czy jest dobrze zamknięta. – Co się dzieje, kiedy nie ma ratownika?

– Zostawiamy tablicę z informacją – wyjaśnił Elliot

i skinął głową Lelandowi, który zbliżał się do nas długimi krokami. – Ratownik ma dyżur od dziewiętej do piątej, potem zostawiamy tablicę, że wchodzi się do wody na własne ryzyko.

Skinęłam głowę, a Lucy podeszła do nas, ściskając komórkę. Uśmiechnęła się do Lelanda i natychmiast przestała wyglądać przyjaźnie, widząc mnie.

– Musimy ustalić grafik – powiedziała zimnym głosem. – Porozmawiam z Fredem i zadzwonię do ciebie. Możesz mi podać numer? – Zrobiłam to, a ona wpisała go do komórki, naciskając guziki trochę mocniej, niż to było konieczne. – Dobra – powiedziała, zapisując. Rzuciła mi długie spojrzenie, a ja popatrzyłam na całą ich trójkę, stojącą blisko siebie, i uświadomiłam sobie, że pewnie mają jakieś plany. Nie było też wątpliwości, że ja nie byłam w nich uwzględniona.

– Aha – powiedziałam i poczułam, że policzki mnie pieką. – Dobra. Świetnie. To... zadzwoń do mnie, jak będzie ustalony grafik, a ja... będę wiedziała, kiedy mam przyjść. – Wiedziałam, że brzmię jak idiotka, ale słowa wypływały, zanim udawało mi się je powstrzymać. Skinęłam im głowę i podeszłam do samochodu tak szybkim krokiem, jak tylko mogłam.

Kiedy otworzyłam drzwi i miałam już wsiadać do środka, obejrzałam się i zobaczyłam, że Lucy mnie obserwuje. Nie odwróciła głowy od razu, tak jak to robiła

przez cały dzień, a na jej twarzy malował się raczej smutek niż złość. Ale po chwili okręciła się na pięcie, a ja przypomniałam sobie, co powiedział Elliot. Miał rację, trudno się było jej dziwić. Dostałam dokładnie to, na co zasługiwałam.

Rozdział jedenasty

pięć wakacji wcześniej

Siedząc na pomoście, popatrzyłam ponuro na Lucy. – Do chrzanu. – Oddzieliłam fioletowe skittlesy ze stosika przede mną i popchnęłam je do mojej najlepszej przyjaciółki. Lucy zmarszczyła brwi nad własnym stosikiem, a potem oddzieliła wszystkie zielone i podała je mnie. Dzieliłyśmy się w ten sposób wszystkimi cukierkami, tak doskonale znając swoje preferencje kolorystyczne, że nie musiałyśmy już nawet pytać. Jeśli chodziło o batoniki Snickers albo Milky Way, lubiłyśmy je w postaci lodów kupowanych w barze na plaży. Zawsze brałyśmy jeden plastikowy nożyk, którym Lucy przekrawała batonik z chirurgiczną precyzją. Dzieliłyśmy się wszystkim po równo.

– Wiem – przytaknęła. – To po prostu ssie.

Skinęłam głową, będąc w duchu pod wrażeniem i odrobinę jej zazdroszcząc. Moja matka krzyczała na mnie, ile razy powiedziałam coś takiego, a matka Lucy do niedawna robiła podobnie. Jednakże, jak podkreślała bezustannie Lucy, rozwód oznaczał, że uchodziło ci na

sucho mnóstwo rzeczy, które wcześniej były absolutnie nie do pomyślenia.

Niestety rozwód oznaczał także, że Lucy miała wyjechać stąd na większość wakacji, z czym nadal nie do końca potrafiłam się pogodzić. Wakacje w Lake Phoenix równały się zabawom z Lucy i nie miałam pojęcia, co mam tu robić bez niej. Byłyśmy nawet u moich rodziców, posadziłyśmy ich na werandzie i przedstawiłyśmy naszą prośbę: Lucy mogłaby zamieszkać z nami w te wakacje, podczas kiedy jej rodzice w New Jersey załatwialiby sprawy z adwokatami i „spotkania mediacyjne”, cokolwiek by to nie było. Dzięki temu Lucy mogłaby korzystać ze świeżego powietrza w Lake Phoenix i nie przeszkadzałyby rodzicom. Mogłaby mieszkać ze mną w pokoju – opracowałyśmy nawet system, w ramach którego zamieniałybyśmy się miejscami do spania na łóżku i łóżku polowym.

Moi rodzice nie zgodzili się jednak na to i dzisiaj, po zaledwie dwóch tygodniach, Lucy stąd wyjeżdżała. Przyszłam się z nią pożegnać, a chociaż żegnałyśmy się na koniec każdych wakacji, tym razem było inaczej.

– Słuchaj. – Lucy starannie przyglądała swoją grzywkę. Ta grzywka okropnie mi się podobała i strasznie jej zazdrościłam, ale kiedy poprzedniej jesieni ostrzygłam się podobnie do niej, włosy nie chciały układać się równo, nie były proste i gęste jak u Lucy. Były cienkie i delikatne,

wiecznie wyglądały jak przylizane i sprawiły, że mama musiała mi kupić mnóstwo opasek na włosy. Do wakacji zdążyły odrosnąć, więc nie musiałam mówić Lucy, że próbowałam ją naśladować.

– Mama powiedziała, że jeśli dostanie dom i wszystko się ułoży, będę mogła tu niedługo przyjechać. Może nawet za miesiąc.

– Starła się brzmieć optymistycznie, ale słyszałam, że nie bardzo jej to idzie. Co miałam tu robić przez miesiąc bez Lucy?

– Jasne – odparłam, starając się zabrzmieć równie pogodnie, chociaż czułam się zupełnie inaczej. – To świetnie. – Uśmiechnęłam się szeroko i nieszczerze, ale Lucy tylko popatrzyła na mnie i wybuchnęłyśmy obie śmiechem.

– Tay, jesteś beznadziejną kłamczuchą – stwierdziła.

– Wiem – przyznałam, chociaż nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek musiała, czy chciała, okłamywać Lucy.

– Ale przynajmniej nie będziesz siedzieć w New Jersey sama jak palec, tak jak ja – dodała z dramatycznym westchnieniem.

– Zanudzę się na śmierć.

– Ja też się tutaj zanudzę – zapewniłam ją. – Z kim się będę spotykać?

Lucy wzruszyła ramionami i z jakiegoś powodu nie popatrzyła mi w oczy, kiedy przypomniała:

– Może z tym twoim kumplem Henrym?

Chociaż wiedziałam, że to nie fair w stosunku do Henry’ego, jęknęłam tylko w odpowiedzi.

– To nie to samo – powiedziałam. – On chce tylko chodzić do lasu i oglądać kamienie. To straszny głupek. – To nie była do końca prawda i czułam się winna, mówiąc to, ale chciałam poprawić Lucy humor.

– Lucy! – zawołała od strony domu pani Marino, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam że stoi przy wypakowanym po brzegi i gotowym do drogi samochodzie.

Lucy westchnęła ciężko, ale obie wiedziałyśmy, że czas się pożegnać. Zebrałyśmy cukierki i poszłyśmy do jej domu. Na podjeździe wykonałyśmy całe potajemne powitanie, nad którym pracowałyśmy większość poprzednich wakacji (w jego skład wchodził podwójny obrót), a potem pożegnałyśmy się i uściskałyśmy szybko, bo mama Lucy zaczęła narzekać, że jeśli zaraz nie wyruszą, wpadną po drodze w korki.

Stałam z moim rowerem przy podjeździe Lucy, patrzyłam, jak samochód odjeżdża, a ona sama wychyla się przez okno i macha, dopóki nie zniknęła mi z oczu. Potem wsiadłam na rower i pojechałam powoli w stronę domu. Nie chciałam tam jeszcze wracać – do obiadu zostało kilka godzin – ale nie miałam pomysłu, co robić. Wydawało mi się okropnie obciachowe, żebym miała

pójść sama na plażę albo na basen.

– Cześć, Edwards. – Obejrzałam się, chociaż wiedziałam, że to Henry, który podjechał bliżej do mnie. Ostatnio miał fazę na mówienie do wszystkich po nazwisku, ale chociaż wiedziałam, że mu na tym zależy, odmawiałam zwracania się do niego per „Crosby”.

– Cześć, Henry. – Oparłam nogę na ziemi i kopnęłam pedały, aż zawirowały. Henry nie zatrzymał się, tylko jeździł wokół mnie.

– Gdzie Marino? – zapytał, okrążając mnie. Musiałam cały czas obracać za nim głowę i zaczynało mi się w niej kręcić.

– Lucy wyjechała już na resztę wakacji – wyjaśniłam, czując, jakie znaczenie mają te słowa. – A w każdym razie na większość czasu.

Henry przestał jeździć w kółko i oparł bosą stopę na ziemi.

– A to pech – powiedział. – Przykre.

Skinęłam, chociaż nie byłam pewna, czy mówi szczerze. On i Lucy nigdy się za dobrze nie dogadywali. Wiedziałam, że uważał ją za zbyt dziewczęcą, a ona była zdania, że Henry jest przemądrzały. Kilka razy próbowaliśmy robić coś razem, ale zawsze czułam się jak negocjator, bezustannie pracujący nad tym, żeby nikt się z nikim nie pokłócił, a to było wyczerpujące. Dlatego zwykle spotykałam się z nimi oddzielnie, co wszystkim

nam bardziej odpowiadało.

– Właśnie. – Henry przycisnął znowu pedały. – Jadę na plażę, wybierzesz się ze mną?

Popatrzyłam na niego i zastanowiłam się. Wyprawa z Henrym była zdecydowanie lepsza niż powrót do domu, nawet jeśli nazywał mnie „Edwards” i zawsze starał się namówić mnie, żebym się z nim ścigała albo rywalizowała w jedzeniu hot dogów.

– Dobra. – Zakręciłam pedałami w drugą stronę i ruszyłam z miejsca. – Ekstra pomysł.

– Super. – Henry uśmiechnął się do mnie, a ja zauważyłam, że jego zęby nie były już krzywe z przodu, tak jak wtedy, kiedy spotkałam go po raz pierwszy. I że miał bardzo ładny uśmiech. Dlaczego wcześniej tego nie spostrzegłam?

– Ścigamy się na plażę? – zapytał, gotów już do jazdy i ściskając kierownicę roweru.

– No nie wiem – odpowiedziałam i udałam, że zmieniam przerzutki, ustawiając się jednocześnie w lepszej pozycji startowej. – Nie jestem pewna, czy... Start! – wrzasnęłam i zaczęłam pedałować tak szybko, jak tylko mogłam, zostawiając za sobą Henry’ego. Śmiałam się na całe gardło, zjeżdżając ze wzgórza i czując, jak pęd powietrza unosi mój koński ogon. – Kto przegrywa, kupuje colę!

Zgubione, znalezienie

Rozdział dwunasty

Poczekalnia w przychodni onkologicznej przy szpitalu w Stro-udsburgu wyglądała, jakby poddała się w kwestii dodawania pacjentom otuchy. Ściany były pomalowane na mdły brzoskwiniowy kolor, nie wisały tu nawet podnoszące na duchu plakaty dotyczące zapobiegania przeziębieniom albo pokazujące prawidłowy sposób mycia rąk, jakie zwykle widywałam w gabinecie mojego lekarza. Zamiast tego na ścianie był tylko jeden marnie namalowany pejzażyk, przedstawiający wzgórze upstrzone owcami lub chmurami – nie byłam pewna, co to miało być. Nadmiernie wypchane fotele sprawiały, że czułam się, jakbym się zapadała w nie coraz głębiej, a wszystkie czasopisma były sprzed kilku miesięcy. Dwa małżeństwa celebrytów, o których zawiadamiały z triumfem *Isniące okładki*, zdążyły już się zakończyć nieprzyjemnymi rozwodami. Mimo wszystko zaczęłam kartkować najbliższ leżące czasopismo, uświadamiając sobie, jak inaczej brzmią te wszystkie opowieści o „żyli długo i szczęśliwie”, kiedy wiesz, jak skończy się ta historia. Po kilku minutach odłożyłam magazyn, popatrzyłam na zegarek, a potem na

drzwi, za którymi zniknął ojciec, zapisany na wizytę do lekarza. Nie w taki sposób planowałam spędzić swój dzień wolny.

Zamierzałam zrezygnować z pracy w barze po pierwszym katastrofalnym dniu, ponieważ nie widziałam powodu, dla którego miałabym spędzać lato w towarzystwie osób żywo okazujących niechęć do mnie. Ale tego dnia wieczorem, przy obiedzie, kiedy pałaszowaliśmy kolby kukurydzy, frytki i hamburgery z grilla – pierwszy prawdziwie wakacyjny posiłek w tym roku – moje plany napotkały na nieprzewidzianą przeszkodę.

Gelsey najwyraźniej nienawidziła tenisa. Narzekała, że to głupi sport i że wszystkie dzieciaki na kursie są równie głupie, Warren jednocześnie próbował nam opowiadać, że tenis został wynaleziony w dwunastowiecznej Francji, a potem wszedł w modę na dworze Henryka VIII, a ja po prostu siedziałam, jadłam kukurydzę i czekałam na odpowiedni moment, żeby się wtrącić i wyjaśnić, że chociaż praca w barze ma pewne zalety, mam poczucie, że mogłabym lepiej spożytkować czas w te wakacje, robiąc coś innego. Cokolwiek innego. Przygotowywałam w głowie wyjaśnienie i praktycznie nie słuchałam rozmowy przy stole. Zwróciłam na nią uwagę dopiero, gdy usłyszałam swoje imię.

– Co takiego? – zapytałam, patrząc na tatę. – O co

chodzi?

– Mówiłem właśnie – wyjaśnił mój ojciec, głównie pod adresem Gelsey, która wpatrywała się ze złością w swój talerz – że ty także musiałaś dzisiaj się zmierzyć z nowym i niełatwym wyzwaniem. Ale w odróżnieniu od siostry, potrafisz sobie z tym poradzić.

Szlag.

– Yhm – powiedziałam i popatrzyłam na Warrena, żeby sprawdzić, czy uda mi się niepostrzeżenie zakomunikować mu, żeby odwrócił uwagę wszystkich albo zaczął opowiadać, jak coś zostało wynalezione. Warren tylko ziewnął i dołożył sobie frytek. – Właśnie. Skoro o tym mowa...

– Taylor nie zamierza rezygnować – oznajmił mój ojciec. Odchrząknęłam z nadzieją, że uda mi się go powstrzymać w taki sposób, żeby nie wyszło, że jestem największym mięczakiem na świecie. – A jestem pewien, że nie było jej dzisiaj łatwo. Prawda?

Odwrócił się do mnie, a brat i siostra zaczęli się na mnie gapić. Warren zastygł z frytką uniesioną do ust.

– Nie było – powiedziałam szczerze.

– No widzisz. – Tata mrugnął do mnie, a ja poczułam się okropnie z powodu tego, co zamierzałam zrobić. Przypomniałam sobie wyraz twarzy Lucy, kiedy się dowiedziała, że tam pracuję, a także uczucie samotności, towarzyszące mi przy lunchu.

– Posłuchaj – powiedziałam, dochodząc do wniosku, że to może być najlepsza okazja do wyplątania się z sytuacji, która – czego byłam pewna – z biegiem wakacji mogła się tylko wykładniczo pogarszać. – To nie tak, że nie chcę pracować. Po prostu praca w barze nie jest... no... taka, jak się spodziewałam. – Matka popatrzyła na mnie, a wyraz jej twarzy powiedział mi jasno, że doskonale wie, do czego zmierzam. Odwróciłam wzrok.

– A biorąc pod uwagę, ile nauki czeka mnie w najbliższym roku, wydaje mi się, że powinnam wykorzystać wakacje...

– Mam to w nosie! – jęknęła Gelsey, wyraźnie gotowa wybuchnąć płaczem. – Nie chcę grać w tenisa i nie powinniście mnie do tego zmuszać. To... nie... fair!

Warren popatrzył na mnie i przewrócił oczami, a ja potrząsnęłam głową. To właśnie wiązało się z byciem najmłodszą w rodzinie – można było dostawać ataków dziecinnej hysterii, nawet kiedy było się na to zdecydowanie za dużym. Gelsey zaczęła szlochać w serwetkę, a ja zrozumiałam, że odpowiedni moment na oznajmienie, że rezygnuję z pracy, chyba właśnie minął.

Dlatego przetrwałam jeszcze dwie dniówki w barze, głównie po to, żeby móc zrezygnować i zachować przynajmniej częściowo twarz w oczach taty. Były praktycznie takie same jak ten pierwszy dzień – Lucy prawie się do mnie nie odzywała, a ja spędzałam całą

zmianę, odliczając minuty do pójścia do domu, z każdą godziną coraz bardziej przekonana, że to nie jest warte płacy minimalnej. Zamierzałam w pierwszym wolnym dniu zajrzeć do ratusza, powiedzieć Jillian, zostawić wiadomość dla Freda (który bez wątplenia będzie na rybach), a potem przyznać się rodzinie, kiedy będzie już po wszystkim. Ale tego popołudnia, kiedy tata odłożył robotę i zaczął się szykować na umówioną wizytę u lekarza w Stroudsburgu, mama zawołała mnie na werandę.

Siedziała na najwyższym stopniu, czesząc włosy mojej siostry. Gelsey siedziała o stopień niżej, z ręcznikiem narzuconym na ramiona i lekko odchyłoną do tyłu głową, podczas kiedy matka przesuwała grzebieniem o szeroko rozstawionych zębach przez jej wilgotne kasztanowe pukle. To był ich mały rytuał, chociaż nie robiły tego codziennie, tylko wtedy, kiedy moja siostra miała zły dzień albo czymś się zdenerwowała. Patrzyłam, jak mama czesze jej włosy i zastanawiałam się, czy to z powodu traumy związanej z lekcjami tenisa (z których nie pozwolono jej zrezygnować), czy też z jakiegoś innego. Wiele lat temu, kiedy byłam znacznie młodsza, chciałam, żeby matka czesała w ten sposób moje włosy, ale z czasem zrozumiałam, że to chyba nie ma sensu. Matka i Gelsey miały identyczne, kasztanowe włosy – długie, gęste i kręcone – a moje włosy były cienkie, zupełnie proste, nigdy się nie plątały i praktycznie nie wymagały

rozczesywania. Ale mimo wszystko...

– Co takiego? – zapytałam. Gelsey skrzywiła się na mój widok, ale zanim zdążyłam się jej odwzajemnić, matka odwróciła głowę, tak że widziałam tylko jej profil.

– Mogłabyś dzisiaj pojechać z tatą do Stroudsburga? – zapytała.

– Och – powiedziałam. Nie tego się spodziewałam. – Wszystko z nim w porządku?

– Ma tylko umówioną wizytę u lekarza i miałam nadzieję, że mogłabyś z nim jechać – wyjaśniła matka spokojnie, przesuwając grzebieniem od nasady włosów aż do ich końca, gdzie zawijały się w małe pierścionki. Przyjrzałam się jej uważniej, starając się domyślić, co chciała przez to powiedzieć, czy naprawdę nie dzieje się nic złego, ale matka potrafiła naprawdę dobrze ukrywać emocje, więc nie doszłam do żadnych wniosków. – Gotowe – powiedziała, przyglądając dłonią włosy Gelsey i zdejmując ręcznik z jej ramion.

Gelsey wstała i weszła do domu, przekraczając próg serią szybkich piruetów. Odsunęłam się, żeby ją przepuścić – przywykłam już do tego, ponieważ od dobrych kilku lat, jeśli tylko Gelsey była w dobrym humorze, tańczyła, zamiast chodzić.

– To jak? – zapytała mama, a ja odwróciłam się do niej i zobaczyłam, że wyskubuje z grzebienia zgubione włosy. – Pojedziesz z tatą?

– Jasne – odparłam, ale nadal miałam przeczucie, że nie powiedziała mi wszystkiego. Chciałam właśnie zapytać, kiedy zobaczyłam, że rzuca włosy w powietrze, gdzie unosiły się na lekkim wietrze, poruszającym drzewami od południa. – Co ty robisz?

– Dlatego właśnie należy zawsze czesać włosy na zewnątrz – wyjaśniła. – Dzięki temu ptasie mamy będą mogły wyścielić nimi gniazda. – Spojrzała na grzebień i skierowała się do drzwi, składając ręcznik.

– Mamo – odezwałam się, zanim zniknęła w środku. Spojrzała na mnie z uniesionymi brwiami, w oczekiwaniu, a ja nagle zapragnęłam tylko rozmawiać z nią tak, jak potrafiła to Gelsey, i powiedzieć jej, czego się naprawdę boję. – Czy z tatą wszystko w porządku?

Mama uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Chcę tylko, żeby miał towarzystwo, zgoda?

Oczywiście się zgodziłam i pojechaliśmy razem w godzinną podróż do Stroudsburga – tata za kierownicą, ponieważ czułam, że odebrałam już swoją lekcję, jeśli chodzi o kwestionowanie jego opinii w tej sprawie. Tata starał się traktować tę krótką wyprawę jak prawdziwą podróż samochodową. Zatrzymał się przy POCO Mart, żeby kupić orzeszki w miodzie i napoje gazowane, a kiedy wyjechaliśmy z miasta, polecił mi zająć się wyborem stacji radiowej. To było chyba najbardziej nieoczekiwane wydarzenie tego popołudnia, ponieważ kiedy wcześniej

jeździliśmy razem samochodem, tata albo rozmawiał przez system głośnomówiący ze swoją kancelarią, albo słuchał wiadomości finansowych.

Kiedy przyjechaliśmy do szpitala, tata poprowadził mnie na oddział onkologiczny, a kiedy wszedł do gabinetu, obiecał, że to nie potrwa długo. Ale minęło już dwadzieścia minut, a ja zaczynałam się niecierpliwić.

Minęłam windę i zesłam schodami do głównego holu, ponieważ czułam, że muszę się ruszyć. Nie znalazłam tam nic, co mogłoby zająć moją uwagę – tylko olejne portrety założycieli szpitala oraz plakatki upamiętniające największych darczyńców. Przed wejściem do budynku paliło papierosy zaskakująco dużo ludzi, biorąc pod uwagę, że to jednak był szpital. Ostatecznie zajrzałam do sklepu z podarunkami, żeby obejrzeć wystawione na sprzedaż bukiety kwiatów, a także pogodnie kolorowe pluszowe misie z napisem Zdrowiej szybko! na brzuskach. Podeszłam do regału z kartkami, przeglądając rzędy oferujące różne warianty „Myślmy o Tobie” i „Zdrowiej szybko”. Sekcję poświęconą kondolencjom minęłam szybko, nie chcąc nawet wiedzieć, co zostało napisane wewnątrz ponurych kartek, na których widniał zwykle pojedynczy kwiat, ptak w locie lub zachód słońca.

Ponieważ niczego właściwie stąd nie chciałam, kupiłam tylko paczkę gumy, kładąc ją na ladzie i szukając drobnych w portmonetce. Dopiero teraz zauważyłam

stojącą na ladzie ogromną kompozycję z letnich kwiatów w żywych, pomarańczowych i fioletowych kolorach. Sprawiała wrażenie zdrowej i pełnej życia, wydawała się pachnieć słońcem nawet w sterylnym, fluorescencyjnym oświetleniu sklepu z podarunkami. Kiedy na nią patrzyłam, po raz pierwszy zrozumiałam, dlaczego ludzie przynoszą kwiaty chorym, którzy tkwią w szpitalu bez możliwości wyjścia na zewnątrz. To było jak przynoszenie im kawałeczków świata, który toczył się bez nich.

– To wszystko? – zapytała kobieta za ladą.

Miałam jej właśnie odpowiedzieć, kiedy moją uwagę przykuł gotowy bilecik, umieszczony w kompozycji na długim plastikowym pręcie, wystającym spomiędzy kwiatów. Było na nim napisane Pamiętaj, że cię kocham.

– Kupujesz coś jeszcze? – powtórzyła kobieta.

Zawstydzona odwróciłam spojrzenie od bileciku i podałam jej dolara.

– To wszystko – powiedziałam, schowałam gumę do kieszeni i wrzuciłam centy, które od niej dostałam, do kubeczka na drobne.

– Życzę miłego dnia – powiedziała, a potem odchrząknęła. – Mam nadzieję... że wszystko będzie dobrze.

Dopiero teraz popatrzyłam na nią i zobaczyłam, że jest starsza, niż myślałam, prawie w wieku mojej babci, nosi

plakietkę z imieniem, a na jej twarzy maluje się współczucie. Było ono zupełnie inne niż litość i przedwczesne kondolencje, które tak mnie złościły w Connecticut, a ja uświadomiłam sobie, że nie mam jej tego za złe. Przyszło mi do głowy, że ona codziennie ogląda przychodzących do tego sklepu ludzi, którzy też nie chcą być w tym szpitalu i szukają czegoś, co mogliby kupić, jakiegoś taniego misia albo bukietka kwiatów, żeby udawać, że to coś pomoże.

– Dziękuję – powiedziałam. Spojrzałam jeszcze raz na bilecik i wyszłam do holu. Tym razem ominęłam schody i wjechałam windą na piętro onkologiczne. Bilecik sprawił, że stałam się nieprzyjemnie świadoma jednej rzeczy – nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz powiedziałam ojcu, że go kocham. Grzebałam w pamięci, podczas kiedy winda bezszelestnie mijała kolejne piętra. Wiedziałam, że powtarzałam to często, kiedy byłam mała, o czym mogła zaświadczyć domowa kolekcja nagrań wideo. Co roku pisałam *Kocham Cię* na kartkach z okazji urodzin i Dnia Ojca. Ale czy kiedykolwiek powiedziałam to na głos i w miarę niedawno?

Nie potrafiłam sobie tego przypomnieć, co oznaczało, że odpowiedź praktycznie na pewno brzmi nie. Ta świadomość ciążyła mi na sercu do tego stopnia, że kiedy wróciłam do poczekalni, nie zwracałam sobie nawet

głowy sięganiem po jedno z nieaktualnych czasopism. Kiedy ojciec w końcu wyszedł z gabinetu i zapytał, czy możemy jechać do domu, przytaknęłam bez chwili wahania.

W odróżnieniu od podróży do szpitala, w drodze do domu głównie milczeliśmy. Tata po wizycie u lekarza wyglądał na tak zmęczonego, że nawet nie próbował siadać za kierownicą, po prostu rzucił mi kluczyki, kiedy tylko znaleźliśmy się na parkingu. Przez kilka kilometrów staraliśmy się rozmawiać, ale potem zorientowałam się, że tata odpowiada mi z coraz większym opóźnieniem, a kiedy na niego spojrzałam, zobaczyłam, że oparł głowę na zagłówek, a jego powieki przymykają się ciężko i znowu otwierają. Zanim wyjechaliśmy na autostradę prowadzącą do La – ke Phoenix, rozejrzałam się podczas zmiany pasa i stwierdziłam, że tata zasnął na dobre, z odchyłoną głową i lekko otwartymi ustami. To było niezwykle i niemal szokujące, ponieważ ojciec nigdy nie drzemał w dzień. Wiedziałam, że ostatnio sypia więcej niż zwykle, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz uciał sobie drzemkę – szczególnie tak jak teraz, po południu. Ogarnęło mnie uczucie paniki, chociaż nie potrafiłam znaleźć jego przyczyny. Pragnęłam tylko włączyć muzykę i zagłuszyć je choć trochę, ale nie chciałam budzić taty, więc po prostu prowadziłam

w ciszy przerywanej tylko jego miarowym oddechem.

Kiedy zjeżdżaliśmy z autostrady do Lake Phoenix, zadzwoniła komórka taty, zaskakując nas oboje potwornie głośnym dźwiękiem w cichym samochodzie. Ojciec obudził się gwałtownie, prostując na siedzeniu.

– Co jest? – zapytał, a ja nienawidziłam zagubienia i bezradności w jego głosie. – Co to jest?

Sięgnęłam po komórkę leżącą w zagłębieniu na kubek, ale tata wziął ją pierwszy, odebrał i przyglądał zawsze równo ułożone włosy, jakby sprawdzał, czy nie potargał się w czasie snu. Od razu domyśliłam się, że dzwoni matka, a po krótkiej rozmowie z nią tata zaczął sprawiać wrażenie bardziej opanowanego i znacznie bardziej przypominał siebie. Kiedy rozłączył się i popatrzył na mnie, jego głos nie był już zamroczony od snu.

– Twoja matka prosiła, żebyśmy kupili kilka rzeczy na obiad – powiedział. – A ja właśnie sobie uświadomiłem, że nie byliśmy w tym roku jeszcze w lodziarni. Mam wrażenie, że w te wakacje strasznie oszczędzamy na deserach.

W lodówce nadal leżało jedenaście ciasteczek owsianych, ale nie przypominałam o ich istnieniu. To jedno czekoladowe zostało podzielone na pięć równych kawałków, a reszty nikt nawet nie tknął.

Popatrzyłam na zegar samochodowy i stwierdziłam, że jest prawie czwarta, czyli zdecydowanie za blisko pory,

którą moja matka uważała za psucie sobie apetytu przed obiadem. Ale mieliśmy z tatą długą tradycję chodzenia na lody i trzymania tego w tajemnicy – tak jak wtedy, kiedy byłam młodsza, a on mnie znajdował, gdy uciekałam z domu.

– Naprawdę? – zapytałam, a tata skinął głową.

– Tylko nie mów mamie – poprosił. – Bo może mnie potraktować lodowato.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

– No nie wiem – odparłam, zatrzymując się przy Main Street.

– Faktycznie, byłbyś na śliskim gruncie.

Tata uśmiechnął się z aprobatą.

– Niezłe – powiedział.

Rozdzieliliśmy się – on poszedł do POCO Martu i warzywniaka Hensona, a ja skierowałam się do Sweet Baby Jane. To była maleńka lodziarnia z błękitnymi markizami, na których nazwa była wypisana ozdobną białą czcionką. Po obu stronach wejścia stały ławeczki, ponieważ w środku było dość miejsca zaledwie na ladę i pojedynczy stolik. Możliwe, że ze względu na zbliżającą się porę obiadową w środku było pusto, tylko na jednej z ławek dwóch chłopców mniej więcej w wieku Gelsey jadło lody, porzuciwszy rowery obok. Ale wieczorem i po obiedzie, wszystkie miejsca na ławkach były zajęte, a kolejka wychodziła aż na ulicę.

Kiedy otworzyłam drzwi i weszłam do środka, uderzyła mnie fala chłodu z klimatyzacji oraz nostalgii. Lodziarnia niewiele się zmieniła, odkąd byłam w niej ostatni raz, te same malowane znaki wyliczały dostępne smaki lodów i rodzaje polewy. Najwyraźniej jednak czas nie stał tu całkowicie w miejscu, ponieważ pojawiła się nowa lista mrożonych jogurtów i znacznie więcej rodzajów lodów bezcukrowych, niż zapamiętałam.

Nie musiałam pytać ojca, na co ma ochotę, ponieważ zawsze zamawiał to samo: jedną kulkę lodów śmietankowo-pralinowych i jedną kulkę rumowo-rodzynekowych w kubeczku termicznym. Dla siebie wzięłam kulkę kokosowych i kulkę malinowych w waflu, tak samo jak wtedy, kiedy byłam tu poprzednio. Zapłaciłam i popchnęłam drzwi ramieniem, ponieważ obie ręce miałam zajęte. Usłyszałam czyjś głos:

– Czekaj, przytrzymam.

Ktoś otworzył przede mną drzwi, a ja odwróciłam się i nieoczekiwanie spojrzałam prosto w zielone oczy Henry’ego Crosby’ego.

Właściwie mogłam się już tego spodziewać. Chyba powinno by mnie zdziwić, gdybym na niego nie wpadła. Uśmiechnęłam się i zanim zdążyłam się powstrzymać, zacytowałam za moim ojcem kwestię z jego ulubionego filmu:

– Ze wszystkich barów we wszystkich miastach na

całym świecie musiałeś wejść do mojego – powiedziałam.

Henry zmarszczył brwi, a ja uświadomiłam sobie, że oczywiście nie ma pojęcia, o czym ja mówię. Sama ledwie wiedziałam, o czym mówię.

– Wybacz – zaczęłam pospiesznie tłumaczyć. – To taki niedokładny cytat, z filmu. Nosi tytuł „Casablanca”. I pewnie powinnam powiedzieć „z lodziarni”... – Zgubiłam wątek. Nie byłam nawet pewna, o jakim barze mowa. Po co w ogóle się odzywałam?

– Nie szkodzi – przerwał Henry. – Rozumiem, co chciałaś powiedzieć. – Ciemne włosy sterczały mu nieposłusznie, a spłowiały niebieski T-shirt, który miał na sobie, sprawiał wrażenie tak miękkiego, że poczułam nagłą chęć, żeby wyciągnąć rękę i potrzeć bawełnianą tkaninę między palcami. Oczywiście nie zrobiłam tego i cofnęłam się o pół kroku, żeby stłumić pokusę.

– Dobra – oznajmiłam, szukając bezskutecznie czegoś, co mogłabym powiedzieć. – Czyli przyszedłeś tu na lody, tak? – Od razu poczułam, że policzki zaczynają mnie piec. Popatrzyłam na nasz samochód, zastanawiając się, czy tata skończył już zakupy w warzywniaku i czy będę mogła skorzystać z tej okazji, żeby się pożegnać.

– Niemożliwe. – Henry popatrzył na mój szybko topniejący rożek. – Malina i kokos? Ciągłe?

Spojrzałam na niego.

– Nie do wiary, że to pamiętasz.

– Jestem jak słoń – przypomniał. – Mówiłem ci.

– Aha – odparłam. Poczulałam pierwsze chłodne krople spływające po palcach, którymi ściskałam różek. Moje lody roztopiały się szybko, a ponieważ w drugiej ręce trzymałam lody dla taty, nie mogłam nic z tym zrobić. Z jakichś powodów nie miałam ochoty lizać mojego różka na oczach Henry’ego, szczególnie że on jeszcze nie kupił lodów.

– Kto w ogóle na to wpadł? – zapytałam, starając się ignorować drugą, a potem trzecią spływającą kroplę. – Kto wymyślił, że słonie są takie dobre w zapamiętywaniu różnych rzeczy?

– Nie wiem. – Henry wzruszył ramionami z cieniem uśmiechu. – A kto wymyślił, że sowy są mądre?

– Mój brat pewnie by to wiedział – stwierdziłam. – Zapytam go.

– Świetnie – odparł Henry z rozbawieniem. – To mamy już plan.

Wsadził ręce do kieszeni, a ja mimo woli spojrzałam na jego przedramię i oczywiście zobaczyłam znajomą, ledwie widoczną białą bliznę w okolicy nadgarstka. Skaleczył się o miecz mojej łódki, pod którą przepływał w czasie wojny na wywrotki między chłopakami a dziewczynami, która szalała w te wakacje, gdy mieliśmy jedenaście lat. Po raz pierwszy dotknęłam jej, kiedy

trzymaliśmy się za ręce w ciemnościach kina.

Mimo napływającej fali wspomnień popatrzyłam na niego i przygotowałam się, żeby powiedzieć to, od czego powinnam była zacząć. Że jest mi przykro, że nie chciałam go zranić, że nie powinnam była zniknąć bez żadnego wyjaśnienia.

– Dobra – powiedziałam, a serce zaczęło mi się tłuc mocniej. Lepką ręką ścisnęłam wafel z lodami. – Henry, ja...

– Przepraszam, kompletnie nie mogłam znaleźć miejsca do zaparkowania. – Bardzo ładna dziewczyna, mniej więcej w moim wieku, podeszła do Henry’ego. Miała włosy związane w starannie zrobiony niedbały koczek, a jej skóra była już mocno opalona. Domyśliłam się, że to musi być ta blondynka, o której mówiła moja mama. Dziewczyna Henry’ego. Wiedziałam, że absolutnie pozbawioną logiki rzeczą jest czuć się zaborczą względem chłopaka, z którym chodziłam, kiedy miałam dwanaście lat. Mimo to poczułam ukłucie gorącej zazdrości, kiedy patrzyłam, jak oddaje mu kluczyki, a ich palce na moment się stykają.

– Dla mnie z polewą czekoladową! – Davy Crosby podbiegł do nas, dalej ubrany w te same mokasyny, na które zwróciłam uwagę w lesie. Zauważył mnie i jego radosna mina spochmurniała. Najwyraźniej nadal miał mi za złe straszenie ptaków.

Dziewczyna uśmiechnęła się do Davy'ego i położyła mu rękę na ramieniu, chociaż zaraz się od niej odsunął. Obserwowałam to, starając się udawać obojętność. Czyli znała się dobrze także z bratem Henry'ego. Nie, żeby mnie to obchodziło. Dlaczego by mnie to miało interesować?

– Wiesz, że lody ci się topią? – zapytał Davy. Popatrzyłam na swój rożek i zobaczyłam, że rzeczywiście sytuacja stała się raczej krytyczna, a roztopione lody malinowe – oczywiście nie kokosowe – pokrywały mi całą rękę.

– Jasne. – Uniosłam rożek, co sprawiło, że lody zaczęły mi ściekać na nadgarstek. – W sumie sama zauważyłam.

– A właśnie, mówiłaś coś, Taylor? – przypomniał sobie Henry.

Popatrzyłam na niego i pomyślałam, że może powinnam to zrobić teraz, przeprosić go i mieć to z głowy. Od kiedy tu przyjechaliśmy, czułam się winna z powodu tamtych wakacji znacznie bardziej niż kiedykolwiek w Connecticut. Odwróciłam nawet pluszowego pingwina w szafie, bo wydawało mi się, że gapi się na mnie oskarżycielsko.

– Chciałam powiedzieć, że... że ja naprawdę... – urwałam, świadoma, że mam dwoje dodatkowych słuchaczy. Próbowałam mówić dalej, ale straciłam już odwagę. – Nic takiego – dokończyłam. – Nieważne.

Czułam na sobie wzrok dziewczyny i zobaczyłam, że

patrzy na moją rękę i ściekające lody, które utworzyły już niedużą kałużę na ziemi przy moich stopach.

– Muszę lecieć – powiedziałam, nie czekając i nie chcąc zostać przedstawiona tej dziewczynie, która wyraźnie była z Henrym i zapewne zastanawiała się, dlaczego im teraz przeszkadzam.

Henry zaczerpnął oddech, jakby sam chciał coś powiedzieć, ale potem spojrzał na dziewczynę i zrezygnował z tego pomysłu.

– Do zobaczenia – powiedziałam szybko, nie zwracając się do nikogo konkretnie. Odeszłam szybko spod lodziarni, nie patrząc Henry’emu w oczy, i skierowałam się w stronę samochodu. Nie uszłam daleko, kiedy z warzywniaka wyszedł tata i ruszył w moim kierunku, trzymając pod pachą papierową torbę.

– Cześć – powiedział, kiedy znalazł się bliżej. – Myślałem, że spotykamy się przy lodziarni.

– Nie – odparłam szybko, ponieważ ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, było jedzenie lodów na jednej z ławek pod lodziarnią, obok Henry’ego, jego dziewczyny i jego brata, szczególnie tuż po tym, jak się kompletnie skompromitowałam. – Może zjemy w samochodzie? W lodziarni jest straszny tłok.

Tata popatrzył na Sweet Baby Jane – która w najoczywistszy sposób była nadal pusta – a potem na mnie, zauważając ściekającą po mnie lodową katastrofę.

– Mam lepszy pomysł – powiedział.

Wylądowaliśmy na plaży, tylko kilka minut jazdy od Main Street. Usiedliśmy przy jednym ze stolików z widokiem na jezioro, a ja zdążyłam się powycierać na tylnym siedzeniu samochodu papierowymi ręcznikami oraz płynem do dezynfekcji rąk, który znalazłam w schowku. Na szczęście przestałam wyglądać, jakbym stanowiła chodzące lodowe zagrożenie dla wszystkiego, z czym mogłabym mieć kontakt. Robiło się już późno, ale na plaży ciągle był tłok, a do baru stała kolejka.

Patrząc na to, zaczęłam się zastanawiać, czy tylko Lucy jest w pracy, czy też Elliot także ma dyżur. Tata, zupełnie jakby to wyczuł, obrócił swój kubeczek, szukając odpowiedniego miejsca do zaczerpnięcia łyżeczką lodów, a potem zapytał mnie:

– Jak ci się podoba praca tutaj?

Zrozumiałam, że teraz przyszła w końcu właściwa chwila, żeby mu powiedzieć, że wprawdzie naprawdę się staram, ale jednak ta praca nie bardzo mi odpowiada. Może potem uda mi się zajrzeć do ratusza, złożyć wymówienie i cała sprawa zakończy się jeszcze przed obiadem.

– Słuchaj, to jest tak – powiedziałam, a tata uniósł brwi i zjadł jeszcze trochę swoich lodów (z których niewiele mu już zostało). – Jestem pewna, że praca na plaży to cenne doświadczenie, ale wydaje mi się, że w moim

przypadku to nie jest najlepszy pomysł. Może, tak jak Warren, powinnam się skoncentrować raczej na nauce... – urwałam, ponieważ skończyły mi się wymówki i uświadomiłam sobie, że tutaj nie ma mojego rodzeństwa, które mogłoby mi przerwać i odwrócić uwagę taty, patrzącego na mnie spokojnie, jakby przejrzał mnie na wylot.

– Powiedz mi, mała. – Dokończył lody i odstawił kubeczek.

– Czy wspominałem ci kiedyś, jak okropnie nie cierpiałem studiów prawniczych na początku?

– Nie – odparłam bez namysłu. Tata rzadko opowiadał o sobie, więc większość historii z jego życia słyszałam albo od mamy, albo od przyjeżdżającego czasem z wizytą dziadka.

– Tak było – przyznał. Sięgnął łyżeczką do tego, co zostało z moich lodów, więc przechyliłam rozek w jego stronę. – Nie jestem taki jak twój brat. Nauka w szkole nie szła mi tak łatwo, musiałem zakuwać jak wściekły, żeby w ogóle dostać się na te studia. A kiedy się już na nie dostałem, doszedłem do wniosku, że popełniam najgorszy błąd swojego życia. Chciałem tylko uciec stamtąd tak szybko, jak się dało.

– Ale wytrzymałeś – powiedziałam, domyślając się już, do czego zmierza ta historia.

– Wytrzymałem – potwierdził. – I okazało się, że

naprawdę uwielbiam prawo, kiedy tylko przestałem się bać, że zaraz popełnię jakiś błąd. A gdybym nie wytrzymał, nigdy nie poznałbym twojej mamy.

Tę historię akurat znałam – o tym, jak moi rodzice poznali się w restauracji na Upper West Side na Manhattanie, kiedy mój ojciec był studentem trzeciego roku prawa na Uniwersytecie Columbia, a mama właśnie skończyła występ w *Dziadku do orzechów*.

– Wiem – powiedziałam, czując, że moja szansa na zrezygnowanie z pracy zaraz przepadnie. – Ale w tym przypadku...

– Coś jest nie tak z tą pracą? Masz jakieś poważniejsze problemy? – Tata znowu sięgnął do mojego różka, więc podałam mu go, żeby skończył, ponieważ i tak straciłam apetyt na lody. Nie mogłam przecież powiedzieć ojcu, że moja dawna najlepsza przyjaciółka jest dla mnie niemiła.

– Nie – odparłam w końcu.

Tata uśmiechnął się do mnie, a w kącikach jego niebieskich oczu – które odziedziczyłam po nim jako jedyna z rodziny – pojawiły się zmarszczki rozbawienia.

– W takim razie musisz wytrzymać – oznajmił, jakby to już było postanowione. – Może wyniknie z tego coś dobrego.

Poważnie w to wątpiłam, ale wiedziałam także, że poniosłam klęskę. Popatrzyłam jeszcze raz na budynek baru, z niechęcią myśląc o tym, że jutro będę musiała tu

przyjść.

– Może i tak – przyznałam, starając się, żeby zabrzmiało to tak entuzjastycznie, jak to tylko możliwe. Sama doskonale słyszałam, jak bardzo mi to nie wyszło.

Tata roześmiał się i potargał mi włosy, tak jak robił to zawsze, kiedy byłam małą.

– No chodź – powiedział i wstał, krzywiąc się lekko. Wyrzucił kubeczek po lodach do kosza. – Wracajmy do domu.

Po obiedzie niespodziewanie zaczął padać deszcz. Zupełnie mnie to zaskoczyło, a widok słonecznego i ciepłego świata nagle odmienionego przez burzę przypomniał mi nieprzyjemnie o tym, jak szybkie potrafią być zmiany.

Schowałam się z ulgą pod daszkiem werandy, ścierając krople deszczu z twarzy i rzucając klapki na stosik butów, który jak zawsze utworzył się przy drzwiach. Wynosiłam śmieci do śmietnika i myślałam, że dzięki parasolce nie zmoknę przesadnie, ale deszcz i wiatr przybrały na sile akurat w chwili, kiedy wyszłam z domu.

– Wszystko w porządku? – Siedzący przy stole Warren podniósł wzrok znad książki.

– Tylko omal się nie utopiłam – odparłam, zajmując miejsce naprzeciwko niego. Byliśmy sami na werandzie. Rodzice czytali coś w domu, a Gelsey, która zawsze

zarzekała się, że nie boi się burzy, mimo wszystko postanowiła pójść do swojej sypialni po pierwszym błysnięciu i grzmocie. Najwyraźniej planowała iść wcześniej spać, w tłumiących hałas słuchawkach mojego ojca, które były na nią zdecydowanie za duże.

Warren wrócił do książki, a ja podciągnęłam pod siebie nogi i objęłam kolana, patrząc na strugi deszczu. Nigdy nie bałam się burzy i zawsze lubiłam na nią patrzeć z werandy – było się wtedy w domu, ale jednocześnie na zewnątrz, można było zauważyć każdą błyskawicę i usłyszeć każdy grzmot, ale jednocześnie było się suchym i osłoniętym od wiatru. Słuchając bębniącej w dach ulewy, nagle zaczęłam się martwić o psa, którego nie widziałam od kilku dni. Miałam nadzieję, że wrócił tam, gdzie jego miejsce, a jeśli nie, to że miał dość rozsądku, żeby się schować przed deszczem. Z jakichś powodów w to wątpiłam. Przywykłam do niego i nie miałam ochoty myśleć o tym, że moknie gdzieś w tej ulewie.

– Mama mówiła, że rodzina Crosbych mieszka teraz obok nas – powiedział Warren, starannie podkreślając jakieś zdanie i patrząc na mnie. – Wiesz, Henry i Derek.

– Davy – poprawiłam odruchowo.

– Nie mówiłaś mi o tym – oznajmił Warren radośnie, tonem, który, jak doskonale wiedziałam, miał mnie sprowokować. Nagle gwałtownie pozazdrościłam Gelsey tłumiących hałas słuchawek.

– I co z tego? – zapytałam, zakładając nogę na nogę, a potem siadając prosto. Zastanawiałam się, po co w ogóle o tym rozmawiamy.

– Widziałaś się z nim już? – Warren dalej coś podkreślał, a gdyby ktoś go nie znał, nie wpadłby na to, że w tym momencie świadomie mnie dręczy i doskonale się przy tym bawi.

– Kilka razy – przyznałam, przeczesując palcami mokre włosy. – Nie wiem, dziwne to jakieś – stwierdziłam, przypominając sobie wszystkie nasze spotkania, z których żadne nie dało okazji do prawdziwej rozmowy albo przeprosin.

– Dziwne? – powtórzył Warren. – Bo chodziliście ze sobą, jak mieliście... dwanaście lat? – Uśmiechnął się złośliwie i potrząsnął głową.

– Dlatego, że... – zaczęłam, ale w tym momencie głośny grzmot sprawił, że oboje podskoczyliśmy. Warren upuścił mazak, który wturlał się pod stół, więc pochyliłam się i podniosłam go, a potem obróciłam między palcami.

– Dlatego że co? – zainteresował się Warren, patrząc na mnie. Wyciągnął rękę po mazak, ale udałam, że tego nie widzę.

– Nie wiem – odparłam z irytacją. Nie chciałam rozmawiać o tym, a już na pewno nie z moim bratem. – Co ciębie to w ogóle obchodzi? – zapytałam w końcu. – I od kiedy to rozmawiamy o takich rzeczach?

– Nie rozmawiamy – przyznał Warren, wzruszył ramionami i dodał z wyższością: – Widzę po prostu, że najwyraźniej masz z tym jakiś problem, więc dałem ci okazję do poruszenia tematu. To wszystko.

Wiedziałam, że to prawdopodobnie nie ma sensu, powinnam po prostu iść sobie i zapomnieć o wszystkim. Ale w wyrazie twarzy mojego brata było coś, co mi przypominało, że uważa się za znacznie ode mnie mądrzejszego. W niektórych przypadkach – no dobrze, w większości przypadków – to była prawda. Ale nie zawsze. Warren nigdy nie prowadził ożywionego życia towarzyskiego, wolał spędzać weekendy na nauce i pracy nad różnymi projektami. Był na balu maturalnym z koleżanką z klasy, z którą czasem się uczył, będącą jego żeńską odmianą. Powiedzieli, że chcą się przyjrzeć temu rytuałowi na zasadzie eksperymentu kulturowego, a po balu napisali esej na zajęcia z zaawansowanej psychologii, który wygrał konkurs ogólnokrajowy.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz – powiedziałam, a Warren gwałtownie odwrócił do mnie głowę, zapewne dlatego, że był kompletnie nieprzyzwyczajony do słyszenia czegoś takiego. Wiedziałam, że powinnam przestać, ale mimo to ciągnęłam dalej wrednym głosem, którego sama nienawidziłam.

– Musiałbyś najpierw mieć dziewczynę, żeby wiedzieć, jak to jest po zerwaniu.

Nawet w półmroku na werandzie zobaczyłam, że jego twarz lekko się zaczerwieniła i zgodnie z przewidywaniami pożałowałam swoich słów.

– Powinnaś wiedzieć – oznajmił Warren sztywno, przewracając kartki w podręczniku znacznie szybciej, niż byłby w stanie czytać – że na razie postanowiłem koncentrować się na nauce.

– Wiem – powiedziałam szybko, starając się jakoś zatrzeć złe wrażenie i żałując, że się w ogóle odzywałam.

– Nie ma sensu nawiązywać relacji z ludźmi, z którymi na dłuższą metę nie wejdzie się w związek – ciągnął tym samym tonem.

Miałam przytaknąć i schować się w domu, ale coś w tym stwierdzeniu mi się nie spodobało.

– Ale skąd masz to wiedzieć? – zapytałam.

Warren podniósł wzrok i zmarszczył brwi.

– Co takiego?

– Powiedziałeś, że nie chcesz tracić czasu na ludzi, z którymi nie wejdiesz w dłuższy związek – przypomniałam, a on skinął głową. – Ale skąd wiesz, że tak nie będzie, jeśli nie spróbujesz?

Warren otworzył usta, ale nic nie powiedział. Widziałam oczami duszy, jak jego mózg pracuje intensywnie, a logika przyszłego prawnika szuka zadowolającej odpowiedzi. Zacerpnął oddech, żeby coś powiedzieć, ale tylko westchnął.

– Nie wiem – przyznał w końcu.

Zamierzałam pociągnąć temat, ale zmieniłam zdanie, kiedy popatrzyłam na mojego brata siedzącego w półmroku i czytającego książki, których treści nie potrzebował znać jeszcze przez całe miesiące, jeśli nie lata. Położyłam mazak na stole i podsunęłam mu, a on uśmiechnął się blado i wziął go do ręki. Z powrotem usiadłam na swoim miejscu, a Warren znowu pochylił się nad podręcznikiem, podkreślając istotne fragmenty, żeby na pewno niczego ważnego nie przeoczyć. Na zewnątrz nadal padał deszcz.

Rozdział trzynasty

pięć wakacji wcześniej

To nie była randka. Powtarzałam to sobie od chwili, kiedy Henry mnie zaprosił, tego dnia, kiedy wracaliśmy z basenu do domów, prowadząc rowery, z mokrymi ręcznikami na ramionach. Szliśmy tylko razem na film. To nic takiego.

Co nie tłumaczyło, dlaczego tak się denerwowałam, siedząc obok niego w ciemnym kinie. Praktycznie nie zwracałam uwagi na ekran, ponieważ nie byłam w stanie zapomnieć o obecności Henry'ego tuż koło mnie, za każdym razem, kiedy poprawiał się na czerwonym pluszowym siedzeniu, za każdym razem, kiedy oddychał. Jak nigdy dotąd zdawałam sobie sprawę z dzielącego nas oparcia fotela, zastanawiając się, czy powinnam położyć na nim łokieć i czy – jeśli to zrobię – Henry weźmie mnie za rękę.

Te wakacje bez Lucy okazały się mniej przykre, niż przypuszczałam, przede wszystkim dzięki Henry'emu. Spędziliśmy kilka pierwszych tygodni głównie razem, siedząc na plaży lub na basenie przez całe popołudnia albo

chodząc do lasu, jeśli Henry chciał mi pokazać jakiś kamień albo owada, które jego zdaniem były „niesamowite”. Kiedy padało, a nikt nie miał czasu podwieźć nas do Stroud Mall albo na kręgle w Pocono Lanes, siedzieliśmy w domku na drzewie. Czasem przychodził Elliot i graliśmy w wymyśloną przez niego trzyosobową odmianę pokera. Nie radziłam sobie z tą grą tak dobrze, jak z innymi grami w karty, ponieważ Henry z jakichś powodów zawsze wiedział, kiedy blefuję i nie chciał mi zdradzić, po czym to poznaje. Przyjaźń z Henrym, w odróżnieniu od przyjaźni z Lucy, nie obejmowała wymieniania się kosmetykami do makijażu, oglądania filmów o czirliderkach ani dzielenia się kolorami cukierków (odkryłam, że Henry jest barbarzyńcą i twierdzi, że w ogóle nie odróżnia smaków poszczególnych kolorów skittlesów). Nie miałam też z kim siedzieć godzinami w bibliotece nad starymi numerami magazynu „Seventeen”, starannie studiując każdą stronę. Mimo to dobrze się bawiłam w towarzystwie Henry’ego.

Ale coś zaczęło się zmieniać zeszłego tygodnia, na drewnianym pływającym pomoście na jeziorze. Był on na tyle duży, że mogło na nim siedzieć nawet dziesięć osób (choć ratownik dmuchał w gwizdek, jeśli zobaczył więcej niż pięć jednocześnie albo jeśli próbowało się tam wpychać). Przez całe popołudnie ścigaliśmy się po coraz bardziej skomplikowanych trasach. Po ostatniej z nich –

przepłynąć z pomostu na brzeg, przebiec przez plażę, okrążyć bar, wrócić przez plażę i dopłynąć z powrotem na pomost – byliśmy kompletnie wyczerpani. Leżeliśmy na pomoście, starając się złapać oddech, chociaż w pewnym momencie doszłam do wniosku, że Henry po prostu zasnął.

Żeby to sprawdzić, zaczęłam wyciskać na niego wodę z warkocza, starając się go obudzić. Albo naprawdę zasnął, albo umiał dobrze udawać, ponieważ nawet nie drgnął. Kiedy mój warkocz był prawie suchy od tego wyżymania, zaczerpnęłam dłonią wody i pozwoliłam kroplom ściekać po moich palcach na Henry'ego, który nadal się nie poruszył. Uznałam, że rzeczywiście zasnął, i zrobiło mi się trochę głupio, że tak się nad nim znęcam, więc zaczęłam ścierać z jego twarzy kropelki wody. Właśnie strzepywałam mu jedną z czoła, kiedy otworzył oczy i popatrzył na mnie. Znieruchomieliśmy oboje na moment, patrząc na siebie, a ja po raz pierwszy zauważyłam, że Henry ma ładne oczy. Nagle, zupełnie bez powodu, zapragnęłam, żeby mnie pocałował.

Ta myśl była tak nieoczekiwana, że natychmiast odsunęłam się od niego i zaczęliśmy gadać – oboje nieco za bardzo podnosząc głos – o jakichś nieważnych sprawach. Ale coś się zaczęło zmieniać i chyba oboje o tym wiedzieliśmy, ponieważ kiedy kilka dni później wracaliśmy do domu, prowadząc rowery, zapytał, czy mam ochotę wybrać się na film tylko z nim.

Teraz, siedząc w ciemnym kinie, starałam się patrzeć przed siebie, oddychać głęboko i uspokoić trzepoczące serce. Chociaż w ogóle nie śledziłam fabuły, zauważyłam, że wydarzenia na ekranie zmierzają ku końcowi. Właśnie zaczęło mnie ogarniać uczucie rozczarowania, połączonego ze ściskającym żołądek żalem, że tak się zawiodłam, kiedy Henry sięgnął poprzez oparcie i wziął mnie za rękę, splatając swoje palce z moimi.

W tym momencie wiedziałam, że wszystko się zmieniło. Henry i ja naprawdę byliśmy na pierwszej randce. Przestaliśmy być po prostu przyjaciółmi.

Rozdział czternasty

Poproszę... – Kobieta w jaskraworóżowej welurowej bluzie z kapturem zawahała się, patrząc na menu baru.

Zabębniła palcami o ladę, zastanawiając się nad wyborem. Choć od rana było pochmurno, miała na nosie śnieżnobiałą linię emulsji przeciwsłonecznej. – Pepsi light, małe frytki i kubek lodu – oznajmiła w końcu.

Odwrociłam się do Elliota, który stał przy grillu, trzymając zwisającą beczynną łopatkę. Cała jego uwaga była skoncentrowana na opasłej powieści, którą trzymał w ręku.

– Frytki! – krzyknęłam do niego, więc skinął głową i odłożył książkę. Wbijając na kasę zamówienie kobiety, wyjaśniłam: – Mamy tylko colę light, a za lód doliczamy piętnaście centów.

– Niech będzie. – Wzruszyła ramionami.

Popatrzyłam na kasę, sprawdzając, czy pamiętałam o uwzględnieniu podatku, czego nie robiłam przez pierwsze trzy dni w pracy. Kiedy Fred to zauważył, zrobił się jeszcze czerwieńszy niż zwykle, zrezygnował z wyjazdu na ryby i cały dzień przeglądał rachunki w biurze, mruczac coś do siebie.

– Pięć dziewięćdziesiąt pięć.

Kobieta podała mi sześć dolarów, które schowałam do kasy. Podałam jej pięciocentówkę, ale wrzuciła ją do prawie pustego słoika na napiwki.

– Dziękuję – powiedziałam. – Będzie gotowe za pięć minut.

Odwróciłam się do dystrybutorów napojów i zaczęłam nalewać jej colę, czekając z naciśnięciem guzika po raz drugi, aż piana opadnie. Pracowałam dopiero od tygodnia, ale udało mi się opanować podstawowe zasady.

Uznałam, że wolę znosić złe humory Lucy niż rozczarować mojego ojca i starałam się, jak mogłam. Opanowałam obsługę przerażającego ekspresu do kawy, niezbędnego do życia emerytom uprawiającym power walking, którzy zatrzymywali się na plaży punktualnie o dziewiątej trzydzięci, żeby wypić kawę bezkofeinową po swojej „rozgrzewce”. Metodą prób i błędów rozpracowałam działanie frytkownicy – w efekcie miałam teraz na ramieniu ciąg małych oparzeń w miejscach, gdzie prysnął tłuszcz, zanim nauczyłam się tego unikać. Rozpracowałam podstawowe zasady obsługi grilla, chociaż nie miałam jeszcze okazji wypróbować ich w praktyce.

– To dlatego, że jesteśmy na plaży – wyjaśnił mi Elliot trzeciego dnia, kiedy w chwili spokoju pokazywał mi działanie grilla. – Jeśli coś jesz na plaży, musisz pamiętać,

że piasek dostaje się wszędzie, a nikt nie ma ochoty na zapiaszczonego cheeseburgera.

Zastanowiłam się nad tym i skrzywiłam.

– Faktycznie.

– Nikt – powtórzył z naciskiem. – Możesz mi wierzyć.

Po tym, jak przepracowałam w towarzystwie Elliota kilka dni, stwierdziłam z zaskoczeniem, że go lubię. Obawiałam się, że stanie po stronie Lucy i będzie mnie ignorował z poczucia lojalności, ale nie zrobił tego, za co byłam mu wdzięczna. Cierpliwie pokazywał mi, jak mam wykonywać swoje obowiązki, i dobrze się z nim gadało, nawet jeśli potrafił trochę za daleko zapędzać się w niektórych tematach, szczególnie związanych z tym, co nazywał „hard science-fiction”. Dowiedziałam się już znacznie więcej, niż bym chciała, o jakimś serialu, w którym antagonistą był ktoś wyglądający jak złowrogi Muppet.

– Rozumiesz? – zapytał, przewracając kotlet ogromną metalową łopatką. Zawirował nią w taki sposób, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie zaczął ostatnio oglądać *Koktajli*. Miałam nadzieję, że udało mi się uśmiechnąć z podziwem. – Ludzie kupują frytki, ponieważ są bezpieczne w pojemniku, ale burgery podajemy na talerzykach. A jeśli postawisz talerzyk na ręczniku, będziesz mieć piasek w burgerze. To nieuniknione.

W efekcie nauczyłam się robić burgery, nawet jeśli

prawdopodobnie nie miałam zbyt często wykorzystywać tej umiejętności. Dowiedziałam się, ile lodu należy wrzucać do napojów, jak obsługiwać kasę, jak otwierać bar rano i zamykać go wieczorem. Ale przede wszystkim dowiedziałam się, że Lucy potrafi być naprawdę pamiętliwa.

Oczywiście, wiedziałam o tym już wtedy, kiedy się przyjaźniłyśmy. To była słynna historia, kiedy przez kilka lat nie rozmawiały z Michele Hoffman, aż w końcu ktoś wprost je zapytał, o co się pokłóciły, i okazało się, że żadna z nich już tego nie pamięta. Lucy zawsze miała bardzo zdecydowane opinie na temat tego, co jest dobre, a co złe, ale po raz pierwszy to ja znalazłam się po stronie „zła”. Najczęściej zwyczajnie mnie ignorowała, a jeśli musiała, przekazywała mi instrukcje przez Elliota.

Po kilku zmianach w pracy stało się także jasne, że ma niedużą obsesję na punkcie chłopaków. Flirtowała bezczelnie z każdym choćby odlegle przystojnym klientem i zgromadziła więcej numerów telefonów do chłopaków, niż uznałabym za możliwe, gdybym nie była milczącym świadkiem tego procederu. Kiedy się przyjaźniłyśmy, obie byłyśmy nieśmiałe i nie umiałyśmy gadać z chłopakami, a chociaż chodziłam już z kilkoma, pod tym względem niewiele się zmieniłam. Lucy wyraźnie przez tych pięć lat pozbyła się jakiegokolwiek nieśmiałości. Kolegowała się z Elliotem i traktowała klientów (szczególnie mężczyzn)

z taką poufałością, że nasz milczący konflikt stawał się tym bardziej widoczny. Kiedy byłyśmy tylko we dwie, pracowałyśmy w absolutnej ciszy, ponieważ Lucy odzywała się do mnie tylko wtedy, kiedy naprawdę musiała. Zajmowała się swoją komórką albo jakimiś czasopismami, trzymając je pod takim kątem, żebym nie mogła jej czytać przez ramię ani zobaczyć, jakie odpowiedzi wpisuje w quizie w „Cosmopolitan”.

Ja wycierałam wtedy idealnie czyste blaty i patrzyłam na zegar, obliczając, ile czasu jeszcze musi minąć, zanim będę mogła wracać do domu. W tym milczeniu było jednak coś smutnego, szczególnie biorąc pod uwagę, że za dawnych lat, kiedy Lucy była moją przyjaciółką, nigdy nie brakowało nam tematów do rozmów. Jeśli moja mama zwracała uwagę, że usta nam się nie zamykają, Lucy zawsze odpowiadała to samo – że nie widzimy się przez większość roku, więc mamy dziewięć miesięcy do omówienia. Teraz, dla odmiany, milczałyśmy, a cisza była tak namacalna, że dałoby się ją chyba kroić nożem. Kiedy miałam zmianę z Lucy, stawałam się tak spragniona rozmowy, że w czasie swojej przerwy szłam do stanowiska ratowników, żeby pogadać z Lelandem. Trudno go było uznać za najbardziej interesującego rozmówcę na świecie, ponieważ większość jego odpowiedzi – nieważne, o czym była mowa – sprowadzała się do różnych odmian: „totalnie”,

„niesamowite” i „czuję to”.

Były jeszcze dwie ratowniczkę, Rachel i Ivy, które dyżurowały na zmianę z nim, ale obie chodziły już do college’u i trzymały się zwykle razem, zaglądając do baru tylko po butelkę wody albo colę light. Chociaż nie dawało się z nimi zaprzyjaźnić, ich obecność zdecydowanie mnie uspokajała, ponieważ nadal nie byłam przekonana, czy ktoś tak roztargniony jak Leland powinien dostawać pracę polegającą na zapewnianiu ludziom bezpieczeństwa.

Postawiłam na ladzie colę light, ciągle jeszcze musującą, i przykryłam ją plastikową pokrywką. Obok postawiłam kubeczek z lodem i przesunęłam do klientki, a Elliot nacisnął dzwonek, zawiadamiając mnie, że frytki są już gotowe. Wzięłam ciepły pojemniczek – zapach frytek sprawił, że zaburczało mi w brzuchu, chociaż była dopiero jedenasta – posoliłam szczerze i postawiłam je obok kubka z napojem. Kobieta zabrała je, rozmawiając przez komórkę, ale skinęła mi głową i podziękowała bezgłośnie, zanim wróciła na swój ręcznik.

Popatrzyłam na prawie pustą plażę i przestąpiłam z nogi na nogę, próbując się trochę rozgrzać. W tak pochmurny dzień mieliśmy jak dotąd tylko troje klientów. Lucy także miała teraz zmianę, ale jakieś pół godziny temu wyszła zadzwonić i jeszcze nie wróciła. Potarłam dłońmi ramiona, żałując, że nie narzuciłam na służbowy T-shirt bluzy od dresu, tak jak zrobili to Elliot, Lucy, a nawet

Leland, wyraźnie mądrzejsi pod tym względem ode mnie.

Gdybym przyjeżdżała do pracy na rowerze, tak jak Elliot i Lucy, na pewno założyłabym dres, ale ciągle jeździłam samochodem, chociaż matka powtarzała mi, że to bardzo niewygodne, że jeden samochód cały dzień tkwi beczynnie na parkingu przy plaży. Chociaż tata przygotował dla mnie stary rower matki, na razie nie ruszałam go z garażu. Nie byłam pewna, czy da się zapomnieć, jak się jeździ na rowerze, ale nie spieszyło mi się, żeby to sprawdzać.

– Zimno ci? – Podniosłam głowę i zobaczyłam Elliota, który podciągnął się, żeby usiąść koło mnie na ladzie.

– Troszeczkę – odparłam. Wypiłam łyk gorącej czekolady, którą naszykowałam sobie rano, ale okazało się, że nie jest już na tyle ciepła, żeby to coś pomogło.

– Pewnie tam coś znajdziesz. – Elliot wskazał pudło pod ladą.

– No nie wiem – powiedziałam z powątpiewaniem, wyciągając pudło z rzeczami znalezionymi. Przez ten tydzień, odkąd tu pracowałam, zdążyłam je całkiem dobrze poznać. Nawet teraz, na początku wakacji, pudło było już pełne po brzegi, a przeglądając je, zdumiewałam się, co ludzie potrafią zgubić. Jak można schodząc z plaży nie zauważyć, że zgubiło się stanik od kostiumu kąpielowego? Albo lewy męski kłapek w rozmiarze 45? Jedyłą ciepłą rzeczą, jaką znalazłam w pudle, była

koszmarna biała bluza od dresu z zielonym napisem: *Nauczyciele robią to z klasą!*

Elliot skinął głową z aprobatą.

– Będzie świetne – powiedział.

Bluza nie wydawała mi się szczególnie świetna, ale w tym momencie wiatr przybrał na sile, a ostatnia dwójka plażowiczów wstała i zaczęła składać koc. Zadrżałam znowu, więc zaczęłam wciągać bluzę przez głowę.

– Słyszałem, że widziałas się już z Henrym – odezwał się Elliot.

Zamarłam, zastanawiając się, czy mogę tak zostać aż do momentu, kiedy wymyślę, co mu odpowiedzieć. Uznałam jednak, że nie mogę chować się w bluzie od dresu, jeśli nie chcę sprawiać wrażenia kompletnej wariatki. Precisnęłam głowę przez wycięcie na szyję i przygłodziłam włosy, starając się bezskutecznie nie zarumienić. Nie miałam pojęcia, czemu nie przyszło mi do głowy, że Elliot i Henry nadal się przyjaźnią. Zastanawiałam się, o którym z kompromitujących dla mnie spotkań Elliot już słyszał – czy może dostał wyczerpującą listę?

– No, tak – przyznałam, starannie wpychając pudło z rzeczami znalezionymi pod ladę. – Kilka razy.

Popatrzyłam na Elliota, zastanawiając się, jak skłonić go do zdradzenia mi, co Henry powiedział o naszych spotkaniach, bez pytania wprost.

– No więc... – zaczęłam i urwałam, bo uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, jak zadać takie pytanie i nie zabrzmieć żałośnie albo zaborczo. Musiałam też pamiętać, że Henry może się dowiedzieć o tej rozmowie. – Nieważne – mruknęłam, oparłam się o ladę i pociągnęłam długi łyk zimnej już czekolady.

– Myślę, że jest teraz kompletnie zdezorientowany. – Elliot potrząsnął głową. – A ten gość nie umie sobie z tym radzić.

Skinęłam głową, jakby to było najzupełniej zrozumiałe, zastanawiając się jednocześnie, co to dokładnie znaczy, i żałując, że nie mogę zapytać Elliota wprost. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, wydarzyły się niemal jednocześnie dwie rzeczy: Lucy wpadła przez drzwi dla pracowników, a w oknie pojawiła się czerwona twarz Freda.

– Kurczę, zamarzam! – oznajmiła Lucy. Popatrzyła na mnie i na moją bluzę, a potem podniosła brwi. Fred postawił pudełko z przynętą na ladzie tak energicznie, że wszyscy podskoczyliśmy.

– Cześć, Fred – powiedział Elliot, zeskoczył z blatu (na którym nie powinniśmy siedzieć) i, zapewne po to, żeby sprawiać wrażenie czymś zajętego, zaczął poprawiać paczki czipsów na półkach.

– Cześć. – Lucy schowała komórkę do tylnej kieszeni dżinsów i swobodnie oparła się o blat, jakby w ogóle nie

wychodziła. – Jak tam ryby?

– Nie biorą – oznajmił Fred z westchnieniem. – Chyba się na mnie uwzięły. – Wskazał mnie palcem. – Jesteś gotowa na piątek?

Popatrzyłam na niego, czekając, aż te słowa nabiorą jakiegokolwiek sensu.

– Piątek? – zapytałam.

– Kino pod Gwiazdami – wyjaśnił Fred, a ja usłyszałam wyraźnie wielkie litery na początku wyrazów. – Mówiłem ci o tym pierwszego dnia. Będziesz to prowadzić. Pierwszy seans jest w ten piątek. – Położył na ladzie stos plakatów. Kino pod Gwiazdami polegało na wyświetlaniu filmów raz w miesiącu na plaży, na wielkim ekranie ustawionym tuż nad wodą. Ludzie przychodzili z kocami i leżakami i – zgodnie z nazwą – oglądali filmy pod gwiazdami. Kiedy byłam młodsza, przyszedłam kilka razy na taki pokaz, ale zwykle wybierano stare filmy, które mnie w ogóle nie interesowały.

Patrzyłam na plakaty znacznie dłużej niż potrzebowałam na przeczytanie tytułu filmu – *Co z tym Bobem?* – a także na daty i godziny. Fred wspominał o tym, ale spodziewałam się czegoś więcej niż tylko uprzedzenia mnie na trzy dni przed faktem.

– Dobra – powiedziałam. – To co dokładnie mam robić?

– Widzisz, po zeszłych wakacjach jesteśmy w trudnej

sytuacji – wyjaśnił Fred. Oboje z Lucy popatrzyli na Elliota, który zrobił się czerwony jak burak.

– Pozwolicie mi wybierać filmy – powiedział obronnym tonem. – Jeśli chodziło wam o konkretne filmy, trzeba mi było powiedzieć.

– Na koniec mieliśmy bardzo, ale to bardzo niską frekwencję – oznajmił Fred. – Naprawdę bardzo niską. Dlatego zależy nam na filmach, które przyciągną ludzi. Filmach dla całej rodziny – dodał, rzucając Elliotowi złowrogie spojrzenie. – Pierwszy jest już ustalony, ale chciałbym, żebyś wybrała dwa pozostałe. Poza tym zajmij się rozwieszeniem plakatów w mieście, chociaż pozostali mogą ci w tym pomóc – zakończył, podsuwając mi stertę plakatów.

– Aha – powiedziałam. To nie brzmiało szczególnie przerażająco. – Jasne.

– Doskonale. – Fred zabrał pudełko z przynętą, popatrzył na prawie pustą plażę i potrząsnął głową. – Nie musimy mieć trzech osób na dyżurze, skoro praktycznie nie ma klientów. Dwoje z was może wracać do domu, sami ustalcie, kto to będzie. – Skinął głową, odwrócił się i poszedł w stronę parkingu.

Kiedy tylko zniknął, Lucy spojrzała na mnie i Elliota.

– Nie ja – powiedziała szybko.

Elliot zawtórował jej, zanim zdążyłam zaczerpnąć oddech.

– Nie ja.

– No to chyba ja zostanę. – Wzruszyłam ramionami.

Tak właściwie nie miałam nic przeciwko, ponieważ samotność niewiele się różniła od pracy z Lucy – było równie cicho, tylko znacznie mniej stresująco.

– Nie przejmuj się tymi filmami – powiedział Elliot, kiedy Lucy wyminęła go i podeszła do wieszaków, na których zostawialiśmy nasze rzeczy. – To nic takiego straszego.

– Nie przejmuję się – odparłam. – To będzie chyba wykonalne. Ale, no, co takiego stało się w zeszłym roku?

Elliot znowu poczerwieniał, a Lucy wróciła i nie odrywając wzroku od komórki powiedziała:

– Fred pozwolił Elliotowi wybrać filmy.

Po raz pierwszy od czasu naszej konfrontacji na początku zwracała się bezpośrednio do mnie, więc tylko skinęłam głową, nie chcąc naruszać delikatnej równowagi, jaka miała szansę się wytworzyć.

– Powiedział „wakacyjne kino” – oznajmił Elliot urażonym tonem. – Powiedział „związane tematycznie z plażą”. Więc...

– Wybrał *Szczęki* – dokończyła Lucy, potrząsając głową i nadal patrząc na komórkę zamiast na mnie. – Do wyświetlania na plaży, tuż nad wodą. Jednego dzieciaka trzeba było wynieść, bo dostał ataku płaczu.

Elliot odchrząknął.

– W każdym razie – stwierdził bardzo głośno. – Chodzi o to, że...

– A potem – ciągnęła Lucy, rzuciwszy mi przelotne spojrzenie, zanim znowu skoncentrowała się na komórce – wybrał jakiś koszmarny film science-fiction, o którym nikt nie słyszał...

– *Diuna* to klasyka! – oznajmił z ogniem w głosie Elliot, chociaż zauważyłam, że czerwienił się bardziej niż wcześniej. – Poza tym nie ma w niej żadnych rekinów, czyli postąpiłem dokładnie tak, jak chciał tego Fred!

– Potwory w piasku – powiedziała z kamiennym spokojem Lucy. – Przypominam... Jesteśmy na plaży. Znowu wnoszono płaczące dzieci.

– Ale lekcja, jaką wszyscy możemy z tego wynieść – zaczął Elliot – jest taka, że...

– A trzeci film? – Lucy potrząsnęła głową. – Do pokazania widowni złożonej z dzieciaków i ich rodziców?

– Słuchaj – Elliot zwrócił się do mnie, jakby szukał kogoś, kto go weźmie w obronę. – Ponieważ te dwa pierwsze pomysły okazały się nieakceptowalne, poszukałem w internecie najpopularniejszych filmów wakacyjnych. I mimo to okazało się, że poniosłem porażkę.

Spojrzałam na Lucy, która znowu potrząsnęła głową.

– *Dirty Dancing* – wyjaśniła. – Nieszczególnie się spodobało mamom sześciolatków.

– No właśnie – wtrącił Elliot tonem kogoś, kto marzy o zmianie tematu. – Dlatego, jak będziesz wybierać film, zapytaj najpierw o zdanie Freda. No i nie rozgaduj się podczas wprowadzenia, to wszystko będzie dobrze.

– Wprowadzenia? – zapytałam i poczułam, że dłonie zaczynają mi się pocić. – Jakiego wprowadzenia?

– Cześć wam! – zawołała Lucy, pomachała barowi jako takiemu, zarzuciła torebkę na ramię i wyszła. Elliot odprowadził ją wzrokiem i jeszcze przez chwilę wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknęła.

– Elliot? – przypominałam, a on szybko odwrócił się do mnie i poprawił okulary. Zauważyłam już, że robił to, kiedy był czymś zakłopotany albo zawstydzony. – Jakie wprowadzenie?

– A, tak – odparł. – To nic takiego, słowo. Musisz tylko wyjść na środek, powiedzieć parę słów o filmie i poinformować ludzi, do której będzie czynny bar. Łatwizna.

Skinęłam głową i spróbowałam się uśmiechnąć, kiedy wychodził, ale serce waliło mi jak młotem i zastanawiałam się, czy nie znalazłam właśnie dobrego pretekstu, żeby zrezygnować z tej pracy. Odkąd pamiętam, nienawidziłam publicznych wystąpień. Potrafiłam rozmawiać z jedną czy z dwoma osobami, ale kiedy robiło się ich dużo, kompletnie się rozsypywałam – zaczynałam się jąkać, pocić i trząść. Dlatego unikałam takich

wystąpien, jeśli tylko mogłam, i naprawdę nie miałam pojęcia, jak miałoby mi się udać wygłoszenie wprowadzenia do tłumy ludzi zaledwie za trzy dni.

Reszta popołudnia upłynęła leniwie, pojawiło się tylko dwóch klientów po gorące napoje. Kiedy wskazówka zegara nad mikrofalówką zaczęła się zbliżać do godziny piątej, zaczęłam przygotowywać bar do zamknięcia – przetarłam blaty, podsumowałam kasę, zebrałam paragony, wyczyściłam i wyłączyłam ekspres do kawy. Miałam właśnie zaciągnąć żaluzję i zamknąć ją, kiedy usłyszałam:

– Chwileczkę! Czy jeszcze jest otwarte?

Chwilę później do okienka podbiegł czerwony na twarzy (choć nie w takich kategoriach, jak Fred) facet w średnim wieku, niosący na barana małego chłopczyka.

– Przepraszam – wysapał, stawiając synka na podłodze i opierając się o ladę, żeby złapać oddech. – Spieszyliśmy się, żeby zdążyć przed piątą. – Dzieciak, który ledwie sięgał głową do okienka, popatrzył na mnie poważnym wzrokiem. – Curtis zgubił łopatkę, o ile pamiętam, macie tu rzeczy znalezione?

– Aha – odparłam, lekko zaskoczona, ale mimo to z ulgą, że nie oczekują ode mnie włączenia z powrotem całego sprzętu i przygotowania koktajlu mlecznego albo frytek. – Jasne. – Wyciągnęłam pudełko i postawiłam je na ladzie.

Ojciec i syn zaczęli przeglądać rzeczy, a kiedy na nich patrzyłam, buzię chłopca rozjaśnił szeroki uśmiech. Z triumfem wyjął z pudła czerwoną plastikową łopatkę.

– Bardzo dziękuję – powiedział jego tata, wsadzając go sobie bez trudu z powrotem na barana. – Nie wiem, co byśmy bez tego zrobili.

Uśmiechnęłam się tylko i skinęłam głową, kiedy odchodzili, a potem jeszcze raz spojrzałam do pudła, stawiając je na podłodze. Pomyślałam, że każda z tych rzeczy, porzuconych i zapomnianych, była kiedyś ważna dla osoby, do której należała. A chociaż tego nie mogłam zobaczyć, wystarczyło, że ktoś odnalazł swoją własność, by powróciła ona do dawnej wartości. Zdjęłam bluzę z napisem *Nauczyciele robią to z klasą!*, złożyłam ją starannie, schowałam z powrotem do pudła i zamknęłam bar.

Rozdział piętnasty

Nie dam rady.

Stałam przed barem koło Elliota i patrzyłam na tłum ludzi, którzy zgromadzili się na plaży i zajęli miejsca przodem do stojącego tuż nad wodą ekranu, rozkładając w zapadającym zmierzchu ręczniki i koce. Nad naszymi głowami zaczęły się pojawiać gwiazdy, księżyc był prawie w pełni i wisiał nad jeziorem, odbijającym jego tarczę. To była idealna noc na oglądanie filmu pod gołym niebem, ale ja miałam wrażenie, że zaraz dostanę zawału.

– Wszystko będzie dobrze – odparł Elliot tonem, który na pewno w jego mniemaniu miał mi dodać otuchy, ale zabrzmiał jak jego zwykły głos, tylko bardziej ponuro. Popatrzył na Lucy, która marszczyła brwi nad maszyną do popcornu, czekającą na włączenie. – Prawda?

– Dobra, nie mam pojęcia, jak to ma działać – oznajmiła, szturchając palcem metalowe coś na wierzchu maszyny. Odwróciła się do Elliota. – A ty?

– Mówię serio – powiedziałam i sama usłyszałam, że mój głos jest lekko zduszony. Oparłam się ciężko o ladę okienka, a chociaż byłam całkowicie pewna, że Lucy

przewraca oczami pod moim adresem, nie obchodziło mnie to. Byłam całkiem pewna, że zaraz zemdleję, co, biorąc pod uwagę okoliczności, byłoby nie najgorszym wyjściem. Gdybym zemdląca, nie musiałabym wygłaszać wprowadzenia do filmu.

– W porządku? – Elliot spojrzał na mnie. – Jesteś lekko zielonkawa.

– Taylor!

Popatrzyłam na plażę i zobaczyłam moją matkę, która machała do mnie. Nasza rodzina rozłożyła się dokładnie na środku plaży, na ogromnym białym kocu plażowym. Gelsey rozmawiała z tatą, wyciągniętym na kocu – twierdził zawsze, że leżaki są dla mięczaków i staruszków. Obok niego Warren czytał książkę, podświetlając tekst latarką. Uparli się wszyscy, żeby tu przyjść, chociaż próbowałam ich nakłonić do zmiany zdania. Czułam się trochę zawstydzona, kiedy moja matka się nad tym rozwodziła – co tylko podkreślało, jak niewiele okazji mieli rodzice, żeby się chwalić moimi osiągnięciami. Od zawsze chodziliśmy na występy Gelsey i chyba nie opuściliśmy ani jednego konkursu odtwarzania procesów sądowych ani uroczystości, na której Warren otrzymywał kolejną nagrodę za wybitne wyniki w nauce. Ale ja, poza oczywistymi rzeczami w rodzaju rozdania świadectw w gimnazjum, nie uczestniczyłam nigdy w żadnej imprezie tego typu.

Pomachałam do matki, zastanawiając się, ile by kosztowało przekupienie Warrena, żeby mnie zastąpił. On nie miał problemów z wystąpieniami publicznymi i bez zająknięcia wygłaszał wszelkie przemowy w imieniu uczniów na zakończenie roku.

– Nie masz jakiejś instrukcji? – Elliot pochylił się, żeby przyjrzeć się maszynie, którą Lucy nadal oglądała z powątpiewaniem.

– Możesz mnie zastąpić? – zapytałam go rozpaczliwie. – Bo ja chyba zaraz zemdleję.

– Nie. – Lucy natychmiast potrząsnęła głową. – Fred nie chce, żeby pokazywał się ludziom na oczy, no wiesz, na wypadek, gdyby przypomnieli go sobie z poprzednich wakacji i uciekli.

Ponieważ Fred popłynął na ryby, pomyślałam, że nie musiałby się wcale o tym dowiedzieć, ale nie odezwał się słowem. Nie zamierzałam prosić o pomoc Lucy – wiedziałam, że by odmówiła – więc tylko skinęłam głową i spróbowałam przełknąć ślinę, a potem spojrzałam na trzymane w rękę notatki. Znalazłam w Internecie potrzebne informacje na temat filmu, ale starannie zapisana lista wyszczególniająca różne fakty nagle zaczęła mi się wydawać mało przydatna.

Pojawił się Leland, który miał obsługiwać dzisiaj projektor.

– No to jak tam? – zapytał. – Możemy zaczynać?

Z paniką popatrzyłam na zegar w barze. Myślałam, że mam więcej czasu, żeby się zastanowić, co mam powiedzieć, a przy okazji przypomnieć sobie, jak się oddycha, ale dochodziło już wpół do dziewiątej. Zauważyłam, że Lucy patrzy na mnie i unosi brwi, jakby chciała mnie sprawdzić.

– Dobra – powiedziałam, chociaż jakaś część mnie zastanawiała się, czemu to mówię, skoro czuję się, jakbym w każdej chwili mogła zwymiotować.

– Super. – Leland powędrował kołyszącym się krokiem do prowizorycznej kabiny projekcyjnej na końcu plaży.

– No to powodzenia. – Elliot szedł obok, kiedy wlokłam się przez plażę. – Nie zapomnij powiedzieć ludziom, kiedy będzie następny pokaz. I że bar będzie czynny jeszcze tylko przez pół godziny. A, i że prosimy o wyłączenie komórek.

– Jasne – mruknęłam, czując, że kręci mi się w głowie, a serce tłucze się tak mocno, że chyba muszą je słyszeć siedzący najbliżej ludzie.

– Złam kark. – Elliot szturchnął mnie lekko, ponieważ wciąż nie ruszałam się z miejsca.

– Jasne – powtórzyłam. Odetchnęłam głęboko i zmuszałam się do stawiania nogi za nogą, aż stanęłam przed ekranem.

– Witam – zaczęłam, ale mało kto na mnie patrzył. Wydawałoby się, że powinno mi to dodać otuchy, jednak

nic nie pomogło, bo znaczyło tylko, że muszę mówić głośniej. – Witam – powtórzyłam donośniej i zobaczyłam, że ludzie odwracają do mnie głowy i patrzą wyczekująco. Gdzieś na środku widowni mój brat zgasił latarkę. – Yyy, jestem Talor. Edwards. I pracuję w barze. – Popatrzyłam na trzymane notatki, które lekko drżały, i w przedłużającej się ciszy poczułam, że ogarnia mnie panika. – Witam państwa w kinie. Pod gwiazdami – zdołałam w końcu wykrztusić. Podniosłam głowę i zobaczyłam morze oczu gapiących się na mnie, a panika zawładnęła mną na dobre. Czułam krople potu spływające mi z czoła. – Dzisiaj będzie *Co z tym Bobem?* Z... Billem Murrayem – dodałam, chwytając się jednego z zapisanych wcześniej punktów. – Z 1991. Stara szkoła. Komedia. Klasyczna. – Pragnęłam tylko uciec, ale z jakichś straszliwych powodów miałam wrażenie, że ktoś mnie przykleił w tym miejscu. Od strony baru usłyszałam *cichepop-pop-pop* i jakaś jeszcze działająca część mojego mózgu pomyślała, że Lucy musiała sobie poradzić z maszyną do popcornu.

– Więc... – znowu popatrzyłam na ludzi, z których większość przyglądała mi się teraz sceptycznie. Moja rodzina była wyraźnie zaniepokojona, a z tyłu, koło budki projekcyjnej, tak wyraźnie, jakby oświetlał ich reflektor, zauważyłam Henry’ego i Davy’ego. Henry patrzył na mnie ze współczuciem, które z jakichś powodów wydawało mi się gorsze niż zgroza na twarzy Warrena. Znowu

spojrzałam na notatki, ale zaczęły mi się rozmazywać przed oczami. Nie mogłam wykrztusić ani słowa, czułam tylko przeciągającą się ciszę i narastającą we mnie panikę. Byłam przekonana, że za moment naprawdę się rozplaczę.

– Dlatego dziękujemy bardzo za przybycie! – Stał się cud i koło mnie stanął Elliot, uśmiechając się do ludzi, jakby nic się nie stało. – Bar będzie otwarty jeszcze przez pół godziny, więc nie zapomnijcie o popcornie. Prosimy też o wyłączenie wszystkich telefonów komórkowych. Zapraszamy na film!

Rozległy się słabe oklaski, a chwilę później na ekranie pojawiło się standardowe ostrzeżenie FBI. Elliot odciągnął mnie w kierunku baru, a moje nogi trzęsły się tak bardzo, że myślałam, że zaraz się przewrócę.

– Chyba powinienem był ci uwierzyć, kiedy mi mówiłaś, że nie radzisz sobie z wystąpieniami publicznymi. – Elliot rzucił mi współczujące spojrzenie, które miało mnie podnieść na duchu, ale sprawiło tylko, że poczułam się jeszcze gorzej. Wiedziałam, że powinnam machnąć na to ręką, obrócić w żart, a przynajmniej podziękować mu za interwencję i ratunek. Zamiast tego czułam, że ogarnia mnie wstyd, a to, że Elliot wprost przyznawał, że wypadłam fatalnie, nie pomagało.

– Dzięki – mruknęłam, nie patrząc mu w oczy. Wiedziałam, że muszę się stąd wydostać tak szybko, jak to

możliwe.

– Taylor? – usłyszałam za sobą głos Elliota, wyraźnie zdziwionego, ale nie obchodziło mnie to. Przeszłam jak najszybciej obok widowni, śmiejącej się teraz z wygłupów Billa Murraya, i skierowałam prosto na parking. Pojadę do domu, a z samego rana zadzwonię do Jillian i powiem jej, że rezygnuję.

– Gdzieś się wybierasz?

Odwróciłam się gwałtownie i zobaczyłam Lucy, stojącą przy śmietniku z torbą śmieci w ręku. Wrzuciła ją do środka i popatrzyła na mnie, krzyżując ramiona na piersi.

– Nie – zająknęłam się, zastanawiając się, czemu czuję się, jakby mnie ktoś przyłapał na gorącym uczynku, skoro i tak zamierzam rano zrezygnować. – Ja tylko...

– Bo wiesz, to by było wyjątkowe świństwo, gdybyś zostawiła mnie i Elliota z całą tą robotą. Poza tym chyba twoja rodzina tu jest? – Lucy patrzyła na mnie nieustępliwie, jakby czekała tylko, żebym jej zaprzeczyła. Nie mogłam nie zauważyć, że kiedy już zdecydowała się ze mną porozmawiać, zrobiła to tylko dlatego, żeby podkreślić, jaką okropną osobą jestem. – Ale jestem przekonana, że chcesz tylko wziąć coś z samochodu – kontynuowała, z trzaskiem opuszczając pokrywę śmietnika. – Bo byłoby naprawdę okropne, gdybyś się zawinęła i pojechała sobie bez żadnego wyjaśnienia, zostawiając czekających na ciebie ludzi.

– Nawet w półmroku parkingu, chociaż zapadła już praktycznie noc, widziałam urazę w oczach Lucy i wiedziałam, co ma na myśli. Nie chodziło jej o to, co się wydarzyło przed chwilą.

– Ja... – zaczęłam z poczuciem, że każde słowo stanowi dla mnie wyzwanie, jakby mówienie przypominało bieg przez przeszkody. – Ja wiem, że sobie fatalnie poradziłam – wydusiłam w końcu. – Nie wiem, jak mam tam wrócić.

Lucy odetchnęła głęboko i potrząsnęła głową.

– Taylor, nic się nie stało – powiedziała znacznie łagodniej niż kiedykolwiek wcześniej w te wakacje. – Nikogo to nie obchodzi. Nikt tego nie zapamięta. – Uśmiechnęła się do mnie blado, a potem odwróciła się i poszła do baru. Popatrzyłam na samochód, ale straciłam już przekonanie, że ucieczka stąd jakkolwiek mi pomoże. Co więcej, miałam wewnętrzne przeświadczenie, że poczułabym się wtedy jeszcze gorzej.

Dlatego obróciłam się i wróciłam do baru, wchodząc przez wejście dla pracowników. Elliot, który sprzedawał komuś dwie cole i popcorn, powitał mnie uśmiechem. Zająłam się ustawianiem równo kubeczków, ale klienci najwyraźniej w ogóle mnie nie dostrzegali, a już na pewno nie pamiętali, że to ja zawałam kompletnie wprowadzenie do filmu.

Stojąca przy maszynie do popcornu Lucy popatrzyła na

mnie, i skinęła głową ledwie dostrzegalnie, tak że bardzo łatwo byłoby to przeoczyć, gdyby się na nią nie patrzyło akurat w tej chwili.

Pół godziny później zamknęliśmy bar, a ludzie na plaży doskonale się bawili. Obraz tylko dwa razy stracił ostrość, co – jak powiedział mi Elliot – było znacznie lepszym wynikiem niż dokonania Lelanda w zeszłym roku.

Lucy zniknęła kilka minut temu, a teraz wyłoniła się z łazienki ubrana w dżinsową minispódniczkę i z jeszcze mocniejszym makijażem niż zwykle.

– Rany – powiedział Elliot, a ja szarpnęłam kłódkę, żeby sprawdzić, czy jest zamknięta. – Znaczy, no wiesz. Gdzie się... no... wybierasz?

– Na gorącą randkę – odparła Lucy, kiedy zadzwoniła jej komórka. Wyciągnęła ją i uśmiechnęła się po przeczytaniu SMS-a tak szeroko, że na jej policzku pojawił się dołeczek. – Do zobaczenia – rzuciła i na moment spojrzała na mnie, a potem odwróciła się i poszła na parking. Zauważyłam, że po raz pierwszy zostałam uwzględniona w jej pożegnaniu.

Elliot patrzył za nią z tęsknym wyrazem twarzy, a ja jeszcze raz szarpnęłam kłódkę, chociaż była solidnie zamknięta.

– Zostajesz na resztę filmu? – zapytałam, a Elliot

spojrzał na mnie i pospiesznie poprawił okulary.

– Nie – odparł. – Wolę oglądać filmy od początku i chyba za dużo już straciłem.

Machnęłam swoimi notatkami.

– Mam tutaj dokładny opis fabuły, gdybyś chciał. Prosto z Wikipedii.

Elliot uśmiechnął się lekko.

– Mimo wszystko dzięki. Do zobaczenia jutro.

Skinęłam głową, a kiedy za nim patrzyłam, pomyślałam, że rzeczywiście zobaczymy się jutro. Że zostanę i chyba po raz pierwszy nie ucieknę, mimo że natrafiłam na jakieś trudności.

Wzięłam do ręki klapki i podeszłam do mojej rodziny, starając się pochylać i nie zasłaniać innym widoku. Zająłam miejsce na kocu koło taty. Moja mama siedziała z przodu, plecami do mnie, obok Gelsey, która rozciągała się, nie przerywając oglądania filmu. Książka Warrena leżała obok niego, a on sam był najwyraźniej całkowicie zaabsorbowany fabułą, ponieważ nie odrywał wzroku od ekranu i nie zauważył nawet, że ma lekko otwarte usta. Rzuciłam klapki i strzepnęłam piasek z koca, zanim na nim usiadłam. Kiedy skończyły mi się tego rodzaju zajęcia, popatrzyłam na tatę, którego twarz, oświetlona księżycem i migającym blaskiem ekranu, nie była rozczarowana ani potępiająca. Nie widziałam nic z tego, czego się wcześniej obawiałam.

– Poradzisz sobie następnym razem, mała – powiedział, wyciągnął rękę i potargał moje włosy. Z uśmiechem skinął głową w stronę ekranu. – Widziałaś już ten film? Jest naprawdę zabawny. – Wrócił do oglądania, śmiejąc się na widok Billa Murraya przyczepionego do masztu.

Podparłam się z tyłu na rękach i wyciągnęłam przed sobą nogi, a potem także skoncentrowałam się na filmie. Zanim się skończył, śmiałam się już na głos razem ze wszystkimi.

Rozdział szesnasty

Taylor, wstawaj, szkoda dania.

Jęknęłam nie tylko z powodu kiepskiego żartu ojca – kiedy byłam młodsza, przesłyszałam się i zapytałam tatę, ku jego ogromnej radości, o jakie danie chodzi i czy będzie na obiad – ale dlatego, że była niedziela rano. Miałam wolne i chciałam spać jak najdłużej.

– Nie – wymamrotałam w poduszkę.

– No chodź – poprosił ojciec. Usłyszałam zgrzyt metalu o metal, kiedy odsłaniał okno, a ozdobne kółka zasłon przesuwały się po żelaznym pręcie. W pokoju zrobiło się znacznie jaśniej.

– Czas wstawać.

– Co takiego? – zdziwiłam się, zaciskając oczy i nie rozumiejąc, co się dzieje. – Nie. Dlaczego?

– Niespodzianka – oznajmił i połaskotał mnie w podeszwy wystające spod kołdry. Ogarnął mnie niepowstrzymany chichot – zawsze w tym miejscu miałam okropne łaskotki. Schowałam stopy pod kołdrę i usłyszałam, że ojciec otwiera drzwi.

– Spotkamy się przed domem za pięć minut – zapowiedział. Staralam się trzymać oczy zamknięte

i ponownie zapaść w sen, który teraz wydawał mi się bardzo odległy, ale wiedziałam, że to na nic. Wpadające do pokoju światło oraz łaskotki sprawiły, że byłam już całkowicie obudzona. Otworzyłam oczy, usiadłam i spojrzałam na zegarek. Była dziewiąta. To tyle, jeśli idzie o dzień wolny.

Przyszłam wczoraj do pracy po filmowej klęsce i okazało się, że wszystko jest w porządku. Lucy była odrobinę mniej lodowata w stosunku do mnie i nikt nie wspominał, jak bardzo zawałam sprawę. Mimo to cieszyło mnie, że będę mogła spędzić dzień z dala od miejsca, w którym przeżyłam najnowsze upokorzenie. Zamierzałam spać do południa, a potem może poopalać się na pomoście i poczytać jakieś czasopismo. Najwyraźniej musiałam zapomnieć o moich planach.

Dziesięć minut później weszłam do kuchni, rzuciłam okiem na kalendarz i zobaczyłam, ile dni zostało już skreślonych – troszeczkę trudno było mi uwierzyć, że zaczął się czerwiec. Tata krążył po werandzie, zdecydowanie za bardzo energiczny jak na tak wczesną porę, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że ostatnio spał dość długo i zwykle wstawał już po moim wyjściu do pracy.

– Jaka niespodzianka? – Rozejrzałam się po werandzie, ale nie zobaczyłam nic poza moim ojcem i samochodami na podjeździe. Zaczęłam powoli dochodzić do wniosku, że

dałam się podpuścić.

– No cóż... – Tata zatarł ręce i uśmiechnął się. Zauważyłam, że ubrany był odrobinę mniej formalnie, zamiast zapinanej koszuli miał na sobie koszulkę polo i spodnie khaki, a także prastare miękkie półbuty. – To właściwie nie jest niespodzianka. Raczej wycieczka.

Popatrzyłam na niego.

– Wycieczka.

– Właśnie – potwierdził. – Wybierzemy się na śniadanie. – Popatrzył na mnie, wyraźnie czekając na jakąś reakcję, ale ja myślałam tylko, że jest naprawdę wcześniej, zostałam obudzona wbrew swojej woli i obiecano mi niespodziankę. – Potrzebujesz dobrego śniadania – oznajmił tata tonem, jakim zwykle przekonywał sędziego. – To może być wielki dzień. – Ponieważ nadal się nie ruszałam, uśmiechnął się do mnie. – Ja stawiam – dodał.

Dwadzieścia minut później siedziałam naprzeciwko ojca w Café Pocono, czyli restauracji, przy stoliku koło okna. Restauracja nie zmieniła się ani odrobinę przez czas mojej nieobecności. Była wykładana drewnianą boazerią, z czerwonymi kanapami pokrytymi popękana skórą. Śmietanka na stolikach była w butelkach jak od syropu, takich do wyciskania, a kiedy ja i Warren byliśmy młodszy, mogliśmy się bawić nią godzinami. Na ścianach wisiały oprawione w ramki zdjęcia, przedstawiające Lake Phoenix na przestrzeni lat, a to najbliżej nas prezentowało

chyba kandydatki z jakiegoś konkursu piękności – dziewczęta z włosami jak z lat czterdziestych, z szarfami na kostiumach kąpielowych i w butach na wysokich obcasach, uśmiechały się do obiektywu, ustawione równym rzędem na plaży.

– Co tu jest dobrego? – zapytał ojciec, otwierając ogromne menu w plastikowej okładce. Ja otworzyłam swoje i zobaczyłam, że nic się chyba nie zmieniło od mojej ostatniej wizyty, chociaż byłam całkowicie pewna, że ostatnie pięć lat przyniosło istotne odkrycia dotyczące cholesterolu i kwasów nasyconych. Możliwe, że właściciele uznali, iż umieszczenie w menu zdrowszych potraw zaszkodzi ich reputacji – tabliczka przy drzwiach zapowiadała przecież: Wchodzisz do środka. Wytaczasz się na zewnątrz.

– Wszystko jest dobre – powiedziałam szczerze, przeglądając różne połączenia jajek i wędlin. Codziennie tak późno wychodziłam do pracy, że zwykle jadłam po prostu po drodze jakiś batonik.

– Zamawiacie już? – Do naszego stolika podeszła kelnerka w średnim wieku, z okularami wiszącymi na łańcuszku na szyi i długopisem oraz notatnikiem. Na czerwonym firmowym T-shircie miała przypinkę z napisem Angela.

Ojciec zamówił małą porcję naleśników z jagodami i smażony bekon, a ja wzięłam to, co zawsze – omlet

Pocono, który wyróżniał się tym, że składał się głównie z jajek, różnych rodzajów mięsa i sera, bez jakichkolwiek warzyw.

Angela skinęła głową, zapisała nasze zamówienie i odeszła. Popatrzyłam na siedzącego naprzeciwko tatę i nagle poczułam się na właściwym miejscu.

To nie tak, że nigdy nie jadaliśmy razem, tylko we dwoje. Na pewno byliśmy na lodach więcej razy, niż potrafiłabym policzyć. Ale rzadko zdarzało się, żebyśmy sami jedli prawdziwy posiłek i szczerze mówiąc, jeszcze rzadziej miałam dla siebie jego niepodzielną uwagę – bez rodzeństwa i nieustannie wibrującego smartfona. Zastanawiałam się, czy to jest właściwy moment, żeby zrobić to, o czym myślałam, od kiedy pojechałam z nim do szpitala – żeby powiedzieć mu, że go kocham. Ale kiedy się wahałam, Angela wróciła z dzbankiem kawy i naląła nam dwa kubki, a ja poczułam, że właściwa chwila już minęła.

Tata wypił łyk kawy, skrzywił się, przełykając, otworzył szeroko oczy i unióśł brwi.

– Kurczę – powiedział ze śmiertelną powagą. – Chyba nie zasnę teraz przez następny tydzień.

– Taka mocna? – zapytałam. Wcisnęłam do swojej kawy śmietankę i zamieszałam cukier, a tata skinął głową. Lubiłam kawę, jeśli tylko doprowadziłam ją do tego, żeby w miarę możliwości nie smakowała kawą. Wypiłam

ostrożnie łyk i mimo tych dodatków poczułam, jaka jest mocna. – Dobra, teraz już się obudziłam – oznajmiłam, wciskając jeszcze trochę śmietanki, po części dlatego, żeby kawa stała się ciut słabsza, a po części dlatego, że ściskanie butelki było fajną zabawą.

Zamilkliśmy, a ja zaczęłam gorączkowo szukać jakiegoś tematu do rozmowy. Popatrzyłam na papierową podkładkę pod talerz i zobaczyłam, że są na niej wydrukowane reklamy lokalnych firm, a na środku coś zatytułowanego: *Rozrywka przy jedzeniu*. Składało się to z rebusa, sudoku i quizu z pięcioma pytaniami. Przyjrzałam się mu uważniej i zauważyłam, że nie chodzi w nim o jakieś ciekawostki z wiedzy ogólnej, tylko o sprawy osobiste: „Kim chciałbyś być, kiedy dorośniesz?”, „Jaka jest twoja ulubiona potrawa?”, „Jakie jest twoje najlepsze wspomnienie?”, „Gdzie najbardziej lubisz wyjeżdżać?”. To była chyba zabawa mająca na celu lepsze poznanie osoby, z którą się siedziało przy stole. A może należało zgadywać, co odpowiedziałyby druga osoba, a potem porównać odpowiedzi? Nie było żadnej instrukcji.

Podniosłam głowę i zobaczyłam, że tata także czyta swoją podkładkę.

– Jak myślisz? – skinął głową. – Spróbujemy?

Zanim przyniesiono nam jedzenie, zdążyliśmy już rozwiązać rebus i sudoku. Tata zajął się naleśnikami, a ja

zjadłam kęs omletu. Staralam się skoncentrować na tej serowo-mięsnej orgii w moich ustach, ale moje spojrzenie wracało do quizu. Czytając po raz kolejny pytania, uświadomiłam sobie, że nie wiem, co tata odpowiedziałby na którekolwiek z nich. A chociaż siedział naprzeciwko mnie, polewał syropem naleśniki i dawał kelnerce znak, że prosi o dolewkę kawy, wiedziałam – i nienawidziłam tej wiedzy – że w jakimś momencie, całkiem niedługo, nie będę już mogła o to zapytać. Dlatego musiałam poznać jego odpowiedzi na te pytania, które wydawały się jednocześnie całkowicie błahe i niesamowicie ważne.

– Dobra. – Odsunęłam odrobinę talerz i spojrzałam na pierwsze pytanie. – Jaki jest twój ulubiony film? – W tym momencie uświadomiłam sobie, że znam odpowiedź, więc razem powiedzieliśmy: – *Casablanca*.

– Masz rację. – Tata potrząsnął głową. – Nie do wiary, że żadne z mojego potomstwa jeszcze go nie widziało. To od pierwszej do ostatniej klatki film doskonały.

– Obejrzę go – obiecałam. Dawniej zapowiadałam to wiele razy, kiedy piłował mnie, że nie oglądałam tego filmu, ale teraz mówiłam serio.

– Z drugiej strony to film, który należałoby oglądać na wielkim ekranie – powiedział z namysłem. – Zawsze mi to powtarzano, ale sam nigdy nie miałem okazji zobaczyć tego w kinie.

– Uniósł brwi. – Znasz fabułę, prawda?

– Jasne – powiedziałam szybko, ale najwyraźniej nie dość szybko.

– To się dzieje na początku drugiej wojny światowej. – Tata usiadł wygodniej. – We francuskim Maroko, jeszcze niezajętym przez Niemców...

Kiedy skręciliśmy z powrotem w Dockside Terrace, byłam najedzona po uszy i znałam większość fabuły *Casablanki*. Tata wspominał z nostalgią muzykę w tym filmie, kiedy zauważyłam coś na naszym podjeździe.

– Tato! – wrzasnęłam ostro, a on nacisnął hamulec, tak że rzuciło mnie do przodu, napinając pasy, a potem znowu na siedzenie.

– Co? – zapytał, rozglądając się. – Co się stało?

Popatrzyłam przez okno samochodu i zobaczyłam psa, będącego czworonogim odpowiednikiem stalkera, który siedział na środku naszego podjazdu.

– To ten pies – wyjaśniłam. Wysiadłam z samochodu, zamykając drzwi. W blasku słońca pies wyglądał na bardziej brudnego niż zwykle i po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy pomimo obroży nie jest przypadkiem bezpański. Pomachał ogonem, kiedy do niego podeszłam, co mnie zaskoczyło, ponieważ do tej pory nie odnosiłam się do niego szczególnie przyjaźnie. Może ten pies miał nadzwyczajną zdolność wybaczenia – albo, co bardziej prawdopodobne – wyjątkowo krótką pamięć.

Wsunęłam palce pod obrozę i odciągnęłam go na bok, z drogi samochodu. Tata przejechał koło nas.

– Czy to ten sam pies, co poprzednio? – zapytał, a ja skinęłam głową i podeszłam do domu. Zgodnie z moimi przewidywaniami pies pobiegł za mną, tak bardzo szczęśliwy z powodu znalezienia się w Ziemi Obiecanej – czyli na podjeździe – że prawie podskakiwał.

– Owszem – powiedziałam. Pies zatrzymał się, kiedy ja się zatrzymałam, usiadł przy mojej nodze, a ja pochyliłam się, żeby obejrzeć identyfikator przy obroży. Miałam nadzieję, że na podrapanej złotej blaszce znajdę adres albo numer telefonu i dowiem się, gdzie mogę go wreszcie zostawić, ale zobaczyłam tylko imię *Murphy*. To zabrzmiało znajomo, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć, dlaczego. – To ten sam.

– Nie ma adresu? – zapytał ojciec, pochylając się powoli i krzywiąc. W końcu udało mu się przykucnąć koło psa.

– Ani adresu, ani właściciela – powiedziałam. – Tylko imię, *Murphy*. – Pies, słysząc to, przestał się drapać i usiadł prosto.

– Cześć, mały – powiedział miękko tata. Położył rękę na psim łbie i podrapał go za uszami. – Powiem ci tak w zaufaniu – odezwał się do psa – że nie pachniesz najlepiej.

– No to co z nim zrobimy? – zapytałam. Wiedziałam

ngliście, głównie z programów telewizyjnych, o istnieniu schronisk dla zwierząt i gabinetów weterynaryjnych, ale nigdy nie byłam w żadnym z takich miejsc.

– Cóż. – Tata wstał, odrobinę niepewnie. – Chyba musimy zacząć od popytania sąsiadów, żeby mieć pewność, że to nie jest po prostu czyjś zgubiony zwierzak. Jeśli nikt się do niego nie przyzna, to chyba w Mountainview jest schronisko dla zwierząt.

– Co się dzieje? – zapytała Gelsey, wychodząc na werandę. Nie miała na sobie stroju do tenisa ani do baletu, tylko różową letnią sukienką i sandaalki, a rozpuszczone włosy spadały jej na ramiona. Popatrzyła na psa ogromnymi oczami. – Będziemy mieć psa? – zapytała, a jej głos uniósł się radośnie przy tym ostatnim słowie i raz wreszcie brzmiał jak głos dwunastolatki, a nie jak dwunastolatki udającej trzydziestolatkę.

– Nie – powiedzieliśmy jednocześnie z ojcem.

– Aha. – Gelsey wyraźnie spochmurniała.

– Muszę się brać do pracy – oznajmił ojciec i skierował się do domu. Nadal pracował nad tą samą sprawą, a furgonetka FedExu przywoziła mu dokumenty z biura, wprawdzie nie codziennie, ale dwa-trzy razy w tygodniu. Tata nabrał także zwyczaju zamykania ekranu laptopa, kiedy któreś z nas pochylało się, żeby zajrzeć mu przez ramię. Warren spekulował, że tata spędza też dużo czasu na pracy nad tym swoim tajemniczym projektem. –

Zajmiesz się tym, Taylor? – zapytał, patrząc na psa, który teraz drapał się tylną łapą w ucho, całkowicie nieświadomy, że właśnie ważą się jego losy.

– Jasne – odparłam, chociaż wolałabym to zwalić na kogoś innego. Moje doświadczenie z psami ograniczało się do oglądania *Grzecznego psa*. Odwróciłam się, żeby rozpocząć przesłuchania sąsiadów, ale kątem oka zauważyłam moją siostrę, nadal stojącą na werandzie. Kiedy byłam w jej wieku, bardzo rzadko siedziałam w domu. Zawsze gdzieś się szwendałam z Henrym lub z Lucy. Ale, szczerze mówiąc, Gelsey była tu ostatnio, kiedy była naprawdę mała, no i trudno by ją nazwać mistrzynią w nawiązywaniu przyjaźni. Popatrzyłam na dom obok i przypomniałam sobie, że widziałam tam jakąś dziewczynkę.

– Gelsey, chodź ze mną – zawołałam. – I zabierz jakieś ciasteczka.

Rozdział siedemnasty

Usłyszałyśmy odgłosy kłótni, zanim jeszcze podeszłyśmy do werandy sąsiadów. Gelsey, pies i ja zatrzymaliśmy się na podjeździe, a ponieważ od wnętrza domu oddzielały nas tylko osiatkowane drzwi, słyszałyśmy wyraźnie każde słowo.

– Wiedziałaś, jak to się skończy! – rozległ się drżący z wściekłości głos kobiety. – Mówiłam ci to, kiedy byliśmy na tamtej misji. To przez ciebie zginął Sasza, ty draniu bez serca!

Popatrzyłam na drzwi domu i zrobiłam pół kroku, żeby stanąć przed Gelsey. Na misji? Kto właściwie zamieszkał tuż koło nas?

– Wiesz co, nie jestem pewna – powiedziałam cicho, cofając się o krok. – Może...

– Nie możesz mnie za to winić! – Mężczyzna sprawiał wrażenie równie rozwścieczonego. – Gdybyś w Mińsku zrobiła to, co do ciebie należało, nie wylądowalibyśmy tutaj!

Kobieta aż się zachłysnęła.

– Jak śmiesz wspominać o Mińsku! – krzyknęła. – To wszystko... – Zapadła cisza, a potem kobieta dodała

idealnie opanowanym głosem. – Sama nie wiem, wydaje mi się, że to lekka przesada.

Gelsey popatrzyła na mnie pytająco, a ja potrząsnęłam tylko głową. Nic z tego nie rozumiałam, ale zaczęłam dochodzić do wniosku, że to może nie być najważniejsza chwila, żeby pytać tych ludzi, czy nie zginął im pies. Nie miałyśmy nawet ciasteczek owsianych, bo kiedy po nie poszłyśmy, matka powiedziała nam, że wyrzuciła je tydzień temu, kiedy stało się oczywiste, że nikt ich nie zamierza jeść.

– Zajrzyjmy tu później – powiedziałam i cofnęłam się jeszcze o krok. Gelsey pociągnęła psa na zaimprovizowanej smyczy, zrobionej z kawałka różowej wstążki, jakiej używała zwykle do zawiązywania baletek.

– Cześć, dziewczyny.

Podniosłam głowę i zobaczyłam kobietę stojącą na werandzie. Była chyba po trzydziestce, miała na sobie dżinsy i T-shirt z logo sieci fastfoodów In 'n Out. Miała długie, bardzo jasne włosy i osłaniała oczy od słońca.

– Co słyhać? – zapytała.

– Co się dzieje? – Koło kobiety stanął mężczyzna, Afroamerykanin mniej więcej w jej wieku. Uśmiechnął się do nas i pomachał. Był ubrany niemal identycznie, tylko jego T-shirt miał na sobie logo Zankou Chicken.

– My, no... – Podeszłam krok bliżej i przyjrzałam im się uważnie, nadal próbując zrozumieć, o co chodziło

w podsłuchanej kłótni. Nie wyglądali na szpiegów, ale prawdopodobnie dobrzy szpiedzy nie przypominają szpiegów. – Miałyśmy pytanie. Ale jeśli to nie jest odpowiednia pora... – Patrzyli na mnie, wyraźnie nic nie rozumiejąc. – Miałyśmy wrażenie, że są państwo zajęci – spróbowałam wyjaśnić. – Nie chcieliśmy przeszkadzać.

– Nadal na mnie patrzyli, więc przypominałam. – Mińsk?

– Ach, to! – Kobieta wybuchnęła śmiechem. – Mam nadzieję, że nie wzięłyście tego na serio. Pracowaliśmy tylko.

– Pracowaliście? – Gelsey zdobyła się na odwagę, żeby się odezwać, i zrobiła pół kroku do przodu. – Są państwo aktorami?

– Gorzej. – Mężczyzna potrząsnął głową. – Scenarzystami. Właśnie, jestem Jeff Gardner.

– Kim – przedstawiła się kobieta i pomachała, a pierścionek na jej lewej ręce zalśnił w blasku słońca.

– Dzień dobry – powiedziałam, czując nieprawdopodobną ulgę, że w sąsiedztwie nie rozgrywa się afera szpiegowska. – Jestem Taylor, a to moja siostra Gelsey. Mieszkamy tu obok.

– Sąsiedzi! – Jeff uśmiechnął się szeroko. – Bardzo miło was poznać, Taylor i... – urwał, patrząc na moją siostrę. – Powiedziałaś Kelsey?

To się zdarzało bardzo często i było jedyną okazją,

kiedy byłam wdzięczna rodzicom za imię, które wszyscy znali i każdy potrafił wymówić. Matka nie przypuszczała, że to będzie problem – kiedy nazwała moją siostrę na cześć słynnej primabaleriny, najwyraźniej sądziła, że więcej osób będzie знаło to imię.

– Gelsey – powtórzyłam głośniej. – Przez g.

– Miło poznać was obie – odparła Kim. Popatrzyła przez chwilę na Gelsey, a potem uśmiechnęła się i odwróciła się do domu. – Nora!

Sekundę później osiatkowane drzwi otworzyły się gwałtownie i na werandę wyszła dziewczynka, którą widziałam kilka dni temu. Miała czarne kręcone włosy i skórę w takim kolorze, jaki miała moja kawa, kiedy dodałam do niej dość mleka, by zaczęła się nadawać do picia. Patrzyła na nas ze złością, w przeciwieństwie do swoich rodziców, którzy wyraźnie się ucieszyli na nasz widok.

– To nasza córka, Nora. – Kim szturchnęła ją tak, żeby stanęła obok niej. – To nasze sąsiadki – przedstawiła nas. – Taylor i Gelsey.

Nora popatrzyła niechętnie kolejno na mnie, Gelsey i Murphy’ego.

– Co jest temu waszemu psu?

Gelsey także popatrzyła na nią niechętnie i pociągnęła za wstążkę, przyciągając psa odrobinę bliżej.

– Nic – odparła. – A bo co?

Nora zmarszczyła tylko nos, jakby to powinno być oczywiste.

– Ma całkiem sfilcowaną sierść – wyjaśniła.

– Właśnie dlatego tutaj jesteśmy – wtrąciłam szybko, żeby uprzedzić Gelsey, która właśnie zaczerpnęła oddech, jakby miała wdać się w kłótnię na temat sposobów prawidłowej pielęgnacji psów. – Zauważyliśmy, że ten pies ostatnio się kręci w okolicy. Nie ma adresu na obroży, więc zastanawialiśmy się, czy nie należy do was.

Jeff potrząsnął głową.

– Nie jest nasz – powiedział. – Pytałyście w domu po drugiej stronie?

Zwanym także domem Henry’ego.

– Jeszcze nie – odparłam pogodnie. – Chyba zaraz tam zajrzemy. – Staliśmy jeszcze przez chwilę, ponieważ nikt chyba nie wiedział, co powiedzieć. Zauważyłam, że Kim spogląda w stronę domu i uświadomiłam sobie, że prawdopodobnie chciałaby wracać do pracy. – Czyli – stwierdziłam, bo cisza zaczęła się przeciągać lekko krępująco – piszą państwo scenariusze, tak? To fajnie. – Nie wiedziałam o pisaniu scenariuszy nic ponad to, co, o ironio, widywałam w filmach, gdzie scenarzyści albo umawiali się na obiad z ważnymi osobami, albo rzucali o ścianę zgniecionymi w kulkę kartkami papieru.

– No nie wiem – roześmiał się Jeff. – Ale zawsze to jakiś sposób zarabiania na życie. Większość roku

spędzamy w Los Angeles, to nasze pierwsze wakacje tutaj.

Skinęłam głową, ale patrzyłam w tym momencie na Gelsey, która patrzyła na Murphy'ego. Nie pamiętałam już, jak zawierają przyjaźnie dwunastolatki i szczerze mówiąc, nigdy nie widziałam, jak Gelsey się z kimś zaprzyjaźnia, ale uznałam, że zrobiłam, co w mojej mocy, żeby jej pomóc.

– Okej. – Uniosłam brwi, patrząc na siostrę. – Musimy już chyba...

– Czip! – Kim strzeliła palcami, spoglądając na psa. – Może jest zaczipowany? Sprawdzaliście to?

– Nie – przyznałam. Nie przyszło mi to do głowy. – Wie pani może, gdzie można to sprawdzić?

– W schroniskach dla zwierząt albo u weterynarza – odparł Jeff. – Mają też czytnik w tym sklepie zoologicznym, Psi Urok, czy jak mu tam.

Kim odwróciła się do niego i uniosła brwi.

– Skąd wiesz?

– Zajrzałem tam parę dni temu, kiedy pojechałem po pizzę – wyjaśnił. – Chciałem porozmawiać z dziewczyną, która tam pracuje.

Nora także odwróciła się do ojca.

– Dlaczego? – zapytała.

– Tak się zastanawiałem – powiedział Jeff z nagłym ożywieniem. – To mogłaby być świetna postać. Może

warto by zrobić odcinek pilotażowy, pomyśl tylko o tym, z jak różnymi osobami mogłaby się spotykać.

Kim pokiwała głową, natychmiast wchodząc mu w słowo.

– Podoba mi się ten pomysł – stwierdziła. – Może byłaby też detektywem? Naprawiała niesprawiedliwości i rozwiązywała po godzinach zagadki kryminalne.

Jeff odwrócił się do niej i przestali na nas zwracać uwagę.

– Zwierzęta też miałyby w tym swój udział – powiedział. – Mogłyby jej pomagać w dochodzeniu. – Uśmiechnęli się do siebie, a potem popatrzyli na nas.

– Miło was było poznać – oznajmiła Kim. – Życzę powodzenia w poszukiwaniach.

Jeff pomachał nam, ale oboje prawie biegiem wrócili do domu, a chwilę później usłyszałam stukot dwóch klawiatur.

– No chodź, Gelsey – powiedziałam, odwracając się. – Miło cię było poznać – zawołałam do nieprzyjaznej Nory, która dalej stała ze skrzyżowanymi ramionami i przez cały czas patrzyła na nas nieżyczliwie. Znałam takie zachowanie, ale o ile pamiętam, u mnie zaczęło się objawiać dopiero, kiedy skończyłam czternaście lat. Może w Los Angeles dorastało się szybciej?

– Słuchaj – odezwała się niechętnie Nora, kiedy odeszłyśmy kilka kroków. Gelsey odwróciła się do niej

i zaplotła ramiona w identycznym geście. – Podoba ci się plaża?

– Może być – Gelsey wzruszyła ramionami. – Moja siostra tam pracuje – dodała z nutą niewątpliwej dumy w głosie, czym mnie kompletnie zaskoczyła.

Nora popatrzyła na mnie – wyraźnie nie zrobiło to na niej wrażenia – a potem znowu na Gelsey.

– Wybierzesz się? – zapytała. – Tu jest totalnie nudno.

– Fakt – przyznała Gelsey, najwyraźniej zapominając o naszej misji znalezienia domu dla zgubionego psa. – Tu nic nie ma do roboty. Mama mnie jeszcze zmusza, żebym chodziła na tenisa.

Nora otworzyła szerzej oczy.

– Mnie też! – oznajmiła. – To głupie.

– Prawda? – odparła Gelsey.

– Totalnie – przyznała Nora.

Miałam przeczucie, że potrafię przewidzieć dalszy ciąg tej rozmowy, więc po prostu zabrałam wstążkę z ręki Gelsey, która oddała mi ją bez oporów.

– To do zobaczenia – powiedziałam. Gelsey pomachała mi i wróciła do rozmowy, nawet się na mnie nie oglądając.

Pociągnęłam Murphy’ego, który był zdecydowanie za bardzo zainteresowany obwąchaniem każdego kamienia na podjeździe Gardnerów, z powrotem na ulicę. Czułam odrobinę satysfakcji, że Gelsey jest chyba na najlepszej

drodze do znalezienia przyjaciółki, a mój plan przynajmniej w niewielkiej części się powiódł. Podprowadziłam psa do podjazdu Crosbych, ale dom wyglądał, jakby nikogo w nim nie było – żadnych samochodów ani rowerów przed domem, nikogo w namiocie, zaciągnięte zasłony.

Poprowadziłam psa z powrotem do naszego domu, zastanawiając się, co bym zrobiła, gdyby u Henry'ego ktoś był. Chciałam wierzyć, że podeszłabym i nacisnęłabym dzwonek, ale nie byłam tego całkiem pewna. Wiedziałam, że od spotkania w lodziarni myślałam o Henrym więcej, niż zapewne powinnam, biorąc pod uwagę, że nadal był na mnie zły (nie bez powodu) i miał dziewczynę. Ale nie potrafiłam nic na to poradzić.

Kiedy zbliżyliśmy się do naszego domu, Murphy przestał się opierać i pobiegł przede mną, naciągając zaimprovizowaną smycz. Przywiązałam go do poręczy i weszłam na werandę, gdzie ojciec siedział na swoim zwykłym miejscu, wpatrując się ze zmarszczonymi brwiami w ekran laptopa, a Warren czytał podręcznik, opierając nogi na krześle przed sobą.

– Hej – powiedział Warren i podniósł głowę nad książki, uprzednio starannie zaznaczywszy miejsce, w którym skończył lekturę, kolorową karteczką. Uniósł się trochę i spojrzał na podjazd. – Co to znaczy? – zapytał, a w jego głosie pojawiła się nuta paniki. – Dlaczego tam

siedzi pies?

– Nie masz się czym przejmować – zapewniłam go, a tata uśmiechnął się lekko i znowu popatrzył na ekran, zanim Warren zdążył to zauważyć. – To jest chyba najmniej przerażający pies na świecie. Serio.

– Jasne. – Warren skinął głową, jakby to nie było nic takiego, ale zauważyłam, że nie odrywał wzroku od poręczy. Przesunął krzesło kawałek dalej w sposób, który na pewno w jego mniemaniu był nonszalancki. – Rozumiem.

– Nie znaleździecie właściciela? – zapytał tata.

– Nie, w każdym razie nie obok. Ale poznałyśmy sąsiadów. Mają córkę w wieku Gelsey.

– To cudownie – uśmiechnął się tata. – Ale co będzie z tym czworonogiem?

– Mam zamiar zawieźć go do sklepu zoologicznego – wyjaśniłam. – Sprawdzę, czy nie jest zaczipowany.

– Dobry pomysł. – Tata z aprobatą skinął głową, a ja zastanowiłam się, czy powiedzieć mu, że to był pomysł naszej sąsiadki-scenarzystki ale uznałam, że nie ma to sensu. – Synu? – Tata popatrzył na Warrena. – Wspominałeś, że chcesz jechać do biblioteki?

Warren odchrząknął i znowu spojrzał w stronę schodów.

– Wspominałem – przyznał. – Ale po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że mógłbym...

– Daj spokój, jedź ze mną – powiedziałam. – Będę trzymać psa z dala od ciebie, słowo.

– Nie o to chodzi – mruknął Warren, ale mimo to zrobił się niemal tak czerwony, jak jego koszulka polo. – Pójdę tylko po portfel. – Zniknął w domu, a tata uśmiechnął się do mnie ponad laptopem.

– Widzisz? – zapytał. – Wycieczka. Mówiłem ci, że to będzie wielki dzień, mała. – Nacisnął kilka klawiszy i odchylił się na krześle. – Wiesz co, skoro jedziecie do miasta, będziesz mijala po drodze Hensona. Gdybyś mogła kupić dla mnie lukrecję...

Dziesięć minut później Warren, Murphy i ja weszliśmy do salonu Na Psa Urok, przy czym mój brat trzymał się dobre trzy kroki z tyłu. Chociaż nawet ja mogłabym podnieść Murphy'ego jedną ręką – nie, żebym miała na to ochotę, tata miał rację, jeśli chodziło o jego zapach i musieliśmy jechać z otwartymi oknami

– Warren nadal nie sprawiał wrażenia przekonanego, że ten pies nie zamieni się w najbliższej chwili w krwiożerczą bestię.

Sklep był bardzo mały – przy jednej ścianie stały klatki z ptakami, wielkie akwarium pełne ryb i kojec dla kociąt, a resztę miejsca zajmowały akcesoria dla zwierząt. Z tyłu, za ladą, było stanowisko do pielęgnacji psów, ale nie zobaczyliśmy nikogo i nie było nawet dzwonnka, którym można by było zadzwonić, tak jak w piekarni.

Zojejrzałam się, ale tylko jeden z ptaków ćwierkał głośno, co brzmiało, jakby naśladował alarm samochodowy.

– Halo? – zawołał Warren, a ptak zaczął hałasować jeszcze bardziej.

– Idę, już idę, przepraszam! – rozległ się głos z zaplecza. Otworzyły się drzwi i pojawiła się dziewczyna, którą widziałam, tu wcześniej – ta, która pytała, czy nie zadzwonić gdzieś w sprawie taty – wycierając ręce w czerwony fartuch z napisem Na Psa Urok!, pod którym miała biały T-shirt i džinsy. Z bliska zobaczyłam, że jest mniej więcej w moim wieku, ma niebieskie oczy, uroczą twarz w kształcie serca i długie rude włosy zaplecione w warkocze sięgające jej za ramiona. Popatrzyła z uśmiechem na mnie i Warrena. – W czym mogę pomóc?

Zauważyłam, że na fartuchu ma wyhaftowane imię *Wendy*.

– No więc – zaczęłam i usłyszałam, że mój brat dziwnie odchrząknął. Gapił się na Wendy z lekko otwartymi ustami, bezskutecznie próbując sformułować jakieś zdanie. – Znaleźliśmy tego psa – powiedziałam, podnosząc Murphy'ego na ladę, gdzie natychmiast usiadł i zaczął się rozglądać, jakby podobał mu się widok z wysokości. Ku mojemu zdumieniu Warren nie odsunął się natychmiast, ale został tam gdzie był, tuż koło psa. – Nie wiemy, skąd on może być – ciągnęłam. – Słyszałam,

że tu można sprawdzić, czy pies jest zaczipowany?

– Właśnie – wtrącił Warren o sekundę za późno, odzyskując zdolność mowy. – Czytnik mikroczipów.

– Zgubiłeś się, kolego? – zapytała Wendy i podrapała Murphy-'ego za uszami, wyraźnie nie przejmując się jego zapachem. Pies zamknął oczy i zabębnił ogonem w ladę oraz stosik ulotek reklamujących obroże przeciwpchelne. – Jasne, zaraz to sprawdzimy.

– Sięgnęła pod ladę i wyciągnęła urządzenie przypominające pilota do telewizora, z ekranikiem zajmującym chyba połowę jego długości. Przesunęła nim powoli wzdłuż grzbietu psa, drugą ręką nadal drapiąc go za uchem. Kiedy doszła do łopatki, urządzenie zapiszczało. – Jest! – oznajmiła, uśmiechając się do nas. Zauważyłam, że Warren odwzajemnił uśmiech, ale za późno, bo dziewczyna zdążyła już usiąść i przesunąć krzesło do komputera.

– Czyli wiemy, czyj on jest? – zapytałam, pochylając się nad psem i próbując zajrzeć jej przez ramię.

– Jeszcze nie – odparła. – Znamy tylko numer czipa. Muszę teraz sprawdzić w bazie i powinniśmy się dowiedzieć, gdzie ten mały kawaler mieszka.

– Albo panna – dodałam, ponieważ wciąż nie mieliśmy pewności, a ja do tej pory wyciągałam wnioski tylko na podstawie tego, że pies miał niebieską obrozę. Wendy przestała przewijać coś na ekranie, wstała i podniosła psa

za przednie łapy.

– Zdecydowanie kawaler – oznajmiła. Usiadła z powrotem i zaczęła coś pisać.

– Wiesz, że imienia Wendy zaczęto używać w 1904 roku? – zapytał nagle i pospiesznie Warren. – Wymyślił je J.M. Barrie i po raz pierwszy użył w sztuce *Piotruś Pan*, na podstawie której napisał później powieść.

Wendy spojrzała na Warrena, zaskoczona tak samo jak ja. Miałam właśnie się wtrącić i powiedzieć, że mój brat za długo dzisiaj siedział na słońcu, kiedy uśmiechnęła się szeroko.

– Nie miałam pojęcia – powiedziała. – Dzięki.

Warren skinął głową i zapytał głosem, który z całych sił starał się być nonszalancki, ale kompletnie mu to nie wychodziło:

– Czy, no... długo tu pracujesz?

– Od jakiegoś miesiąca – odparła Wendy, rzucając mu szybkie spojrzenie, zanim wróciła do komputera. – Chcę trochę zarobić, zanim pójdę jesienią na studia.

– Tak? – Warren był praktycznie nos w nos z psem, ponieważ opierał się o ladę, żeby prowadzić rozmowę z Wendy. Murphy skorzystał z okazji i polizał go w ucho, ale Warren, trzeba przyznać, tylko lekko drgnął. – Gdzie będziesz studiować?

– Na uniwerku stanowym w Stroudsburgu – powiedziała Wendy, nadal patrząc w monitor. – Mają tam

świątą weterynarię.

– Super. – Warren spróbował uwolnić się od psa, który zaczął mu radośnie wylizywać twarz. – To ekstra.

Patrzyłam na mojego brata, starając się ukryć osłupienie. Warren był straszliwym snobem, jeśli chodziło o uczelnie, co pogłębiło się jeszcze, gdy sam dostał się do college’u należącego do Ivy League. Słyszałam, jak wspominał o Uniwersytecie Stanforda jako swoim „rezerwowym” wyborze. To, że wyrażał się pozytywnie o uczelni, o której – jak byłam przekonana – pięć minut temu w ogóle nie słyszał, nie pasowało do niego tak, że było to aż szokujące. Ale z drugiej strony nigdy wcześniej nie widziałam, żeby Warren zachowywał się w ten sposób w obecności dziewczyny.

– Dobra! – Wendy pochyliła się do monitora. – Chyba coś mamy!

– Świetnie – odparłam, zastanawiając się, co dalej. Czy to ona skontaktuje się z właścicielami, czy my będziemy musieli to zrobić? Tak czy inaczej, chociaż pies był naprawdę przyjacielski, nie mogłam się doczekać, aż odeślę go do jego domu.

– Proszę... – Wendy przewinęła ekran. – Wygląda na to, że został zaczipowany tutaj, czyli jest miejscowy. To dobrze. Jego adres to... – urwała na chwilę. – Dockside Terrace 84, Lake Phoenix. – Popatrzyła na nas z uśmiechem, ale ja gapiłam się na nią, zastanawiając się,

czy się nie przesłyszałam. – To niedaleko stąd – dodała. – Mogę wam wydrukować mapkę.

– Wiem, gdzie to jest – odparłam, patrząc na psa. Teraz już rozumiałam, czemu tak się pchał na nasz podjazd. – To nasz dom.

Dwie godziny później Warren, Murphy i ja wróciliśmy do domu. Pies został dokładnie wykąpany i teraz pachniał lekko szamponem. Osoba, która się nim zajmowała, wyraźnie nie przejęła się tym, że ma do czynienia z samcem, bo Murphy dostał różową kokardkę w grochy przypiętą do sterczących włosów między uszami. Mieliśmy też torbę różnych utensyliów, w tym miski dla psa, poślanie, smycz i jedzenie. Nie wiedziałam, że zamierzamy go zatrzymać, ale kiedy Wendy zaczęła wybierać „podstawową wyprawkę”, Warren chodził za nią krok w krok po sklepie, a próbował każdy jej wybór i nie zapytał mnie ani razu o zdanie. Dopiero w samochodzie, kiedy jechaliśmy we troje do domu, a Murphy ział radośnie, wyglądając przez okno (zapach z pyska zdecydowanie mu się poprawił), popatrzyłam na Warrena.

– Nie do wiary – powiedziałam.

– Wiem. – Warren potrząsnął głową. Starał się wyglądać poważnie, tak jak zwykle, ale jego twarz co chwila przybierała lekko rozmarzony wyraz. – To chyba ci

letnicy, którzy w zeszłym roku wynajmowali dom – oznajmił. – Wendy powiedziała, że wtedy ten czip pojawił się w bazie.

– Poza tym to ich nazwisko – przypomniałam. – Mamy w zasadzie pewność.

Zatrzymałam się pod światłem, zauważając, że mój brat wypowiedział imię Wendy tonem, jaki zwykle był zarezerwowany dla ciekawostek dotyczących punktów pobierania myta lub żarówek.

– Jak myślisz, co się stało? – zapytałam, znowu przyspieszając, chociaż wiedziałam, że mój brat, który zna wszystkie odpowiedzi, tego nie może wiedzieć. – Porzucili go po wakacjach?

– W moim głosie pojawiła się złość, byłam wściekła na bezdusznych letników, którzy ukradli nasze przyprawy i potraktowali psa w taki sposób. – Zostawili go po prostu pod domem?

Warren wzruszył ramionami.

– Niewykłuczone, że się im zgubił – powiedział tonem, który w końcu rozpoznałam. Ostrożnym, biorącym pod uwagę różne ewentualności. – Nie wiemy na pewno. Powiemy o tym mamie, a ona do nich zadzwoni. Może to tylko nieporozumienie.

– Może – odparłam, chociaż w to nie wierzyłam. Skręciłam w Dockside Terrace, a kiedy tylko zbliżyliśmy się do domu, Murphy oderwał się od okna, wspiął się na

deskę rozdzielczą między nami i wypatrywał domu, machając z entuzjazmem ogonem. Kiedy skręciłam w nasz podjazd, a on cieszył się coraz bardziej, wiedziałam, że to jest dowód bardziej przekonujący niż wpis w bazie komputerowej. Murphy wiedział, gdzie jest, i koniecznie chciał tu wrócić. Kiedy zgasiałam silnik i otworzyłam drzwi, wyskoczył z samochodu i pobiegł prosto do domu, wyraźnie szczęśliwy, że w końcu znowu tu jest.

Prawdy i wyzwania

Rozdział osiemnasty

Nie spałam o drugiej w nocy, kiedy zadzwonił telefon. Nie mam pojęcia, dlaczego nie mogłam zasnąć i zaczęłam się nawet zastanawiać, czy tata nie miał przypadkiem racji w kwestii właściwości porannej kawy. Leżałam bezsenne od kilku godzin, ponieważ brak życia towarzyskiego oznacza, że kładziesz się do łóżka wcześnie, nawet w te wieczory, kiedy dzieje się więcej niż zwykle.

Matka była w równym stopniu poirytowana na Warrena, który przywiózł psa do domu z całym wyposażeniem, nie pytając jej najpierw o zgodę, co na letników, którzy go porzucili. Nie mogła się dodzwonić na podany przez nich numer, ale zadzwoniła do taty Henry'ego i dowiedziała się, że przez całe zeszłe wakacje mieli psa, szczeniaka, którego przygarnęli zaraz po wprowadzeniu się tutaj. Tata Henry'ego pamiętał o tym, ponieważ szczeniak kilka razy rozgrzebał ich śmieci, a rodzina Murphych niespecjalnie się tym przejęła.

Gelsey nie posiadała się ze szczęścia, że Murphy ma z nami zamieszkać, chociaż – jak podkreślała moja matka – w grę wchodził wyłącznie pobyt tymczasowy. Ojciec nie

stanął po żadnej stronie, ale przy obiedzie zauważyłam, że podsuwał psu ukradkiem kęski jedzenia, a kiedy później Murphy wgramolił mu się na kolana, tata drapał go za uszami, aż pies zaczął wydawać dźwięki będące bez wątpienia psim odpowiednikiem kociego mruczenia.

Na szczęście Murphy najwyraźniej potrafił zachowywać się odpowiednio w domu – co więcej, w naszym domu. Znał go w sposób, który wydawał się lekko niepokojący, kiedy obserwowaliśmy, jak ułożył się przed oknem wychodzącym na ulicę, przyciskając nos do szyby i opierając łeb na łapach. Chociaż Gelsey błagała, żeby pozwolić mu spać w jej pokoju, matka nie zgodziła się i umieściła psie posłanie koło drzwi kuchennych. Kiedy położyliśmy się wieczorem, nasłuchiwałam jakiegoś skomlenia czy popiskiwania, ale pies był zupełnie cicho i zapewne spał lepiej niż ja.

Przewróciłam się na bok i wyjrzałam przez okno na niebo usiane gwiazdami. Zastanawiałam się właśnie, czy dalej próbować zasnąć, czy zapalić światło i raczej coś poczytać, kiedy zadzwoniła komórka.

To było tak zaskakujące, że nie sięgnęłam po nią od razu, wpatrywałam się tylko, jak wibruje na mojej komodzie, oświetlając cały kąt pokoju zaskakująco jasno, a piosenka ustawiona jako dzwonek przechodzi do refrenu. Po chwili jednak zebrałam się, wygrzebałam z łóżka i złapałam komórkę, zanim zdążyła obudzić cały

dom – a przynajmniej moją matkę, która słyęła z lekkiego snu. Nie poznawałam numeru ani numeru kierunkowego, ale szybko odebrałam, zastanawiając się, czy to pomyłka. Nie potrafiłam wymyślić, kto mógłby do mnie dzwonić o drugiej w nocy.

– Halo? – powiedziałam cicho, zabierając komórkę ze sobą do łóżka i przesuając się w jego róg, jakby to mogło stłumić dźwięk rozchodzący się po domu. Po drugiej stronie odpowiedziała mi długa cisza.

– Kto mówi? – zapytał trochę niewyraźnie dziewczęcy głos.

– Taylor – powiedziałam powoli. – Kto mówi?

– Cholera – mruknęła dziewczyna po drugiej stronie i w tym momencie domyśliłam się, kto to jest.

– Lucy? – zapytałam i usłyszałam ciężkie westchnienie.

– Tak? – zapytała. – O co chodzi?

– Nie wiem – odparłam, zdumiona, że w ogóle prowadzimy tę rozmowę. – To ty zadzwoniłaś.

Znowu westchnęła, a potem rozległo się jakieś szeleszczenie, zanim się odezwała.

– Upuściłam komórkę – wyjaśniła. – Dobra, możesz przyjechać na plażę?

Usiadłam prosto.

– Dlaczego? – zapytałam, z nagłym przyływem paniki zastanawiając się, czy może źle zamknęłam bar albo coś w tym rodzaju. Chociaż nie miałam pojęcia, dlaczego Lucy

miałyby do mnie dzwonić, ewidentnie wstawiona, żeby mi o tym powiedzieć. – Coś się stało?

– A dzwoniłabym gdyby się nie stało? – zapytała. – Przyjeżdżaj i... – znowu usłyszałam szeleszczenie i połączenie zostało przerwane.

Przez chwilę zastanawiałam się, trzymając komórkę w ręku. Musiałam tam jechać – myśl, żeby tego nie robić, pojawiła się tylko na ułamek sekundy. Wtedy na pewno nie zmrużyłabym już oka i przewracałabym się z boku na bok, zastanawiając się, co się dzieje na plaży. Głównie jednak rozważałam, jak mam się tam dostać. Wiedziałam, że jeśli wezmę samochód, moja matka – nie wspominając o tacie i rodzeństwie – obudzi się. A chociaż w te wakacje nie umawiałyśmy się, o której mam wracać do domu, miałam przeczucie, że wychodzenie o drugiej w nocy mogłoby nie zyskać aprobaty w jej oczach. Popatrzyłam na zewnątrz, na garaż na końcu podjazdu. To podsunęło mi pewien pomysł, więc szybko zerwałam się z łóżka, założyłam dzinsowe szorty i zamieniłam rozciągnięty, sprany T-shirt, w którym spałam, na koszulkę. Przeszłam na palcach korytarzem, nasłuchując jakiegokolwiek poruszenia, ale dom był całkowicie cichy – spod drzwi mojego rodzeństwa nie sączyło się światło, z sypialni rodziców na górze nie dobiegały żadne dźwięki. Nawet pies spał jak kamień, leżąc na grzbiecie na swoim pościeliu. Jego tylne łapy drgały, jakby we śnie gonił coś albo uciekał przed

czymś.

Podeszłam do drzwi – nie musiałam zapalać światła, ponieważ blask księżyca wlewał się przez okna, kładąc się na podłodze ogromnymi prostokątami, tak że podświadomie spodziewałam się, że podłoga będzie w tych miejscach rozgrzana jak od słońca. Cicho wyszłam na zewnątrz, zamknęłam za sobą drzwi i ze sterty butów wybrałam swoje klapki. Potem zesłam z werandy i podeszłam do garażu, gdzie czekał odremontowany dla mnie przez tatę rower.

Rozdział dziewiętnasty

pięć wakacji wcześniej

Powiem ci coś ważnego – oznajmiła mi Lucy przez telefon. Zawsze lubiła w ten sposób zaczynać rozmowę, nawet jeśli okazywało się, że tą „ważną” rzeczą jest nowy smak lodów tygodnia w Sweet Baby Jane albo to, że udało się jej zmieszać dwa lakiery do paznokci i uzyskać nowy odcień.

– Ja też – odparłam, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Przycisnęłam do ucha telefon bezprzewodowy i wyszłam na werandę. Wiedziałam dokładnie, jak daleko mogę odejść od domu, żeby nie stracić zasięgu. Zjedliśmy już obiad, a matka rozkładała właśnie planszę do *Ryzyka*, ale wiedziałam, że będę mogła spokojnie pogadać z Lucy kilka minut, szczególnie jeśli Warren uprze się, żeby nadzorować działania mamy.

Nie powiedziałam Lucy o randce w kinie z Henrym, która miała miejsce tydzień wcześniej – ponieważ nie było o czym opowiadać, poza tym, że wziął mnie za rękę. Ale trzymaliśmy się za ręce aż do końca filmu, splatając palce, dopóki nie przewinięły się napisy końcowe i nie

zapaliło się światło, a pracownicy nie przyszedli pozamiatać rozsypany popcorn. Oczywiście, próbowałam zaraz potem zadzwonić do Lucy, ale nigdy nie było jej u tego z rodziców, do którego akurat dzwoniłam. Jej komórka została tymczasowo wyłączona, ponieważ zarówno matka jak i ojciec spierali się, kto ma za to płacić. Dlatego ostatnio musiałam czekać, aż Lucy do mnie zadzwoni, żeby z nią porozmawiać.

– Ja pierwsza – powiedziała, a ja roześmiałam się, przypominając sobie, jak bardzo za nią tęsknię.

– Taylor! – Warren otworzył drzwi i zmarszczył brwi, poprawiając okulary, które bezustannie zsuwały mu się z nosa. – Zaraz będziemy grać.

Zasłoniłam słuchawkę.

– Rozmawiam przez telefon – syknęłam do niego. – Z zagranicą. – Usłyszałam, że Lucy zachichotała.

– New Jersey nie leży za granicą – skrzywił się Warren. – To rozmowa lokalna. Tylko z sąsiednim stanem.

– Daj mi spokój – odparłam, starając się go wypchnąć za drzwi.

Mój brat potrząsnął głową i popatrzył na mnie z wyrazem twarzy, mającym podkreślać jego dojrzałość.

– Zaczynamy za pięć minut, więc jeśli nie przyjdiesz, uznamy, że się poddałeś.

W końcu cofnął się za drzwi, a ja mogłam wrócić do

przerwanej rozmowy.

– Wybacz – rzuciłam. – Wiesz, jaki jest Warren.

– Nie ma sprawy – odparła Lucy. – Gracie w *Ryzyko*?

Znaczący, wszyscy?

– No – przyznałam, starając się zignorować tęskną nutę w głosie Lucy. – Ale właśnie. Ja mam coś ważnego, ty masz coś ważnego...

– Właśnie! – Lucy natychmiast odzyskała energię. – Chyba się zakochałam.

– Ja też! – odparłam, nieopisanie szczęśliwa, że dotarliśmy na ten etap jednocześnie. To była jedyna rzecz, która sprawiała, że zastanawiałam się, czy powiedzieć Lucy o Henrym. Nie chciałam wkraczać w nową fazę życia bez niej, ale skoro Lucy jednocześnie ze mną zakochała się w jakimś chłopcu, wszystko było w porządku. Kiedy gadałyśmy o przyszłości, zawsze zakładałyśmy, że będziemy różne rzeczy robić w tym samym czasie – będziemy chodzić z chłopakami, umawiać się na bal maturalny i wreszcie urządzimy podwójne wesele.

– Niemożliwe – roześmiała się znowu. – No dobra, ja pierwsza. Odbiło mi na punkcie Henry’ego Crosby’ego.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale nie umiałam nic wymyślić, więc zamknęłam je z powrotem. Lucy najwyraźniej niczego nie zauważyła, bo mówiła dalej.

– Zakochałam się w nim, kiedy zobaczyłam go w te wakacje, zrobił się okropnie uroczy przez ten rok. Nic mu

nie powiedziałam, ale od przyjazdu do domu nie mogę przestać o nim myśleć. Wiem, że się przyjaźnicie, więc pomyślałam, że możesz go zapytać, czy mu się podobam. Tylko, no wiesz, dyskretnie.

Otworzyłam znowu usta, chociaż nie wiedziałam, co mam jej powiedzieć. Coś musiałam – o randce, o kinie i o trzymaniu się za rękę.

– Posłuchaj, Lucy...

– Taylor?

Odwróciłam się i zobaczyłam tatę stojącego w drzwiach, trzymającego Gelsey w pozycji, którą nazywał „workiem kartofli” – z głową w dół, za same stopy. Słyszałam, że moja siostra śmieje się histerycznie.

– Zaraz zaczynamy, mała. Przygotuj się na szybką i krwawą porażkę.

– Już idę – powiedziałam. Minutę wcześniej zaczęłabym narzekać i błagać tatę, żeby pozwolił mi jeszcze chwilę porozmawiać z Lucy. Teraz nie posiadałam się ze szczęścia, że mam jakiś pretekst do zakończenia rozmowy.

– A, jeszcze jedno. – Tata teatralnym ruchem rozejrzał się, obracając w jedną i w drugą stronę, aż Gelsey zahuściła się obok niego. – Widziałaś może siostrę? Nigdzie nie mogę jej znaleźć.

To sprawiło, że Gelsey zaczęła aż piszczeć ze śmiechu, a tata odwrócił ją, podrzucił do góry i złapał, a potem postawił na podłodze i śmiejąc się, weszli oboje do domu.

– Muszę kończyć – powiedziałam do Lucy, szczęśliwa z powodu tej wymówki.

– Pogadasz z nim? – nalegała Lucy. – Zapytasz, czy mu się podobam?

Przełknęłam ślinę i zastanowiłam się, czy jestem dość odważna, żeby jej teraz powiedzieć, że ja też zakochałam się w Henrym. Ale bałam się, że oskarży mnie o coś, co powtarzała, od kiedy byliśmy całkiem małe – że po niej papuguję. Że po prostu lubię wszystko i wszystkich tak samo jak ona, robię to samo, co ona robi. Pomyślałam o mojej mizernej grzywce i uświadomiłam sobie, że Lucy ma trochę racji.

– Jasne – żałowałam od razu tych słów, ale nie potrafiłam się wycofać. – Pogadamy niedługo.

– Jasne. Ściskam!

Lucy rozłączyła się, a ja weszłam powoli do domu, żeby dołączyć do mojej rodziny siedzącej przy małym stoliku. Warren cytował jakąś książkę zatytułowaną *Sztuka wojny*, tata omawiał z Gelsey strategię (byli sojusznikami), a ja wpatrywałam się w przestrzeń. Rozpaczliwie szukałam jakiegoś usprawiedliwienia dla tego, co właśnie zrobiłam – albo, mówiąc ściśle, czego nie zrobiłam. Lucy kompletnie mnie zaskoczyła. Nie wiedziałam jeszcze, co może się wydarzyć między mną a Henrym. Niewykluczone, że Lucy nie uda się tu przyjechać do końca tych wakacji. Nie miało sensu utrudniać wszystkim życia

ani psuć humorów.

– Ha! – oznajmił Warren triumfalnie, więc popatrzyłam na planszę i zobaczyłam, że tuż pod moim nosem udało mu się zmieść większość armii, która wydawała mi się całkowicie bezpieczna.

Rozdział dwudziesty

Chwiałam się, jadąc ulicą na starym rowerze mamy, robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby się nie przewrócić, i uświadomiłam sobie, że naprawdę można zapomnieć, jak się jeździ. Na swoją obronę mogę dodać, że nie byłam przyzwyczajona do tego sprzętu, który w niczym nie przypominał mojego roweru górskiego, należącego teraz do Gelsey. To była ciężka damka ze skośną ramą i bez hamulców ręcznych. Chociaż wsadziłam latarkę do białego metalowego koszyka z przodu, robiąc w ten sposób zaimprovizowany reflektor, na ulicy okazało się, że nie będę go potrzebować. Noc była niezwykle jasna, a księżyc, który wpadał przez okna do naszego domu, oświetlał mi drogę.

Powoli jechałam ulicą, co kilka sekund unikając wywrotki, aż udało mi się opanować pedały i trochę złapać równowagę. Wyjeżdżając z Dockside Terrace, byłam już zadowolona z moich postępów. Miałam dla siebie puste ulice, więc jeździłam zakosami po obu pasach i robiłam ósemki. Wiatr rozwiewał mi włosy, gdy zjeżdżałam z niedużych pagórków. Zaczęłam pedałować szybciej, aż uświadomiłam sobie, gdzie jestem – na

szczybie Diabelskiego Siodła.

Zacząłam hamować, chociaż z długoletniego doświadczenia wiedziałam, że właśnie nadszedł moment, kiedy należy zacząć pedałować szybciej i uzyskać pęd pozwalający mi podjechać z drugiej strony. Ale stojąc na górze, pozbawiona dobrodziejstwa samochodu, rozumiałam już, czemu to miejsce wydawało mi się niezdojbyte, kiedy miałam osiem lat. Czy chociaż raz udało mi się tędy przejechać? Więcej, czy naprawdę ścigałam się z Henrym po tych wzgórzach i oboje, z czerwonymi twarzami i sapiąc z wysiłku, staraliśmy się jako pierwsi dotrzeć na przeciwległy wierzchołek? Przyhamowałam mocniej, ale spadek szosy zaczął mnie już ciągnąć w dół. Mogłam się po prostu cieszyć szybkością, ale ponieważ rower zaczął mi się wymykać spod kontroli, przyhamowałam jeszcze mocniej. Przednie koło wpadło w rozsypany żwir i zanim zrozumiałam, co się dzieje – to trwało zaledwie ułamek sekundy – koło skręciło, a ja straciłam panowanie nad rowerem, który zakołysał się, wytrącony z równowagi. Stopa wpadła mi między szprychy, a w następnej chwili leżałam na ziemi, przywalona rowerem, którego przednie koło nadal wirowało w powietrzu.

Zepchnęłam z siebie mój pojazd i wstałam, wdzięczna losowi, że jest tak późno – albo tak wcześnie – i nikt nie był świadkiem mojej porażki. Czułam się bardziej

sponiewierana moralnie niż fizycznie, ale dłonie i kolana miałam podrapane. Strzepnęłam z nich ziemię i żwir, a potem postawiłam rower i poprowadziłam go aż na sam dół Siodła, i z powrotem na górę po drugiej stronie. Byłam zawstydzona, ale głównie wściekła, że stchórzyłam przed zrobieniem czegoś, co potrafiłam zrobić w podstawówce. Na górze wsiadłam znowu na rower i patrząc cały czas przed siebie, pojechałam jak najszybciej na plażę, jakby to mogło zrównoważyć porażkę przy Diabelskim Siodle. Dopiero kiedy byłam prawie na miejscu, uświadomiłam sobie, że mogłam spróbować jeszcze raz. Mogłam wsiąść na rower i spróbować, ale nie zrobiłam tego. Po prostu sobie poszłam. Postarałam się odsunąć tę myśl, kierując się na plażę, ale w odróżnieniu od wielu podobnych przypadków nie poszło mi to łatwo.

Ponieważ Lucy kazała mi tylko przyjechać „na plażę”, nie miałam pojęcia, czego się spodziewać ani jak ją znaleźć. Na szczęście nie było to trudne, ponieważ zbliżając się do plaży, zobaczyłam ją stojącą na poboczu i krzyczącą do komórki.

– Wszystko skończone – oznajmiła. – I pamiętaj, Stephen, że właśnie straciłeś najlepszą... – Urwała i zaczęła słuchać, a wyraz jej twarzy zmienił się z wściekłości na niedowierzanie. – Tak? Serio? No to dlaczego nie masz jaj, żeby wyjść i powiedzieć mi to

w oczy?

Zwolniłam, czując, że wtrącam się w nie swoje sprawy, chociaż ta kłótnia miała miejsce na środku ulicy. Zauważyłam, że podjazd przed pobliskim domem jest pełen samochodów, usłyszałam stłumione dudnienie basów oraz zwykłe odgłosy imprezy – wrzaski i śmiechy.

– I jeszcze ci powiem... – Lucy w końcu mnie zauważyła i opuściła komórkę. Zmarszczyła brwi, patrząc na rower. – Co to ma być?

– Co takiego? – zdziwiłam się.

– Gdzie twój samochód? – zapytała. Rozejrzała się, chwiejąc przy tym lekko, jakby podejrzewała, że chowam go za sobą.

– Nie przyjechałam samochodem – wyjaśniłam.

Lucy popatrzyła na mnie.

– No to jak zamierzasz mnie odwiedzić? – W tym momencie wtrącił się Stephen, nawet ja usłyszałam w komórce jego donośny i lekko płaczący głos. – Mam cię dość, ty dupku! – warknęła Lucy, ale zauważyłam, że nie przerwała połączenia, tylko nadal słuchała.

Czułam się jak ostatnia idiotka, stojąc na ulicy, koło mojego roweru, o wpół do trzeciej nad ranem. Czułam też, że po raz pierwszy od dawna robię się wściekła na Lucy. Od naszego ponownego spotkania cały czas pamiętałam o tym, co zrobiłam i dlaczego Lucy jest na mnie zła. A ona wyciągnęła mnie z łóżka, żebym ją odwoziła do domu,

choć w pracy niemal ze mną nie rozmawiała? I nie potrafiła nawet powiedzieć, że mam zabrać samochód?

Chociaż Lucy nie skończyła jeszcze rozmowy, poczułam, że muszę się bronić.

– Tak dla twojej wiadomości – podniosłam głos, żeby usłyszała mnie mimo rozmowy przez komórkę – nie powiedziałaś mi, że potrzebujesz kogoś, kto by cię odwiózł, ani nie poprosiłaś mnie o to. Powiedziałaś tylko, że mam przyjechać na plażę, więc przyjechałam na rowerze.

– Wiesz, wyrażałabym się precyzyjnie – odparła Lucy – ale właśnie zrywam z tym kompletnym idiotą! – wykrzyczała ostatnie dwa słowa do telefonu, a Stephen chyba w końcu uznał, że ma dość, bo chwilę później Lucy opuściła komórkę. – Rozłączył się – powiedziała z niedowierzaniem. – Uwierzysz?

Szczerze mówiąc, wierzyłam, ale uznałam, że to nie jest najlepszy moment, żeby jej o tym wspominać.

– Tam jest? – zapytałam, wskazując dom, w którym trwała impreza.

– Tak – burknęła Lucy, podniosła z ziemi torebkę, wrzuciła do niej komórkę i zaczęła czegoś szukać. Wyciągnęła paczkę skittlesów, otworzyła je i wrzuciła sobie garść do ust, jakby to były tabletki, a nie cukierki. Trzymając paczkę w ręku, zamknęła torebkę i trochę zbyt zamaszystym gestem zarzuciła ją sobie na ramię. –

Wyszłam stamtąd, a on nie miał nawet dość przyzwoitości, żeby wyjść ze mną. Został tam i tylko zadzwonił. Mięczak.

– Przy ostatnich słowach jej brawura odrobinę przygasła, a Lucy popatrzyła w ziemię, przygryzając wargę. – Boże – mruknęła lekko drżącym głosem. – Naprawdę mi się podobał. Myślałam, że będziemy razem przynajmniej do końca czerwca. – Popatrzyła na mnie, na rower i westchnęła. – No to chyba wracam na piechotę. Dzięki, że przyjechałaś, Taylor. – Obdarzyła mnie czymś, co zapewne w jej mniemaniu było uśmiechem, a potem odwróciła się i nieco chwiejnie poszła wzdłuż ulicy.

Obróciłam rower i dogoniłam ją. Lake Phoenix może i było bezpieczne, ale nie mogłam pozwolić pijanej Lucy samotnie wracać do domu. Nie wspominając o tym, że wyglądała, jakby mogła poddać się w połowie drogi i położyć spać pod jakimś drzewem.

– Odprowadzę cię – powiedziałam, zsiadając z roweru, żeby iść koło niej.

– Nie musisz – odparła i w tym samym momencie potknęła się o jakiś kamień na poboczu i zatoczyła na mój rower. Przestała protestować i dopasowałyśmy rytm marszu, idąc obok siebie z rowerem pomiędzy nami. Milczałyśmy, jedynymi dźwiękami było ćwierkanie cykad i chrzęst żwiru pod kołami roweru.

– To jak? – zapytałam po chwili, spoglądając na nią. –

Chcesz pogadać?

Lucy zatrzymała się i popatrzyła na mnie, więc także się zatrzymałam.

– Pogadać – powtórzyła. – Z tobą.

Poczułam, że policzki robią mi się gorące, więc potrząsnęłam głową i ruszyłam dalej przed siebie, żeby to ukryć.

– Nieważne – rzuciłam. – Zapomnij.

Lucy dogoniła mnie i szłyśmy dalej w gęstniejącej niemiło ciszy. Pożałowałam, że jednak nie zabrałam samochodu. W samochodzie jest mnóstwo rzeczy, którymi można się zająć. Nie czułabym się tak skrępowana, gdybym mogła po prostu włączyć radio i udawać, że to wszystko się wcale nie dzieje.

– Dzięki za propozycję – powiedziała w końcu Lucy, na pół szczerze, a na pół sarkastycznie. – Ale wiesz, w sumie to się już nie przyjaźnimy, Taylor.

– Wiem – przyznałam. Popatrzyłam na rower, koncentrując się na prowadzeniu go dokładnie po linii prostej i próbując zignorować narastającą gulę w gardle.

– A czyja to była wina? – zapytała Lucy. Ponieważ znałam odpowiedź i zakładałam, że ona także ją zna, nie powiedziałam ani słowa, zacisnęłam tylko dłonie na kierownicy i zaraz je rozluźniłam. – Nie powinnaś była tak wyjeżdżać – ciągnęła Lucy.

– Bez żadnego wyjaśnienia ani nic. To było gówniane

z twojej strony.

– Myślisz, że nie wiem? – zapytałam odrobinę za ostro, co mnie samą zaskoczyło. Popatrzyłam na Lucy i zobaczyłam, że ona także jest tym zdziwiona. – Myślisz, że ja się nie czułam z tym źle?

– Nie wiem – odparła z irytacją. – Wiesz, tak jakby nie przeprosiłaś ani nic.

Miała rację. Próbowалаm, ale bez przekonania, podobnie jak w przypadku Henry’ego, a potem zwałam moje tchórzostwo na okoliczności, które przeszkodziły mi w odpowiedniej chwili. Odetchnęłam głęboko i zatrzymałam się. Miałam już zbyt wiele okazji, żeby coś zmienić, i wszystkie je zmarnowałam, więc postanowiłam wykorzystać tę jedną, tu, na środku drogi, z księżycem oświetlającym nas jasno i kładącym cienie na ziemi.

– Lucy – odezwałam się, patrząc jej prosto w oczy. – Naprawdę, naprawdę przepraszam.

Patrzyła na mnie długą chwilę, a potem skinęła głową.

– Okej – powiedziała i ruszyła dalej, chwiejąc się lekko i koncentrując na wysypaniu kolejnej garści cukierków na rękę.

– Okej? – zapytałam, podbiegając za nią z rowerem. – To wszystko?

– A co mam jeszcze powiedzieć? – Lucy ziewnęła i zasłoniła usta ręką. – Przyjmuję przeprosiny.

– Dziękuję – powiedziałam, lekko oszołomiona, że

poszło tak łatwo. Ale kiedy szłyśmy dalej, zrozumiałam, że to nie znaczy, że znowu zostaniemy przyjaciółkami. Lucy mogła przyjąć bardzo spóźnione przeprosiny, ale to nie oznaczało, że mi wybaczyła.

– Ja też przepraszam – dodała po chwili. Popatrzyłam na nią zdziwiona, więc wzruszyła ramionami. – W pracy traktowałam cię jak ostatnia suka.

– Nie taka ostatnia – zaprzeczyłam, chociaż sama słyszałam, że to nie brzmi zbyt przekonująco. Lucy popatrzyła na mnie, wybuchnęłyśmy obie śmiechem i przez ten moment wszystko było tak, jakbyśmy miały po dwanaście lat. Wskazałam paczkę skittlesów. – Nie dzielisz ich już według kolorów?

Zamrugła oczami, a potem przypomniała sobie i uśmiechnęła się.

– Nie. Już od lat. – Popatrzyła na mnie w ciemności. – A co, ty tak robisz?

– Nie – skłamałam, starając się, żeby brzmiało to obojętnie.

– Tak tylko... pytam.

Lucy uniosła brew, ale nic nie powiedziała. Odwróciłam głowę, jakbym musiała przyjrzeć się drodze, i zauważyłam, że doszłyśmy na krawędź Diabelskiego Siodła. Właśnie tędy przebiegała linia podziału, od której zależało, czy ktoś mieszkał po jednej, czy po drugiej stronie jeziora. Tutaj rozstawałyśmy się zawsze, kiedy

jechałyśmy gdzieś razem, zazwyczaj zegnając się straszliwie długim i skomplikowanym systemem uścisków ręki. Ale Lucy szła dalej w dół zbocza, oddalając się od swojego domu.

– Dokąd się wybierasz? – zawołałam za nią.

Zatrzymała się i spojrzała na mnie.

– Do ciebie – oznajmiła, jakby było to już wcześniej ustalone. – Nie mogę w takim stanie wracać do domu. Matka by mnie zabiła.

Nie byłam pewna, czy reakcja mojej matki byłaby mniej gwałtowna, gdyby odkryła, że zakradam się do domu o trzeciej w nocy, w towarzystwie zamroczonej alkoholem Lucy, ale przynajmniej ja byłam w najoczywistszy sposób trzeźwa. Ruszyłam za nią i zatrzymałam się znowu. Serce zaczęło mi bić odrobinę szybciej, poziom adrenaliny wzrósł na myśl o tym, co zamierzam zrobić.

– Spotkamy się po drugiej stronie – zawołałam do Lucy i wsiadłam na rower.

– Co takiego? – Odwróciła się do mnie, ale ja odepchnęłam się już, pedałując z całej siły w dół. Minęłam ją szybko i zaczęłam pedałować jeszcze mocniej, czując, że grawitacja coraz szybciej ściąga mnie w dół, zmuszając się do ignorowania instynktu, który podpowiadał mi, że to niebezpieczne, że jadę za szybko i mogę zrobić sobie krzywdę. Po prostu pedałowałam

i zanim się zorientowałam, byłam już na dole, siłą rozpędu podjeżdżając pod górę. Wiedziałam, że to nie wystarczy, więc zaczęłam naciskać pedały mocniej niż poprzednio. Oczywiście bardzo szybko podjazd pod górę stał się bardzo trudny, czułam, że łydki mi płoną od wysiłku mającego wywindować mnie – i absurdalnie ciężki rower mojej matki – na szczyt wzgórza. Ale tym razem nie pomyślałam o tym, żeby się poddać. Nie tylko widziałam mnie teraz Lucy, ale w dodatku już raz tej nocy się poddałam. Czułam, że mój oddech staje się coraz płytszy, ale zmusiłam się, dysząc ciężko, żeby dojechać na sam szczyt. Dopiero tam oparłam się nogami o ziemię i opadłam na kierownicę, dysząc ciężko.

Popatrzyłam za siebie i zobaczyłam Lucy podchodzącą pod górę. Nawet z tego miejsca widziałam, że bije brawo.

– Cicho – przypomniałam Lucy. Zrzuciłam klapki na werandzie i podeszłam do drzwi, wyjmując klucz z kieszeni.

– Wiem – odpowiedziała, tłumiąc kolejne ziewnięcie. – Spoko.

Powoli nacisnęłam klamkę i po centymetrze uchylałam drzwi z nadzieją, że nie zaskrzypią. Wchodząc do środka, spojrzałam na zegarek na mikrofalówce – było pięć po trzeciej, czyli godzina, o której nie chciałabym obudzić żadnego z rodziców.

– Rany – oznajmiła Lucy nie tak cicho, jak bym sobie życzyła, rozglądając się dokoła. – Nic się tu nie zmieniło.

Ostrożnie zamknęłam za nami drzwi.

– Wiem – odparłam szeptem i przesłałam koło niej na palcach, gestem zapraszając ją do pokoju. – Chodź.

– Nie no, serio się nic nie zmieniło – powtórzyła trochę głośniej. Na posłaniu przy oknie jedno ucho Murphy’ego zadrgało, a ja przypomniałam sobie, że ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, było to, żeby pies obudził się i zaczął szczekać. – To dziwaczne. – Popatrzyła na podłogę i zauważyła śpiącego psa. – Od kiedy go macie? – zapytała już nawet nie szeptem, tylko całkiem normalnym głosem.

– Od dzisiaj – mruknęłam. – To długa historia.

Zrobiłam jeszcze krok w stronę sypialni z nadzieją, że Lucy pójdzie ze mną, ale ona ciągle się rozglądała z półotwartymi ustami. Uświadomiłam sobie, że musi się czuć tak samo jak ja, kiedy tu weszłam w tym roku – jakby trafiła do jakiejś dziwacznej maszyny do podróży w czasie, w której nic się nie zmieniło przez ostatnich pięć lat. Gdybyśmy przyjeżdżali tutaj co roku, na pewno dom zmieniłby się razem z nami, ale w tej sytuacji był idealnie zakonserwowany i wyglądał dokładnie tak, jak widziała go po raz ostatni. Kiedy byliśmy małe i byliśmy najlepszymi przyjaciółkami.

– Lucy – powtórzyłam ciut głośniej i to wreszcie

wyrwało ją z tego transu.

Skinęła głową i poszła za mną korytarzem, ale zatrzymała się w pół drogi do mojego pokoju.

– Chyba żartujesz – mruknęła i wskazała jedno z oprawionych w ramki zdjęć na ścianie. Miałyśmy na nim po dziesięć lat i uśmiechałyśmy się szeroko, z buziami poplamionymi czerwono i fioletowo od mrożonej oranżady, którą zapewne właśnie skończyłyśmy jeść.

– Wiem – powiedziałam cicho, stając koło niej. – To było strasznie dawno temu.

– Było – przyznała. – Boże. Rany.

Popatrzyłam na nas na zdjęciu, stojące tuż koło siebie i beztrzesko obejmujące się ramionami. W szybie ramki widziałam nasze odbicie teraz, siedem lat starszych i stojących o ponad metr od siebie. Lucy patrzyła na zdjęcie jeszcze przez jakąś minutę, a potem poszła dalej. Dopiero kiedy otworzyła drzwi do mojego pokoju, przypomniałam sobie, że oczywiście nie muszę jej pokazywać drogi – w swoim czasie znała mój dom równie dobrze, jak swój własny.

Lucy przebrała się w T-shirt i szorty, które dla niej znalazłam, a ja rozłożyłam na łóżku polowym dodatkowy komplet pościeli z szafy. Kiedy wróciła z łazienki, także się przebrałam i doświadczyłam silnego uczucia déjà vu. Wiele lat leżałam w tej samej pozycji, z Lucy patrzącą na mnie z łóżka polowego, kiedy gadałyśmy godzinami, długo

po tym, jak kazano nam iść spać. Teraz była tutaj dokładnie tak samo jak dawniej, poza tym, że wszystko się zmieniło.

– To dziwaczne – wyszeptałam, kiedy położyła się na łóżku polowym i przykryła kołdrą.

Przewróciła się na bok, żeby popatrzeć na mnie, i objęła poduszkę takim samym gestem jak wtedy, kiedy miała dwanaście lat.

– Wiem – powiedziała.

Popatrzyłam w sufit, czując się dziwnie niekomfortowo we własnym pokoju, doskonale świadoma każdego mojego poruszenia.

– Dzięki za dzisiaj, Taylor – oznajmiła Lucy z szerokim ziewnięciem. Popatrzyłam na nią ukradkiem, ale zamknęła już oczy, a jej ciemne włosy rozsypały się na białej poduszce. – Ratujesz mi tyłek.

– Nie ma sprawy. – Odczekałam jeszcze chwilę, żeby zobaczyć, czy nie będzie miała ochoty pogadać – o rozczarowaniu ze Stephanem albo okolicznościach, jakie doprowadziły do dzisiejszej nocy. Ale jej oddech się wyrównał i zwolnił, a ja przypomniałam sobie, że Lucy zwykle zasypiała przede mną. Zazdrościłam jej od zawsze, że potrafiła zapaść sen w mgnieniu oka, podczas kiedy ja czasem miałam wrażenie, że zabiera mi to całe godziny. Położyłam się na poduszce i zamknęłam oczy, chociaż podejrzewałam, że nieprędko uda mi się zasnąć.

Jednak następną rzeczą, jaką zobaczyłam, było wpadające przez okno słońce, a kiedy usiadłam na łóżku, zauważyłam rzeczy, które pożyczyłam Lucy, złożone równo na połowym łóżku. Na nich leżała otwarta paczka skittlesów. Kiedy do niej zajrzałam, przekonałam się, że w środku zostały tylko moje ulubione kolory.

Rozdział dwudziesty pierwszy *pięć wakacji wcześniej*

Obudziłam się, przytulając pluszowego pingwina, który nadal pachniał trochę smażonym ciastem i wata cukrową. Wygładziłam jego szalik, przesuwając palcami po miękkim filcu, i poczułam, że uśmiecham się, otwierając oczy i przypominając sobie wydarzenia z ostatniego wieczoru. To był cudowny wieczór, więc pragnęłam zapamiętać każdą jego chwilę.

Odkąd pamiętam, chodziłam do wesołego miasteczka w Lake Phoenix. Przyjeżdżało na cały weekend, ale Henry i ja poszliśmy tam od razu pierwszego wieczoru. Zawsze najbardziej lubiłam ten pierwszy wieczór, zanim trawa nie zrobiła się całkiem zdeptana i nie zamieniła się w błoto, zanim człowieka nie zaczynało mdlić na widok budek z mrożonym sokiem, zanim nie zauważyło się, jak niewiele osób wygrywa cokolwiek w karnawałowych grach. Kiedy wszystko jeszcze było lśniące i magiczne, tak jak wczoraj.

Od czasu naszej randki w kinie spędzaliśmy z Henrym całe dni razem, ale coś wyraźnie się zmieniło

w porównaniu do wcześniej niezobowiązującej przyjaźni i wyścigów do baru na plaży. Układ między nami stał się bardziej skomplikowany, ale też nieskończenie bardziej ekscytujący, a ja co wieczór wracałam do domu i prawie nie zwracałam uwagi na kolację. Przypominałam sobie tysiące drobnych chwil w towarzystwie Henry'ego – dołeczek na policzku, kiedy się uśmiechał, muśnięcie mojej ręki, kiedy podawał mi lody. Nie próbował mnie jeszcze pocałować, ale szanse na to zwiększały się z każdym dniem, a ja zastanawiałam się, kiedy to się wydarzy. Może wtedy, kiedy złapie mnie za rękę, żeby pomóc mi wejść na pomost, ale ja szarpnę go i wciągnę do wody, a potem wynurzymy się jednocześnie, tak blisko, że będę widzieć kropelki wody na jego rzęsach? Może wtedy, kiedy będzie mnie odprowadzał do domu – podjedzie na rowerze, zatrzyma się, odchrząknie i popatrzy w ziemię, jakby starał się zebrać na odwagę? Żaden z tych momentów nie okazał się właściwy, ale dzięki temu były znacznie bardziej ekscytujące niż zazwyczaj, a ja czułam się, jakby po wielu latach spędzonych na czytaniu w „Seventeen” o tym, co spotyka innych ludzi, w moim życiu także zaczęło się dziać coś ciekawego.

Jedyną sprawą przyćmiewającą moje szczęście była kwestia Lucy, która dopytywała się, czy rozmawiałam o niej z Henrym. Odpowiadałam jej wymijająco

i zaczęłam szukać każdej wymówki, żeby jak najszybciej skończyć rozmowę telefoniczną, kiedy tylko poruszała ten temat.

Postarałam się nie myśleć w tym momencie o Lucy, usiadłam i posadziłam sobie pingwina na kolanach. Henry i ja poszliśmy do wesołego miasteczka na cały wieczór, tylko we dwoje. To nie było łatwe, szczególnie z powodu Gelsey, która starała się wszędzie ze mną chodzić, ale udało mi się przekupić Warrena, żeby się nią zaopiekował. Dałam mu pięć dolarów, które dostałam od taty na bilety na karuzelę, a poza tym obiecałam, że mu postawię lody przy najbliższej okazji.

Po zakończeniu długich negocjacji z Warrenem poszłam do wesołego miasteczka i zaczęłam tam szukać Henry'ego, czując, że serce tłucze mi się z podekscytowania. Było jeszcze wcześniej, słońce nie zaszło, a neony na karuzelach i budkach dopiero zaczęły się rozjaśniać. Metaliczne postukiwania maszynierii mieszały się z wrzaskami ludzi na karuzelach i okrzykami sprzedawców w budkach, zachęcających gości, żeby podeszli i spróbowali szczęścia.

Stoisko ze smażonym ciastem było prawie po przeciwległej stronie od wejścia, a kiedy podeszłam bliżej, poczułam zapach tłuszczu i cukru pudru, od którego zawsze ślinka napływała mi do ust. Różowo-żółty neon zapowiadał Smażone ciasto / Napoje gazowane /

LEMONiADą, rzucając blask na ciemne włosy stojącego tuż pod nim Henry'ego.

– Bardzo ładnie wyglądasz – powiedział, kiedy do niego podeszłam.

– Dzięki – uśmiechnęłam się do niego. Nawet bez pomocy Lucy przy szykowaniu się na randkę byłam zdania, że udało mi się całkiem nieźle poradzić sobie z włosami, założyłam też nowy T-shirt. – Ty też. – Zauważyłam, że jego zazwyczaj potargane włosy wydają się znacznie gładsze, dawało się też na nich dostrzec ślady grzebienia.

Powietrze wokół nas pachniało słodko, a Henry wziął mnie za rękę, splótł palce z moimi i uśmiechnął się.

– Od czego zaczynamy? – zapytał.

Zaczęliśmy od karuzeli łańcuchowej, a potem poszliśmy na beczkę śmiechu i na diabelski młyn (kołysaliśmy gondolą tak mocno, jak tylko mogliśmy, aż pracownik nakrzyczał na nas i kazał się uspokoić). Potem, po zaliczeniu najbardziej wywracających żołądek atrakcji, podzieliliśmy się smażonym ciastem i popcornem, a wreszcie zjedliśmy razem intensywnie niebieską watę cukrową, po której zostały nam kolorowe zęby i lepkie palce.

Dostałam pingwina, kiedy przechodziliśmy koło jednej z budek, a pracownik stoiska z wodnymi pistoletami zawołał: „Hej, młody! Wygraj coś dla swojej

dziewczyny!”.

Mówił to ze złośliwym uśmieszkiem, pewnie zamierzając nas zawstydzić, ale Henry po prostu podszedł do stanowiska, wyjął dolara i wygrał (nie główną nagrodę, ale tylko oczko niżej) przy pierwszej próbie.

Pod koniec wieczoru neony lśniły jasno w ciemności. Mama umówiła się ze mną i moim rodzeństwem przy wejściu o wpół do dziesiątej – tata, który zawsze przychodził z nami do wesołego miasteczka, w tym roku spędził cały weekend w pracy z powodu jakiejś sprawy. Mama Henry’ego miała przyjechać mniej więcej w tym samym czasie, więc poszliśmy razem do wejścia. Ale tuż zanim wyszliśmy na zewnątrz, Henry wziął mnie za rękę i pociągnął kilka kroków na bok, tak że oddzieliliśmy się od tłumu i zniknęliśmy w cieniu za kasą z biletami. Kiedy zaczęłam rozumieć, co się dzieje, Henry pochylił głowę i zamknął oczy, a ja zrobiłam to samo dokładnie w chwili, kiedy mnie pocałował.

Po tych wszystkich czytanych przeze mnie artykułach, które tłumaczyły ze szczegółami, jak należy się całować, bałam się trochę, że sobie nie poradzę. Ale kiedy tylko jego usta dotknęły moich, zrozumiałam, że tak naprawdę ich nie potrzebowałam. To było łatwe.

Przytuliłam mocno pingwina i przypomniałam sobie, że byłam teraz osobą, która została pocałowana. Zerwałam się z łóżka i niemal tanecznym krokiem wpadłam do

kuchni. Uspokoiliam się, kiedy zobaczyłam, że tata siedzi przy stole, otoczony stosami dokumentów, i rozmawia przez telefon, wpatrując się ze zmarszczonymi brwiami w stojący przed nim laptop.

Czułam, że nasz dom nie jest w stanie pomieścić rozpierającej mnie radości, więc wymknęłam się przez tylną werandę i pobiegłam na pomost. Chciałam po prostu poleżeć w słońcu i przypomnieć sobie jeszcze raz każdy szczegół wczorajszego wieczoru. Jednak na końcu pomostu stanęłam jak wryta.

Po drugiej stronie jeziora zobaczyłam różową bandanę przywiązaną do pala pomostu dokładnie naprzeciwko naszego. Lucy wróciła.

Rozdział dwudziesty drugi

Awiesz, że najstarsze ślady praktyk weterynaryjnych są datowane na 9000 lat przed naszą erą? A pierwsza szkoła weterynaryjna została otwarta we Francji w 1761 roku.

Popatrzyłam na mojego brata i pożałowałam, że nie byłam dość przewidująca, żeby zabrać ze sobą na pomost iPod'a.

– Wiesz o tym? – naciskał Warren.

Potrząsnęłam tylko głową. Jakieś dwadzieścia minut temu poddałam się i przestałam mu powtarzać, że nie musi mi opowiadać kolejnych ciekawostek dotyczących weterynarii.

– Prawda? – rozpromienił się Warren, patrząc na trzymaną na kolanach książkę. – To fascynujące!

Znowu miałam dzień wolny i w końcu wybrałam się na pomost, gdzie zamierzałam spędzić całe popołudnie na opalaniu się. Nie zamierzałam tego robić w towarzystwie mojego brata, który przyszedł niedługo po tym, jak rozłożyłam sobie ręcznik i otworzyłam czasopismo. Teraz siedział na brzegu pomostu, ze stopami w wodzie, podczas kiedy ja wyciągnęłam się na ręczniku w bikini

z nadzieją, że będę umiała naśladować Lucy i po prostu zasnąć. Od kiedy cztery dni temu odwiedziliśmy Na Psa Urok, mój brat nie przestawał mówić o weterynarzach i fascynującej dyscyplinie nauki, jaką jest medycyna weterynaryjna.

Zaledwie po jednym czy dwóch dniach stało się jasne, że – pomimo wysiłków mojej matki, zmierzających do odnalezienia nieodpowiedzialnych i porzucających psy letników – mamy psa. Murphy zadomowił się u nas ku radości Gelsey, ale o dziwo najbardziej przywiązał się do mojego ojca. Kiedy wychodziłam do pracy – jeździłam teraz na rowerze, chyba że zanosilo się na deszcz – siedział zazwyczaj na kolanach taty i patrzył w monitor laptopa, jakby rozumiał, co widzi. Zazwyczaj po obiedzie także lokował się w tym miejscu, a przedwczoraj przyłapałam mamę, jak głaskała Murphy'ego po łbie, myśląc, że nikt jej nie widzi. Niezależny obserwator uznałby zapewne, że największym miłośnikiem psa jest Warren, ponieważ niemal codziennie kupował Murphy'emu nowe przysmaki, kolejną piszczącą zabawkę czy dodatkowe kości z prasowanych ścięgien. Wiedziałam, że to, podobnie jak jego nagłe zamiłowanie do nauk weterynaryjnych, nie ma nic wspólnego z przywiązaniem do psa, za to bardzo dużo wspólnego z Wendy, pracującą w Na Psa Urok.

– A poza tym – zaczął Warren, ale podparłam się na

łokciach i potrząsnęłam głową.

– Nie – powiedziałam stanowczo, przesuując ciemne okulary na czubek głowy. – Żadnych więcej ciekawostek o weterynarzach. Mam już dość. Idź się znęcać nad Gelsey.

Warren przez moment sprawiał wrażenie dotkniętego, ale potem tylko westchnął i potrząsnął głową.

– Nie mogę – stwierdził, trącając stopą powierzchnię wody.

– Poszła gdzieś ze swoją drugą połową.

Uśmiechnęłam się i położyłam się z powrotem na ręczniku. Gelsey i Nora szybko stały się nierozłączne, co wyraźnie ucieszyło rodziców Nory. Wyjaśnili pewnego dnia, kiedy wpadli wieczorem, żeby się przywitać i ją odebrać, że pracują nad scenariuszem z wyjątkowo krótkim terminem i nie mają czasu zapewniać jej rozrywki. To już nie stanowiło problemu, ponieważ od tamtego pierwszego dnia Gelsey i Nora spędzały niemal cały czas razem. Pozamieniały grupy tenisowe tak, żeby być w jednej, a kiedy nie dręczyły swoich instruktorów, jeździły razem na rowerach, wybierając się z samego rana na plażę lub na basen. Codziennie wieczorem Gelsey opowiadała ze szczegółami, co powiedziała Nora, jakie przygody miały tego dnia i jak wyglądało życie Nory w Los Angeles. Słuchając jej przy obiedzie, zrozumiałam, że Gelsey w końcu znalazła najlepszą przyjaciółkę.

– No to poopowiadaj o tym mamie albo tacie – powiedziałam do Warrena, przekręciłam głowę w bok i zamknęłam oczy.

– Ja mam dość.

Rozległo się charakterystyczne piszczenie czujników parkującej ciężarówki, więc usiadłam prosto i popatrzyłam w kierunku podjazdu, chociaż poprzez zabudowaną werandę niewiele było widać.

– To FedEx? – zapytałam, bo Warren także odwrócił się i zmrużył oczy.

– UPS – odpowiedział, potrząsając głową. – FedEx był dzisiaj rano.

Poza przesyłkami z pracy ojciec zaczął zamawiać mnóstwo różnych rzeczy i co chwila coś do niego przychodziło. Praktycznie codziennie przyjeżdżały nowe przesyłki – książki, płyty DVD, belgijskie czekoladki, steki z Omaha w suchym lodzie. Nadal wstawał wcześniej i jeszcze dwa razy byliśmy na śniadaniu w restauracji, połączonym z quizem na podkładkach. Dowiedziałam się, że jako dziecko chciał zostać astronautą, jedzeniem, którego najbardziej nienawidzi, jest fasola limeńska, a po poznaniu mojej matki, przez dzień w dzień, codziennie chodził na przedstawienia baletowe, żeby nadrobić braki w wiedzy. Codziennie po obiedzie zbieraliśmy się w salonie i oglądaliśmy jakiś film, a kiedy się kładłam, tata zwykle jeszcze nie spał, tylko czytał kolejną książkę

z coraz większego stosu.

Kilka dni temu nie mogłam wieczorem zasnąć, więc zesłam do kuchni po szklankę wody, bardziej dlatego, że byłam znudzona niż spragniona. Zostałam tą wyciągniętą na kanapie, w kominku dogasały węgle. Pies spał na jego nogach, tata miał na nosie okulary do czytania, a na piersi opierał grubą książkę.

– Hej – szepnęłam, więc odwrócił głowę i uśmiechnął się na mój widok, zdejmując okulary.

– Cześć, mała – odparł cicho. – Nie możesz spać?

Skinęłam głową, usiadłam na drugiej kanapie i pochyliłam się, żeby przyjrzeć się książce.

– Co czytasz? – zapytałam.

– T.S. Eliota – wyjaśnił, pokazując mi okładkę z czarno-białym zdjęciem przedstawiającym smutnego mężczyznę. – Czytałaś kiedyś?

Potrząsnęłam głową, a tata znowu oparł sobie książkę na piersi.

– *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka* – powiedział. – Pamiętam, że podobało mi się, kiedy byłem w college'u. – Znowu założył okulary i zmrużył oczy, patrząc na tekst. – Nie mogę już sobie przypomnieć, dlaczego właściwie tak mi się podobało.

Uśmiechnęłam się, słysząc to, i zwinęłam w kłębek na kanapie, opierając głowę na ozdobnej poduszce, która drapała mnie w policzek. Było tu tak spokojnie –

sporadyczne trzaski dogasającego ognia, posapywanie psa przerywane od czasu do czasu chrapnięciem, obecność taty – że nie chciało mi się w ogóle wracać do pokoju.

– Chcesz posłuchać? – Tata popatrzył na mnie znad książki. Skinęłam głową, próbując sobie przypomnieć, ile lat minęło, od kiedy ktoś czytał mi coś na głos. Kiedy byłam mała, zawsze chciałam, żeby tata to robił, chociaż zwykle wracał do domu długo po tym, jak poszłam spać. Ale jeśli był w domu, upierałam się, żeby to on mi opowiadał bajki, ponieważ dodawał szczegóły, o których nie wspominała moja mama – na przykład, że Jaś i Małgosia dopuścili się naruszenia miru domowego oraz zniszczenia mienia, a trzy małe świnki powinny oskarżyć Złego Wilka o nękanie i nachodzenie. – Dobrze, zaczynam. – Odchrząknął i zaczął czytać głosem cichszym niż zwykły donośny baryton, który zawsze mi się z nim kojarzył. Powiedziałam sobie w duchu, że po prostu stara się być cicho, żeby nie obudzić całego domu. Zamknęłam oczy i pozwoliłam słowom spływać po mnie – słuchałam o kobietach rozmawiających o Michale Aniele i żółtej mgie, ale przede wszystkim powracających słów o tym, że będzie czas, czas dla ciebie i czas dla mnie. Ostatnie słowa odbiły się echem w mojej głowie, powieki mi zaciążyły, a ostatnią rzeczą, jaką zauważyłam przed zaśnięciem, był koc, którym nakrył mnie tata, gasząc światło.

– Nie wiem, co tym razem zamówił – stwierdził Warren, patrząc na podjazd i furgonetkę UPS. – Szczerze mówiąc, nie obraziłbym się za nową porcją steków.

– Mam nadzieję, że to będzie coś równie smacznego jak czekoladki – odparłam, a mój głos wydał mi się odrobinę bardziej piskliwy niż zwykle, w rejestrach wymuszonego optymizmu.

– Były niesamowite.

– Faktycznie – przyznał Warren podobnie radosnym, odrobinę za wysokim głosem. Nasze spojrzenia na moment się spotkały, zanim popatrzył znowu na jezioro. Nie rozmawialiśmy o powodach, dla których mój tata nagle zaczął mieć lekką obsesję zakupową – ani o tym, że niewiele zjadał z tych wykwintnych przysmaków, które przybywały do Poconos z całego świata, i wyraźnie zeszczuplał.

Przewróciłam jeszcze kilka stron czasopisma, ale przestało mi się wydawać szczególnie interesujące, więc po kilku minutach odłożyłam je na bok – ostrożnie, ponieważ pożyczyłam je od Lucy. Nasze stosunki układały się lepiej od czasu, kiedy z konieczności u mnie przenocowała. Trudno byłoby nas nazwać bliskimi przyjaciółkami, ale atmosfera w pracy zrobiła się znacznie cieplejsza. Elliot, od kiedy usłyszał, że Lucy zerwała ze swoim chłopakiem, zaczął w jej obecności upuszczać znacznie więcej rzeczy, potwierdzając moje

początkowe podejrzenia, że się w niej podkocha. O ile jednak wiedziałam, nie robił żadnych kroków w tym kierunku, jeśli nie liczyć coraz większych ilości wody kolońskiej, jaką polewał się przed wyjściem do pracy. Obawiałam się, że jeśli utrzyma taki trend, klienci zaczną w końcu narzekać.

– A właściwie co się dzieje u Crosbych? – zapytał Warren, a ja podskoczyłam.

– Nie rozumiem? – zapytałam, zastanawiając się, czemu tak proste pytanie do tego stopnia wytrąciło mnie z równowagi. Nie widziałam Henry’ego od mojej publicznej kompromitacji w Kinie pod Gwiazdami, ale myślałam o nim – obecnym Henrym i Henrym, którego znałam dawniej – znacznie więcej, niż chciałabym się przed sobą przyznać.

– Chodzi mi o ten namiot pod ich domem – wyjaśnił Warren, spoglądając na widoczny pomiędzy drzewami intensywnie pomarańczowy ortalion. – To wygląda, jakby koczowali u nich jacyś bezdomni.

Potrząsnęłam głową i położyłam się z powrotem.

– Naprawdę w to wątpię.

– No cóż, domyślałam się, że tak uważasz, ale statystycznie...

Pozwoliłam Warrenowi wdać się w długą przemowę o prawnej definicji bezdomności, od czego z jakiegoś powodu przeszedł do wyjaśniania mi, że słowo

„wagabunda” pochodzi z łaciny.

Właśnie udało mi się przestać go słuchać, kiedy tuż nad sobą usłyszałam znajomy głos.

– Cześć.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam stojącego na pomoście Henry’ego, ubranego w spłowiały T-shirt z logo piekarni jego ojca oraz spodenki kąpielowe. Pod pachą trzymał ręcznik.

– Cześć – zająknęłam się, usiadłam i spróbowałam poprawić włosy, które w tym upale zupełnie oklapły.

Warren wstał i przechylił głowę.

– Henry? – zapytał.

Henry skinął głową.

– Cześć, Warren – rzucił. – Kopę lat.

– Faktycznie – przyznał Warren. – Dobrze cię znowu widzieć.

– Przeszedł na koniec pomostu i wyciągnął rękę, a po króciutkiej chwili wahania Henry przełożył ręcznik na drugie ramię i uściśnął jego dłoń. – Słyszałem, że mieszkacie teraz tu obok. Co u was słychać?

– Wszystko w porządku – odparł Henry. Popatrzył na mnie, a nasze spojrzenia spotkały się tylko na moment, ale to wystarczyło, żeby puls mi przyspieszył. – A u was?

– W porządku – powiedział Warren. – Właściwie to nawet całkiem dobrze. Jesienią idę na uniwersytet, więc postanowiłem trochę poczytać w te wakacje. – Henry

skinął z grzeczności głową, wyraźnie nieświadomy, że Warren dopiero się rozkręca.

– Na przykład teraz czytam o historii nauk weterynaryjnych. To naprawdę fascynujące. Czy wiedziałeś na przykład, że...

– Warren – przerwałam, więc spojrzał na mnie, a ja uśmiechnęłam się do niego, próbując mu przekazać, że powinien się zamknąć, a jeszcze lepiej iść stąd.

– Tak? – zapytał, najwyraźniej nie umiejąc czytać mi w myślach.

– Nie miałaś przypadkiem pomóc tacie? W domu?

Warren popatrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami, a ja nie po raz pierwszy w te wakacje zaczęłam się zastanawiać, czy mój brat naprawdę jest tak genialny, jak wszyscy utrzymują.

– Aha – powiedział po za długiej pauzie. – Prawda. Jasne.

– Uniósł brwi w sposób zupełnie do niego niepodobny, ale niesamowicie irytujący, a potem w końcu odwrócił się. Zrobił może dwa kroki i odkręcił się znowu do Henry'ego. – Właśnie, a ten namiot przed waszym domem... – zaczął.

– Warren – powiedziałam przez zaciśnięte zęby.

– Jasne – odparł szybko, machnął Henry'emu ręką i zaczął się wspinać trawiastym zboczem w stronę domu.

– Wybacz, że przeszkadzam. – Henry podszedł do mnie

i rzucił obok ręcznik. – Nie wiedziałem, że tu jesteście.

– Nie przeszkadzasz – zapewniłam, słysząc, jak wysoki nagle zrobił się mój głos, zupełnie jakbym była jakimś muppetem. Uświadomiłam sobie także dobitnie, że mam na sobie tylko bikini, czyli prawie tyle, co nic. – Nie ma problemu. Żadnego, żadnego problemu.

Henry rozłożył ręcznik i usiadł na nim, wyciągając przed siebie długie nogi. Siedzieliśmy naprawdę blisko, a ja nie potrafiłam zapomnieć o tamtej chwili w lesie, kiedy podtrzymywał mnie, a jego skórę od mojej dzielił tylko cienki materiał T-shirtu.

– Twój brat ma coś przeciwko temu namiotowi? – zapytał Henry, sprowadzając mnie na ziemię.

– Nie o to chodzi – wyjaśniłam. – Po prostu... zastanawia się, kto w nim mieszka. Niepokoił się, czy nie przygarnęliście jakichś bezdomnych.

Henry uśmiechnął się, a jego zielone oczy pojaśniały, sprawiając, że niemal odruchowo odwzajemniłam ten uśmiech.

– Nie mamy żadnych bezdomnych – odparł. – Davy w nim mieszka.

– Aha – powiedziałam i umilkłam, czekając na jakieś dalsze wyjaśnienie. Ponieważ Henry podparł się na rękach i zapatrzył na jezioro, zapytałam: – A dlaczego Davy w nim mieszka?

– Od kilku lat ma straszną fazę na survival, najchętniej

nocowałyby w lesie, gdyby tata mu na to pozwalał. To jest kompromis, poza tym wolno mu spać w namiocie tylko latem.

Pomyślałam o weekendach, które od czasu do czasu spędzaliśmy tutaj zimą, oraz o tym, jak potrafi tu być mroźno, i pokiwałam głową.

– Zaraził się od ciebie?

– Czym? – Henry spojrzał na mnie, unosząc brwi.

– Tym siedzeniem w lesie – wyjaśniłam. Henry dalej na mnie patrzył, a jego spojrzenie wystarczyło, żebym odwróciła głowę i skoncentrowała się na wygładzaniu zmarszczek na ręczniku.

– Zawsze mnie namawiałeś, żebym z tobą poszła i obejrzała jakiegoś owada. Dawniej to uwielbiałeś.

Uśmiechnął się na to wspomnienie.

– W sumie dalej to lubię. To, że w lesie wszystko jest na miejscu, istnieje pewien porządek rzeczy, jeśli tylko umie się go dostrzec. Zawsze chodzę do lasu, kiedy muszę coś przemyśleć.

Zapadła cisza, a ja uświadomiłam sobie, że od naszego pierwszego spotkania na tym pomoście po raz pierwszy jesteśmy sami – bez żadnych młodszych braci, klientów czy blondynek. Ale ta cisza nie była krępująca, tylko całkiem przyjemna, tak jak wtedy, kiedy spędzaliśmy razem deszczowe dni w domku na drzewie albo wylegiwaliśmy się godzinami na pływającym pomoście.

Popatrzyłam na Henry'ego i zobaczyłam, że na mnie patrzy, co mnie zaskoczyło, ale tym razem nie odwróciłam głowy. Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, chociaż nie miałam pojęcia, co takiego – nie przychodziło mi do głowy nic poza jego imieniem – kiedy Henry wstał szybko.

– Chyba pójde popływać – stwierdził.

– Aha – odparłam. – Jasne, baw... – W tym momencie zapomniałam, co zamierzałam dalej powiedzieć, ponieważ Henry zdjął koszulkę. Boże. Przełknęłam gwałtownie ślinę i odwróciłam głowę, ale zaraz przypomniałam sobie o tym, że mam przecież ciemne okulary. Założyłam je możliwie obojętnym gestem, żeby móc patrzeć na niego i nie gapić się ostentacyjnie. Nie wiem, czy w piekarni nosił worki z cukrem i mąką, ale był szeroki w barach, miał muskularne ramiona i ładny zarys mięśni brzucha...

Na pomoście zrobiło się nagle o wiele goręcej niż chwilę temu, a kiedy Henry skinął mi głową i skoczył do wody, spróbowałam pomachać mu swobodnym gestem. Patrzyłam, jak płynie – rozpoznawałam ruchy, których oboje uczyliśmy się wiele lat temu od instruktora pływania – aż niemal straciłam go z oczu. Wtedy założyłam szorty i T-shirt, zabrałam ręcznik i wróciłam do domu.

Kiedy zbliżałam się do domu, moją uwagę zwróciły opera i popcorn. Sopran wchodził w najwyższe rejestry, a kiedy przeszłam przez werandę do kuchni, odkryłam źródło zapachu popcornu.

Na kuchennym stole znajdował się zapas popcornu wystarczający dla całego kina – popcorn w puszkach, popcorn w torebkach, kule z popcornu zawinięte w celofan. Stojący obok Warren podrzucał kulę popcornu, a ojciec siedział przy stole ze śpiącym mu w ramionach psem, nucił razem z muzyką i czytał jednocześnie libretto.

– Cześć – powiedziałam, rzucając ciemne okulary i czasopismo na blat kuchenny. Rozejrzałam się, ale ponieważ dom nie przypominał jeszcze fabryki popcornu, kiedy szłam na pomost, uznałam, że to wszystko musiało przyjechać w furgonetce UPS.

– Posłuchaj tego, Taylor. – Tata uniósł palec, a Warren złapał kulę popcornu i we trójkę słuchaliśmy, jak jakaś kobieta śpiewa o czymś po włosku. Ojciec uśmiechnął się do mnie, kiedy skończyła arię, a ja po raz pierwszy zauważyłam, jak białe wydają się jego zęby na tle skóry, nabierającej coraz bardziej żółtawego odcienia. – Czy to nie cudowne?

– Bardzo ładne – odpowiedziałam, podeszłam do stołu i poczęstowałam się garścią popcornu na słodko z otwartej torebki.

– To *Cyrulik sewilski* – wyjaśnił tata. – Niedługo po

ślubie byliśmy z waszą matką na przedstawieniu i zawsze sobie powtarzałem, że kiedyś pójdę na to jeszcze raz. – Popatrzył na libretto, powoli przewrócił stronę, a ja zjadłam jeszcze garść popcornu, przyćmiewającego każdy popcorn na słodko, jaki kiedykolwiek jadłam.

– Przepyszne – stwierdziłam, a tata poprosił mnie gestem, żebym podała mu trochę. Wziął całą garść, ale zauważyłam, że zjadł tylko kilka prażynek, krzywiąc się lekko przy przełykaniu. Mimo to uśmiechnął się do mnie.

– To podobno najlepszy popcorn w kraju – wyjaśnił. – Pomyślałem, że powinniśmy go spróbować, szczególnie jeśli wieczorem mamy w końcu obejrzeć *W pogoni za cieniem*.

Wymieniłam spojrzenia z Warrenem, który znowu zaczął podrzucać kulę popcornu. Chociaż żadne z nas nie widziało tego filmu, tata od lat opowiadał nam o *W pogoni za cieniem*. Twierdził, że to idealne lekarstwo na zły dzień i zawsze proponował – albo groził, zależy, jak na to patrzeć – że puści to nam, kiedy byliśmy w złych humorach.

– Będziecie zachwyceni – kontynuował tata. – I myślę, że Murphy’emu spodoba się Asta. – Potarł psa, który otworzył oczy i ziewnął, a potem oparł mu łeb na ramieniu.

Mieliśmy takie plany, ale potem do domu wróciła Gelsey, oznajmiając z zachwytem, że Nora dostała

pozwolenie na przenocowanie u nas. Mama najwyraźniej uznała, że Warren i ja podejmiemy się roli babysitterów, ponieważ zarezerwowała na wieczór stolik dla siebie i ojca w ich ulubionej restauracji w Mountainview. Ponieważ na dole grzmiała opera, Gelsey wychodziła ze skóry z radości z powodu wizyty Nory, a Warren wrócił do opowiadania, jak fascynujący są weterynarze, wycofałam się na frontową werandę z czasopismem i colą light. Cienie drzew zaczęły kłaść się na żwirowy podjazd, kiedy na werandę wyszła moja mama.

– Taylor?

– Tak? – Odwróciłam się i zobaczyłam, że matka jest ubrana w stylu, w jakim nie widziałam jej od dawna: biała sukienka, włosy upięte w luźny kok, makijaż. Czulałam zapach jej lekkich, kwiatowych perfum, których używała tylko na wielkie wyjścia. Kojarzyły mi się z tymi wszystkimi wieczorami, które jako mała dziewczynka spędzałam, siedząc na szafce w łazience i patrząc, jak mama szykuje się do wyjścia z moim tatą. Byłam wtedy przekonana, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie. – Wyglądasz świetnie – powiedziałam szczerze.

Mama uśmiechnęła się i przyglądała włosy.

– Sama nie wiem – stwierdziła. – Ale dziękuję. Nie masz nic przeciwko dopilnowaniu dziewczynek dzisiaj wieczorem?

Potrząsnęłam głową.

– Nie ma problemu.

Wprawdzie Warren miał także być w domu, ale miałam przecucie, że przy pierwszej okazji zniknie u siebie z książką. Mama stała jeszcze chwilę na werandzie, wyłamując palce, a w zapadłej ciszy uświadomiłam sobie, jak bardzo pragnę, żeby wszystko było inaczej. Chciałam umieć z nią rozmawiać, powiedzieć jej, jak bardzo się boję tego, co ma się wydarzyć, poprosić, żeby zapewniła mnie, że wszystko będzie dobrze. Ale powstrzymywało mnie to, że nigdy się tak nie zachowywałyśmy i teraz widziałam tylko bariery i mury, jakie wzniosłam między sobą a matką – tak zwyczajnie, bez zastanowienia, nie uświadamiając sobie, że pewnego dnia mogłabym chcieć, żeby zniknęły.

– Gotowa do drogi? – Tata wyszedł na werandę i stanął koło matki. Wyglądał prawie tak, jak go zapamiętałam z dzieciństwa. Miał na sobie blezer i krawat, a ja starałam się nie zauważyć, jak obszerne było jego ubranie, jak bardzo wydawał się w nim znikać. Pomachali mi na pożegnanie, matka przypomniała sobie jeszcze jakieś instrukcje, a ja pokiwałam głową, słuchając ich. Kiedy w powoli zapadającym zmierzchu szli do samochodu, uświadomiłam sobie, że mogliby być zupełnie zwykłą parą wybierającą się do restauracji. Mogliby być po prostu moimi rodzicami, zdrowymi i zadowolonymi z życia, tak jak zawsze ich postrzegałam i myślałam niemądrze, że tak

już zostanie.

Dwie godziny później zajrzałam do pokoju Gelsey.

– Wszystko w porządku? – zapytałam. Spodziewałam się zobaczyć typowe rekwizyty związane z imprezą piżamową: jakieś chrupki (popcornu mieliśmy pod dostatkiem), czasopisma, kosmetyki do makijażu, może nawet wykradzioną skądś powieść erotyczną. Tymczasem Nora siedziała na dywanie i grała w coś na komórce, podczas gdy Gelsey na łóżku przeglądała biografię jakiejś baleriny.

– W porządku – odparła Gelsey, a Nora skinęła tylko głową, nie podnosząc na mnie wzroku znad komórki.

– Okej – powiedziałam, rozejrzałam się jeszcze raz i wycofałam na korytarz. – No to... dajcie znać, jakbyście czegoś potrzebowały.

– Jasne – odparła Gelsey.

Zamknęłam drzwi i stałam pod nimi przez chwilę, zastanawiając się, czy uspokoiły się tylko na mój widok, czekając na śmiechy i piski, towarzyszące takim spotkaniom. Ale słyszałam tylko ciszę.

Nie zastanawiając się nad tym, co zamierzam zrobić, poszłam do sypialni po komórkę i przewinęłam listę kontaktów aż znalazłam numer Lucy. Wybrałam go, zanim zdążyłam zmienić zdanie. Odebrała po drugim dzwonku.

– Cześć, Taylor – odezwała się ostrożnie. – Co się

dzieje?

– Wybacz, że ci zawracam głowę – powiedziałam, idąc do kuchni. Otworzyłam lodówkę i zobaczyłam, że poza absurdalną liczbą butelek z keczupem mamy jeszcze gotowe ciasto i sprite'a. Świetnie. – Chodzi tylko o to, że u mojej siostry nocuje jej przyjaciółka.

– Okej. – Lucy lekko przeciągnęła to słowo. – I co?

Pomyślałam o tym, co zobaczyłam w pokoju Gelsey, o sennej atmosferze i braku jakichkolwiek przebieranek.

– I kompletnie nie mają pojęcia o imprezach piżamowych.

Na chwilę zapadła cisza.

– Jak kompletnie?

– Nie rozmawiają. Moja siostra czyta książkę, a jej przyjaciółka gra na komórce.

Znowu chwila ciszy.

– To niedobrze.

– Wiem – przyznałam. – Wyraźnie nie wiedzą, co można robić, a ja przypomniałam sobie, jak to było, kiedy nocowałyśmy u siebie... – Nie musiałam kończyć zdania, miałam przecucie, że Lucy mnie zrozumie. Nasze imprezy piżamowe były niezapomniane, a jeśli kiedykolwiek nocowałam u koleżanek w Connecticut, miałam poczucie, że tym imprezom czegoś brakuje. Przełożyłam komórkę do drugiego ucha i czekałam.

Kiedy Lucy się odezwała, jej głos był pełen energii

i konkretny, jakbyśmy od początku były umówione.

– Co mam przywieźć? Nie wiem, co tam macie u siebie do jedzenia.

Poczułam, że się uśmiecham. Otworzyłam szafkę kuchenną.

– Mamy więcej popcornu i czekoladek, niż damy radę zjeść – stwierdziłam. – Ale może przydałoby się trochę cukierków albo czipsów?

– Załatwione jedno i drugie – odparła Lucy. – Macie gotowe ciasto?

– Mamy – zapewniłam.

– Dobrze – stwierdziła. – Będę koło dziesiątej.

Po skończonej rozmowie wygrzebałam moją kosmetyczkę z przyborami do makijażu, zarastającą kurzem w szafie, ponieważ w te wakacje nie odczuwałam na razie potrzeby, żeby się malować. Spodziewałam się, że Lucy pojedzie samochodem albo na rowerze, więc zaskoczyło mnie, kiedy niecałe dziesięć minut później dostałam od niej SMS: *Jestem na pomoście, pmż mi.*

Wybiegłam przez werandę i zbiegłam po zboczach na brzeg. Chociaż minęła już ósma, nie było jeszcze całkiem ciemno – na dworze trwał długi letni zmierzch, jeden z tych, które ciągnęły się w nieskończoność, zabarwiając świat w odcieniach niebieskiego. Zobaczyłam, że Lucy wchodzi na pomost, wciągając za sobą jednoosobowy kajak.

– Cześć – powiedziałam, wchodząc boszo na pomost. – Myślałam, że weźmiesz rower.

– Tak jest znacznie szybciej – wyjaśniła Lucy. Rzuciła na pomost dwie wypchane po brzegi płócienne torby i wyciągnęła kajak i wiosło na trawę. – Poza tym nie muszę przejmować się ruchem na drodze.

– Widziałaś w ogóle, gdzie płyniesz? – zapytałam i zarzuciłam jedną z toreb na ramię. Lucy wyjęła z kajaka latarkę i zapaliła ją na chwilę. – Jasne – stwierdziłam.

Podeszła bliżej, wzięła drugą torbę i poszliśmy razem w stronę domu.

– Nie miałaś problemów z powodu tamtej nocy? – zapytała przyciszonym głosem, chociaż było jasne, że jesteśmy same.

– Wydaje mi się, że nie obudziłam nikogo wychodząc, ale nie można być całkiem pewnym.

– Nie obudziłaś – zapewniłam ją. Denerwowałam się przez cały ranek, że ktoś mógł nas usłyszeć i będę musiała udzielać bardzo skomplikowanych wyjaśnień, ale okazało się, że nikt niczego nie zauważył.

– To świetnie. – Lucy uśmiechnęła się z ulgą. Dotarliśmy do drzwi frontowych i weszliśmy do domu. Warren był w kuchni, próbując zonglować trzema kulami popcornu. Na widok Lucy opadła mu szczeka, a wszystkie trzy kule spadły na podłogę, jedna za drugą.

– Niemożliwe. – Potrząsnął głową. – Lucinda?

Lucy też potrząsnęła głową. Warren zawsze się upierał, że ona nie może mieć na imię po prostu „Lucy” i musi to być zdrobnienie od czegoś, a w efekcie nazywał ją wszelkimi wariantami tego imienia, jakie zdołał wymyśleć.

– Cześć, króliczku – powiedziała, a Warren zrobił się czerwony, pochylił się i zaczął zbierać kule popcornu. Kiedy w szóstej klasie przeczytałam *Wodnikowe Wzgórze*, dowiedziałam się, że słowo *warren* może oznaczać króliczą norę i powiedziałam to Lucy, żeby miała się czym bronić, kiedy mój brat nazywał ją Lucyferem. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Rzeczywiście – przyznał. – Taylor wspominała, że razem pracujecie, ale nie wiedziałem, że masz dzisiaj przyjść z wizytą.

– Rzucił mi pytające spojrzenie, zapewne głównie dlatego, że nie chciał być jedynym odpowiedzialnym za wczesnonastoletnie dziewczyny.

– Przyszła na imprezę piżamową – wyjaśniłam i wyszłam na korytarz razem z Lucy. – Nie zjedz tylko całego ciasta!

Dwie godziny później imprezę piżamową można było uznać za uratowaną. Włosy Gelsey zostały utapirowane tak, że dwukrotnie zwiększyły swoją objętość, i ozdobione brokatowymi spinkami, a Nora miała

zaplecione dwa skomplikowane warkocze dobierane. Nad moją fryzurą obie dziewczynki pracowały jednocześnie, więc po stronie Nory miałam trzy kucyki, a po stronie Gelsey – mnóstwo warkoczyczków. Dzięki umiejętnościom Lucy miałyśmy wszystkie efektowny makijaż wieczorowy. Po wejściu do pokoju wyciągnęła profesjonalną skrzynkę na przynętę, jakiej pozazdrościłby jej chyba nawet Fred. Ale zamiast błystek i żyłki w środku była największa kolekcja kosmetyków do makijażu, jaką w życiu widziałam. Gelsey była umalowana tak mocno, że zaczęłam się już zastanawiać, co powiem mamie, jeśli wróci do domu, zanim zdołam to zmyć. Nora miała zrobione kocie oczy i wprawdzie powiedziała tylko, że wyglądają „w porządku”, ale zauważyłam, że przy każdej okazji spoglądała w małe lusterko Lucy, uśmiechając się ledwie dostrzegalnie do swojego odbicia.

Zamieniłyśmy pokój Gelsey w stosowną scenę dla imprezy piżamowej – z kołdrami na podłodze, ułożonymi w koło poduszkami, jedzeniem, czasopismami i kosmetykami w środku. Zjadłyśmy całą puszkę popcornu na słodko, zrobiłyśmy sprite'a z lodami waniliowymi, które odkryłam w lodówce, i pożarłyśmy paczkę chipsów tortilla, przyniesioną przez Lucy. Przeczytałyśmy wszystkie porady w „Seventeen” (schowałam należące do Lucy „Cosmopolitan”, kiedy zauważyłam, że Nora jest nim odrobinę za bardzo zainteresowana) i rozwiązałyśmy

wszystkie quizy. Bez powodzenia próbowałyśmy zabawy w Lekka Jak Piórko, Sztywna Jak Deska – Lucy przyznała, że do tego naprawdę potrzeba sześciu osób – a w końcu zaczęłyśmy grać w Prawda czy Wyzwanie.

– Okej. – Nora usiadła po turecku, pochyliła się do przodu i popatrzyła na nas. – Lucy – oznajmiła po pełnej napięcia pauzie. – Prawda czy wyzwanie?

Większość wyzwań tego wieczora było dość umiarkowanych, a większość z nich polegała na dręczeniu Warrena. Dlatego mój brat – być może dochodząc do wniosku, że potrzebne mu wsparcie – zabrał psa do salonu i kiedy ostatnio go widziałam, siedział na kanapie, plecami do ściany, z książką na kolanach, chroniąc się przed potencjalnymi niespodziewanymi atakami.

– Prawda – odpowiedziała Lucy. Rzuciłam jej lekko potępiające spojrzenie, a ona odpowiedziała mi spojrzeniem mówiącym: *Nie martw się*. To zadziwiające, że po tak długiej przerwie w znajomości nadal potrafiłam się domyślić, co ma mi do przekazania. Równie zadziwiające było to, że ona także to potrafiła, jeśli chodziło o mnie, a teraz domyśliła się, że zaniepokoiło mnie, na ile szczerza zamierzała być. Gelsey zawsze ją lubiła

– Lucy jako jedynaczka chętnie bawiła się godzinami z moją siostrą i co więcej, wyraźnie jej to odpowiadało. Teraz jednak jej kolekcja utensyliów do makijażu oraz

informacja, że w New Jersey była przez jakiś czas kapitanem drużyny gimnastycznej (ja także dopiero się o tym dowiedziałam) sprawiły, że dziewczynki zaczęły ją podziwiać bezgranicznie, a ja nie chciałam, żeby usłyszały całą prawdę o podbojach Lucy. Widziałam, jak flirtuje z prawie każdym chłopakiem zaglądającym do baru i miałam przeczucie, że miała ich całkiem sporo.

– Dobra – powiedziała Nora. Gelsey pomachała na nią i naradziły się szeptem, a potem Nora wróciła na swoje miejsce i popatrzyła prosto na Lucy.

– Kiedy całowałaś się po raz pierwszy? I z kim?

Natychmiast przypomniałam sobie własną odpowiedź, której udzielałam na tylu innych imprezach. *Kiedy miałam dwanaście lat, z Henrym Crosbym.*

– Kiedy miałam trzynaście lat – powiedziała Lucy. – Z Henrym Crosbym.

Popatrzyłam na nią, zastanawiając się, czy to ma być dowcip, ale Lucy wzięła sobie tylko popcornu o smaku jalapeño.

– Jak to? – zapytałam, czując zazdrosne pieczenie w piersi.

– Wybacz, Taylor, ale teraz jest kolej na Gelsey – wtrąciła Nora, która wzięła na siebie egzekwowanie reguł gry.

Lucy spojrzała na mnie i uniosła brew.

– O co chodzi? – zapytała. – Nie spodziewałaś się, że

on może kiedyś zacząć umawiać się z kimś innym?

– Nie – zająknęłam się. Nie chciałam, żeby mój głos zabrzmiał tak wrogo. – Po prostu.. nie wiedziałam. – Lucy wrzuciła sobie do ust jeszcze garść popcornu. – Chodziliście ze sobą, czy jak?

Nora i Gelsey patrzyły na nas jak zahipnotyzowane, a ja miałam przeczucie, że ta scena może okazać się gwoździem programu tego wieczoru.

Lucy wzruszyła ramionami.

– Przez jakiś miesiąc. Mieliśmy po trzynaście lat, to przecież nie było na serio.

Rozpoznałam ten ton – używałam takiego samego, obracając w żart mój związek z Henrym. Dopiero teraz, słysząc to w czyichś ustach, zdałam sobie sprawę, do jakiego stopnia mijałam się z prawdą. Nawet jeśli starałam się to bagatelizować, Henry nie był tylko kimś bez znaczenia, elementem historyjki o przypadkowym chłopaku, z którym chodziłam, kiedy byłam młodsza. Był dla mnie ważny wtedy i nawet teraz – co wyjaśniało, czemu wszystkie nasze spotkania przebiegały w tak napiętej atmosferze. Dlatego właśnie czułam się zaborcza i zazdrosna o Lucy, która zamknęła już tamten etap i na nowo wkroczyła do gry.

Byłam pogrążona w tych myślach, aż usłyszałam, że Gelsey mówi coś o zaliczaniu pierwszej bazy i natychmiast wróciłam na ziemię.

– Co takiego? – Popatrzyłam na moją siostrę, która odwzajemniła moje spojrzenie. Poprzez nałożony przez Lucy korektor 1 podkład przebijały jej piegi. Nie byliśmy specjalnie blisko, nigdy nie zwierzała mi się ze swoich sekretów, ale mimo wszystko myślałam, że dowiedziałabym się o czymś takim. – Kiedy?

– Na imprezie w zeszłym roku – wzruszyła ramionami Gelsey. – Z kilkoma chłopakami.

– Co?! – Mój głos podniósł się prawie do pisku, a Lucy rzuciła mi niespokojne spojrzenie. Nagle pożałowałam, że pozwoliłam Gelsey się umalować, zaczęłam też obmyślać, o czym będę musiała porozmawiać z mamą, kiedy wróci do domu.

– Ustalmy fakty – powiedziała całkiem poważnie Lucy. – Przypomnij mi, co to jest pierwsza baza?

– Trzymanie się za ręce – odparły chórem Nora i Gelsey, a ja poczułam falę ulgi, że moja siostra nie okazała się jakąś podstawówkową uwodzicielką. Lucy przygryzła wargę, widziałam, że stara się nie roześmiać.

Nora chyba to zauważyła, bo rzuciła Lucy miażdżące spojrzenie.

– Wiecie, trzymanie się za ręce to nie jest byle co – powiedziała, a Gelsey pokiwała głową. – To coś znaczy, nie trzymasz się za ręce z byle kim. Tylko z kimś, na kim ci zależy.

Nora i Gelsey dalej rozwodziły się nad znaczeniem

trzymania się za ręce, ale przestałam ich słuchać, ponieważ wydało mi się, że słyszę chrzęst opon na podjeździe. Rzeczywiście, chwilę później ktoś otworzył i zamknął drzwi, a tata zawołał:

– Dzieciaki? Wróciliśmy!

Matka jak zwykle zastukała dwa razy w drzwi i otworzyła je tak szybko, że nie byłoby czasu powiedzieć „Proszę” albo „Nie wchodzić” – niewykluczone, że właśnie o to jej chodziło.

– Cześć – powiedziała. Rozejrzała się po pokoju, otwierając szeroko oczy na widok makijażu mojej siostry, a potem zauważyła Lucy. – O Boże, Lucy, to naprawdę ty? – zapytała.

– Dzień dobry, pani Edwards. – Lucy szybko wstała. Kiedy mama z nią rozmawiała, dopytując się, co się działo przez ostatnich pięć lat, Gelsey rzuciła Norze zaczytany już egzemplarz „Seventeen” i obie pochyliły się nad nim. Moja siostra wybuchnęła śmiechem z powodu czegoś, co pokazała jej przyjaciółka, a ja, obserwując je, uśmiechnęłam się do siebie. Moje zadanie zostało wykonane.

Zostawiłyśmy je z resztą popcornu i instrukcjami, żeby o północy zrobiły sobie ciasteczka. Lucy spakowała swoje rzeczy i wyszłyśmy na korytarz, chociaż moja mama nie przerywała rozmowy z nią.

– Tak się cieszę, że cię znowu widzę – oznajmiła mama,

kiedy podeszłyśmy do drzwi. – Pozdrów ode mnie mamę.

– Pozdrowię – obiecała Lucy. Z salonu wyszedł tata, jak zwykle trzymając na rękach psa.

– Czyżby to była panna Marino? – zapytał z szerokim uśmiechem, udając kompletne zaskoczenie. – Całkiem już dorosła?

– Dzień dobry, panie Edwards – odparła Lucy, ale zauważyłam, że jej uśmiech zbladł trochę na jego widok. Chociaż śmiał się i drapał psa za uszami, mogłam się domyśleć, jak wyglądał w jej oczach – zdecydowanie za szczupły w stosunku do swojej budowy, w sposób wskazujący jasno na chorobę, a nie na dietę, z żółtawą skórą, wyglądał na znacznie starszego, niż powinien.

Wyszłyśmy w milczeniu na werandę, niosąc po jednej torbie Lucy. Pierwsza zesłam po schodkach na trawę, chłodną pod moimi bosymi stopami. Noc była pogodna, nad jeziorem wisiał ogromny księżyc, a gwiazd było tak dużo, jak to tylko możliwe. Ja jednak ledwie zauważałam to wszystko, kiedy szłyśmy w stronę pomostu. Miałam przeczucie, że Lucy zamierza coś powiedzieć, więc odwróciłam się do niej, zadając pytanie, które nie dawało mi spokoju.

– Co się wydarzyło między tobą a Henrym?

Lucy zatrzymała się i poprawiła torbę na ramieniu.

– A co chcesz usłyszeć? – odpowiedziała pytaniem. – Chodziliśmy ze sobą, nie wyszło, więc się rozstaliśmy,

a teraz się przyjaźnimy. Mniej więcej.

– Czyj to był pomysł z tym chodzeniem? – zapytałam. – Twój czy jego?

– Mój – przyznała spokojnie Lucy, patrząc prosto na mnie.

– Podobał mi się, o czym, o ile pamiętam, wiedziałaś.

Poczułam, że policzki robią mi się gorące, ale było coś odświeżającego w tym, że rozmawiałyśmy wprost o sprawach, o które obie miałyśmy pretensje, ale od początku wakacji nie poruszałyśmy ich tematu.

– Wiedziałaś – powiedziałam. – Ale tak dla wyjaśnienia, Henry i ja zaczęliśmy ze sobą chodzić, zanim mi powiedziałaś, że on ci się podoba. Nie powiedziałam ci o tym tylko dlatego, że nie chciałam...

– Czego? – zapytała Lucy.

Wzruszyłam ramionami. Teraz wydawało się to tak głupie i tak odległe, ale jednocześnie następstwa tamtej decyzji nadal miały ogromne znaczenie.

– Nie chciałam, żeby zaszkodziło to naszej przyjaźni.

– Aha. – Lucy pokiwała głową. – Nie ma co, wyszło ci to rewelacyjnie – dodała ze śmiertelną powagą. Popatrzyłam na nią i obie wybuchnęłyśmy śmiechem. – Powiedziałaś to Henry’emu? – zapytała.

– Nie – odparłam, patrząc na nią kątem oka. Lucy wzruszyła ramionami.

– Mogłoby się przydać – rzuciła lekko. Popatrzyła na

mnie, a ja wiedziałam, że ona umie odgadnąć, o czym myślę, nawet po pięciu latach i prawie po ciemku. – Tak dla twojej wiadomości, większość dziewczyn nie denerwuje się tak, kiedy się dowiadują, że ich chłopak z dzieciństwa chodził z kimś innym – dodała, unosząc brew. – Tak tylko chciałam to zauważyć.

Nie miałam ochoty jej odpowiadać, więc zrobiłam kilka kroków w stronę pomostu. Lucy dogoniła mnie.

– Dobra – powiedziała po chwili. Zawahała się, a ja miałam wrażenie, że stara się ostrożnie dobierać słowa. – Co się dzieje z twoim tatą?

Chociaż spodziewałam się tego pytania, mimo wszystko poczułam, że coś mnie ściska w piersi, jakby ktoś zacisnął rękę na moim sercu, utrudniając mi oddychanie.

– Jest chory – odparłam. Nienawidziłam tego, że nawet tak proste, oczywiste stwierdzenie spowodowało, że mój głos zadrżał, i wywołało łzy, czające się gdzieś pod powiekami. Były tam chyba przez cały czas, odkąd się dowiedziałam, czekając tylko na odpowiednią chwilę.

Lucy popatrzyła na mnie, a ja poczułam bezbrzeżną wdzięczność, że nie zapytała, na co jest chory, domyśliła się jakoś, że nie należy zadawać tego pytania.

– Ma raka – powiedziałam po raz pierwszy na głos. Przełknęłam ślinę i zmusiłam się, żeby mówić dalej, wypowiedzieć to słowo, którego kilka miesięcy temu

nawet nie znałam, a teraz nienawidziłam najbardziej na świecie. – Raka trzustki.

– Tak mi przykro... – Słyszałam, że Lucy mówi to całkiem szczerze. – Czy on... – zaczęła, ale odwróciła głowę, a ja wyczuwałam jej niepewność. – To znaczy, czy później. – Spojrzała na mnie i odetchnęła głęboko. – Będzie lepiej?

Poczułam, że podbródek zaczyna mi drżeć. Potrząsnęłam głową, czując napływające do oczu łzy.

– Nie – wyszeptałam ochryple i usłyszałam, jak Lucy oddycha głęboko. Szłam do pomostu, koncentrując się na wodzie lśniącej w świetle księżyca, odchylając głowę do tyłu i starając się nie mrugać. Wiedziałam, że jeśli mrugnę, wszystko przepadnie. Zacznę płakać i miałam przecucie, że nie będę się mogła długo, długo uspokoić.

– Boże – mruknęła Lucy. – Boże, Taylor, tak mi przykro. To po prostu... – urwała, jakby nie była w stanie znaleźć właściwych słów.

Szłyśmy dalej, a ja przelykałam łzy, aż poczułam, że palce Lucy musnęły moje, wzięła mnie mocno za rękę i uściśnęła.

Kiedy to zrobiła, poczułam pierwszą gorącą łzę na policzku, a mój podbródek znowu zadrżał niekontrolowanie. Popatrzyłam na jezioro i uświadomiłam sobie, że nie mam dokąd iść, dokąd uciec, muszę po prostu tu zostać i zmierzyć się z okropną prawdą.

Kiedy spływały kolejne łzy, poczułam, jak bardzo jestem zmęczona – to zmęczenie nie miało nic wspólnego z późną godziną. Byłam zmęczona uciekaniem od tego, zmęczona niemówieniem o tym, zmęczona udawaniem, że wszystko jest w porządku, chociaż nigdy w moim życiu nie było bardziej nie w porządku. Spróbowałam zabrać rękę, ale Lucy przytrzymała ją, ściskając mocno, aż do momentu, kiedy znalazłyśmy się na pomoście. Było coś w tym fizycznym przypomnieniu, że jest tutaj i nigdzie nie idzie, co sprawiało, że wreszcie mogłam spokojnie płakać.

Kiedy trochę się uspokoiłam, Lucy poszła po kajak i wciągnęła go na pomost. Wyjęła wiosło i latarkę, a potem przesunęła kajak na krawędź pomostu.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytała.

Potrząsnęłam głową.

– Nie – powiedziałam, wycierając twarz dłonią. – Ale dzięki.

Lucy nie skorzystała z okazji do zamknięcia tematu.

– Powiesz mi, jeśli będę mogła coś zrobić? – zapytała.

Skinęłam głową. – Obiecujesz? – naciskała.

– Obiecuję – powiedziałam. Lucy zepchnęła kajak do wody i wsiadła do niego, a ja podałam jej wiosło i latarkę.

– Hej – powiedziała, podnosząc głowę, żeby popatrzeć na mnie w świetle księżyca. Jej kajak kołysał się na falach. – Pamiętasz te kody, jakimi się

porozumiewałyśmy?

Uśmiechnęłam się na wspomnienie wiadomości, które nauczyłyśmy się przesyłać sobie poprzez jezioro.

– Chyba tak – odparłam.

– To dobrze. – Lucy odepchnęła się od pomostu i ruszyła przed siebie, popychając kajak szybkimi i sprawnymi ruchami wiosła. Światło jej latarki kołysało się na wodzie. – Zaczekaj tu minutkę, okej?

– Okej – zawołałam. Pomachała mi wiosłem, a ja usiadłam na pomoście i patrzyłam, jak się oddala. Tylko chwilami rzucałam okiem na wyryte na deskach serduszko łączące imiona moje i Henry’ego.

Kiedy znowu spojrzałam na jezioro, nie dostrzegłam już Lucy i uznałam, że widocznie dotarła na drugi brzeg. Dokładnie w tym momencie nad jeziorem błysnęło światło latarki. Jeden błysk, potem trzy, jeszcze dwa i trzy.

Po chwili przypomniałam sobie, co znaczą, i uśmiechnęłam się do siebie, odczytując przekazywaną przez Lucy wiadomość.

Dobranoc, Taylor. Do zobaczenia jutro.

Rozdział dwudziesty trzeci

pięć wakacji wcześniej

Taylor?

Siedząc na leżaku, podniosłam głowę i zsunęłam z nosa ciemne okulary. Przedemną stała Lucy, ubrana w kostium kąpielowy, którego nigdy nie widziałam, z malującą się na twarzy mieszaniną radości i irytacji.

– Cześć, Lucy. – Wstałam i uściskałam ją, ale radość z jej widoku przyćmiewały wszystkie półprawdy, jakie mówiłam jej o Henrym, nie wspominając o związanych z nim sekretach, które trzymałam w tajemnicy. Chociaż już półtora tygodnia temu zauważyłam jej bandanę, starałam się jej unikać, jak tylko to było możliwe. Spędzałam większość czasu z Henrym, a poprzedniego dnia wyryliśmy nasze imiona na pomoście. Myślałam sobie, że to najbardziej romantyczna rzecz, jaka wydarzyła się w moim życiu, ale jednocześnie spoglądałam co chwilę na drugi brzeg w obawie, że Lucy nas zauważy. Dzwoniła do mnie codziennie, a ja obiecałam Warrenowi, że przez miesiąc będę mu oddawać desery, jeśli będzie wymyślał jakieś wymówki i powstrzyma się od zadawania pytań.

Wiedziałam, że nie umiałabym rozmawiać z Lucy i nie powiedzieć jej o wszystkim, co wydarzyło się między mną a Henrym – w tym wyjaśnić, że nigdy nie zapytałam go o nią, chociaż od jej prośby o to minął już prawie miesiąc.

Matka twierdziła, że tata potrzebuje ciszy i spokoju do pracy, więc wyganiała mnie z domu. Nie chciałam siedzieć nad jeziorem, więc poszłam na basen, zabierając stare ciemne okulary mamy, zajęłam tam leżak w najgorszym punkcie i miałam nadzieję, że moja obecność pozostanie niezauważona.

– Wszędzie cię szukałam! – oznajmiła Lucy, znowu mnie ściskając, a wtedy uświadomiłam sobie z bolesnym ukłuciem, jak bardzo za nią tęskniłam. Była jedyną osobą, której chciałam opowiedzieć wszystko o Henrym, nawet mój pierwszy pocałunek wydawał się niedoskonały, ponieważ nie mogłam go z nią omówić. – Mamy sobie mnóstwo do opowiedzenia – złapała mnie za rękę i pociągnęła do stoiska ze słodyczami.

– Dokąd idziemy? – zapytałam, pozwalając się ciągnąć.

– Po prowiant. – Lucy wyszczerzyła zęby w uśmiechu i pomachała dziesięciodolarowym banknotem. – Chyba moi rodzice czują się winni, bo oboje dają mi forszę. Ja stawiam.

Usta się jej nie zamykały, kiedy stałyśmy w kolejce, a potem kupiłyśmy cherry coke i mrożone snickersy do

podziału. Dopiero kiedy zapłaciliśmy i podeszliśmy do jednego z drewnianych stołów, zauważyła, że ja się prawie nie odzywam.

– A co u ciebie? – zapytała, w końcu milknąc na chwilę.

Postawiłam swoją puszkę i przesunęłam palcami po osiadających na niej kropelkach wody.

– Tak właściwie... – zaczęłam trochę niepewnie – muszę ci koniecznie o czymś powiedzieć.

Lucy uśmiechnęła się, ale potem spojrzała za mnie i jej uśmiech zamarł, zamieniając się w wymuszony grymas.

– O Boże – szepnęła, siadając prosto. Na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec. – On tu jest. Jak wyglądam?

Obejrzałam się i poczułam, że żołądek zaciska mi się w kulkę, ponieważ w naszą stronę szedł uśmiechnięty Henry. Znalazł się koło nas, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć lub zrobić – chociaż i tak nie wiedziałam, co miałabym powiedzieć. Byłam jak sparaliżowana.

– Cześć – przywitała się Lucy wysokim, radosnym tonem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszałam. Przyglądziła grzywkę i wetknęła włosy za uszy, uśmiechając się do niego szeroko.

– Co tam słyhać, Henry?

– W porządku. – Henry spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Kiedy wróciłaś? – Zauważyłam, że sięga po moją

rękę, więc natychmiast zeszytniałam i objęłam obiema dłońmi puszkę coli.

– A, jakiś tydzień temu – odparła Lucy, nadal tym samym tonem. – Tęskniłeś za mną?

– Co? – zdziwił się Henry. Zrobił krok w moją stronę. – No, chyba tak.

– Taylor? – Lucy uśmiechnęła się do mnie promiennie i odrobinę sztucznie. Ruchem głowy wskazała stoisko ze słodyczami.

– Może pójdziesz po jakieś serwetki czy coś takiego?

Starła się mnie pozbyć. Starła się mnie pozbyć, żeby porozmawiać z Henrym – z moim Henrym, który chwilę wcześniej chciał mnie wziąć za rękę. Zamknęłam na moment oczy, życząc sobie, żeby ta scena już się skończyła, i wiedząc doskonale, że to wszystko moja wina.

– Taylor? – powtórzyła Lucy z nieco większym naciskiem.

– Pójdę z tobą. – Henry podszedł jeszcze krok bliżej i zanim zdążyłam go powstrzymać, wziął mnie za rękę. – Lucy jest jakaś dziwna – szepnął mi do ucha.

Lucy gapiła się na nas, znacznie bledsza niż zaledwie chwilę temu.

– Taylor, co to ma znaczyć? – zapytała głosem, który przestał być już radosny.

Henry popatrzył na nas, wyraźnie nic nie rozumiejąc.

– Taylor ci nie mówiła? – zapytał z szerokim,

szczęśliwym uśmiechem. Ścisnął moją rękę i pomachał naszymi splecionymi dłońmi. Stałam jak wrośnięta w ziemię, niezdolna do powiedzenia czegokolwiek ani do odwrócenia wzroku od twarzy Lucy.

– Niczego mi nie mówiła – odparła Lucy, a w jej głosie zaczęła pobrzmiwać złość.

– Aha. – Uśmiech Henry’ego odrobinę przybladł. Popatrzył na mnie, lekko marszcząc brwi. – Tay?

Odchrząknęłam, ale nawet kiedy zaczęłam mówić, miałam wrażenie, że słowa lepią mi się do gardła.

– Posłuchaj – zaczęłam niepewnie. – Lucy, ja nie...

Lucy zmrużyła oczy, a potem popatrzyła na Henry’ego.

– Jediną rzeczą, jaką o mi o tobie mówiła Taylor, było to, że cię nie lubi. Że cały czas chciałbyś siedzieć w lesie. Że jesteś strasznym głupkiem. – Znowu popatrzyła na mnie ze złością.

– Prawda, Taylor?

Twarz Henry’ego pociemniała, on także popatrzył na mnie, zraniony i zaskoczony bardziej, niż kiedykolwiek widziałam.

– Taylor? – zapytał, wypuszczając moją rękę. – O czym ona mówi?

Popatrzyłam na nich oboje i uświadomiłam sobie, jak bardzo ich zraniłam. Nie widziałam żadnego sposobu, żeby to naprawić albo przynajmniej zrobić krok we właściwą stronę. Zanim jeszcze zrozumiałam, jaką

decyzję podjęłam, zaczęłam się cofać od stołu. W tym momencie było już za późno, poddałam się impulsowi. Odwróciłam się i pobiegłam do wyjścia, porzucając bez słowa ich oboje – dwie osoby, które były mi najbliższe i które udało mi się jednocześnie zranić.

Nie dbałam o to, że zostawiłam wszystkie swoje rzeczy na basenie. To już nie miało żadnego znaczenia. Przyjechałam na rowerze do domu jak prowadzona na autopilocie, nie widząc nic przez łzy. Nie miałam pojęcia, co zamierzam zrobić, ale wiedziałam, że muszę wrócić do domu. Tam się zastanowię, co dalej.

Rzuciłam rower na podjazd i pobiegłam do domu. Otwierając drzwi, prawie zderzyłam się z ojcem, który właśnie wychodził, niosąc swoją torbę podróżną.

– Taylor? – zapytał i spojrzał na mnie. – Coś się stało?

– Wyjeżdżasz? – zapytałam, wskazując torbę. Zwykle przyjeżdżał tylko na weekend, ale tym razem planował wziąć wolne na cały tydzień, ponieważ w sierpniu w biurze było zazwyczaj mniej roboty. – Już teraz? – Usłyszałam zawód we własnym głosie.

– Wiem – skrzywił się tata. – Nagle okazało się, że jest mnóstwo pracy i muszę zaraz wracać. Przepraszam, mała.

Skinęłam głową, ale jednocześnie zaczęłam uświadamiać sobie, jakie to otwiera przede mną możliwości – chociaż wiedziałam, że nie powinnam się nad nimi zastanawiać. Ale kiedy już wpadłam na taki

pomysł, nie potrafiłam myśleć o niczym innym. Odetchnęłam głęboko i zapytałam:

– Czy mogłabym jechać z tobą?

– Jak to? – zapytał, odstawił torbę i zmarszczył brwi. – Chcesz wracać do Connecticut?

– Tak – odparłam, starając się, żeby to zabrzmiało obojętnie. Oczami duszy zobaczyłam twarz Lucy, ale odsunęłam ten obraz, starając się o niej nie myśleć. Na pewno nie chciałam też myśleć o Henrym i o tym, jak się teraz czuł. Zmusiłam się, żeby uśmiechnąć się do taty, i wyjaśniłam głosem tak pewnym siebie, że prawie sama w to uwierzyłam. – No tak, właściwie to się tu okropnie nudzę. Kiedy jedziemy?

Dziesięć minut później wrzuciłam moje rzeczy do torby i wyszłam przed dom. Przez długą chwilę patrzyłam na pluszowego pingwina, z całego serca pragnąc zabrać go ze sobą, zapamiętać to uczucie, z jakim obudziłam się następnego dnia po wizycie w wesołym miasteczku. Zostawiłam go jednak na łóżku, ponieważ wiedziałam, że nie byłabym w stanie patrzeć na niego codziennie w Connecticut.

Kiedy wyjeżdżaliśmy na ulicę, tata zatrzymał samochód.

– Czy to nie twój przyjaciel Henry? – zapytał?

Zaalarmowana, podniosłam głowę i zobaczyłam, że Henry pedałuje ulicą, z potarganymi włosami i zadyszany,

kierując się do naszego domu.

– Nie – odparłam, odwracając spojrzenie od zbliżającego się Henry’ego i od mojego taty. – Jedźmy już.

– Jesteś pewna? – zapytał tata. – Możemy chwilę poczekać, jeśli chcesz z nim porozmawiać.

– Nie chcę – powiedziałam tak stanowczo, jak tylko potrafiłam. – Naprawdę już jedźmy.

– Okej – odpowiedział tata tonem mówiącym „skoro tak chcesz...”. Skreślił w ulicę i przejechaliśmy tuż obok Henry’ego. Nasze spojrzenia spotkały się tylko na moment – zobaczyłam, jak bardzo jest zaskoczony i nieszczęśliwy – a potem odwróciłam głowę i zaczęłam patrzeć przed siebie, udając, że niczego nie widziałam.

Początek pięknej przyjaźni

Rozdział dwudziesty czwarty

Drań. – Rzuciłam karty na ladę.

– Drań. – Lucy natychmiast poszła w moje ślady, a Elliot popatrzył na nas znad swoich pozostałych kart i westchnął.

– Serio? – zapytał, ale Lucy tylko pokiwała głową, machając mu przed nosem kartami.

– Patrz i płacz – oznajmiła triumfalnie.

– To na pewno przez to hasło – narzekał Elliot, zbierając karty i tasując je. – Nie mogę do tego przywyknąć.

Technicznie rzecz biorąc, graliśmy w dupka, ale po tym, jak Elliot nieco za głośno wrzasnął to słowo w chwili triumfu i akurat wtedy, kiedy do okienka podeszła matka z malutkim berbeciem, uznaliśmy, że należy zastosować pewne środki zaradcze. Lucy siedziała po turecku na blacie, ja wyciągnęłam dla siebie stołek barowy, a Elliot stał, bo dzięki temu mógł spacerować, kiedy obmyślał swoją strategię.

– Jeszcze raz? – zapytał z wyraźną nadzieją, że zapomnimy, o co graliśmy.

– Zapomnij – roześmiała się Lucy. – Bierzesz trzech

następnych klientów. – Zeskoczyła z blatu i podeszła do bocznych drzwi, otwierając je przede mną.

– A jak się pojawi klient z jakimś skomplikowanym zamówieniem? Albo będzie chciał coś z grilla? – zapytał Elliot. – Co wtedy?

– Wtedy po nas zadzwonisz – odparłam, podchodząc do Lucy. – Będziemy na zewnątrz.

Elliot potrząsnął głową i dalej tasował karty, mrucząc coś pod nosem. Wyszłam za Lucy na słońce, a drzwi zatrzasnęły się za mną. Chociaż Elliot nie powiedział ani słowa, miałam przeczucie, że nie jest zachwycony odnowioną przyjaźnią pomiędzy mną a Lucy. Nie chodzi o to, że odpowiadały mu wcześniejsze napięte stosunki – przyznał nawet, że się naprawdę z tego cieszy, bo wcześniej pracując z nami obiema, miał wrażenie, jakby ugrzązł w jakimś koszmarnym reality show, w którym główne bohaterki nienawidzą się, ale mimo to muszą przebywać razem. Ale w kolejnych dniach stało się jasne, że ja i Lucy powoli odbudowujemy swoją przyjaźń, a to znaczy, że żadna z nas nie ma za wiele czasu dla Elliota.

Nie można powiedzieć, że wszystko szło jak po maśle. Przede wszystkim mówimy tu o pięcioletniej przerwie, a w życiu każdej z nas wiele się przez te pięć lat wydarzyło. Nawet jeśli nadrabianie zaległości było przyjemne, zdarzały się chwile przypominające, jak ogromne są dziury w mojej wiedzy – na przykład wtedy,

kiedy Lucy opowiadała o jakiejś kobiecie imieniem Susannah, a ja nie załapałam, że tak ma na imię jej macocha. Poza tym czasem mówiła coś albo robiła aluzję do czegoś, co Elliot natychmiast chwycił, podczas kiedy ja nie miałam pojęcia, o co chodzi. To było dziwne połączenie zaprzyjaźniania się z kimś nowym i z kimś dawno znajomym jednocześnie. Ale coś się zmieniło tamtej nocy po imprezie pizamowej – udało nam się oderwać od przeszłości i powodów, dla których przestałyśmy się przyjaźnić, a ja przypominałam sobie, jak dobrą przyjaciółką potrafi być Lucy. Nie wspominając o tym, jak potrafiłyśmy się razem bawić. Zapomniałam, że kiedy jest się z Lucy, zawsze może się wydarzyć coś ciekawego. Potrafiła jakimś cudem sprawić, że wycieczka do supermarketu po przekąski wydawała się przygodą. Mogłyśmy też godzinami po prostu plotkować i gadać, a tematy rzadko kiedy nam się kończyły.

Odkryłyśmy, że obie lubimy trawiasty teren, na którym stały stoły piknikowe. Można tam było siedzieć zarówno na słońcu, jak i w cieniu, miałyśmy widok na jezioro – a co ważniejsze, miałyśmy doskonały widok na parking, dzięki czemu od razu zauważyłybyśmy furgonetkę Freda, gdyby postanowił wpaść z wizytą. Czasem to robił, zawsze dlatego, że ryby danego dnia nie brały – co oznaczało, że od razu był w złym humorze i zapewne nie ucieszyłby się na widok dwóch swoich pracowników,

wylegających się na słońcu w godzinach pracy.

Szybko skierowałyśmy się na nasze ulubione miejsce. Skoro Elliot miał się zająć trzema kolejnym klientami, to – biorąc pod uwagę późne leniwe popołudnie – mogło minąć nawet pół godziny, zanim będziemy musiały wrócić do baru. Lucy zrzuciła klapki, których w zasadzie nie wolno nam było nosić w kuchni, i usiadła po turecku na trawie, a ja ułożyłam się obok niej i podparłam na łokciach, wystawiając twarz do słońca.

– To co tam u ciebie? – Lucy popatrzyła na mnie. Ponieważ pracowałyśmy razem cały dzień, wiedziałam, że to nie jest tylko grzecznościowe otwarcie rozmowy. W ten sposób pytała o mojego tatę, tak jak od kilku dni, chociaż nigdy nie naciskała, jeśli nie miałam ochoty o tym rozmawiać. Nie miałam pojęcia, jak bardzo potrzebne mi będzie to, żeby ktoś jeszcze o tym wiedział. Było cudownie móc odpowiedzieć wymijająco i wiedzieć, że Lucy mnie wysłucha, jeśli będę chciała się wygadać – na co właściwie nie byłam jeszcze gotowa. Ale miałam taką możliwość. Przede wszystkim przynosiło mi ulgę to, że nie muszę już udawać, tak jak wobec niemal wszystkich innych, że wszystko jest w porządku.

– Właściwie bez zmian – odparłam, mrużąc oczy i patrząc na jezioro. To była w zasadzie prawda. Stan mojego taty praktycznie się nie zmieniał. Pracował nad swoją sprawą i swoim projektem, które pozostawały dla

nas tajemnicą, mimo licznych wysiłków Warrena, by je odkryć. Tata uspokoił się trochę, jeśli chodzi o zamówienia – nie byliśmy już zasypywani przysmakami z całego świata – ale nadal starał się czytać, ile tylko mógł, i oglądać tyle filmów, ile to było możliwe. Być może dlatego zaczął ucinąć sobie drzemkę każdego popołudnia. Był też szczuplejszy niż kiedykolwiek pomimo tych wszystkich belgijskich czekoladek. Pojechaliśmy na śniadanie do restauracji jeszcze dwa razy, ale z każdą wizytą tata zjadał odrobinę mniej z tego, co zamówił. Matka próbowała kompensować to przy obiedzie, nakładając mu dwa razy większą porcję niż nam, a potem nie spuszczać z niego oka, tak że sama zwykle niewiele co jadła. Dwa dni temu przy obiedzie tata tylko skubnął jedzenie, krzywiąc się z każdym kęsem, a w końcu popatrzył na matkę i westchnął.

– Przepraszam, Kate – powiedział, odsuwając talerz. – Jakoś nie mam apetytu.

Matka posłała mnie do Sweet Baby Jane po koktajl waniliowy, ale zanim wróciłam, tata zdążył się już położyć. Ostatecznie sama wypiałam ten koktajl, siedząc na schodach tylnej werandy i patrząc na światło księżyca odbijające się w tafli jeziora.

Także zrzuciłam klapki i wyciągnęłam nogi na trawie. Miałam nadzieję, że Lucy zrozumie, że chcę zmienić temat.

– A jak ci się układa z Kevinem?

– Z Kyle'em – poprawiła Lucy. – Kevin był tydzień temu. – Poruszyła zabawnie brwiami, a ja potrząsnęłam głową z uśmiechem. Od zerwania ze Stephenem Lucy umawiała się po kolei ze wszystkim dostępnymi – a nawet nie do końca dostępnymi – facetami w Lake Phoenix. Nadal wydawała się całkowicie nieświadoma tego, że Elliot otwarcie do niej wzdycha i w rezultacie myli się w większości zamówień klientów. Raz jeden próbowałam dać jej do zrozumienia, że być może zainteresowany nią byłby ktoś, kogo dobrze zna i z kim się przyjaźni, ale pomyślała, że staram się umówić ją z Warrenem i rozmowa na chwilę zrobiła się potwornie krępująca.

– Ale jak chcesz, możesz sobie brać Kevina! – Twarz Lucy rozjaśniła się. – A wtedy urządzimy podwójną randkę. Idealnie.

– Lucy... – Potrząsnęłam tylko głową, a Lucy westchnęła. Od kiedy gnana żądzą zemsty powróciła na scenę randkową, starała się mnie bezustannie namówić, żebym także tego spróbowała. Ale ja wykręcałam się z każdego zaproszenia, doskonale wiedząc, dlaczego to robię.

– To z powodu Henry'ego? – zapytała, przyszpilając mnie wzrokiem.

– Nie – odparłam zdecydowanie za szybko, żeby to mogła być prawda. Bo oczywiście tak właśnie było. Nie

rozmawiałam z nim od tamtego dnia na pomoście, ale ile razy zaglądałam po coś do Czasu Chrupania, byłam rozczarowana, jeśli to nie on stał za ladą. Widziałam go kilka razy z daleka, jak płynął kajakiem po jeziorze – ciemna sylwetka na tle słońca.

– Musisz coś z tym zrobić – oznajmiła Lucy, kładąc się na trawie i zamykając oczy. – Albo na nowo się z nim zaprzyjaźnij, albo powiedz mu, co czujesz, i zapomnij o całej sprawie. – Zanim zdążyłam odpowiedzieć, w jej komórce rozległ się sygnał przychodzącego SMS-a. Lucy usiadła i uśmiechnęła się. – Założę się, że to Kyle – powiedziała, przeciągając sylaby, ale jej twarz pociemniała, kiedy czytała wiadomość. – To tylko Elliot – stwierdziła, rzucając komórkę na trawę. – Prosi, żebyś już wracała. – Ponieważ zaczęłam znowu mieć jakieś towarzystwo, nosiłam już swoją komórkę, ale Elliot zawsze pisał i dzwonił do Lucy, nawet jeśli chciał coś przekazać mnie.

– Dobra – westchnęłam, ale zdążyłam już wstać i założyć klapki. Byłam wdzięczna losowi, że mam teraz chwilę czasu, żeby zastanowić się nad słowami Lucy. Nie zamierzałam próbować umawiać się z Henrym – miał już dziewczynę z irytująco idealnymi włosami – ale może mogliśmy znowu być przyjaciółmi. Czy miałam coś do stracenia?

– Nie daj się zatrzymać na dłużej – powiedziała Lucy,

kiedy odwróciłam się w stronę baru. – Mamy jeszcze do omówienia Kyle’a.

Skinęłam głową i poszłam do wejścia dla pracowników. Miałam przeczucie, że Elliot może naprawdę potrzebować mojej pomocy, ponieważ gdyby tylko zależało mu, żeby jedna z nas dotrzymywała mu towarzystwa, poprosiłby Lucy.

– Co się dzieje? – zapytałam, wchodząc przez boczne drzwi i chwilowo niczego nie widząc, ponieważ moje oczy musiały się przyzwyczaić do półmroku po jasnym blasku dnia na zewnątrz.

Elliot skinął głową w kierunku okienka.

– Poproszono, żebyś koniecznie przyszła – wyjaśnił. Po drugiej stronie stały Gelsey i Nora. Moja siostra się uśmiechała, Nora wyglądała na zniecierpliwioną.

– Cześć – powiedziałam, podchodząc do okienka. – Co się dzieje?

– Gdzie byłaś? – zapytała Nora, zaplatając ramiona na piersi. Chociaż ostatnio była mniej ponura, z pewnością nie można powiedzieć, by promieniowała szczęściem i radością życia.

– Na przerwie – wyjaśniłam, zastanawiając się, dlaczego się tłumaczę przed dwunastolatką. – Coś wam podać?

– Sprite’a – powiedziały jednocześnie. – I chipsy barbecue – dodała Gelsey. – I mrożone emenemsy.

Nora zajrzała w półmrok na zapleczu.

– Jest Lucy?

– Jest tam, na trawie – wskazałam kierunek.

Uwielbienie dziewczynek dla Lucy zostało przypieczętowane, kiedy następnego dnia po imprezie piżamowej przyszły na plażę, a Lucy nauczyła je robić gwiazdę.

Elliot napełnił kubki, podczas kiedy ja nabiłam odpowiednią kwotę na kasę. Oddałam resztę Gelsey, która po chwili zastanowienia wrzuciła wspaniałomyślnie jedną dwudziestopięciocentówkę do słoika na napiwki.

– Dzięki – powiedziałam. Nora wypiła łyk napoju, a Gelsey otworzyła paczkę czipsów, ale żadna z nich nie ruszyła się z miejsca. – Coś jeszcze? – zapytałam. Nie byliśmy w tym momencie oblegani przez klientów, ale Fred nie lubił osób, które wystawały tylko przed okienkiem baru, ponieważ to mogło zniechęcać tych, którym nie chciało się czekać w kolejce.

– Mhm. – Gelsey schrupała czipsa, a potem przechyliła torbę w stronę Nory, który wyduła wargi i starannie wybrała jednego. – Po pracy masz odebrać psa od fryzjera.

– Żartujesz? – westchnęłam. – Znowu?

Gelsey i Nora skinęły głowami.

– Znowu – potwierdziła Nora. – Twój brat ma jakiś problem.

W zeszłym tygodniu moja matka – zaszokowana ilością piszczących zabawek, jakie Murphy zdołał zgromadzić w tak krótkim czasie – zabroniła nam wszystkim (ale szczególnie Warrenowi, ponieważ on jako jedyny je kupował) znoszenia do domu nowych. Dlatego też Warren wymyślał coraz bardziej rozpaczliwe i oczywiste wymówki, żeby zajrzeć do Na Psa Urok, zobaczyć się z przyszłą panią weterynarz Wendy i może nawet zdobyć się na to, żeby powiedzieć coś więcej niż „cześć”. Kiedy za pierwszym razem wylał coś na psa, myśleliśmy, że to był przypadek.

Warren twierdził, że po prostu pił sobie sok pomidorowy, a pies wpadł do kuchni. Zabrał Murphy’ego do psiego fryzjera i nikt się nad tym nie zastanawiał aż do momentu, kiedy dwa dni później Warren wylał na psa sok winogronowy. Nastąpiła kolejna wizyta u fryzjera, a kiedy złapałam Warrena skradającego się za psem z butelką keczupu (ponieważ Murphy nie był taki głupi i zaczął uciekać na jego widok), w końcu postawiłam sprawę otwarcie.

– Masz przestać dręczyć psa – powiedziałam Warrenowi, zabierając mu siłą keczup i chowając go z powrotem do lodówki.

– Przez ciebie dostanie wysypki czy innego uczulenia. Psów nie powinno się za często kapać.

– Chcesz, żebym ci opowiedział o psie, który przebiegł

prawie pięć tysięcy kilometrów, żeby wrócić do swojej rodziny?

– Warren wyraźnie postanowił zmienić temat i nie przyznać wprost, że zamierzał oblać psa keczupem.

– Nie – odparłam odruchowo. – Ale może chcesz, żebym ci opowiedziała o facecie, który załatwił swojemu psu traumę, ponieważ nie potrafił zaprosić dziewczyny na randkę? – W zwykłych okolicznościach nigdy nie powiedziałabym czegoś takiego do mojego brata. Może to dlatego, że teraz znacznie lepiej niż w Stanwich wiedziałam, jak wygląda jego życie towarzyskie?

Warren zrobił się intensywnie czerwony.

– Nie wiem, co masz na myśli – powiedział, zaplatając ręce i zaraz je opuszczając.

– Po prostu umów się z nią – powiedziałam. Uklękałam i zjrzałam pod stół, gdzie siedział Murphy, skulony i lekko się trzęsący. Kiedy zobaczył, że nie jestem Warrenem ani nie trzymam żadnego pojemnika z płynem do wylania na niego, trochę się uspokoił. Zachęciłam go gestem do wyjścia, ale nie ruszył się z miejsca, najwyraźniej niepewny, czy nie jestem przypadkiem po stronie Warrena. Wyprostowałam się i zobaczyłam, że mój brat jest nietypowo dla siebie zakłopotany.

– A, no... – powiedział, a potem odchrząknął i bez żadnego powodu otworzył i zamknął lodówkę. – Jak właściwie mam to zrobić?

– Jak masz się z nią umówić? – powtórzyłam. – No wiesz, po prostu... – urwałam, kiedy zobaczyłam wyraz twarzy Warrena i uświadomiłam sobie, że naprawdę może nie wiedzieć, jak to zrobić. – Po prostu zacznij z nią rozmowę – powiedziałam. – I pokieruj ją w odpowiednią stronę, zależnie od tego, gdzie chcesz iść na randkę.

– Mhm – powiedział mój brat i rozejrzał się po kuchni. Położył rękę na notesie, który zawsze leżał przy telefonie, a ja nabrałam przecucia, że zaraz zaczniesz robić notatki. – A możesz mi dać jakiś przykład?

– No cóż – zaczęłam. Nigdy sama nie zapraszałam nikogo na randkę, ale z pewnością zdarzało mi się popychać chłopaków w odpowiednim kierunku. – Na przykład jeśli chcesz ją zaprosić na obiad, wspomnij, że znasz świetną pizzerię czy coś takiego. Wtedy można mieć nadzieję, że ona powie, że uwielbia pizzę, a ty zapytasz ją, czy miałyby się tam ochotę wybrać z tobą.

– Okej. – Warren pokiwał głową. Zastanawiał się przez chwilę. – A jeśli się okaże, że nie lubi pizzy?

Westchnęłam ciężko. Gdybym nie wiedziała, że mój brat ma IQ na poziomie ocierającym się o geniusz, na pewno nie uwierzyłabym w to po tej rozmowie.

– To był tylko teoretyczny przykład – powiedziałam. – Wybierz, co ci pasuje. Kino albo miniaturowy golf, albo coś jeszcze innego.

– Jasne – potwierdził Warren, zatopiony w myślach. –

Rozumiem. – Wyszedł z kuchni, ale zaraz cofnął się o krok i uśmiechnął się do mnie, wyraźnie zawstydzony. – Dzięki, Taylor.

– Nie ma za co – odparłam i odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy uda mi się wywabić psa spod stołu.

Po tej rozmowie ataki na psa ustały na kilka dni, więc założyłam, że Warren wziął sobie do serca moje rady albo przynajmniej zaniechał tej konkretnej strategii. Najwyraźniej jednak Murphy po raz kolejny ucierpiał z powodu mojego brata i jego niedostatecznej znajomości technik flirtu.

Popatrzyłam przez ladę na Gelsey i Norę, które wymieniały się teraz torebką z mrożonymi emenemsami.

– Co to było tym razem? – zapytałam.

– Syrop – odparła Gelsey. – Mama się naprawdę wściekła.

– Nie dziwię się – przyznałam, myśląc o lepkiej katastrofie, jaką to musiało spowodować.

– Dlatego nie pozwoliła, żeby Warren go odebrał. Chce, żebyś ty to zrobiła, a potem masz kupić kukurydzę na obiad.

– Jasne – powiedziałam i spojrzałam na zegar. Podniosłam ręce nad głowę i przeciągnęłam się, zadowolona, że do końca zmiany zostało mi tylko pół godziny.

– Co się stało z twoim psem? – zapytał Elliot, który

najwidoczniej postanowił się włączyć do rozmowy.

Nora zmarszczyła brwi, patrząc na niego.

– Kto to jest?

– Elliot – przedstawił się i pokazał plakietkę z imieniem.

– Jestem szefem Taylor.

Przewróciłam tylko oczami.

– Wcale nie.

– W każdym razie jestem starszy stażem – poprawił się spokojnie.

– Coś jeszcze? – zapytałam dziewczynki.

– Nie – odparła Gelsey. Wyciągnęła do mnie torebkę emenemsów, więc wysypałam sobie trzy na rękę. W odróżnieniu od skittlesów, nie zwracałam uwagi na ich kolory. – Trzymaj się!

– Cześć – zawołałam, kiedy ona i Nora poszły w swoją stronę, pochylone do siebie i pogrążone już w rozmowie.

– To twoja siostra? – Elliot podciągnął się na ladę.

– I sąsiadka. Ostatnio występują zawsze w pakiecie.

Usłyszałam sygnał SMS-a, więc wyjęłam komórkę z tylnej kieszeni. To była wiadomość od Lucy, ale zamiast – tak jak się spodziewałam – pytania, kiedy wrócę dokończyć rozmowę, zawierała tylko jedno słowo: *FRED!!!*

– Fred idzie – syknęłam do Elliota, jakby Fred mógł mnie usłyszeć. Elliot natychmiast zeskoczył z blatu, a ja

rozejrzałam się właśnie za czymś, co mogłabym zacząć czyścić, kiedy otworzyły się boczne drzwi. Do środka wszedł Fred, przypieczony słońcem i ponury, niosąc skrzynkę na przynętę i wielkie kartonowe pudło, które z głuchym łupnięciem postawił na podłodze.

– Cześć, Fred – przywitał go Elliot tonem znacznie radośniejszym niż zwykle. – Jak tam ryby?

Fred potrząsnął głową.

– Marnie. Od kilku dni nic się nie złapało. Słowo daję, zmówiły się chyba – powiedział, zdejmując kapelusz. Zamrugałam i szybko odwróciłam spojrzenie, ponieważ czubek jego głowy, schowany pod kapeluszem wędkarskim, miał zupełnie inny kolor niż czerwień poniżej, oddzielona niemal równą linią. Zastanawiałam się, czy to może ja powinnam być osobą, która uświadomi Fredowi istnienie magicznego wynalazku, jakim była emulsja przeciwsłoneczna. Fred rozejrzał się i zmarszczył brwi.

– Gdzie Lucy?

– Tutaj! – odparła, otwierając drzwi. – Robiłam właśnie in-twentaryzację – wyjaśniła, nie patrząc na mnie. Podeszła do okienka z wyrazem twarzy odpowiedzialnego pracownika.

– Mhm – mruknął Fred, najwyraźniej w to nie wierząc. Wskazał stojące koło niego pudło. – Odebrałem właśnie plakaty na pokaz filmowy. Mam nadzieję, że zrobicie, co

do was należy, i poprosicie właściciele sklepów, żeby pozwolili wam je rozwiesić, okej?

– Jasne – powiedziałam, a Elliot pokazał skierowany w górę kciuk.

– Wszystko gotowe na piątek? – zapytał Fred, zwracając się bezpośrednio do mnie.

– Oczywiście! – zapewniłam. Miałam nadzieję, że w moim głosie zabrzmiałaby znacznie większa pewność siebie, niż faktycznie odczuwałam. Tym razem miałam więcej pracy organizacyjnej związanej z Kinem pod Gwiazdami. Musiałam wybrać film, wypożyczyć ekran i projektor, a także zamówić plakaty. Byłam w zasadzie pewna, że wszystko jest gotowe – poza moim wprowadzeniem. Starłam się nad nim za bardzo nie zastanawiać i miałam nadzieję, że jeśli zacznę się denerwować tak jak poprzednio, Elliot albo Lucy wkroczą do akcji i mnie zastąpią.

Fred wyszedł zaraz potem, a ja otwierałam kartonowe pudło i wyjęłam jeden plakat, żeby go popodziwiać. Kiedy przeglądałam należącą do baru kolekcję filmową i zobaczyłam ten tytuł na jednym z pudełek, wiedziałam, że to nie może być nic innego.

– Jaki film? – Lucy zajrzała mi przez ramię.

– *Casablanca* – odpowiedziałam, szybko przeglądając tekst na plakacie w poszukiwaniu literówek, z poczuciem, że pewnie powinnam była to zrobić, zanim dałam go

Jillian do wydrukowania.

– Nie widziałam. – Lucy wzruszyła ramionami, a Elliot prychnął drwiąco.

– Ja też nie – odparłam. Uśmiechnęłam się na wspomnienie tego, co powiedział mój ojciec. – Ale mam przeczucie, że będzie świetnie wyglądać na dużym ekranie.

Rozdział dwudziesty piąty

Wyszłam z pracy trochę wcześniej, żeby odebrać psa, który zapewne doszedł już do wniosku, że było mu lepiej, kiedy jako beżpański włóczył się po okolicy. Życie na pewno było dla niego wtedy mniej stresujące. Zabrałam też trochę plakatów, dochodząc do wniosku, że mogę poprosić Wendy w Na Psa Urok, żeby wywiesiła jeden z nich, a może przy okazji zapytać o to samo w warzywniaku Hensona. Podjechałam na Main Street i przypięłam rower, ale kiedy miałam już wejść do sklepu zoologicznego, popatrzyłam na piekarnię naprzeciwko. Bez zastanowienia przeszłam przez ulicę z plakatami w rękę, czując, że serce bije mi mocno.

Otworzyłam drzwi i weszłam do środka – na szczęście byłam jedyną klientką. Henry pochylał się nad ladą i czytał książkę.

– Hej – powiedział, podnosząc głowę. Wydawał się zaskoczony, ale nie poirytowany czy zły, co uznałam za dowód, że muszę zrobić następny krok.

– Myślę, że powinniśmy być przyjaciółmi – wypaliłam bez zastanowienia.

– Aha. – Henry uniósł brwi. – No... – Wyraźnie nie

wiedział, co ma powiedzieć, bo umilkł.

– Ja tylko – zrobiłam krok w głąb sklepu. – Pomyślałam, że tak będzie lepiej. Zakopać topór wojenny i w ogóle.

– Nie wiedziałem, że w grę wchodzi jakiś topór wojenny.

– Henry uśmiechnął się lekko.

– Wiesz, co mam na myśli – powiedziałam. Chociaż instykt mi podpowiadał, że powinnam się odwrócić i wyjść, zostawić za sobą sklep i iść przed siebie, zmusiłam się do zrobienia kilku kroków naprzód, aż w końcu stanęłam przed ladą. To chyba nie było najlepszym pomysłem, ponieważ w ten sposób znalazłam się blisko Henry’ego – dostatecznie blisko, żeby widzieć piegi na jego nosie i smugę mąki na policzku, a także zaskoczenie w zielonych oczach. Odwróciłam spojrzenie, odetchnęłam głęboko i mówiłam dalej: – Zachowałam się okropnie – przyznałam. – Nie powinnam była tak wyjeżdżać bez słowa wyjaśnienia.

– Taylor? – zapytał powoli Henry, marszcząc brwi. – Dlaczego akurat teraz ci się to przypomniało?

Nie chciałam mu mówić o mojej rozmowie z Lucy ani o tym, co zrozumiałam na imprezie pizamowej. Nie potrafiłam jednak przestać o nim myśleć, a gdybym była całkiem ze sobą szczerą, musiałabym przyznać, że tak naprawdę nigdy nie przestałam o nim myśleć. Pod wieloma względami był jedynym chłopakiem, który jak

dotąd liczył się w moim życiu uczuciowym. Był moją pierwszą miłością, nawet jeśli nie potrafiłam się do tego przyznać, zanim jeszcze zrozumiałam, co naprawdę znaczą te słowa.

– Po prostu... brakuje mi ciebie – odparłam, krzywiąc się na te słowa i słysząc, jak okropnie sztampowo brzmią.

– I naprawdę chciałabym, żebyśmy mogli być przyjaciółmi. Tylko przyjaciółmi – poprawiłam się, przypominając sobie dziewczynę w lodziarni. Nie chciałam, żeby Henry pomyślał, że go podrywam.

– Dobra. – Henry sprawiał wrażenie lekko zaszokowanego.

– Coś jeszcze?

– Chciałam jeszcze zapytać, czy mógłbyś to wywiesić w oknie – położyłam plik plakatów na ladzie i podsunęłam mu jeden. Nie odrywałam spojrzenia od jego twarzy, próbując zgadnąć, co myśli o tym, co właśnie powiedziałam, nawet jeśli było to kompletnie niespójne.

– Z tym nie będzie problemu. – Henry wziął plakat i spojrzał na niego. – *Casablanca* – powiedział z namysłem. – Dobry wybór.

– Mój wybór – wtrąciłam szybko.

Podniósł głowę znad plakatu i uśmiechnął się z zaskoczeniem.

– Podobało ci się? – zapytał.

Czułam, że policzki robią mi się gorące, chociaż

wreszcie byłam dostatecznie opalona, żeby to ukryć. Pożałowałam, że cokolwiek powiedziałam – to była kolejna rzecz, którą powinnam dopisać do długiej listy tego, co poszło nie tak w tej rozmowie.

– Nie – przyznałam. – Nie widziałam tego filmu. Tylko... słyszałam dużo dobrego.

Henry spojrział na plakat, jakby spodziewał się tam znaleźć potrzebną odpowiedź.

– Sam nie wiem, Taylor – odezwał się w końcu. – Przez tych pięć lat dużo się zmieniło.

– Wiem – odparłam. Nagle zalała mnie fala zakłopotania, jakby czekała właśnie na ten moment. – Przepraszam – powiedziałam. – Nie powinnam była... To znaczy... – Całe zdanie nie chciało się sformować, a ja poczułam nieprawdopodobną ulgę, kiedy w końcu mogłam się poddać temu, co instynkt podpowiadał mi głośno, od kiedy weszłam do sklepu. To znaczy wyjść jak najszybciej. – Przepraszam – mruknęłam jeszcze raz, odwróciłam się i podeszłam szybko do drzwi. Kiedy sięgnęłam do klamki, Henry odezwał się:

– Taylor! – zawołał. Odwróciłam się, czując ledwie zauważalny przyływ nadziei, ale on trzymał tylko moje plakaty.

– Zapomniałaś tego.

Nie wiedziałam, że mogłabym się czuć bardziej zawstydzona niż chwilę wcześniej, ale najwyraźniej

otwierały się przede mną całkowicie nowe perspektywy.

– Aha – mruknęłam. – Jasne. – Podeszłam szybko do niego i złapałam plakaty, starając się unikać kontaktu wzrokowego. Ku mojemu zaskoczeniu Henry nie wypuścił ich od razu, zmuszając, żebym na niego spojrziała, prosto w te oczy, które nadal za każdym razem zaskakiwały mnie zielenią. Zaczerpnął powietrza, jakby zamierzał mi coś powiedzieć, i także popatrzył mi w oczy, ale zaraz odwrócił głowę i wypuścił z ręki plakaty.

– Do zobaczenia – powiedział, a ja gdzieś w głębi duszy zarejestrowałam, że to samo powiedziałam mu, kiedy pierwszego dnia spotkaliśmy się na pomoście.

– Pewnie się tego nie da uniknąć – odparłam, powtarzając jego słowa i zmuszając się do uśmiechu, żeby to nie zabrzmiało aż tak złośliwie. Odwróciłam się i szybko podeszłam do drzwi, a Henry tym razem mnie już nie zawołał.

Z mocno bijącym sercem przeszłam przez ulicę i podeszłam do sklepu zoologicznego. Otworzyłam drzwi gwałtowniej, niż to było konieczne. Miałam przecucie, że byłoby zapewne lepiej dla wszystkich, gdybym posiedziała w samotności, aż uda mi się pozbyć tego skłaniającego do brawury niepokoju, ale z powodu nieobycia towarzyskiego mojego brata musiałam zabrać psa i nie dało się tego uniknąć.

– Cześć! – Wendy przywitała mnie uśmiechem, chociaż

nie widziałam jej od tego dnia, kiedy przywieźliśmy tu Murphy'ego do sprawdzenia czipa. Zapewne na tyle często widywała mojego psa, że miała poczucie, jakby znała mnie równie dobrze, jak jego. – Mamy tu twojego kawalera. – Sięgnęła pod ladę, a ja usłyszałam cichy szcęk metalu. Chwilę później Wendy wyłoniła się, trzymając Murphy'ego, który zamachał ogonem na mój widok.

– Super. – Odłożyłam plakaty na ladę i wzięłam psa na rękę. Postawiłam go na podłodze, owijając sobie smycz wokół nadgarstka, co okazało się dobrym pomysłem, ponieważ natychmiast próbował skoczyć w stronę kociąt. Popatrzyłam na leżące plakaty i poczułam nagły przyływ współczucia dla mojego brata, ponieważ właśnie sama się przekonałam, jakie to uczucie, przyjść do kogoś i zostać spławionym. – Słuchaj, Wendy – odezwałam się. Wendy podniosła wzrok znad komputera, gdzie niewątpliwie dodawała najnowszą usługę do naszego rachunku. – Masz teraz chłopaka?

Zamrugnęła oczami.

– Nie – odparła, sprawiając wrażenie odrobinę zakłopotanej.

– A dlaczego?

– Nic, po prostu jestem ciekawa – odparłam. Podsunęłam jej jeden z plakatów. – Poszłabyś na randkę z moim bratem?

Ta rozmowa poszła znacznie bardziej gładko, niż się spodziewałam. Wendy zgodziła się niemal natychmiast i wiedziała nawet, kim jest Warren – nie musiałam jej pokazywać jego zdjęcia dla przypomnienia i całe szczęście, bo to, które miałam w komórce, było okropne i zrobione w momencie, kiedy opowiadał mi o wynalezieniu czipsów ziemniaczanych. Zrobiłam je, żeby powstrzymać go od dalszego mówienia, a w efekcie Warren był na nim jednocześnie poirytowany i nieostry.

Kupiłam kukurydzę i lukrecję dla taty, a kiedy szłam z Murphym do miejsca, w którym zostawiłam rower, czułam się odrobinę lepiej. Nawet jeśli nie udało mi się ułożyć na nowo stosunków z Henrym, załatwiłam mojemu bratu randkę i – jak należało mieć nadzieję – oszczędziłam psu dalszych zabiegów pielęgnacyjnych.

Dopiero kiedy stanęłam przed perspektywą powrotu do domu, uświadomiłam sobie, że natrafiłam na nieoczekiwaną przeszkodę. Najprawdopodobniej Warren przywoził go tutaj samochodem, bo okazało się, że Murphy'emu nie podoba się pomysł jazdy w koszyku rowerowym i cały czas próbuje się z niego wydostać, drapiąc pazurami. Kiedy jedna łapa ugrzęzła mu między prętami, zaczął skomleć tak, że krajało mi się serce, więc oparłam rower na podpórcę i natychmiast wyjęłam psa z koszyka.

– Wszystko dobrze – zapewniłam go, przytulając na

chwile do siebie. Czulałam, że cały się trzęsie. – Nie musisz jechać w koszyku. Wszystko będzie dobrze. – Pogładziłam go po szorstkim futrze na łbie i poczułam, że się trochę uspokoił.

Mimo tej beztraskiej obietnicy nie byłam pewna, jak właściwie mamy dotrzeć do domu. Próbowалам jechać na rowerze, trzymając psa smycz, ale cały czas wplątywała mi się w koło, a Murphy, jak się okazało, nie był szczególnie pojętny i nie potrafił tego unikać. To samo się działo, kiedy próbowałam jednocześnie prowadzić psa i rower, więc ostatecznie uznałam, że musimy wracać na piechotę. Przypięłam rower do stojaka przy restauracji, wsadziłam plakaty pod ramię i ruszyłam razem z Murphym w stronę domu, zapewne rujnując tym samym wszystkie zabiegi pielęgnacyjne, jakim został poddany. Wyciągałam właśnie komórkę, żeby zadzwonić do domu i dać znać matce, że kukurydza – nie wspominając o mnie i o psie – trochę się spóźni, kiedy koło mnie zatrzymał się samochód.

Był to nieco poobijany SUV z Henrym za kierownicą. Opuścił szybę od strony pasażera i przechylił się poprzez fotel.

– Cześć – rzucił.

– Cześć – odpowiedziałam. Może chciał po prostu kontynuować naszą wcześniejszą rozmowę, ale wybrał do tego dziwne miejsce.

– Podrzucić cię? – zapytał. Jadący za nim minivan przyhamował i głośno zatrąbił. Henry machnął na niego ręką, a ja uświadomiłam sobie, że to nie jest dobry moment na zastanawianie się nad jego zaproszeniem albo nad tym, dlaczego mi to proponuje, skoro niecałą godzinę temu jednoznacznie mnie spławił.

– Jasne – odparłam, podniosłam psa i otworzyłam drzwi. Wsiadłam, zatrzasnęłam drzwi i spojrzałam na Henry’ego, który wrzucił bieg. – Dzięki. Ten pies nie opanował umiejętności jeżdżenia w koszyku rowerowym.

– Nie ma za co. – Henry wyjechał na ulicę. – Ostatecznie jedziemy w to samo miejsce, byłoby niegrzecznie nie zaproponować tego.

Skinęłam głową, podrapałam psa po łbie i popatrzyłam na rosnące wzdłuż drogi drzewa. Czyli to była tylko grzeczność. Nie powinnam czuć się zaskoczona. Skoncentrowałam się na poprawianiu kokardki Murphy’ego – znowu w różowe groszki – i na niemówieniu ani słowa. Wcześniej zrobiłam z siebie taką idiotkę, że nie widziałam sensu w dalszym pograżaniu się. Ale cisza między nami stawała się trudna do zniesienia, jak fizyczna siła, naciskająca na mnie ze wszystkich stron.

Niewykluczone, że Henry czuł się podobnie, ponieważ włączył radio i wyłączył je znowu, kiedy nosowy głos zaczął śpiewać o utraconej miłości w stylu przypominającym country. Jechaliśmy bez słowa przez

chwile, aż w końcu Henry popatrzył na mnie.

– Nie wiedziałem, że masz psa – powiedział.

– Tak – odparłam, drapiąc Murphy’ego między uszami w miejscu, które zawsze sprawiało, że zaczynał machać tylną łapą. – Od niedawna.

Henry tylko skinął głową i znowu zapadła cisza. Nie zamierzałam jej przerywać, ale uznałam, że to bezpieczny i nieupokarzający temat, więc nabrałam oddechu i mówiłam dalej:

– To pies letników, którzy w zeszłym roku wynajmowali nasz dom.

Henry popatrzył na psa i wyraźnie w końcu go rozpoznał.

– Fakt – powiedział. – Stąd go znam. Nie dawało mi to spokoju, od kiedy go zobaczyłem. – Zatrzymał się pod znakiem stopu i przeniósł spojrzenie z psa na mnie. – To dlaczego ty się nim zajmujesz?

– Zostawili go – wyjaśniłam. – Nie byliśmy w stanie się z nimi skontaktować, więc tak jakoś wyszło, że go przygarnęliśmy.

– Zostawili go – powtórzył Henry dziwnie głuchym głosem.

Skinęłam głową.

– Po wakacjach – dodałam i popatrzyłam na Henry’ego w oczekiwaniu na jakąś reakcję. Wszyscy inni, nawet mój dziadek, który dowiedział się o tym przez telefon, wyrażali

oburzenie lub troskę, ale Henry tylko zacisnął dłonie na kierownicy, a jego twarz spochmurniała.

Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu. Henry minął mój dom i skręcił w swój podjazd, zaskakując psa, który od jakiegoś czasu wspinał się i drapał pazurami szybę, chcąc jak najszybciej wracać do domu. Najwyraźniej nie skojarzył, że to jest również miejsce, w którym ludzie oblewają go syropem.

– Dziękuję za podwózkę – powiedziałam, kiedy Henry zgasił silnik, ale nie zrobił żadnego ruchu, żeby wysiąść.

– Jasne – powiedział nieobecnym głosem. – Nie ma za co.

– Popatrzyłam na niego, zastanawiając się, czy to ja coś powiedziałam, czy to tylko echo wcześniejszego napięcia między nami. Wydawało się, że próbując odciąć się od przeszłości, niechcący sprawiłam, że nasze stosunki stały się jeszcze trudniejsze.

Chciałam powiedzieć coś, cokolwiek, co mogłoby je nieco ocieplić, ale pies zaczął na dobre piszczeć, wspinając mi się na kolanach i chcąc jak najszybciej wracać do domu, wyraźnie sfrustrowany, że nie może tego zrobić, chociaż jest tak blisko.

Otworzyłam drzwi i wysiadłam z samochodu, stawiając na ziemi Murphy'ego, który natychmiast zaczął mnie ciągnąć. Miałam powiedzieć coś jeszcze do Henry'ego, ale on dalej siedział za kierownicą, zatopiony

w myślach. Dlatego tylko zamknęłam po cichu drzwi i poszłam w stronę ulicy, ciągnięta z siłą znacznie większą niż ta, o jaką podejrzewałabym tak małego psa. Zastanawiałam się, co właściwie się przed chwilą wydarzyło.

Godzinę później siedziałam na frontowej werandzie ze szklanką coli light z podwójnym lodem, obierając kukurydzę na obiad. Moje rodzeństwo było razem ze mną i teoretycznie miało pomagać, ale Gelsey ćwiczyła pozycje baletowe z wykorzystaniem poręczy werandy jako drążka, a Warren chodził w kółko, cudem unikając kopnięcia w twarz przez kolejne *grand battement* w wykonaniu mojej siostry i zasypując mnie pytaniami o swoją randkę.

– I zgodziła się? – zapytał, kiedy ściągałam zieloną łupinę z kukurydzy, odsłaniając żółto-białe ziarna. Zaburczało mi w brzuchu na sam ten widok, ponieważ świeża kukurydza była jedną z najlepszych wakacyjnych rzeczy, a ta kupowana u Hensona zawsze smakowała przepysznie. Wyrzuciłam łupinę do papierowej torby stojącej mi pod nogami, a potem podniosłam głowę i posłałam bratu potępiające spojrzenie.

– Tak – powtórzyłam chyba po raz ósmy. – Zapytałam, czy chce się wybrać na film w piątek, ona się zgodziła, a potem zabrałam psa i poszłam sobie.

– Ale jesteś pewna, że ona wiedziała, że chodzi o mnie?

– zapytał Warren.

Moje spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Gelsey, tuż przed tym, jak opadła w *grand plié*. Uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie i odwróciła głowę, wyciągając ramiona do góry.

– Jestem pewna – oznajmiłam stanowczo. – Jesteś umówiony na randkę. Nie ma za co. – Potrząsnęłam głową, zastanawiając się, czy dobrze zrobiłam. Ostatecznie „Warren i Wendy” brzmiało jak nazwa jakiegoś koszmarnego duetu folkowego, nie wspominając o tym, że Wendy była teraz narażona na niekończący się potok ciekawostek mojego brata.

– Jasne – powiedział Warren, jakby dopiero teraz się zorientował, że miałam z tym coś wspólnego. – Naprawdę dzięki, Taylor. Jeśli mógłbym coś zrobić, żeby się zrewanżować...

– Możesz – odparłam i podałam mu na wpeł obraną kukurydzę, a potem zabrałam swoją szklanę, do której zamierzałam dolać coli. – Dokończ to.

Weszłam z werandy do kuchni, gdzie moja matka kroїła pomidory. Rozpoznałam składniki potrzebne do hamburgerów z grilla.

– Kukurydza obrana? – zapytała, kiedy otworzyłam lodówkę, żeby wyjąć butelkę coli.

– Mniej więcej. – Popatrzyłam na werandę, gdzie

Warren mówił coś do Gelsey z rozmarzonym wyrazem twarzy, ale w zasadzie nic nie robił.

– Co mniej więcej? – zapytał tata, wchodząc do kuchni. Trzymał pod pachą psa i był lekko potargany, jak zawsze po popołudniowej drzemce. Przestał się już ubierać tak, jakby w każdej chwili spodziewał się wezwania do biura, i dzisiaj miał na sobie T-shirt z logo American Bar Association oraz spodnie khaki. Mimo woli spojrzałam na wiszący za nim kalendarz na lodówce i zobaczyłam, że jakimś cudem była już połowa czerwca. Jak co roku, wakacje miały zdecydowanie za szybko – ale teraz miałam więcej powodów, żeby pragnąć, aby czas zwolnił. Tu nie chodziło tylko o powrót do szkoły.

– Kukurydza – wyjaśniła mama, sprowadzając mnie na ziemię. Odwróciła się, żeby zapalić jeden z palników.

– To będzie kuku czy rydze? – zapytał ojciec z zadowoloną miną, jaką przybierał zawsze, kiedy udał mu się żart słowny. Uśmiechnęłam się, a mama stłumiła uśmiech. – Strasznie przepraszam – oznajmił z udawaną skruchą. – Myślałem, że jeden raz mi się upieczę.

– Dość tego – oznajmiła matka i potrząsnęła głową ze śmiechem. – Musimy przygotować grilla. – Wyszła z kuchni, w przejściu muskając lekko palcami ramię mojego ojca, i powiedziała siedzącemu na werandzie Warrenowi, że ma się pospieszyć.

– A co u ciebie? – Tata popatrzył na mnie. – Udało ci

się dokonać czegoś wielkiego?

Uśmiechnęłam się, całkowicie pewna, że trudno w ten sposób nazwać sprzedawanie ludziom napojów gazowanych i frytek.

– Nie wiem – odparłam. – Ale mam coś takiego. – Podeszłam do stołu i podałam mu plakat zapowiadający wieczór filmowy.

– Co o tym myślisz? – zapytałam, nieoczekiwanie zdenerwowana, kiedy tata mu się przyglądał.

– Ty wybierałaś film? – zapytał lekko ochryłym głosem.

– Owszem – przyznałam, a tata skinął głową, nie patrząc na mnie, tylko na plakat. – Powiedziałeś, że to twój ulubiony – dodałam po chwili, kiedy ciągle się nie odzywał. – I że nigdy go nie widziałeś na wielkim ekranie...

Tata odchrząknął i spojrzał na mnie.

– Dzięki, mała – powiedział i znowu popatrzył na plakat.

– To super. Trudno uwierzyć, że to dla mnie zrobiłaś.

Skinęłam głową i popatrzyłam na kafelki na podłodze. Nie potrafiłam się zmusić, żeby powiedzieć na głos to wszystko, o czym myślałam – że zrobiłam to, ponieważ go kocham i chcę, żeby był szczęśliwy, więc zależało mi, żeby jeszcze raz obejrzał swój ulubiony film. Ale w domyśle pozostawało to, o czym przypominałam sobie

za każdym razem, kiedy patrzyłam na kalendarz – że to prawdopodobnie będzie ostatni raz, kiedy go obejrzy. Że prawdopodobnie będzie to jeden z ostatnich filmów, jakie w ogóle obejrzy. Przełknęłam ślinę i dopiero wtedy poczułam, że jestem w stanie coś powiedzieć.

– Poza tym – stwierdziłam, starając się, żeby to brzmiało optymistycznie – Warren idzie na ten film z dziewczyną.

– Naprawdę? – zapytał tata i poprawił psa na rękę. – Czy to znaczy, że przestanie się znęcać nad tym biedakiem?

– Możemy go zapytać – zaproponowałam i podeszłam do drzwi, a tata wyszedł razem ze mną na werandę, gdzie Gelsey rozciągała się właśnie z nogą na poręcz i głową przy samych kolanach, wygięta pod kątem, na widok którego krzywiłam się zawsze boleśnie, nawet jeśli widziałam go już wiele razy.

– Ściągnij łopatki – poleciła matka, a Gelsey poprawiła postawę. Tata usiadł koło Warrena, który chyba trzymał nadal tę samą kolbę kukurydzy, z jaką go zostawiłam. Zauważyłam, że tata sprawiał wrażenie lekko zmęczonego przejściem z kuchni na werandę, że od razu musiał chwilę odpocząć. Położył na kolanach psa, który był przeszczęśliwy, że się go nosi na rękach, a potem uśmiechnął się do Warrena.

– Słyszałem, że umówiłeś się na randkę – powiedział,

zaskakując go. Warren poczerwieniał i w końcu zaczął obierać kukurydzę.

– Naprawdę? – Moja matka także uśmiechnęła się do Warrena i usiadła na poręczu fotela ojca. – Kiedy?

– Kiedy Taylor załatwiła to za niego – wtrąciła Gelsey, prostując się.

– Jak to? – zapytała matka, marszcząc brwi, więc roześmiałam się i podeszłam, żeby pomóc przy kukurydzy mojemu bratu, który właśnie zaczął relacjonować całą historię. Siedziałam i słuchałam, w razie potrzeby wtrącając poprawki, ale właśnie uświadomiłam sobie, że nigdy nie robiliśmy tego w domu – nie siedzieliśmy razem, gadając o różnych głupstwach. Gdybyśmy byli w domu, tata siedziałby jeszcze w pracy, a nasza trójka bez wątpienia miałaby własne zajęcia. Niezależnie od okoliczności, jakie nas tu sprowadziły, cieszyłam się, że w końcu robimy coś razem, jak rodzina.

Rozdział dwudziesty szósty

Nie mogłam zasnąć. To był chyba motyw przewodni tego lata, ponieważ każdej nocy godzinami leżałam bezsenne, nawet wtedy, kiedy pracowałam przez cały dzień, byłam wykończona i zgodnie z logiką powinnam zasypiać, kiedy tylko się położę. Ale kiedy już się kładłam do łóżka, godzinami przewracałam się z boku na bok, a myśli nie dawały mi spać. Miałam wrażenie, że od przyjazdu do Lake Phoenix nieustannie jestem konfrontowana ze wszystkim, co zrobiłam źle i nad czym starałam się nie zastanawiać przez ostatnich pięć lat. Zawsze w nocy, kiedy nie mogłam usnąć, te myśli wypełniały moją głowę i nie dawały się odpędzić.

Dzisiaj, o dziwo, moje myśli zaprzętał pies. W reakcji Henry'ego na stwierdzenie, że właściciele go zostawili, było coś, co zwróciło moją uwagę. Nawet jeśli próbowałabym teraz demonizować letników za to porzucenie, wiedziałam, że to w zasadzie niewiele się różni od tego, co sama robiłam od lat: uciekałam albo rezygnowałam, napotykając na jakiegokolwiek trudności. Po prostu nigdy wcześniej nie musiałam brać pod uwagę ceny, jaką trzeba było za to płacić, bo zazwyczaj robiłam

wszystko, co w mojej mocy, żeby unikać konsekwencji swoich działań. Ale Murphy stanowił żywy dowód na to, że zostawienie czegoś lub kogoś nigdy nie było bez troski i wolne od kosztów.

Kiedy nie mogłam już wytrzymać, wstałam z łóżka i narzuciłam sweter. Uznałam, że świeże powietrze może mi dobrze zrobić, a przynajmniej pozwoli trochę oczyścić moje myśli. Przeszłam na palcach korytarzem i wyszłam przez tylną werandę. Nie zwracając sobie głowy butami, wyszłam bosą na trawę.

Noc była cudowna, na niebie wisiał ogromny księżyc z równie wielkim odbiciem w tafli jeziora. W powietrzu była odrobina chłodu, lekki wiatr poruszał liśćmi, więc otuliłam się ciasniej swetrem i zeszłam na pomost. Dopiero kiedy byłam na dole, zauważyłam, że ktoś tam jest. Nie było w tym nic niezwykłego – pewnej nocy wypatrzyłam tam Kim i Jeffa – każde z nich trzymało kartkę papieru i spacerowali, najwyraźniej urządzając burzę mózgow. Zwolniłam i zmrużyłam oczy, starając się rozpoznać, kto siedzi na krawędzi pomostu. W tym momencie ta osoba odwróciła się lekko w lewo i zobaczyłam, że to Henry.

Zamarłam, zastanawiając się, czy uda mi się wycofać niepostrzeżenie. Nie odwrócił głowy na tyle, żeby mnie zobaczyć, ale obawiałam się, że gwałtowniejszy ruch przykuje jego uwagę. Sekundę później przypominałam

sobie wszystkie te chwile, które teraz nie dawały mi spać, kiedy uciekałam, chociaż powinnam była zostać. Ale w przypadku Lucy, a teraz może w przypadku Henry'ego dostałam od losu szansę, żeby przynajmniej spróbować wszystko naprawić, więc odetchnęłam głęboko i szłam dalej, stawiając krok za krokiem, aż doszłam do pomostu. Henry odwrócił się do mnie, a ja dopiero teraz pomyślałam, że jego może nie interesować moja potrzeba zmierzenia się z własnymi słabościami – najprawdopodobniej przyszedł na pomost, żeby posiedzieć w samotności, a ze mną tego dnia miał już i tak zdecydowanie za dużo do czynienia. W dodatku miałam na sobie to, w czym zwykle spałam – bardzo krótkie spodenki frotte oraz koszulkę bez stanika. Byłam naprawdę wdzięczna losowi, że mam przynajmniej sweter, którym owinęłam się jeszcze ciaśniej. Skinęłam głową, zamiast podnieść rękę i pomachać do niego.

– Cześć – powiedziałam.

– Hej – odparł, wyraźnie zaskoczony. Zmusiłam się, żeby do niego podejść, ponieważ miałam poczucie, że gdybym się zatrzymała, ta część mnie, której zwykle słuchałam, przejęłaby kontrolę, a ja odwróciłabym się na pięcie i uciekłabym do domu, zamiast ryzykować skompromitowanie się w oczach Henry'ego po raz kolejny tego dnia.

Usiadłam obok niego, starannie zostawiając odstęp,

w jakim zmieściłaby się przynajmniej jedna osoba. Wyciągnęłam nogi i zanurzyłam je w wodzie – jezioro było zimne, ale przyjemnie opływało moje stopy, którymi zataczałam małe kółka.

– Nie mogłam spać – wyjaśniłam, ponieważ od dłuższej chwili siedzieliśmy w milczeniu.

– Ja też – odpowiedział Henry. Popatrzył na mnie i uśmiechnął się lekko. – Zimno ci?

– Troszkę – powiedziałam i otuliłam się swetrem. Henry najwyraźniej czuł się komfortowo w nocnym chłódzie, ubrany w sprany i miękki szary T-shirt oraz związane na sznureczek szorty. Nagle zaczęłam się zastanawiać, czy śpi w takim stroju, a to wystarczyło, żebym szybko odwróciła wzrok, kierując spojrzenie na jezioro i odbicie księżyca.

– Przepraszam za wcześniej – powiedział Henry, także patrząc na jezioro. – W samochodzie. Nie chciałem tak nagle odpłynąć.

– Aha – mruknęłam. Nie wiedziałam, że tak właśnie należało tłumaczyć to, co się stało. – Czy to... – zaczęłam i urwałam, ponieważ uświadomiłam sobie, że nie jestem pewna, jak to powiedzieć. – Czy zrobiłam coś nie tak? – zaryzykowałam pytanie.

Henry potrząsnął głową i popatrzył na mnie.

– Właściwie nie – odpowiedział. – Tylko... – Westchnął, ale mówił dalej. – Moja mama odeszła –

wyjaśnił. Nie odrywał ode mnie wzroku, kiedy to mówił, a ja zmusiłam się, żeby patrzeć mu w oczy i nie odwracać głowy, starając się przy tym ukryć zaskoczenie. – Pięć lat temu – dodał. – Pod koniec wakacji. – Odwrócił głowę i popatrzył znowu na jezioro, a ja zauważyłam, że jego palce zaciśnięte na krawędzi pomostu są całkowicie białe.

– Co się stało? – zapytałam miękko, próbując nie dopuścić, żeby w moim głosie zabrzmiał szok. Byłam całkowicie wstrząśnięta: pani Crosby po prostu odeszła?

Henry wzruszył ramionami i kopnął stopą w wodę, a drobne kręgi zaczęły się rozchodzić coraz dalej, aż w końcu powierzchnia wody się uspokoiła.

– Wiedziałem, że miała wtedy jakieś trudności – przyznał, a ja spróbowałam sięgnąć pamięcią do tamtego czasu. Szczerze mówiąc, w tamte wakacje, którym nadawały rytm moje pierwsze randki, pocałunki w wesołym miasteczku i dramatyczna kłótnia z Lucy, nie zwracałam szczególnej uwagi na matkę Henry’ego. Wydawała się taka sama jak zwykle – odrobinę zdystansowana i niezbyt przyjazna. – Nie myślałem, że to coś poważniejszego. Ale na tydzień przed naszym powrotem do Maryland pojechała do Stroudsburga na zakupy i nie wróciła.

– O Boże – mruknęłam, próbując całkowicie bezskutecznie wyobrazić sobie moją matkę robiącą coś takiego. Chociaż wiele razy kłóciłyśmy się albo nie

mogłyśmy dojść do porozumienia, chociaż czasem trudno było się jej pozbyć, ani razu nie przyszło mi do głowy, że mogłaby odejść.

– Właśnie. – Henry roześmiał się ponuro. – Zadzwoiła później tego wieczoru, chyba po to, żeby mój ojciec nie poszedł na policję. Ale potem nie dawała znaku życia, aż w końcu dwa lata temu skontaktowała się z nami, żeby dostać rozwód.

To się wydawało coraz gorsze.

– Nie widziałeś swojej matki od pięciu lat? – zapytałam słabo.

– Nie – odparł z nagłą twardością w głosie. – I nie wiem, czy jeszcze ją zobaczę. – Popatrzył na mnie. – Wiesz, co było w tym wszystkim najgorsze? Byliśmy wtedy z tatą na meczu bejsbolowym, a ona po prostu zostawiła Davy’ego samego w domu.

Przeprowadziłam szybkie obliczenia i wyszło mi, że Davy miał wtedy siedem lat.

– Czy on... – Przełknęłam gwałtownie. – Znaczy, czy coś...

Henry potrząsnął głową, na szczęście pozwalając mi nie dokończyć zdania.

– Nic mu się nie stało – powiedział. – Ale myślę, że to dlatego potem dostał takiego bzika na punkcie survivalu, nawet jeśli on sam twierdzi, że to przez programy na Discovery.

Powoli różne kawałki układanki zaczęły wskakiwać na właściwe miejsca.

– Dlatego przeprowadziliście się tutaj na stałe? – zapytałam. To był oczywiście także powód, dla którego nikt z nas od przyjazdu nie widział pani Crosby.

– Tak – przyznał Henry. – Tata musiał coś zmienić w życiu, znaleźć jakąś pracę, która pozwalałaby mu spędzać więcej czasu z nami. Zawsze mu się tutaj podobało, a i tak mieliśmy się przeprowadzać, bo w naszym dawnym mieszkaniu Davy i ja mieliśmy jeden pokój. Inna rzecz, że on wyraźnie nie potrzebuje własnego pokoju – dodał, uśmiechając się lekko i patrząc w stronę namiotu Davy’ego. Wzruszył ramionami i znowu kopnął w wodę. – Tata po jej odejściu całkiem się rozsypał – powiedział ciszej. Czekałam, czy doda coś jeszcze, zdradzi jakieś szczegóły, ale nie zrobił tego. – Dlatego przeprowadzka tutaj... wydawała się dobrym pomysłem.

Skinęłam głową, ale wciąż starałam się przyswoić te informacje. Nagle z siłą, która sprawiła, że przeszedł mnie dreszcz, uświadomiłam sobie, że jakiś tydzień czy dwa po tym, jak nieoczekiwanie wyjechałam bez żadnych wyjaśnień, matka Henry’ego zrobiła to samo.

– Henry? – powiedziałam cicho, a on popatrzył na mnie.

– Naprawdę okropnie mi przykro. – Miałam nadzieję, że zrozumie, że mówię szczerze i nie zignoruje tych słów tak, jak ja ignorowałam podobne zapewnienia, które sama

słyszałam.

– Dzięki – odparł cicho, ale nie spojrzał na mnie, więc nie wiedziałam, czy mi uwierzył. – Wybacz, że tak straciłem nad sobą panowanie.

– Nie zauważyłam, żebyś tracił nad sobą panowanie.

– Zwykle tracę nad sobą panowanie po cichu – oznajmił Henry ze śmiertelną powagą, a ja się uśmiechnęłam. – Przepraszam, że musiałaś tego wysłuchiwać – dodał, wzruszając ramionami.

– Cieszę się, że powiedziałaś – odparłam. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się lekko.

Zrozumiałam, że ja także muszę mu o czymś powiedzieć. Odetchnęłam głęboko, ale z jakichś powodów powiedzenie tego na głos tutaj, w ciemności, nie wydawało się aż tak niewykonalne.

– Mój tata jest chory – powiedziałam i natychmiast poczułam cisnące mi się do oczu łzy, a dolna warga zaczęła mi drżeć.

– Nie wyzdrowieje – dodałam, zmuszając się, żeby mówić dalej i oszczędzić Henry’emu konieczności zapytania o to. – Właśnie dlatego... – Głos uwiązł mi w gardle, a ja popatrzyłam na swoje stopy w wodzie, zmuszając się, żeby dokończyć. – Właśnie dlatego tu jesteśmy. Żeby spędzić razem ostatnie wakacje.

Kiedy umilkłam, poczułam spływającą łzę, więc wytarłam ją prędko z nadzieją, że Henry niczego nie

zauważy. Próbowалам się zmusić do opanowania się jeszcze przez chwilę.

– Bardzo ci współczuję, Taylor – usłyszałam po chwili. Popatrzyłam na niego i zobaczyłam w jego twarzy coś, czego nie widziałam u nikogo ze znajomych – możliwe, że to było zrozumienie dla tego, przez co przechodziłam. Możliwe też, że patrzyłam na kogoś, kto także przeszedł coś, czego większość ludzi nie była w stanie naprawdę zrozumieć.

– Powinam pewnie powiedzieć ci o tym od razu pierwszego dnia – stwierdziłam i przesunęłam dłonią po gładkich deskach pomostu. Pomyślałam, że dobrze się składa, że prowadzimy tę rozmowę tutaj, w miejscu, gdzie spotkaliśmy się po tych pięciu latach, jakbyśmy w ten sposób zatoczyli koło. – Ale chyba wolałam udawać, że to się nie dzieje naprawdę.

– Mogę to zrozumieć – przyznał. Siedzieliśmy w milczeniu, a wiatr zaczął wiać mocniej, odgarniając Henry’emu włosy z czoła. – Mówiłaś wcześniej o przyjaźni – powiedział. – Myślę, że powinniśmy spróbować.

– Naprawdę? – zapytałam. Henry poważnie skinął głową.

– A co z tym, o czym mówiłaś... z tym wszystkim, co wydarzyło się przez pięć lat?

Henry wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Będziemy musieli nadrobić braki w wiedzy – powiedział, wyciągnął stopy z wody i popatrzył na mnie. – Chcesz zacząć od razu?

Przez chwilę patrzyłam na niego w świetle księżyca, nie całkiem gotowa, by uwierzyć w to, co mi tak otwarcie proponował. Poczułam się zawstydzona tym, co o nim myślałam – że nie będzie chciał mi wybaczyć, dlatego tylko, że ja bym się tak zachowała na jego miejscu. Ale w tym momencie czułam się, jakbym nagle dostała drugą szansę – nie zasługiwałam na nią, ale dostałam ją mimo to. Ja także wyciągnęłam nogi z wody i odwróciłam się do niego.

– Tak – odparłam z leciutkim uśmiechem. – Od razu to świetny termin.

Rozdział dwudziesty siódmy

Następnego dnia po tym, jak Henry i ja zawarliśmy pokój na pomoście, jego brat pojawił się pod naszymi drzwiami z pewną propozycją.

Gadaliśmy z Henrym prawie do piątej rano. Siedzieliśmy na pomoście, od czasu do czasu zanurzając stopy w wodzie, i wymienialiśmy się opowieściami – ale nie w pośpiechu, starając się opowiedzieć o wszystkim jednocześnie. Wymienialiśmy nasze historie z taką samą łatwością, z jaką kiedyś wymienialiśmy komiksy (ja miałam słabość do *Betty & Veronica*, Henry przyznawał teraz, że żywił niezdrową obsesję na punkcie *Batmana*). Henry nie powiedział już nic więcej o odejściu swojej matki, a ja nie chciałam mówić o tym, co się dzieje z moim tatą, no i żadne z nas nie wspominało o żadnych sprawach związanych z naszym życiem uczuciowym przez tych kilka lat.

Henry opowiedział mi, jak mało co nie zrobił sobie tatuażu – i pokazał mi ślad po tamtej przygodzie, kropeczkę z tyłu ramienia, która wyglądała jak pieg, a miała być zaczątkiem wzoru plemiennego. Przynajmniej do momentu, kiedy poczuł pierwsze ukłucie i uświadomił

sobie, że popełnia błąd.

– Mimo to kazali mi zapłacić jak za cały tatuaż, uwierzysz? – zapytał, kiedy w świetle księżycy oglądałam maleńki niedoszły tatuaż.

Ja opowiedziałam mu o krótkotrwałym pomysśle zostania hydrobiologiem, z którego zrezygnowałam, kiedy zrozumiałam, że naprawdę brzydzę się ryb, a na statku dostaję szybko choroby morskiej – szkoda tylko, że nie wiedziałam tego, zanim wyjechałam na całe wakacje na obóz oceanograficzny.

Henry opowiedział, jak dwa razy oblał egzamin na prawo jazdy i ledwie udało mu się zaliczyć za trzecim razem, a ja opowiedziałam o wszystkich mandatach za przekroczenie prędkości, w przypadku których udało mi się przekonać policjanta, żeby mi to puścił płazem. Henry opowiedział o pierwszym wspólnym wyjeździe jego, Davy’ego i ich taty po tym, jak pani Crosby odeszła, i jak bardzo chciał, żeby wszystko poszło wtedy idealnie. Skończyło się na tym, że zmarznięci i nieszczęśliwi spali w namiocie w śnieżnej zadymce, aż w końcu poddali się i spędzili resztę wyjazdu, oglądając telewizję i jedząc posiłki na wynos w motelowym pokoju. Ja opowiedziałam mu o ostatnim Bożym Narodzeniu, kiedy pojechaliśmy do St. Maarten i padało każdego dnia, a Warren tak rozpaczliwie chciał poznać wyniki rekrutacji uniwersyteckiej, których oczekiwał, że

próbował wydzwaniać do naszego dostawcy pocztą, aż w końcu mama skonfiskowała mu komórkę. Rozmawialiśmy o muzyce (poczuł się urażony, kiedy nazwałam „hipsterstwem” jego słabość do bosostopnych poetek-piosenek, za to nabijał się ze mnie, że znam imiona wszystkich trzech członków Bentley Boys, chociaż protestowałam, że to wina Gelsey) i plotkach z baru na plaży – okazało się, że już dawno zauważył, jakie uczucia Elliot żywi do Lucy, ale poddał się z próbami przekonania go, że powinien podjąć jakieś kroki, kiedy Elliot zapewnił go, że podejmuje kroki i ma opracowany plan wraz ze schematem blokowym.

W trakcie tej rozmowy przypominałam sobie też, dlaczego przyjaźniliśmy się jako dzieci. Henry potrafił słuchać, kiedy się do niego mówiło, nie czekał tylko, żeby się wtrącić z własną historią. Zawsze ważył słowa, a dzięki temu ja wiedziałam, że jego odpowiedzi są przemyślane. Za każdym razem, kiedy się śmiał – a robił to rzadko – czułam, że to nagroda i chciałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby się znowu roześmiał. Był pełen entuzjazmu dla wielu rzeczy, a kiedy rozmawialiśmy o czymś, co lubił – na przykład o wycieczkach po lesie i o tym, że wszystko tam jest na swoim miejscu – czułam, że ja też zarażam się jego pasją.

Mijały godziny, przerwy pomiędzy opowieściami stawały się coraz dłuższe, aż w końcu siedzieliśmy

w przyjemnej ciszy, patrząc na jezioro i pierwsze smugi blasku dnia, pojawiające się nad horyzontem.

Wtedy rozstaliśmy się i wróciliśmy do domów. Zakradłam się na palcach do kuchni i z zaskoczeniem zobaczyłam, że jest piąta rano, a wracając do pokoju byłam pewna, że teraz już nie będę miała problemów z zaśnięciem. Ale kiedy tylko się położyłam, poczułam, że czegoś mi brakuje. Podeszłam do szafy, wyjęłam pluszowego pingwina i posadziłam go na poduszce.

Nie miałam nawet za złe (może dlatego, że właściwie nie zdążyłam zasnąć na dobre), kiedy mój tata o ósmej połaskotał mnie w piętę, budząc na śniadanie. Wydawało mi się, że zjadł jeszcze mniej niż zwykle – nawet kelnerka Angela powiedziała coś na ten temat – ale przerobiliśmy kolejny quiz na podkładkach. Okazało się, że bał się kolejek górskich i jest uczulony na imbir. Po śniadaniu zabraliśmy mój rower sprzed restauracji, gdzie zostawiłam go wczoraj wieczorem, a potem zawiozłam nas do domu. Nikt w rodzinie nie mówił ani słowa, ale ojciec od kilku dni nie prowadził samochodu. Bez słowa podchodził do naszego land cruisera od strony fotela pasażera, zostawiając mnie, żebym niezgrabnie wyciągała kluczyki i wsiadała za kierownicę, udając, że to wszystko jest całkiem normalne.

Kiedy podjechałam pod nasz dom, zobaczyłam jak zwykle Murphy'ego za drzwiami na werandzie,

podskakującego radośnie na widok wracającego taty. Zaskoczył mnie jednak widok Davy'ego Crosby'ego, siedzącego na schodkach. Był ubrany w inną wersję tego, w czym go zawsze widziałam: T-shirt, spodnie bojówki i mokasyny.

– Dzień dobry – powiedział tata, trochę niepewnie wysiadając z samochodu. Zauważyłam, że od razu sięgnął do poręczy i oparł się na niej ciężko, chociaż mimo to uśmiechnął się do Davy'ego.

– Dzień dobry. – Davy wstał i wyciągnął do ojca rękę, a tata uściśnął mu dłoń. – Nazywam się Davy Crosby. Mieszkam w domu obok. Chciałem przedstawić pewną propozycję.

– Ależ oczywiście – odparł ojciec. Popatrzył na jego stopy i uśmiechnął się. – Fajne mokasyny – zauważył, spoglądając na dom. – Nie miał cię kto wpuścić?

Davy potrząsnął głową, więc tata spojrzał na mnie pytająco.

– Pewnie są w Centrum Rekreacyjnym. – Przypomniałam sobie, że dzisiaj Gelsey mogła korzystać z sali do ćwiczeń baletowych, więc ona i moja matka były prawdopodobnie zajęte. Ponieważ wychodząc dzisiaj rano z domu, widziałam Warrena, jak wyjmuje wszystkie swoje ubrania i ogląda je, mrużąc coś do siebie, miałam przeczucie, że mógł z nimi pojechać i próbować je namówić, żeby zabrały go do sklepu na ostatnie zakupy

przed randką.

– Ach tak – powiedział ojciec. – No cóż, w takim razie może porozmawiamy w środku?

– Doskonały pomysł – odparł Davy, a tata otworzył osiatkowane drzwi, powodując atak szczęścia u psa. Podniósł Murphy’ego i rzucił mi spojrzenie, a ja zobaczyłam, że stara się stłumić uśmiech, co udało mu się, kiedy zajął swoje zwykłe miejsce, a Davy usiadł naprzeciwko niego.

– No dobrze – powiedział tata poważnym głosem, drapiąc psa za uszami. – Jaką propozycję?

– Właśnie. – Davy usiadł prosto. – Zdążyłem zauważyć, że posiadają państwo psa. – Tata z kamienną powagą skinął głową, a ja przygryzłam wargi, żeby się nie roześmiać. – Chciałbym zaproponować, że mogę z nim chodzić na spacer. – Davy popatrzył na mojego ojca, a potem na mnie. – Nie oczekuję wynagrodzenia – wyjaśnił. – Po prostu lubię psy. A tata powiedział, że nie możemy mieć psa – dodał i po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy zabrzmiał jak dzieciak.

– No cóż – odezwał się mój ojciec po przerwie, w trakcie której zauważyłam, że kąciki jego ust drgają gwałtownie. – Wydaje mi się, że to dobra propozycja. Możesz wpadać, kiedy zechcesz, jestem pewien, że pies będzie się bardzo cieszył ze spacerów.

Na twarzy Davy’ego pojawił się szeroki uśmiech.

– Naprawdę? – zapytał. – Dziękuję panu!

Tata odwzajemnił uśmiech.

– Chcesz zacząć od razu? – zapytał, ponieważ było bardzo wyraźnie widać, że Davy’emu by na tym zależało. Ojciec zaczął wstawać z fotela, ale natychmiast się skrzywił, więc ja zerwałam się z miejsca i pobiegłam do kuchni, udając, że niczego nie zauważyłam.

– Przyniosę smycz! – zawołałam. Zdjęłam ją z wieszaka przy drzwiach, a kiedy wróciłam na werandę, tata zdążył już postawić Murphy’ego na podłodze, a Davy ostrożnie gładził go po łbie. – Proszę – podałam smycz Davy’emu, który starannie ją przypiął. Murphy natychmiast pociągnął do drzwi, wyraźnie nie mogąc się doczekać spaceru.

– Bawcie się dobrze – powiedział tata, siadając z uśmiechem w fotelu, podczas kiedy Davy z psem skierowali się do wyjścia.

– Dziękuję – odparł Davy. Zatrzymał się w drzwiach i odwrócił do taty. – Słyszałem, że jest pan chory – dodał. – Bardzo współczuję.

Popatrzyłam na ojca i z nieprzyjemnym uczuciem dostrzegłam, że radość zaczęła odpływać z jego twarzy, jakby ktoś nacisnął wyłącznik światła.

– Dziękujemy – wtrąciłam, ponieważ tata wyraźnie nie mógł na to odpowiedzieć. Davy skinął głową i poszedł przed siebie podjazdem, a pies biegł przed nim, ciągnąc na

całą długość smyczy. Po chwili popatrzyłam na tatę. Wiedziałam, że to moja wina – Davy wiedział o chorobie tylko dlatego, że powiedziałam o tym jego bratu – ale nie byłam pewna, czy powinnam przeprosić, czy może raczej będziemy udawać, że nic się nie stało.

– To był brat Henry’ego? – zapytał tata, patrząc na znikających na zakręcie w ulicę Davy’ego i Murphy’ego, a potem z powrotem na mnie.

– Tak – potwierdziłam. – Jest w wieku Gelsey.

Ojciec skinął głową i popatrzył na mnie z uśmiechem, który – jak wiedziałam z doświadczenia – nie wróżył mi niczego dobrego.

– Henry to miły chłopak, prawda?

– Nie wiem. – Poczulałam, że policzki robią mi się gorące bez żadnego powodu. – Znaczy, chyba tak.

– Widziałem go w piekarni – ciągnął temat ojciec, otwierając powoli „Pocono Record”, zupełnie jakby nie wiedział, że się nade mną znęca. – Zawsze był niezwykle uprzejmy.

– Tak – powiedziałam. Założyłam nogę na nogę, a potem znowu usiadłam prosto, zastanawiając się, dlaczego mam wrażenie, jakby ktoś oparzył mi twarz. Henry i ja dopiero zaczęliśmy się na nowo przyjaźnić, a co tu dopiero mówić o... czymkolwiek, co tata zdawał się sugerować tym swoim wszystko wiedzącym tonem. – Tato, chcesz, żebym ci przyniosła laptop?

– Pewnie – odparł, pochyłając się nad krzyżówką, a ja bezgłośnie odetchnęłam z ulgą, że zamierza w końcu zamknąć ten temat. Wstałam i odwróciłam się do drzwi, żeby tata mógł popracować nad swoim tajemniczym projektem. – Wiesz co? – powiedział, kiedy położyłam rękę na klamce. Odwróciłam się i zobaczyłam, że wciąż się uśmiecha. – Okna korytarza na piętrze wychodzą na pomost.

Mocniej ścisnęłam klamkę.

– Naprawdę? – zapytałam. Staralam się, żeby mój głos brzmiał obojętnie, chociaż technicznie rzecz biorąc, nie zrobiłam niczego złego. To chyba nic takiego, wymknąć się z domu o trzeciej w nocy, jeśli poszło się tylko do własnego ogrodu?

– Mhm – stwierdził tata, całkowicie pochłonięty czytana gazetą. Po chwili jednak podniósł głowę i uśmiechnął się do mnie.

– Tak jak mówiłem, sprawia wrażenie miłego chłopca – potwierdził.

Poczułam, że policzki znowu mi płoną.

– Laptop – oznajmiłam najbardziej energicznym tonem, na jaki mogłam się zdobyć, ale wchodząc do domu usłyszałam, że tata się śmieje. Jednak kiedy przyniosłam laptop, który ładował się, podłączony do kontaktu przy kanapie, poczułam, że sama nie potrafię powstrzymać uśmiechu.

Rozdział dwudziesty ósmy

Poradzisz sobie – zapewniła mnie Lucy. Odwróciła się do Elliota, tasującego nieodłączną talię kart, a ponieważ nie zgodził się z nią natychmiast, trzepnęła go w ramię. – Prawda?

– Auć! – jęknął Elliot. – Zaczy... no, tak. Absolutnie. Świetnie sobie poradzisz. O wiele lepiej niż ostatnim razem. O którym... nie powinienem był wspominać – dokończył, zauważając, że Lucy rzuciła mu mordercze spojrzenie. Uśmiechnął się do mnie szeroko i pokazał skierowany w górę kciuk, a ja poczułam, że zaciska mi się żołądek. Znowu przyszedł dzień Kina pod Gwiazdami, a żadne z moich kolegów z pracy nie umożliwiło mi wykręcenia się z wygłoszenia zapowiedzi. Lucy przeczytała właśnie poradnik samodoskonalenia napisany przez dawną gwiazdę telewizyjnych programów rozrywkowych, która najwyraźniej głęboko wierzyła w „konfrontację z wewnętrznymi demonami”. Widziałam kilka programów tej kobiety i byłam zdania, że ona głęboko wierzy w konfrontację z absolutnie wszystkim, ale nie zdołałam tym argumentem przekonać Lucy. A skoro ona miała wyrobiony pogląd na jakąś sprawę, wiedziałam, że

Elliot na pewno jej się nie sprzeciwi. Udało mi się tylko nakłonić go, żeby obiecał, że przyjdzie mi z pomocą, gdybym znowu zaliczyła spektakularną klęskę.

Dni dzielące nas od pokazu filmowego minęły szybko na czymś, co stało się już codzienną rutyną – śniadanie i pytania do ojca, praca z Lucy i Elliotem, obiad, jedzony z rodziną na tylnej werandzie. Teraz do tego harmonogramu doszedł jeszcze Henry. Okazało się, że jeździmy do pracy mniej więcej o tej samej porze, więc następnego dnia po naszej rozmowie na pomoście Henry dogonił mnie, kiedy próbowałam jednocześnie jechać na rowerze i pić kawę z kubka na wynos. Chociaż po drodze niewiele rozmawialiśmy (nie odzyskałam jeszcze dawnej rowerowej formy i wolałam oszczędzać siły na inne rzeczy, na przykład wjechanie na szczyt Diabelskiego Siodła), była to bardzo przyjemna przejażdżka. Następnego dnia ja dogoniłam Henry'ego, a od tamtej pory razem jeździliśmy do pracy. Nie odbyliśmy już kolejnej długiej rozmowy na pomoście, chociaż złapałam się na tym, że co wieczór, przed pójściem spać, kilka razy wyglądam i sprawdzam, czy na pewno nikogo tam nie ma. Nie powiedziałam ani słowa Lucy. Przede wszystkim Henry miał dziewczynę, a ja nie chciałam, żeby dotarło do niego okrężną drogą, że jestem znowu nim zainteresowana. Nie byłam nawet pewna, czy naprawdę tak jest, więc nie było sensu się nad tym zastanawiać.

Za każdym razem, kiedy w pracy zaczynałam gapić się w przestrzeń i myśleć o Henrym, jakaś część mojego mózgu sprowadzała mnie z obłoków na ziemię i przypominała o tym, co jest naprawdę istotne. Najważniejsze było to, co działo się z moim tatą, a ja nie mogłam sobie pozwolić na zapomnienie o sytuacji, nawet jeśli ojciec nabrał irytującego zwyczaju zadawania mi zdecydowanie zbyt wielu pytań o Henry'ego, zawsze z tym swoim domyślnym uśmiechem. Ale wszystko to w tej chwili nie wydawało się tak istotne jak to, że prawdopodobnie miałam się właśnie po raz drugi skompromitować na oczach jakichś pięćdziesięciu osób.

– Wiecie – oznajmił Elliot ze sztuczną nonszalancją. – Gdybyśmy się zdecydowali na jeden z moich filmów, bez trudu mógłbym o nim opowiedzieć. Możemy się nad tym zastanowić następnym razem.

– Nie – powiedziałyśmy jednocześnie. Lucy popatrzyła na mnie, podczas gdy Elliot wrócił do tasowania kart, mrużąc coś pod nosem na temat ludzi bez wyrobionego gustu kinowego.

– Poradzisz sobie – powtórzyła z pokrzepiającym uśmiechem.

– A jeśli nie, zacznę robić przed tobą gwiazdy, co ty na to?

Nie mogłam się nie roześmiać.

– Masz przecież spódnice.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Tym lepszy efekt, prawda?

Karty rozsypały się wokół nas, ponieważ Elliotowi talia wyslizgnęła się z dłoni. Zaczął je zbierać, czerwony na twarzy, a Lucy przewróciła oczami. Skorzystałam z okazji, żeby przyrzeć się widowni i w razie czego zemdlec lub zwymiotować. Wielkie słońce wisiało nisko na niebie i zaczynało zachodzić, rzucając pomarańczowe i czerwone błyski na jezioro. Spojrzałam na zegar, zbliżała się wpół do dziewiątej, czyli godzina, na którą Fred ustalił początek dzisiejszego seansu.

– Taylor! – Odwróciłam się, słysząc zrozpaczony głos, i zobaczyłam mojego brata w codziennym stroju: spodnie khaki i koszulka polo. Ścisnął kurczowo bukiet kwiatów i wyglądał, jakby sam miał zaraz zemdlec.

– Hej – powiedziałam. Rozejrzałam się po kocach i ręcznikach, ponieważ nie zauważyłam, kiedy przyjechała moja rodzina. – Gdzie są mama i tata?

– Tam – wskazał Warren i rzeczywiście, zobaczyłam nasz koc rozłożony na piasku. Tata obejmował ramieniem roześmianą matkę. Z jakichś powodów tuż obok koca stał leżak, ale na razie był pusty. Zobaczyłam, że obok naszego koca rozłożyła się rodzina Gardnerów, a Nora i Gelsey gadają o czymś, pochylone do siebie. – Ale posłuchaj – odezwał się Warren, więc odwróciłam się do niego i zobaczyłam, że sprawia wrażenie bardziej

zdenerwowanego niż wtedy, kiedy po raz trzeci podchodził do testu SAT, żeby zdobyć wymarzony komplet punktów (udało mu się to). – Wyglądam dobrze? Czy może głupio? Gelsey powiedziała, że w normie. Co to ma znaczyć?

Ogarnięta paniką przed wystąpieniem publicznym, zapomniałam całkowicie o miłosnych perypetiach mojego brata. Co nie było właściwe, ponieważ to w sumie ja ich umówiłam, więc jeśli coś pójdzie okropnie nie tak, miałam przeczucie, że będę obwiniana przez resztę życia.

– Wyglądasz świetnie – zapewniłam go. – Tylko... no... oddychaj. I jeśli zdołasz się opanować, postaraj się nie mówić jej, jak wszystko zostało wynalezione. Przynajmniej na pierwszej randce.

– Jasne. – Warren kiwał głową znacznie dłużej niż zwykli ludzie. – Okej.

Popatrzyłam w stronę wejścia i zobaczyłam Wendy, z włosami rozpuszczonymi, zamiast jak zwykle splecionymi w warkocze, spływającymi na jej białą sukienkę.

– Przyszła twoja dziewczyna – powiedziałam, wskazując ją. Wendy zauważyła mnie i pomachała, a ja odwzajemniłam to powitanie. Warren natomiast tylko się gapił, otwierając i zamykając usta.

– Idź. – Popchnęłam go. – Oddychaj.

– Jasne – odparł Warren głosem, który wskazywał, że

nie wziął sobie do serca mojej rady, ale jednak ruszył w stronę wejścia. Nie chciałam być nadmiernie wścibska, więc znowu rozejrzałam się po plaży.

To nie tak, że szukałam Henry'ego, ale przecież był na poprzednim filmie. Teraz dałam mu plakat, więc miałam pewność, że wie o tym pokazie i nie byłoby niczym dziwnym, gdyby postanowił się pojawić. Ale nie dostrzegłam go na żadnym rozłożonym kocu.

Odwróciłam się w stronę baru i zobaczyłam, że Elliot wskazuje swój zegarek, a Lucy pokazuje mi uniesiony kciuk. Wiedziałam, że nadeszła chwila prawdy. Dałam znak Lelandowi, który skinął mi głową, a potem wyszłam przed ekran i odetchnęłam głęboko.

– Dobry wieczór – zaczęłam chyba wystarczająco głośno, bo większość widzów na mnie spojrzała. Czułam, że moje dłonie są całkiem wilgotne, więc splotłam je za plecami z nadzieją, że nikt tego nie zauważy. – Witamy w Kinie pod Gwiazdami. Na dzisiejszym seansie obejrzą państwo *Casablancę*. – Z jakichś powodów ludzie zaczęli w tym momencie bić brawo, co dało mi moment na pozbieranie myśli. Co ja zwykle robiłam z rękami? Nie miałam pojęcia, więc postanowiłam trzymać je za plecami, dopóki sobie tego nie przypomnę.

– Bar... yy... będzie otwarty przez pierwsze dwadzieścia minut. Więc... tyle mają państwo czasu. – Czułam, że bredzę, ale to było już lepsze niż ta

przeciągająca się cisza poprzednio. Podniosłam głowę i spojrzałam prosto na koc mojej rodziny. Matka uśmiechała się trochę z przymusem, a Gelsey marszczyła brwi, jakby nie była pewna, co ja właściwie robię. Ale kiedy spojrzałam na mojego ojca, który jak zwykle promieniował krzepiącą pewnością siebie, poczułam, że oddycham z ulgą. Nagle wiedziałam dokładnie, co mam powiedzieć. – Niektórzy znawcy kina nazywają *Casablancę* filmem doskonałym od pierwszej do ostatniej klatki – oznajmiłam i zobaczyłam radosne zaskoczenie na twarzy ojca. – Mam nadzieję, że podzieli państwo ten pogląd. Zapraszam na seans! – Rozległy się znowu głośne brawa, a ja uciekłam sprzed projektora do bezpiecznego schronienia w barze, akurat wtedy, kiedy film się zaczął, a na ekranie pojawiło się staroświeckie, czarno-białe logo wytwórni Warner Brothers.

Dwadzieścia minut później zamknęliśmy bar tak cicho, jak to było możliwe. Starłam się w miarę możliwości śledzić film pomiędzy wydawaniem napojów gazowanych, lodów i popcornu, więc wydawało mi się, że mniej więcej wiem, o co chodzi.

– Zostajesz? – zapytała mnie Lucy, kiedy zamknęliśmy bar.

Skinęłam głową i wskazałam koc mojej rodziny.

– Tak, a ty?

Potrząsnęła głową i ziewnęła.

– Chyba nie – oznajmiła. – Tym razem sobie odpuszczę.

– Ja też – wtrącił Elliot, wchodząc pomiędzy nas. – Wracasz do domu, Lucy? Może cię podwieźć?

– Nie, dzięki – odparła Lucy. – Przyjechałam na rowerze.

– Super – rozpromienił się Elliot. – To może podjechać razem z tobą do domu?

– Ale przecież jesteś samochodem? – zapytałam. Miałam przeczucie, że zauroczenie Elliota czyni spustoszenie w jego zdolnościach logicznego myślenia.

Twarz Elliota spochmurniała, kiedy także sobie o tym przypomniał.

– W zasadzie tak – mruknął. – Ale... no...

– Jesteś świrem – oznajmiła Lucy, przyjacielsko szturchając go w ramię. – Do jutra! – zawołała i poszła na parking. Patrzyłam, jak Elliot praktycznie zapadł się w siebie, kiedy zniknęła nam z oczu.

– Chyba musisz jej powiedzieć, co czujesz – zauważyłam.

– Wydaje mi się, że ona nie łapie twoich aluzji.

Elliot zarumienił się.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – stwierdził i także skierował się na parking. Uznałam, że to dobry pomysł, bo o ile dobrze rozumiałam, film opowiadał o nieszczęśliwie zakochanym facecie, więc może Elliot niekoniecznie

powinien go oglądać w obecnym stanie.

Wzięłam colę light i przeszłam na palcach po piasku, schylając się, aż dotarłam do naszego koca.

– Dobra robota – powiedział tata scenicznym szeptem. Popatrzyłam na niego i zobaczyłam, że bije mi bezgłośnie brawo.

– Dzięki – odpowiedziałam, także szeptem. – Cytowałam ekspertów.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu brata i zobaczyłam, że kilka rzędów za nami rozłożył własny koc, na którym siedział obok Wendy. Zauważyłam, że co kilka sekund odrywał wzrok od ekranu i patrzył na nią. Byłam zadowolona, że zorganizowałam ich pierwszą randkę w sposób, który uniemożliwiał Warrenowi zasypywanie Wendy ciekawostkami, gdyby się zaczął naprawdę denerwować.

Usiadłam i spróbowałam skupić się na filmie. Byłam zaskoczona tym, ile znam z niego kwestii dialogowych, chociaż nigdy wcześniej go nie widziałam. Albo słyszałam je cytowane przez mojego ojca, albo też należały do wiedzy ogólnej, odniesień, które znałam, nawet o tym nie wiedząc. Wciągnęłam się w akcję i skomplikowaną historię miłosną, kiedy zauważyłam jakiś ruch po prawej stronie. Oderwałam spojrzenia od Ricka i Ilsy i zobaczyłam siedzącego obok mnie Henry'ego.

– Cześć – szepnął.

– Cześć – odparłam szeptem, zaskoczona. Czuję, że zaczynam się uśmiechać. – Co ty tu robisz?

Uniósł brew, a w kącikach jego ust pojawił się uśmiech, który sprawił, że odwróciłam głowę.

– Przyszedłem na film – oznajmił, jakby stwierdzał coś oczywistego.

Poczułam, że moje policzki robią się gorące i z wdzięcznością pomyślałam o zmierzchu, dzięki któremu mogłam to ukryć.

– Rozumiem – odparłam szeptem. – Myślałam tylko, że skoro wcześniej cię nie widziałam...

– O, czyli mnie wypatrywałaś? – Henry usiadł wygodnie i podparł się na rękach. Potrząsnęłam głową, na moment spojrzałam na ekran, gdzie Humphrey Bogart zapalał chyba czterdziestego papierosa w tym filmie. – Musiałem pomóc tacie z przygotowaniami na jutro – wyjaśnił po chwili.

Odwróciłam lekko głowę, żeby na niego patrzeć. Światło z ekranu rozjaśniało mu twarz, a teraz, kiedy mi o tym powiedział, zauważyłam, że pachniał czymś słodkim – mieszanką mąki i chyba cynamonu. Uświadomiłam sobie, że się na niego gapię, więc szybko popatrzyłam z powrotem na ekran i wróciłam do świata Rick's Café, w którym jeszcze chwilę temu byłam całkowicie pogrążona. Czuję, że serce bije mi szybciej i myślałam, że wystarczyłoby przesunąć rękę tylko o kilka

centymetrów, żeby dotknąć jego dłoni. Dlatego zmusiłam się do patrzenia na ekran i zapytałam, starając się, żeby zabrzmiało to lekko:

– A gdzie twoja dziewczyna?

– Dziewczyna? – W głosie Henry’ego brzmiało tak autentyczne zaskoczenie, że znowu na niego popatrzyłam.

– Tak – potwierdziłam. – Ta, z którą byłeś w lodziarni. Widziałam ją w twoim domu... – urwałam, bo Henry potrząsnął głową.

– To babysitterka Davy’ego – wyjaśnił. – Właściwie nie jest mu już potrzebna, ale tata się o niego martwi.

– Czyli... nie umawiasz się z nią? – zapytałam, myśląc o tym, jak patrzyła na niego w lodziarni i jak ich palce się musnęły.

– Nie – potwierdził cicho Henry. – Był taki moment, kiedy może to nie było wykluczone, ale... – Urwał, przesunął dłonią po piasku, jakby chciał go wygładzić, a ja wstrzymałam oddech, czekając na to, co powie. – Ale zmieniłem zdanie – dokończył, patrząc na mnie.

– Aha – mruknęłam. Aha. Nie byłam pewna, co to miało znaczyć, ale dokładnie wiedziałam, co bym chciała, żeby znaczyło. Nagle uświadomiłam sobie, że Henry – z nikim niezwiązany Henry – siedzi koło mnie w ciemnościach i oglądamy razem film. Poczułam treść, jakiej po raz pierwszy doświadczyłam, mając dwanaście lat.

– To co mnie ominęło? – szepnął Henry po dłuższej

chwili. Popatrzyłam na niego, doskonale świadoma, jak blisko jesteśmy, jak blisko usiadł koło mnie, chociaż na kocu było dostatecznie dużo miejsca.

– Myślałam, że to oglądałeś – odparłam szeptem, nie odrywając spojrzenia od ekranu.

– Oglądałem – przyznał, a ja usłyszałam uśmiech w jego głosie. – Ale przydałoby mi się przypomnienie.

– Cóż – popatrzyłam na niego, lekko odwracając głowę.

– Rick jest wściekły, bo Ilsa zostawiła go bez żadnego wyjaśnienia. – Kiedy tylko to powiedziałam, uświadomiłam sobie, że to zdanie może dotyczyć nie tylko filmu. Chyba Henry także to zauważył, bo kiedy znowu się odezwał, jego głos był odrobinę poważniejszy.

– Ale pewnie miała dobry powód, prawda? – Nie patrzył już na ekran, tylko prosto na mnie.

– Nie wiem – przyznałam, patrząc na nasze nogi, wyciągnięte na kocu w odległości najwyżej dłoni. – Chyba po prostu się przestraszyła i uciekła, kiedy sprawy się skomplikowały. – To już nie dotyczyło filmu, ponieważ właśnie się dowiedzieliśmy, że Ilsa rzeczywiście miała powód, żeby zostawić Ricka w deszczu, podczas gdy ja mogłam winić tylko własne tchórzostwo.

– A co się stało potem? – zapytał Henry. Popatrzyłam na niego i zobaczyłam, że nadal na mnie patrzy.

– Nie wiem – odparłam, czując, że serce znowu

zaczyna mi mocniej bić. Byłam całkowicie pewna, że teraz już nie rozmawiamy o filmie. – Ty mi powiedz.

Uśmiechnął się i popatrzył znowu na ekran.

– Chyba musimy zaczekać i sami się przekonać – powiedział.

Poszłam w jego ślady.

– Chyba tak – stwierdziłam. Oglądałam film, starając się koncentrować na tym, co się działo – nazistach, francuskim ruchu oporu, wszystkich bohaterach szukających jakichś listów tranzytowych – ale po kilku minutach przestałam udawać, że śledzę fabułę. Wydarzenia rozgrywały się przed moimi oczami, ale ja myślałam tylko o tym, że Henry jest koło mnie i że siedzi tak blisko, że zauważam za każdym razem, kiedy się porusza albo odwraca lekko głowę. Byłam tak skoncentrowana na nim, że kiedy padła ostatnia słynna kwestia filmu – ta o początku pięknej przyjaźni – nasze oddechy wznosiły się i opadały w równym rytmie.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

I co było potem? – zażądała odpowiedzi Lucy, otwierając szeroko oczy.

Wypiłam łyk coli i z uśmiechem potrząsnęłam głową.
– Nic – powiedziałam. – Serio.

Lucy jęknęła, a ja popatrzyłam na niemal pustą plażę, zastanawiając się, czy nie moglibyśmy w jakimś momencie przyznać, że nikt dzisiaj nie zamierza korzystać z baru i iść wcześniej do domu.

Mówiłam prawdę. Na pokazie filmowym nic się nie zdarzyło, przynajmniej pomiędzy mną a Henrym. Po prostu obejrzelśmy w milczeniu film do końca, a potem wyszłam przed ciemny ekran, podziękowałam wszystkim za przyście i zdołałam to zrobić bez słowotoku ani zbyt długich pauz, co należało uznać za pewien postęp. Kiedy wróciłam do rodziny, Nora i Gelsey prowadziły jakąś skomplikowaną odmianę gry w łapki, a matka składała koc i rozmawiała z Gardnerami, którzy rozpływali się nad tym, że ten film ma jeden z najdoskonalej skonstruowanych scenariuszy w historii kina. Mój ojciec tymczasem podnosił się ciężko z leżaka, na który przeniósł się w drugiej połowie filmu – co sprawiło, że na dłuższą

chwile zapomniałam o fabule i oglądałam się na tatę, który siedział jakby lekko skurczony na leżaku, chociaż przysięgał, że nigdy nie będzie z niego korzystał.

Henry szedł już w stronę parkingu, ale pochwycił moje spojrzenie i uniósł rękę w geście pozdrowienia. Pomachałam mu i pozwoliłam sobie patrzeć za nim kątem oka, aż zniknął mi z widoku. Potem zauważyłam Warrena i Wendy kierujących się do wyjścia. Nie trzymali się za ręce, ale szli bardzo blisko. Warren spojrzał na mnie przelotnie i posłał mi szeroki, szczęśliwy uśmiech, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziałam – mój brat zawsze specjalizował się w sardonicznych uśmieszkach.

Schowałam projektor i ekran, a potem podziękowałam Lelandowi, który ziewał tak szeroko, że byłam wdzięczna, że nie zasnął w trakcie filmu. Gelsey pojechała do domu z Gardnerami, ponieważ tatę znowu bolały plecy i chciał się wyciągnąć na tylnym siedzeniu. Przypięłam się pasami na fotelu pasażera i odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. W słabnącym świetle – w samochodzie mojej matki światło zapalało się jasno przy otwieraniu drzwi, ale potem powoli przygasało, jakby przyzwyczajając do ciemności – zobaczyłam, jak chudy jest mój ojciec, jak skóra opina się na jego kościach policzkowych.

– Podobał ci się film, mała? – zapytał, zaskakując mnie. Miał zamknięte oczy, więc myślałam, że zasnął.

– Owszem – powiedziałam i odwróciłam się do niego.

Otworzył oczy i uśmiechnął się.

– Cieszę się, że zobaczyłem ten film na wielkim ekranie – powiedział. – Tak właśnie należy oglądać Ingrid Bergman. – Roześmiałam się, a kiedy matka otworzyła drzwi od strony kierowcy, tata mrugnął do mnie. – Nie powtarzaj tego matce – dodał.

– Czego ma mi nie powtarzać? – zapytała mama z uśmiechem, zapalając silnik i wyjeżdżając z prawie pustego parkingu.

– A, czegoś o Ingrid Bergman – odparł tata sennym głosem i znowu przymknął oczy. Zauważyłam, że matka obserwuje go w lusterku wstecznym, a jej uśmiech gaśnie.

– Jedźmy do domu – powiedziała głosem, który brzmiał, jakby siliła się na pogodny ton. – Chyba wszyscy jesteśmy zmęczeni. – Wyjechała na ulicę, a kiedy pięć minut później zatrzymaliśmy się pod domem, tata spał już głęboko.

Rodzice położyli się spać zaraz po przyjeździe do domu, kiedy tylko matka odebrała Gelsey z sąsiedztwa. Zauważyłam, że kiedy szli do sypialni, matka trzymała się odrobinę za ojcem, obserwując go uważnie, jakby się obawiała, że może się przewrócić. Zauważyłam po raz pierwszy, jak powoli tata wchodzi na schody i jak ciężko opiera się na poręczy, więc takie środki ostrożności wydawały się uzasadnione.

Przygotowałam się do pójścia spać, ale czułam się zdecydowanie zbyt podekscytowana, żeby choćby

próbować zasnąć. Kiedy usłyszałam podjeżdżający samochód, wyszłam na werandę i zobaczyłam, że Warren po prostu siedzi w land cruiserze z wyłączonym silnikiem, patrząc przed siebie. Na mój widok wysiadł i podszedł do stopni prowadzących na werandę. Przynajmniej teoretycznie podszedł, bo było w nim coś, co sprawiało, że wyglądał raczej jakby frunął.

– Taylor. – Przywitał mnie miłym uśmiechem, jakbym była kimś, kogo poznał przelotnie wiele lat temu. – Jak się masz?

– Świetnie – odparłam, zaplatając ręce na piersi i starając się zachować powagę. – A jak ty się masz?

– Doskonale – odparł Warren. Uśmiechnął się znowu tym szerokim, szczerym uśmiechem, do którego dopiero musiałam przywyknąć. – Naprawdę wielkie dzięki, że mi to zorganizowałaś.

– Nie ma za co – powiedziałam, obserwując go uważnie. Byłam ciekawa szczegółowej relacji, ale to tak daleko wykraczało poza zwykłe tematy naszych rozmów, że nie miałam pojęcia, jak w ogóle o to zapytać. – Chcesz, żebym ci zorganizowała kolejną?

Na twarzy mojego brata pojawił się lekko pogardliwy wyraz, znacznie lepiej mi znany.

– Nie trzeba – oznajmił. – Jutro wieczorem jedziemy na minigolfa.

– To życzę dobrej zabawy – powiedziałam

z uśmiechem. Poczulałam nagły przyptyk podziwu dla Wendy i jej umiejętności skłonienia mojego brata do robienia czegoś, co – jak byłam pewna – wyśmiałyby zaledwie kilka dni temu.

Warren skierował się do drzwi, ale zatrzymał i obejrzał na mnie.

– Czy przeżyłaś kiedyś wieczór, kiedy.. po prostu całe twoje życie się zmieniło? – zapytał, sprawiając wrażenie szczęśliwego, ale odrobinę zaskoczonego. – A potem już wszystko było inaczej? – Nie przeżyłam niczego takiego, a Warren musiał to odczytać z mojej twarzy, ponieważ potrząsnął głową i otworzył drzwi. – Nieważne – rzucił. – Zapomnij. Dobranoc, Taylor.

– Dobranoc – zawołałam za nim. Zostałam na werandzie jeszcze kilka minut, patrząc w gwiazdy i zastanawiając się nad słowami Warrena.

W tej chwili jednak byłam w pracy, a dzień był pochmurny, ciemny i wilgotny – jeden z tych, które cały czas straszą deszczem, ale nie spełniają swojej groźby. W dodatku było chłodno, co oznaczało, że przez całe przedpołudnie mieliśmy chyba troje klientów, z których każdy zamawiał kawę albo gorącą czekoladę i narzekał na to, że pogoda jest nieodpowiednia do pory roku.

Lucy obserwowała mnie uważnie, wyraźnie nie zamierzając tak łatwo odpuścić.

– To, że nic się nie wydarzyło między tobą a Henrym –

zauważyła – nie znaczy, że nie chciałaś, żeby się wydarzyło.

Poczułam, że się czerwienię, więc rozejrzałam się za czymś do roboty i zaczęłam ustawiać równo stopy kubeczków.

– Nie wiem – powiedziałam całkiem szczerze, mimo że myśli o Henrym nie dawały mi zasnąć przez większość nocy. Nie miałam pojęcia, czego on by chciał, i dopiero przyzwyczajałam się do koncepcji, że moglibyśmy być przyjaciółmi. Myśl o tym, że to otwiera drogę do czegoś więcej, sprawiała, że mój żołądek się zaciskał – w przyjemny, ale także bardzo prawdziwy i przerażający sposób.

– Czego nie wiesz? – Lucy podciągnęła się na blat i popatrzyła na mnie, czekając na odpowiedź.

Kubki stały już idealnie równo, więc przesunęłam je na bok.

– Dużo się teraz dzieje. – Spojrzałam na Lucy i zobaczyłam, że ona wie, o czym mówię. – Więc nie jestem pewna, czy to odpowiedni moment...

Lucy potrząsnęła głową.

– Nie ma czegoś takiego jak idealny moment – oznajmiła z pełnym przekonaniem. – Popatrz na mnie i Bretta.

Brett był nowym chłopakiem, z którym się umawiała, mimo że przyjechał do Poconos tylko na tydzień. Ja także

podciągnęłam się na blat i usiadłam po turecku, patrząc na Lucy i zwiększając liczbę przepisów BHP, które naruszałyśmy. Byłam zadowolona, że zmieniła temat.

– Niewykluczone – zauważyłam, jak miałam nadzieję, obojętnie – że jest ktoś, komu się podobasz, i kto będzie tu przez całe wakacje. Na przykład ktoś, kto lubi sztuczki z kartami.

Obserwowałam uważnie jej reakcję, ale Lucy tylko potrząsnęła głową.

– Tego to mam dość u Elliota – powiedziała. – Nie, dzięki.

– No nie wiem – powiedziałam tak swobodnie, jak to było możliwe. – Elliot nie jest taki zły.

Lucy znowu potrząsnęła głową.

– Jest super – powiedziała wprost. – Ale to nie jest ktoś, z kim miałabym się ochotę umawiać.

– Czemu nie? – zapytałam, a Lucy na moment zmarszczyła brwi, jakby się nad tym zastanawiała. Ale zanim zdążyła mi odpowiedzieć, zadzwoniła jej komórka, którą szybko wyciągnęła z kieszeni.

– Muszę lecieć – oznajmiła, uśmiechając się na widok SMS-a.

– Poradzisz tu sobie? Brett chce się ze mną spotkać.

Skinęłam głową i zeskoczyłam z blatu, a Lucy poszła w moje ślady. Zarzuciła sobie torebkę na ramię i podeszła do drzwi, ale jeszcze zatrzymała się i spojrzała na mnie.

– Zadzwonię później – powiedziała. Rozejrzała się po opuszczonym barze i dodała: – Myślisz, że poradzisz sobie beze mnie z tym tłumem?

Uśmiechnęłam się, słysząc to.

– Chyba sobie poradzę – powiedziałam. – Baw się dobrze.

Lucy pomachała mi i wyszła, a ja przez resztę dnia zajmowałam się czyszczeniem maszyny do lodu i zastanawianiem się, co właściwie czuję do Henry'ego. Chyba nie wydawało mi się, że wczoraj wieczorem coś było na rzeczy, ale w zimnym świetle dnia nie byłam już tego taka pewna.

Kiedy tylko wybiła piąta, zamknęłam bar i zapięłam bluzę z kapturem (nauczyłam się już, co należy wiedzieć o bluzach i pochmurnych dniach), dygocząc z zimna. Wiatr zaczął się wzmaczać, gwałtownie szarpiąc gałęziami drzew. Dzień był naprawdę paskudny, a ja miałam głęboką nadzieję, że w domu będzie napalone w kominku.

Podjechałam do warzywniaka, żeby na prośbę matki kupić kukurydzę i pomidory na obiad. Przy kasie zawahałam się nad torebką lukrecji. Brałam je dla taty przy każdej wizycie w sklepie, mimo że przestał mnie o nie prosić. Kiedy wczoraj wieczorem szukałam jakichś czipsów, znalazłam trzy torebki lukrecji w szafce, wepchnięte za pudełko z krakersami. Ale z jakichś powodów nieprzywiezienie tacie torebki wydawało mi się

przyznaniem do porażki.

– To też policzyć? – zapytał pogodnie Dave Henson, wskazując trzymaną przeze mnie torebkę lukrecji i pomagając mi podjąć decyzję.

– Jasne. – Zapłaciłam za zakupy i schowałam je do torby.

– Dziękuję.

– Wracaj ostrożnie do domu – powiedział Dave, wyglądając na zewnątrz. – Chyba zaraz się popsuje pogoda.

Pożegnałam się z nim i wyszłam na zewnątrz. W oddali usłyszałam grzmot, więc jęknęłam i założyłam kaptur na głowę akurat w momencie, kiedy pierwsze krople deszczu spadły na ulicę. Main Street nie była zatłoczona – chyba pogoda zatrzymała ludzi w domach, a nieliczni przechodnie chowali się pod markizami albo spieszyli się do samochodów. Rozpoznawałam te znaki, więc szybko podeszłam do roweru i wrzuciłam torbę do koszyka. Zastanawiałam się, czy lepiej będzie, jeśli schowam się pod markizę, zadzwonię do domu i poproszę, żeby ktoś po mnie przyjechał, czy może powinnam sprawdzić, jak daleko uda mi się zajechać, zanim burza rozpęta się na dobre. Miałam przeczucie, że jeśli zadzwonię do domu po samochód tylko z powodu deszczu, rodzina nie da mi spokoju. Ale z drugiej strony...

Znowu zagrzmiało, tym razem bliżej, a ja uznałam, że

wystarczy tego dobrego. Nie jestem z cukru, najwyżej trochę zmoknę, a to i tak będzie znacznie lepsze niż Warren – nie wspominając o moim tacie – nabijający się ze mnie do końca wakacji. Wsiadłam na rower i pojechałam wzdłuż Main Street, zauważając, że na chodniku zaczęły się już tworzyć kałuże. Kiedy przez nie jechałam, chlapiąca na moje stopy i bose nogi woda przypomniła mi, że to nie był najlepszy dzień na zakładanie szortów.

Jechałam przed siebie, coraz bardziej przemoczona. Pioruny uderzały coraz bliżej, tak głośno, że podskakiwałam lekko przy każdym grzmocie, zaciskając ręce na kierownicy. Kiedy zatrzymałam się na moment, żeby wytrzeć deszcz z twarzy i poprawić torbę w koszyku, zobaczyłam w oddali błyskawicę.

– Szlag – mruknęłam, naciągnęłam głębiej kaptur i popatrzyłam na swój rower, przypominając sobie, że jest zrobiony głównie z metalu. Byłam prawie pewna, że gumowe opony uchroniłyby mnie od porażenia prądem, ale nie miałam szczególnej ochoty sprawdzać tego w praktyce. Byłam przemoczona do nitki, czułam krople wody spływające mi po gołych nogach. Deszcz lał teraz jak z cebra, tak mocno, że prawie nie widziałam drogi przed sobą, ale miałam poczucie, że bardziej moknę, stojąc w miejscu, niż idąc przed siebie. Wytarłam mokre ręce o jeszcze mokrzejszą bluzę i miałam właśnie

wsiadać na rower, kiedy ktoś zatrzymał się koło mnie z poślizgiem.

– Taylor?

Odwróciłam się i zobaczyłam Henry’ego na rowerze, chyba niemal tak samo przemoczonego jak ja, chociaż on miał przynajmniej na głowie bejsbolówkę, dzięki której deszcz nie spływał mu po twarzy.

– Cześć – powiedziałam, chwilowo wdzięczna losowi, że mam na sobie kaptur, ponieważ mogłam sobie wyobrazić, jak wyglądają moje włosy. Ale chwilę później dotarło do mnie, że mam na sobie kaptur, co oznacza, że wyglądam jak na wpół utopiony elf.

– Strasznie leje – zauważył. Musiał prawie krzyczeć, żeby było go słychać poprzez deszcz i wiatr.

– Zauważyłam – odkrzyknęłam. Uśmiechnęłam się na myśl o tym, jak absurdalnie musimy wyglądać – dwie osoby stojące w ulewnym deszczu i prowadzące rozmowę na poboczu.

– Gotowa? – zapytał, więc skinęłam głową, wsiadłam na rower i zaczęłam pedałowac pod wiatr. Deszcz padał teraz z boku, a wiatr wiał tak mocno, że miałam trudności z prowadzeniem roweru prosto. Cały czas się chwiały, a ja musiałam podcierać się stopą, żeby odzyskać równowagę. Z tego powodu Henry jechał przede mną, chociaż co chwila stawał i czekał, aż go dogonię. Uznałam, że właśnie dlatego się zatrzymał, opierając stopę na jezdni,

więc wyprzedziłam go, żeby mógł mnie dogonić. Po chwili obejrzałam się i zobaczyłam, że nie ruszył się z miejsca.

– Wszystko w porządku?! – zawołałam, przekrzykując deszcz i myśląc, że to nie jest dobry dzień na problemy z rowerem.

– Tak – odkrzyknął. – Ale to wariactwo. Powinniśmy gdzieś przeczekać burzę. To nie powinno długo potrwać.

– Wiem, ale... – zadrżałam. Nie zależało mi już nawet na ogniu w kominku, chciałam tylko wziąć prysznic tak gorący, żeby w kilka sekund zaparował lustro w łazience i zamierzałam siedzieć pod nim tak długo, aż nasza malutka terma zużyje cały zapas wody. Obejrzałam się na Main Street, ponieważ tylko tam mogliśmy znaleźć jakieś schronienie, ale myśl o tym, że mamy tam wracać na rowerach, a potem znowu jechać do domu, nie wydawała mi się szczególnie zachęcająca.

– Chodź! – zawołał Henry. Rozejrzał się w obie strony, a potem przejechał przez jezdnię. Nic nie rozumiejąc, patrzyłam, jak zsiada z roweru i skręca w jeden z podjazdów.

– Henry! – zawołałam przez ulicę. – Co ty robisz?

Nie byłam pewna, czy mnie usłyszał, ale tak czy inaczej nie zatrzymywał się. Nie rozumiałam, co tu się dzieje, ale ponieważ wyglądał, jakby miał jakiś pomysł, rozejrzałam się za nadjeżdżającymi samochodami i poszłam w jego

ślady.

Na podjeździe korony drzew chroniły nas częściowo przed deszczem. Rozejrzałam się za Henrym i zobaczyłam, że prowadzi rower w stronę domu, który – jak teraz zauważyłam – był mi dobrze znajomy. Zmrużyłam oczy, żeby w strugach deszczu zobaczyć znak i rzeczywiście, znajdowaliśmy się w Szczęśliwym Zakątku Maryanne, znanym także jako dawny dom Henry’ego. Na podjeździe było pusto, a dom był nieoświetlony, więc wszystko wskazywało na to, że Maryanne przynajmniej nie przepędzi nas ze swojej posiadłości. Poprowadziłam rower za dom, idąc w ślad za Henrym, ale kiedy wyszłam z drugiej strony, Henry zatrzymał się już na skraju lasu i oparł rower o drzewo. Zrobiłam to samo i zauważyłam, że kiedy weszliśmy do lasu, gęste korony drzew naprawdę zaczęły chronić nas trochę przed deszczem. Nie byłam jednak pewna, czy to rzeczywiście jest warte robienia postoju i miałam właśnie powiedzieć to Henry’emu, kiedy zobaczyłam, że wchodzi do lasu, a potem zrozumiałam, dokąd idzie – do domku na drzewie.

– Poradzisz sobie? – zapytał, kiedy ja koncentrowałam się na przytrzymywaniu się deseczek przybitych do pnia drzewa i służących za drabinę.

– Poradzę – odparłam i sięgnęłam do następnego szczebla. Henry był już w domku i patrzył na mnie z góry –

wspiał się tam bez najmniejszej trudności. To nie był taki domek na drzewie, jakie mogliście widzieć w katalogach sklepów budowlanych, jeden z tych sprzedawanych ze skrzynką narzędzi i instrukcją, który po złożeniu ma wyglądać jak górski szałas albo statek piracki, z prostymi kątami i gładkimi deskami. Został zbudowany przez tatę Henry’ego bez żadnych wyszukanych planów, w taki sposób, żeby wpasować się w miejsce między trzema podtrzymującymi go drzewami, i z tego powodu był na planie trójkąta. Miał dach, dwie ściany i podłogę, ale żadnych luksusów w rodzaju drzwi – po prostu otwarty bok, kawałek nadwieszony nad drzewem, na którego pniu znajdowała się drabina. Pomyślałam, że przyszliśmy tutaj w odpowiednim momencie, ponieważ dawniej siedzieliśmy w domku na drzewie właściwie tylko wtedy, gdy padało. Nie byłam pewna, czy w ogóle widziałam go od środka przy słonecznej pogodzie.

– Podać ci rękę? – zaproponował Henry, a ja skinęłam głową. Wyciągnęłam rękę, którą złapał – jego dłonie wydały mi się bardzo chłodne w dotyku – i pociągnął mnie w górę, ułatwiając przełożenie nogi na drewnianą podłogę. Puściłam jego rękę i zaczęłam się podnosić. – Ostrożnie – powstrzymał mnie i wskazał w górę. – Trochę tu nisko.

Zorientowałam się, że omal nie uderzyłam głową o sufit.

– Kurczę – mruknęłam i przykucnęłam. Kiedy byłam tu po raz ostatni, mogłam się swobodnie wyprostować. Domek na drzewie niewiele się zmienił, w środku stało tylko plastikowe wiaderko, umieszczone pod przeciekającym dachem w kącie. Co kilka sekund rozlegało się ciche *plusk*, kiedy spadała do niego kolejna kropla.

Henry siedział z przodu domku, z nogami wiszącymi w powietrzu. Zdjął bejsbolówkę i przeczesał palcami włosy, odgarniając pukiel, który czasem spadał mu na czoło. Podeszłam do niego na czworakach i usiadłam obok, przyciągając kolana do piersi i pocierając nogi rękami, żeby spróbować się trochę rozgrzać. Gdyby moja bluza była bardziej obszerna, schowałabym się pod nią i nie zastanawiałabym się nawet, jak głupio to wygląda.

Teraz, kiedy mieliśmy jakieś schronienie, mogłam docenić piękno lasu w czasie deszczu. Wszystko wydawało się bardziej zielone niż zwykle, a stłumiony szum spadających kropli sprawiał, że było tu znacznie spokojniej niż w ulewie na drodze. Wiatr nadal był mocny, a ja patrzyłam, jak kołyszą się drzewa wokół nas, ale talenty stolarskie pana Crosby’ego okazały się wystarczające – domek nie kołysał się ani nawet nie drżał.

– Lepiej? – zapytał Henry.

– Znacznie – przyznałam. Pochyliłam się i popatrzyłam na dom za drzewami, nadal ciemny, ale niepokojąco

bliski. – Czy Maryanne nie będzie miała pretensji?

Henry potrząsnął głową.

– Nie – powiedział. – Czasem tu przyjeżdżam, żeby pomyśleć w spokoju, a ona nie ma nic przeciwko.

– Jasne – stwierdziłam. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, jedynymi dźwiękami przerywającymi ciszę był szum padającego deszczu i poświstywania wiatru w drzewach. Obejrzałam się przez ramię na wnętrze domku, wciąż zdumiona tym, że wyglądało tak samo jak dawniej, tylko trochę się skurczyło.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio tu byłam – powiedziałam.

– Ale niewiele się zmieniło.

– To musiało być w tamte ostatnie wakacje, prawda? – zapytał Henry, odwracając się do mnie. – Kiedy mieliśmy dwanaście lat.

Skinęłam głową i patrzyłam prosto przed siebie, na kołyszące się i pochylające gałęzie.

– Chyba tak. – Może byłam zdezorientowana nieoczekiwaną burzą, a może wcześniejszą rozmową z Lucy, bo zanim zdążyłam się zastanowić nad tym, co mówię, zapytałam: – Czy myślisz czasem o tamtych wakacjach? To znaczy wtedy, kiedy... – urwałam, szukając odpowiedniego słowa.

– Kiedy chodziliśmy ze sobą – dokończył za mnie Henry. Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że nie odrywa

ode mnie wzroku. – Pewnie.

– Ja też – powiedziałam. Nie miałam dość odwagi, żeby powiedzieć mu, co zrozumiałam podczas imprezy piżamowej Gelsey: jak ogromny wpływ na mnie miały te nasze pierwsze eksperymenty z czymś w rodzaju miłości. To chyba był jedyny raz, kiedy mogliśmy się zaangażować w coś zupełnie na świeżo, bez żadnego bagażu, nie mając pojęcia, jak można zostać zranionym i jak można ranić innych.

– No wiesz – powiedział Henry. – Byłaś ostatecznie moją pierwszą dziewczyną.

Poczułam, że się uśmiecham.

– A od tamtego czasu było wiele innych, jak rozumiem?

– Całe tłumy – oznajmił Henry z kamienną twarzą, a ja się roześmiałam. – Dziesiątki i setki.

– To tak jak u mnie – odparłam z równą powagą i nadzieją, że zrozumie żart. Nie licząc mojego niewiernego eksa, Evana, oraz dwóch bardzo krótkotrwałych związków, kiedy byłam w drugiej klasie liceum, nie miałam właściwie nikogo, o kim powinnam Henry’emu wspomnieć.

– Wiesz – dodał Henry po chwili. – Naprawdę mi wtedy zależało na tobie.

Odetchnęłam głęboko.

– Nie powinnam była cię tak potraktować – powiedziałam.

– Nie powinnam była tak wyjeżdżać. Naprawdę bardzo, bardzo mi przykro.

Skinął głową.

– Nie rozumiałem, co się dzieje. Nie wiedziałem, czy to ja coś zrobiłem...

Potrząsnęłam głową.

– Nie – odparłam. – Tu chodziło tylko o mnie. Ja... zwykle uciekam, kiedy sprawy się za bardzo komplikują. – Wzruszyłam ramionami. – Pracuję nad tym.

– Kiedy się pojawiłaś na pomoście, nie wierzyłem własnym oczom – przyznał ze śmiechem. – Przez moment myślałem, że mam halucynacje.

– Ja też – powiedziałam. – Myślałam, że nigdy więcej się do mnie nie odezwiesz.

– Próbowałem – przypomniał mi, a ja się uśmiechnęłam.

– Ale całkiem serio – popatrzył prosto na mnie i dodał odrobinę poważniejszym tonem – jesteś nawykiem, którego strasznie trudno się pozbyć.

Popatrzyłam mu w oczy i poczułam, że serce zaczyna mi bić odrobinę szybciej. Powietrze wokół nas stało się nagle jak naelektryzowane, a ja miałam wrażenie, że stoimy na rozstajach i że sprawy mogą się potoczyć w różny sposób, ale teraz trzeba podjąć jakąś decyzję.

Powoli, centymetr po centymetrze, Henry przesunął się bliżej do mnie. Dotknął mojej dłoni, a mnie przeszedł dreszcz, chociaż przestało mi już być zimno. Wziął mnie za

rękę i popatrzył mi w oczy, jakby pytał o pozwolenie. Oczywiście, że mu na to pozwalałam i miałam nadzieję, że zdoła się tego domyślić. Przechylił się do mnie odrobinę bliżej i zsunął mi kaptur, a mnie przestało nawet obchodzić, jak wyglądają moje włosy. Kiedy położył mi dłoń na policzku, gładząc go kciukiem, znowu zadrżałam. Wtedy pochylił się do mnie, a ja poczułam, że serce zaczyna mi gwałtownie bić, byliśmy niesamowicie blisko, oddzieleni tylko oddechem. Zamknęłam oczy, a Henry pocałował mnie, podczas gdy wokół lał deszcz i szalała wichura.

Pocałunek był początkowo lekki, jego wargi ledwie dotykały moich, ale potem odsunął się odrobinę, uniósł mi podbródek i znowu mnie pocałował.

Tym razem pocałunek był mniej nieśmiały, więc odwzajemniłam go – był jednocześnie znajomy i całkowicie nowy, sprawił, że przypomniałam sobie pocałunek sprzed pięciu lat i jednocześnie miałam wrażenie, że nigdy wcześniej się nie całowałam. Uświadomiłam sobie, że Lucy mogła nie mieć racji – istniało coś takiego jak idealny moment. Henry obejmował mnie, przyciągając do siebie, a ja zarzuciłam mu ręce na szyję i przesunęłam dłonią po jego policzku, nagle nie mogąc się powstrzymać przed dotykiem go. Całowaliśmy się, a deszcz bębnił w liście drzew, aż w końcu, po dłuższym czasie, wyszło znowu słońce.

Najlepsze i najgorsze czasy

Rozdział trzydziesty

Taylor!

Otworzyłam oczy i zobaczyłam Lucy, leżącą na moim pomoście w bikini i machającą do mnie.

– Halo?

– Przepraszam – powiedziałam, usiadłam i spróbowałam sobie przypomnieć, o czym mówiła. W ogóle nie zwracałam uwagi na naszą rozmowę. – Co co chodzi?

– Niech zgadnę. – Lucy potrząsnęła głową. – Nie słuchałaś ani słowa z tego, co mówiłam.

Nie zdołałam powstrzymać uśmiechu, a Lucy jęknęła.

– Boże – stwierdziła. – Trudno się z tobą rozmawia, kiedy cały czas pogrążasz się we wspomnieniach ostatniej randki.

Pomyślałam, że powinnam zaprzeczyć, ale miałam przeczucie, że to by niewiele dało. Zasłoniłam oczy ciemnymi okularami i wyciągnęłam się na pasiastym ręczniku w późnopołudniowym słońcu.

Minął tydzień, odkąd Henry i ja całowaliśmy się w domku na drzewie. Lucy nie do końca się myliła w swoich narzekaniach. W rzeczywistości miała

całkowitą rację – kiedy mi o czymś opowiadała, moje myśli wracały do poprzedniego wieczoru, gdy Henry i ja, upewniwszy się, że nasze rodziny śpią, całowaliśmy się na tym właśnie pomoście, wyciągnięci na kocu pod gwiazdami. W pewnym momencie przerwaliśmy, żeby zaczerpnąć tchu, a ja popatrzyłam na niebo, kładąc głowę na piersi Henry’ego i czując, jak wznosi się i opada w oddechu.

– Znasz jakieś gwiazdozbiory? – zapytałam i poczułam śmiech wzbierający w jego piersi, zanim jeszcze go usłyszałam.

– Nie – powiedział, a ja nie musiałam na niego patrzeć, żeby wiedzieć, że się uśmiecha. – Chcesz, żebym się ich nauczył?

– Nie – odparłam, nie odrywając wzroku od gwiazd nad nami. – Byłam tylko ciekawa.

Pogładził mnie po włosach, a ja na moment zamknęłam oczy, wciąż lekko zdumiona, że to się dzieje naprawdę, że jakimś cudem jesteśmy tu razem.

W tym krótkim czasie zrozumiałam już, że ten związek nie przypomina żadnego z moich wcześniejszych. Nie przypomina także tego, jak sami zachowywaliśmy się wcześniej, kiedy byliśmy strasznie smarkaci i niedoświadczeni. To było tak, jakby wszystkie przeszkody, które sprawiały, że moje pozostałe związki były tak skomplikowane – plotki, szkolny melodramat – po

prostu zniknęły. Henry mieszkał po sąsiedzku, moi rodzice go lubili i nie mieliśmy żadnych zajęć ani obowiązków poza niezbyt absorbującą pracą. A w odróżnieniu od Warrena i jego pączkującego uczucia do Wendy, przebywanie w towarzystwie Henry'ego nie sprawiało, że się stresowałam.

Nie mogę powiedzieć, żeby Warren nie był szczęśliwy – nabrał nawet irytującego zwyczaju nucenia pod nosem i robił to bezustannie, nawet pod prysznicem – ale nadal spędzał zdecydowanie za dużo czasu przed każdą randką, wybierając koszulę, jaką miał założyć, a po randce analizował ze szczegółami każde słowo Wendy, jakby poszukiwał ukrytych wskazówek lub znaczeń. Często wracaliśmy do domu mniej więcej o tej samej porze, więc siadaliśmy na zewnątrz, zwykle na schodach werandy, a ja wysłuchiwałam, jak mój brat analizuje i rozbiera na czynniki pierwsze swój wieczór. W odróżnieniu od niego dochodziłam do wniosku, że bycie na nowo z Henrym jest zaskakująco odprężające. Przy nim mogłam po prostu być sobą, bo ostatecznie znał już moje wady, zwłaszcza najpoważniejszą z nich. A to oznaczało, że w chwilach odprężenia mogłam po prostu oprzeć mu głowę na piersi, zamknąć oczy i oddychać, rozkoszując się spokojem.

Ale nie wszystko było takie spokojne i zrelaksowane. Między nami była chemia, jakiej nigdy nie czułam w przypadku pozostałych (czterech) chłopaków, z którymi

się całowałam. Kiedy byliśmy razem, trudno mi było utrzymać ręce z dala od niego, a pocałunki z nim sprawiały, że czas się zatrzymywał, a ja zapominałam, gdzie jestem. Sama myśl o tym powodowała, że żołądek mi podskakiwał, a w pracy spaliłam już kilka porcji frytek, ponieważ gapiłam się w przestrzeń i wspominałam wydarzenia poprzedniego wieczora – jego palce przesuwane się po mojej szyi, to miejsce tuż poniżej mojego ucha, na które wcześniej nie zwracałam uwagi, które teraz powodowało, że moje nogi robiły się jak z waty. To, jak przeczesywałam palcami jego włosy, zawsze odsuwając pojedynczy zbłąkany kosmyk, kiedy się całowaliśmy, miękkość jego policzka dotykającego mojego, ciepło jego skóry na karku, gdzie zawsze był lekko przypieczony przez słońce.

Teraz spróbowałam jednak oderwać się od tych myśli i skoncentrować na Lucy.

– Przepraszam – powiedziałam zakłopotana. – Naprawdę.

O co chodzi?

Lucy popatrzyła na mnie ze zmarszczonymi brwiami, a potem wyjęła komórkę.

– Dobra – powiedziała. – Powtarzam po raz drugi. – Uniosła brew, a ja spróbowałam zrobić odpowiednio skruszoną minę.

– Chodzi o Brettę. Cały czas przysyła mi SMS-y, mówi,

że chce być w kontakcie i może nawet spróbować związku na odległość, co jest kompletnie stuknięte, bo byliśmy chyba na trzech randkach.

– No cóż – odparłam powoli. – Chyba nie powinnaś sobie na razie wiązać rąk. Ostatecznie Bretta tu nie ma. A może w pobliżu znajdzie się ktoś, o kim nawet nie pomyślałaś.

– Gdyby ktoś taki był w pobliżu, na pewno bym zauważyła – mruknęła Lucy. Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, może wstawić się znowu za Elliotem, ale ona spojrzała w stronę domu i potrząsnęła z uśmiechem głową. – Popatrz, kto przyszedł.

Odwróciłam się i zobaczyłam Henry'ego, schodzącego od swojego domu, ubranego w T-shirt z logo piekarni i podnoszącego rękę, żeby mi pomachać. Poczułam, że uśmiecham się szeroko tylko dlatego, że go widzę.

– O Boże. – Lucy przewróciła oczami, widząc wyraz mojej twarzy. – Chyba potraktuję to jako sygnał, że mam się zmywać.

– Ależ nie, zostań – zaprotestowałam, chociaż sama słyszałam, jak bardzo bez przekonania to mówię. Lucy roześmiała się.

– Brawo – oznajmiła. – Kompletnie nie umiesz kłamać.

– Do zobaczenia jutro? – zapytałam.

– Pewnie – odparła. Wstała i narzuciła na bikini szorty i top, a potem wepchnęła do płóciennej torby swój ręcznik

i czasopisma, które kartkowałyśmy. Akurat w tym momencie Henry wszedł na pomost.

– Hej – powiedziała Lucy, wymijając go i po przyjacielsku szturchając ramieniem. Niepokoiłam się, chyba nawet bardziej niż skłonna byłabym przyznać, jak będę patrzeć na nich razem, wiedząc, że kiedyś ze sobą chodzili. Ale kilka minut wystarczyło, żebym się przekonała, że nic ich nie łączyło. Jeśli już, zachowywali się teraz jak brat i siostra.

– O, już idziesz? – zapytał Henry, a chociaż starał się, żeby w jego głosie brzmiało rozczarowanie, zrozumiałam, co Lucy ma na myśli. On także kompletnie nie umiał kłamać. Potrząsnęła tylko głową i pomachała nam na pożegnanie.

– Hej – powiedziałam do niego, osłaniając oczy ręką od słońca.

– Cześć – powiedział i usiadł koło mnie na pomoście. Roześmiałam się, kiedy jego oczy rozszerzyły się na widok bikini, i pochyliłam się, żeby go pocałować. Smakował słodko, maślanym lukrem, a ja miałam przeczucie, że dzisiaj w piekarni zajmował się ozdabianiem ciastek.

Kiedy się rozdzieliliśmy, sięgnął do plecaka i odpiął suwak. Wyciągnął kwadratowe zielone pudełeczko, najmniejsze z firmowych pudełek Czasu Chrupania, i podał mi je. Miałam poczucie, że powinnam zaprotestować

z szacunku dla dochodów jego taty, ale wiedziałam, że nie wypadłoby to przekonująco. Wzięłam pudełeczko i odruchowo się uśmiechnęłam. Przekonałam się, że umawianie się z kimś, kto pracował w piekarni, łączyło się z bardzo określonymi korzyściami.

– Co mamy tym razem? – zapytałam, otwierając pokrywkę i zaglądając do środka. Siedziała tam pojedyncza babeczka z żółtego ciasta z białym lukrem, na którym została ułożona litera T z czekoladowych groszków. – Wygląda prześlicznie – pochwaliłam, czując, że od samego patrzenia zaczyna mi burczeć w brzuchu.

– Babeczka cytrynowa – wyjaśnił Henry. – Z nowym lukrem cytrynowo-waniliowym według pomysłu taty. Chce poznać twoje zdanie.

– Z przyjemnością – odparłam, starannie zamykając pudełko. Odebrałam bolesną lekcję, że jeśli nie zaczekam i nie podzielę się po obiedzie ciastkiem z rodzeństwem, to Henry oberwie za to następnym razem, kiedy się u nas pojawi. – Dzięki.

– I, no... – Henry wyjął małą plastikową torebkę z ciasteczkami. – To dla twojego taty. Z podwójną czekoladą, świeżo pieczone.

– Dzięki – powiedziałam, stawiając torebkę obok pudełka z babeczką i czując znajomą już gulę w gardle. Kiedy powiedziałam Henry'emu, że mój tata niewiele je, postanowił temu zaradzić (jak się później dowiedziałam,

przy pełnej współpracy swojego ojca) i spróbować znaleźć jakiś rodzaj słodczy lub pieczywa, które przywróciłyby mu apetyt. Mimo ich wysiłków nie bardzo to działało. Tata zawsze demonstracyjnie zachwycał się przysmakami, wydawał ochy i achy, ale zjadał najwyżej jeden czy dwa kawałki, a potem oznajmiał, że są po prostu zbyt pyszne, żeby mógł je zatrzymać tylko dla siebie.

Stan mojego ojca był taki sam jak dotąd – to znaczy pogarszał się odrobinę każdego dnia, chociaż to było niezauważalne, dopóki się nie pamiętało, że jeszcze tydzień temu nie spał całe popołudnie aż do obiadu i był w stanie wejść po schodach bez pomocy Warrena, tylko z matką, która szła za nim, żeby go podtrzymać, gdyby stracił równowagę. Przestał czytać po nocach, a jego głos, dawniej rozbrzmiewający w całym domu, stawał się coraz cichszy i teraz zdarzało się, że z trudem go słyszałam z drugiego końca jadalni.

Nadal dwa razy w tygodniu chodziliśmy na śniadanie do restauracji, chociaż tata zamawiał już tylko tost i zjadał najwyżej kilka kęsów, niezależnie od tego, jak bardzo zrzędziła Angela. Jednak nawet jeśli jadł niewiele, dalej odpowiadaliśmy sobie na pytania. Nie pamiętam, jak to dokładnie było, ale wyszliśmy poza pytania z podkładek i zaczęliśmy po prostu rozmawiać. Oczywiście, zawsze kochałam ojca, chociaż nie potrafiłam znaleźć

odpowiedniej chwili, żeby mu to powiedzieć. Ale dopiero odkąd razem jedliśmy te śniadania, poznawałam go naprawdę.

Dowiedziałam się, że tata omal nie został wyrzucony z pierwszej pracy w kancelarii prawnej, że po college'u pojechał na wycieczkę po Europie i że zakochał się w mojej matce od pierwszego wejrzenia. Najbardziej zaskakującą rzecz opowiedział mi jednak dwa dni temu. Rozmawialiśmy o naszej wspólnej przeszłości, wszystkich tych historiach z dzieciństwa, których w swoim czasie nie cierpiałam wysłuchiwać. Dopiero teraz, kiedy dni spędzane z moim ojcem nieoczekiwanie stały się policzone, uświadomiłam sobie, jak cenne były te wspomnienia. Tysiące chwil, które traktowałam jako coś oczywistego, przede wszystkim dlatego, że zawsze zakładałam, że będą ich jeszcze kolejne tysiące. Tata właśnie opowiedział mi historię (którą słyszałam chyba ze dwadzieścia razy) o tym, jak przyszłam do jego biura w dzień otwarty dla dzieci pracowników, kiedy miałam sześć lat, i narysowałam obrazek na niezwykle ważnym dowodzie w sprawie. Przestał się śmiać i popatrzył na mnie znad swojej kawy.

– Ale jestem pewien, że tego ci nie opowiadałem – oznajmił z uśmiechem. Był chudszy niż wcześniej, a jego żółtawa skóra przybrała ciemniejszy odcień, jakby miał bardzo nieudaną sesję w solarium. Jego zęby w kontraście

wydawały się okropnie białe.

Nadal nie mogłam przywyknąć do fizycznych zmian, zachodzących tak szybko i stanowiących dowód na to, że w środku mojego taty dzieje się coś bardzo, bardzo złego. Coś, co się nie zatrzyma, dopóki go nie zabije.

Ale te zmiany nie były takie widoczne aż do momentu, kiedy dostawałam kolejny ich dowód, taki jak zdjęcie, albo zauważałam, jak na niego patrzą otaczający nas ludzie. Mój tata przyciągał uwagę, co sprawiało, że czułam się z jednej strony zażenowana i zła, a z drugiej miałam ochotę go chronić. Inni goście restauracji patrzyli na niego odrobinę za długo, szybko odwracając się do swojej jajecznicy, kiedy napotykali moje spojrzenie.

– Co takiego? – zapytałam, przesuwając kubek na brzeg stołu, żeby Angela mogła mi dolać kawy, kiedy będzie przechodzić obok. Nie miałam specjalnej ochoty na kawę, ale im pełniejszy był mój kubek, tym więcej czasu tutaj mieliśmy. Te poranki były jedynym czasem, jaki spędzałam sam na sam z ojcem i zaczęłam przeciągać je tak bardzo, jak to było możliwe.

Tata uśmiechnął się i odchylił do tyłu, krzywiąc się przy tym lekko.

– Kiedy się urodziłaś – zaczął – przychodziłem do twojego pokoju i obserwowałem, jak śpisz. Bałem się, że przestaniesz oddychać.

– Naprawdę? – zapytałam. Nigdy o tym nie słyszałam,

a jako środkowa z rodzeństwa słyszałam niewiele historii tylko o sobie, więc byłam pewna, że bym to zapamiętała.

– Tak – potwierdził tata. – W przypadku twojego brata nie musieliśmy się o nic martwić, płakał co kilka minut. W pierwszym roku jego życia twoja biedna matka nie przespała chyba nawet pięciu godzin pod rząd. Ale ty od razu przesypiałaś całą noc, a ja byłem przerażony z tego powodu.

Pojawiła się Angela z dzbankiem, dołała mi kawy i podsunęła ojcu tost, jakby nie jadł tylko dlatego, że nie zauważył jego obecności na stole.

– Właśnie dlatego – kontynuował, wypijając łyk kawy – stawałem w drzwiach twojego pokoju i słuchałem, jak oddychasz. Żeby mieć pewność, że wciąż z nami jesteś. Liczyłem twoje oddechy, aż udawało mi się nabrać pewności, że nigdzie się nie wybierasz.

Potem Angela przyniosła rachunek, a my przeszliśmy na inne tematy – o tym, jak po liceum wybrał się w podróż po kraju i zgubił się w Missouri, a także o tym, jak domyśliłam się prawdy o Świętym Mikołaju, kiedy zauważyłam, że pakuje prezenty tak samo – niezgrabnie i z użyciem taśmy klejącej – jak mój ojciec. Ale zapamiętałam to, że stał w drzwiach pokoju i przez pierwsze tygodnie mojego życia nasłuchiwał moich oddechów.

Teraz jednak byłam na pomoście z Henrym, w słońcu,

a to wszystko wydawało się bardzo odległe.

– Zobaczymy, czy to się sprawdzi – powiedziałam, odsuwając ciasteczka na bok. Kiedy już mi nie przeszkadzały, pochyliłam się, żeby znowu pocałować Henry’ego. Jedną z najlepszych rzeczy w całowaniu się z nim było to, że cała reszta świata – w tym mój ojciec i to, co się z nim działo – na chwilę zniknęła. Może nie całkowicie, ale tak jak w przypadku włączonego w drugim pokoju telewizora, byłam w stanie mniej o tym myśleć, kiedy wargi Henry’ego dotykały moich, a jego ramiona mnie otaczały.

– No dobrze – powiedział Henry chwilę później, kiedy zrobiliśmy sobie przerwę. Leżeliśmy obok siebie, a ja ulokowałam się w miejscu, które zdążyłam już uznać za własne, ponieważ idealnie się w nie wpasowywałam. Ramię Henry’ego obejmowało moje ramiona, opierałam głowę na jego piersi, jedną nogę miałam przerzuconą przez jego nogę, a nasze stopy się dotykały. – Masz jakieś plany na czwarty lipca?

Nie spodziewałam się tego pytania, więc podparłam się na łokciach, żeby na niego spojrzeć.

– Chyba będziemy oglądać fajerwerki – powiedziałam. – Myślę, że stąd.

Nad jeziorem zawsze był urządzany pokaz fajerwerków, a nasza rodzina zazwyczaj oglądała go z pomostu.

– Świetnie – stwierdził Henry. – W takim razie nie rób żadnych planów na później, dobrze? Mam dla ciebie niespodziankę.

Uniosłam się jeszcze wyżej, żeby popatrzeć mu w oczy.

– Niespodziankę? – zapytałam, nie potrafiąc ukryć podekscytowania w głosie. – Jaka?

– Wiesz co, poproś Warrena, żeby powiedział ci, jaka jest definicja słowa „niespodzianka” – poradził Henry, a ja się uśmiechnęłam. – Obejmuje ona niezdradzanie, na czym ma polegać.

Leżeliśmy razem jeszcze trochę, obserwując słońce nad jeziorem, aż powoli zaczęło się obniżać, a w zapadającym zmierzchu rozblęły w trawie świetliki. Poczulałam pierwsze ugryzienie komara, więc trzepnęłam go i usiadłam, patrząc na zegarek i dochodząc do wniosku, że powinnam chyba iść na obiad.

– Czas na ciebie? – zapytał Henry, a ja skinęłam głową, wstałam i wyciągnęłam rękę, żeby pomóc mu się podnieść. Wziął ją, ale nie oparł się na niej całym ciężarem przy wstawaniu. Narzuciłam bluzę na bikini, zabrałam ręcznik, ciemne okulary i słodycze, a potem poszliśmy w stronę brzegu, splatając palce.

Kiedy podeszliśmy pod mój dom, Henry ścisnął moją rękę.

– Do zobaczenia jutro – powiedział.

– Do zobaczenia – odparłam, czując, jak szeroko się

uśmiecham i wiedząc, że nie zdołałabym tego ukryć. Henry pochylił się i pocałował mnie, a ja wspięłam się na palce, żeby odwzajemnić pocałunek.

– Pfuj. – Oderwaliśmy się od siebie, a ja odwróciłam się i zobaczyłam stojącego kilka metrów od nas Davy’ego z Murphym przy nodze. Skrzywił się na nasz widok. – To obrzydliwe.

– Kiedyś zmienisz zdanie – zapewnił go Henry. – Byłeś na spacerze z psem?

Davy skinął głową i niechętnie oddał mi smycz. Od kiedy uzyskał pozwolenie mojego ojca na wyprowadzanie Murphy-’ego, traktował swoje obowiązki niezwykle poważnie, przychodząc po niego kilka razy dziennie. W efekcie Murphy był tak wyganiany, że zasypiał wczesnym wieczorem, zaraz po obiedzie, na kolanach u ojca.

– Dzięki – powiedziałam. Davy skinął głową, a ja uśmiechnęłam się do Henry’ego. – Do zobaczenia – rzuciłam.

– Cześć – odparł, odwzajemniając uśmiech, co sprawiło, że Davy jęknął. Henry skierował się w stronę swojego domu, a jego młodszy brat pobiegł za nim, od razu zaczynając jakąś opowieść.

– A jak ty się bawiłeś? – zapytałam, podnosząc psa, który sprawiał wrażenie kompletnie wykończonego. Ponieważ wyraźnie nie miał nic przeciwko chwili

odpoczynku, trzymałam go po pachą i drapałam za uszami, idąc w stronę domu. – Udało ci się dokonać czegoś wielkiego?

Wchodząc po schodach na werandę, usłyszałam muzykę – to nie była muzyka baletowa mojej matki ani nawet klasyczna, tylko oldschooolowy rock. Postawiłam psa na werandzie, odpięłam smycz i otworzyłam siatkowe drzwi. Murphy podreptał do środka, prosto do miski z wodą, a chwilę później usłyszałam głośne chłęptanie.

Kiedy weszłam do domu, muzyka stała się jeszcze głośniejsza. Wydawała mi się trochę znajoma, jakbym słyszała ją już kiedyś w audycji ze złotymi przebojami albo w jakimś filmie. Zostawiłam ciastka i babeczkę na blacie w kuchni i poszłam dalej – dom wydawał się pusty, więc po drodze zapaliłam kilka świateł. Jednocześnie znalazłam źródło muzyki i mojego tatę – siedział na podłodze w pokoju telewizyjnym, przed nim stał stary adapter, a wokół leżały płyty.

– Cześć – powiedziałam, zapalając światło. Oboje zmrużyliśmy oczy, kiedy w pokoju zrobiło się jasno. Tata miał na sobie spodnie od dresu i T-shirt, ale zauważyłam, że jego włosy były zaczesane schludnie, tak jak zawsze.

– Cześć, mała – powiedział i zaczął kaszleć. Kiedy mu przeszło, odchrząknął. – Co słyszać?

– Nic nowego – odparłam z uśmiechem. Popatrzyłam na leżące płyty i na tę w adapterze – musiałam przyznać, że

podobały mi się bardziej niż opery. Przykłękłam i podniosłam kopertę płyty jakiegoś gościa imieniem Charlie Rich. Zarówno grafika na okładce, jak i jego broda wskazywały na lata siedemdziesiąte. – Co to ma znaczyć?

Tata uśmiechnął się i przyciszył piosenkę o Kalifornii.

– Grzebałem w warsztacie – wyjaśnił – I znalazłem stary adapter i płyty. Miałem je tylko przejrzeć, ale zacząłem słuchać...

– Urwał, podniósł jedną z płyt i obrócił ją w rękach.

– Kto to jest? – zapytałam, kiedy skończyła się jedna piosenka i zaczęła następna, tym razem wolniejsza i spokojniejsza.

– To – tata sięgnął za siebie i skrzywił się, podnosząc okładkę płyty, żeby mi ją podać – jest Jackson Browne.

– Słuchałeś jego piosenek? – zapytałam, patrząc na grafikę na okładce, przedstawiającą samochód stojący pod samotną latarnią.

– Bez przerwy. – Tata uśmiechnął się lekko, jakby to sobie przypominał. – Doprowadzałem tym ojca do szału.

– No to podkreć dźwięk – poprosiłam, siadając koło niego i opierając się o kanapę.

Tata odchrząknął, wyjął z kieszeni chusteczkę i odkaszlnął w nią, a potem starannie złożył i schował z powrotem.

– Nie musisz tego słuchać – powiedział z uśmiechem. –

Wiem, że to nie jest w twoim stylu.

– Podoba mi się – zaprotestowałam. Mówiłam szczerze. Słowa brzmiały jak prawdziwa poezja, pełna znaczeń, jakich z pewnością pozbawione były przeboje Bentley Boys. – Opowiedz mi o tej piosence.

Ojciec także oparł się plecami o kanapę i przez chwilę słuchał w milczeniu.

– Tę piosenkę zawsze lubiłem, ale zaczęła mi się jeszcze bardziej podobać, kiedy poznałem twoją matkę – powiedział, a ja usłyszałam uśmiech w jego głosie. – Ma tytuł *For A Dancer*.

Uśmiechnęłam się, słysząc to, a potem siedzieliśmy razem z ojcem, podczas gdy na dworze robiło się coraz ciemniej, słuchając muzyki, którą uwielbiał, kiedy był w moim wieku. Wiedziałam, że ta chwila zaraz minie – moja matka, Warren i Gelsey wrócą do domu, przynosząc ze sobą gwar, nowiny i zamieszanie. Ale w tej chwili byliśmy tylko mój ojciec i ja, w chwili, której nie starałam się zachować, pozwalałam jej po prostu trwać, siedząc koło niego i słuchając piosenek z wirującej płyty.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Czwarty lipca był słoneczny i pogodny, a ponieważ wypadał w sobotę, plaża była pełna ludzi. Lucy, Elliot i ja nie usiedliśmy przez cały dzień, a do południa zdążyliśmy wyprzedać wszystkie trzykolorowe lody. Pojawił się nawet Fred, kręcący się wokół, wpadający nam pod nogi i wyraźnie marzący o powrocie do swoich ryb. Ale kiedy maszyna do lodu zepsuła się w godzinie szczytu, byłam bardzo szczęśliwa, że Fred jest na miejscu, ponieważ tylko on potrafił ją naprawić.

Moja matka w ostatniej chwili postanowiła zaprosić sąsiadów na grilla, zanim wybierzemy się wszyscy na pomost, żeby obejrzeć fajerwerki, i wręczyła mi listę zakupów do zrobienia. Nie mogłam się doczekać piątej, chociaż było raczej dwadzieścia po piątej, zanim udało nam się do końca obsłużyć kolejkę ludzi, którzy chcieli kupić frytki, napoje gazowane, wodę i – niesłychane na plaży – hamburgery. Kiedy zamykaliśmy bar, przypomniałam Lucy o grillu, a kiedy Elliot podsłuchiwał, że Lucy może się pojawić, także się do nas wprosił. W tym momencie uznałam, że im więcej, tym lepiej i zaprosiłam Freda, który podziękował, ale nie zadeklarował się

jednoznacznie, a także Lelanda, który oznajmił z żalem, że nie wpadnie na moją imprezkę, ponieważ wypływa na łodzi z pracownikami firmy pirotechnicznej, mającymi puszczać fajerwerki na środku jeziora.

– Potrzebny im ratownik – wyjaśnił, kiedy odpinałam stojący przy wejściu na plażę rower. – Wiesz, na wypadek, gdyby ktoś został trafiony fajerwerkiem albo wypadł za burtę przy odpalaniu, czy coś takiego.

Nie wydawał mi się szczególnie dobrym zabezpieczeniem od nieszczęśliwych wypadków, ale powiedziałam mu tylko, żeby uważał na siebie, a potem podjechałam do warzywniaka i wykupiłam całą kukurydzę w kolbach, mając nadzieję, że to wystarczy dla wszystkich gości, którzy ostatecznie się pojawią. Przeprowadziłam rower obok piekarni i zajrzałam przez okno do środka, żeby chociaż przelotnie zobaczyć Henry’ego. Ale w środku było pełno ludzi, a chociaż Henry zauważył mnie i pomachał, widziałam, że jest przemęczony i miałam przeczucie, że to nie jest najlepszy moment, żeby mu zawracać głowę.

Pojechałam sama do domu, czując po drodze wiatr we włosach oraz zapachy z grillów w mijanych ogródkach. Siodło nie robiło już na mnie wrażenia – dopiero kiedy zjechałam na dół i podjechałam pod przeciwległe zbocze, obejrzałam się i uświadomiłam sobie, ile udało mi się osiągnąć.

Oparłam rower o werandę i weszłam po schodach, rozpaczliwie pragnąc gorącego prysznica, który pozwoliłby mi się pozbyć zapachu oleju do smażenia oraz kubka lemoniady, który na siebie wylałam. Nie miałam pojęcia, na czym mogłaby polegać zapowiedziana przez Henry’ego niespodzianka, ale sama myśl o tym wystarczyła, żebym się uśmiechnęła.

Przeszło mi, kiedy tylko weszłam do kuchni. Moja matka miotła się między blatami, z włosami zwijającymi się w loczki i wymykającymi z zazwyczaj nienagannego koczka, trzaskając pokrywkami znacznie mocniej, niż to było konieczne. Instyktownie się skuliłam i przypominałam sobie pospiesznie, dlaczego nigdy nie lubiłam, jak przyjmowaliśmy tutaj gości – ciasnota kuchni zwiększała wykładniczo zdenerwowanie mojej matki. Murphy najwyraźniej też to zauważył, ponieważ przemknął się koło mnie z uszami położonymi płasko na głowie i schował się za mną. Pochyliłam się, żeby go pogłaskać, a w tym momencie matka odwróciła się i zauważyła mnie.

– Jesteś wreszcie! – warknęła, odgarniając pasmo włosów. Widziałam, że ma zaczerwienione policzki i czerwone obwódki wokół oczu. – Kupiłaś kukurydzę?

– Wszystko, co mieli – powiedziałam, podając jej torbę z warzywniaka, ale nie robiąc kroku w głąb kuchni. –

Może po prostu obiorę ją na zewnątrz, dobrze?

– Rozstaw przyprawy i talerze – poleciła matka, która albo mnie nie usłyszała, albo postanowiła zignorować moje słowa. – A potem byłabym wdzięczna, gdybyś mogła pozbierać te śmieci ze stołu. Nie mam nawet pojęcia, ile hamburgerów przygotować. Chyba przyjdzie dziewczyna Warrena, ale nie był pewien...

– Aha – powiedziała cicho, od razu żałując, że też kogoś zaprosiłam. Ale to miał być tylko grill, nie miałam pojęcia, dlaczego matka tak się stresuje z tego powodu. – Ja zaprosiłam kilka osób z pracy, więc możesz liczyć trzy dodatkowe porcje.

Matka postawiła z łoskotem garnek, który właśnie podniosła, i odwróciła się do mnie. Pożałowałam błyskawicznie, że nie ma tu Warrena albo Gelsey, dzięki którym jej złość rozproszyłaby się na więcej osób. Matka nie złościła się często, więc kiedy już czasem traciła panowanie nad sobą, to było zupełnie jakby nagle uwalniała się cała jej tłumiona frustracja. Tym razem, najwyraźniej, ja byłam jej celem.

– Boże, Taylor! – warknęła. – Pytałaś mnie o zdanie? Przyszło ci do głowy, że to może być okropny kłopot? Nie wpadłaś na to, żeby się ze mną najpierw porozumieć?

– Przepraszam – odparłam, wycofując się o pół kroku z kuchni. Czuję to, co zawsze w przypadku konfrontacji z kimś: instynkt ucieczki włączał się i powtarzał, że

powinnam się znaleźć gdziekolwiek, byle nie tutaj. – Nie myślałam...

– Rzeczywiście – przerwała mi matka, zdejmując kolejny garnek z palnika i stawiając go z furią. – Nie myślałaś. Bo wtedy musiałybyś pomyśleć o kimś innym, prawda? Nie tylko o sobie samej.

Czułam łzy piekące pod powiekami i nagle zapragnęłam z całego serca cofnąć czas o pięć minut, do chwili, kiedy jechałam na rowerze i wszystko było jeszcze dobrze.

– Przepraszam – mruknęłam, czując, że gardło mnie piecze i ściska się gwałtownie. Nie chciałam się rozplakać przy matce.

– Zajmę się kukurydzą. – Zabrałam torbę i jak najszybciej wyszłam na frontową werandę. Kiedy już tam byłam, przez dłuższą chwilę patrzyłam na mój rower, ale wiedziałam, że gdybym uciekła, tylko pogorszyłabym sprawę. Poza tym dokąd miałabym uciekać?

Usiadłam na najbliższym krześle i drżącymi rękami wyjęłam z torby pierwszą kolbę. Kiedy zaczęłam ją obierać, poczułam łzę spływającą mi po policzku. Serce dalej tłukło mi się mocno, a ja z jakichś powodów byłam teraz bardziej nieszczęśliwa niż wtedy, kiedy matka na mnie krzyczała. Przetarłam ręką oczy, odetchnęłam niepewnie i zaczęłam czyścić kolbę kukurydzy.

– Hej. – Podniosłam głowę i zobaczyłam najpierw

stopy ustawione w pozycji pierwszej, a potem moją matkę, przygryzającą wargi. Usiadła na małym stoliku, stojącym między dwoma krzesłami, i pochyliła się do przodu. – Przepraszam, skarbie. Nie zrobiłaś nic złego.

– Ja tylko – zaczęłam, ale musiałam odetchnąć głęboko, zanim udało mi się powiedzieć coś więcej, ponieważ czułam, że zaraz mogę się znowu rozplakać. Szarpnęłam liście kukurydzy i wrzuciłam je do torby pod nogami. – Przepraszam, że ich zaprosiłam. Nie myślałam, że to będzie problem. Mogę zadzwonić i to odwołać.

Mama potrząsnęła głową.

– Nie ma po co, naprawdę. Po prostu... – Westchnęła i popatrzyła w stronę ulicy. Przechodzące chodnikiem małżeństwo z golden retrieverem pomachało do nas, więc matka odwzajemniła pozdrowienie, a potem spojrzała na mnie. – Po prostu cały dzień myślę o tym, że to ostatni czwarty lipca dla twojego ojca – powiedziała cicho. To nie pomogło mi w utrzymaniu łez pod kontrolą, więc zacisnęłam mocniej wargi. – Chciałam tylko, żeby wszystko idealnie się udało – powiedziała. Popatrzyłam na nią i z niepokojem zauważyłam, że ma w oczach łzy, które mogą zaraz popłynąć.

Szczerze mówiąc, to było bardziej przerażające niż krzyki. Moja matka smutna, bezradna, przestraszona – to było dla mnie za wiele, więc sięgnęłam po następną kolbę, starając się na nią nie patrzeć.

– Nie ma nic gorszego niż popsute święto – mówiła dalej, ale już nie brzmiała, jakby zaraz miała się rozpląkać, więc zaczęłam się odrobinę uspokajać.

– Wiem – powiedziałam bez namysłu, a kiedy matka nic odpowiedziała, popatrzyłam na nią. – Moje urodziny? – przypomniałam i natychmiast pożałowałam, że się odezwałam, ponieważ jej usta zadrżały i znowu zaczęła wyglądać, jakby miała płakać. – Przepraszam – dodałam szybko. – Nie chciałam, żeby to tak wyszło, mamó. Nie...

Matka potrząsnęła głową i odwróciła spojrzenie. Murphy ostrożnie wyszedł na werandę, widocznie dochodząc do wniosku, że dopóki nikt nie krzyczy, jest bezpieczny. Ku mojemu zaskoczeniu matka podniosła go i na moment przytuliła policzek do szorstkiej sierści.

– Myślałam, że go nie lubisz – zauważyłam.

Mama uśmiechnęła się i posadziła sobie psa na kolanach.

– Chyba do niego przywykłam – powiedziała i pogładziła go po łbie. Siedziałyśmy w milczeniu, a kiedy wrzuciłam jedną kolbę do torby i wyjęłam następną, mama potrząsnęła głową.

– Zostaw resztę – stwierdziła. – Warren i Gelsey się tym zajmą, jak wrócą do domu. – Kiedy, zaskoczona, wrzuciłam kolbę z powrotem, mama pochyliła się do przodu. – Strasznie mi przykro z powodu twoich urodzin, skarbie. Obiecuję, że jakoś ci to zrekompensuję.

– Nie musisz – odparłam całkiem szczerze. Początkowo byłam zła z powodu tych urodzin, ale od tamtego czasu wydarzyło się tyle rzeczy, że cała ta sprawa przestała mieć aż takie znaczenie. – A ja obiecuję, że wieczorem wszystko pójdzie, jak trzeba. Zorganizujemy dla taty świetny wieczór.

Mama popatrzyła na mnie, a ja uśmiechnęłam się do niej, wciąż trochę roztrzęsiona. Pomyślałam, że to strasznie dziwne, że to ja ją pocieszam i staram się podnieść na duchu, chociaż przez całe moje życie było odwrotnie.

– Mam nadzieję. – Pochyliła się i przyglądała mi włosy, a potem zaczęła mnie gładzić po plecach, zataczając dłońią małe kółka, tak jak to robiła, kiedy byłam mała. Powody naszej kłótni przestały już mieć znaczenie, a po chwili ku własnemu zaskoczeniu pochyliłam się do niej, oparłam głowę na jej ramieniu tak jak wtedy, kiedy byłam bardzo mała, a jej ramiona wydawały się znacznie większe, dostatecznie wielkie, żeby obejmować nie tylko mnie, ale cały świat. Przez krótką chwilę, kiedy zamknęłam oczy, a mama gładziła mnie po włosach, miałam wrażenie, że nadal tak jest.

Pomimo wcześniejszych obaw grill udał się bardzo dobrze. Gelsey i ja rozstawiłyśmy w ogrodzie świeczki z olejkiem cytronelowym (moja siostra uparła się, że będzie wykonywać *grand jeté* pomiędzy nimi), a ojciec

zajął się grillem, napełniając talerze stosami cheeseburgerów i hotdogów. Miał na sobie wyprasowane spodnie khaki i koszulkę polo, które teraz wydawały się o wiele za duże.

Henry i jego tata musieli coś naszykować w piekarni na następny dzień, więc moja matka zaprosiła Davy'ego, a pan Crosby mógł dać wolne jego babysitterce. Goście stanowili bardzo różnorodną grupę, ale wszyscy dogadywali się bez problemów. Pojawił się Fred w towarzystwie Jillian i przyniósł dwa pstrągi, które tata upiekł na grillu, a wszyscy wychwalali je pod niebiosa, co sprawiło, że Fred zrobił się jeszcze czerwieńszy niż zwykle. Lucy zaraz po przyjsciu została zaanektowana przez Norę i Gelsey i prowadziła teraz zaimprovizowaną lekcję backbendu z boku trawnika. Elliot mało nie dostał zawału, kiedy dowiedział się, że Jeff jest zawodowym scenarzystą. Odkryli wspólną pasję do filmów science-fiction i spędzili większość wieczoru pograżeni w dyskusji. Mama wyniosła część krzeseł na trawnik i kręciła się koło taty, który siedział koło Freda, śmiejąc się z czegoś razem z nim. Davy próbował bez powodzenia nauczyć psa aportowania i mimo braku sukcesów był całkowicie pochłonięty tym zadaniem.

Zobaczyłam Warrena i Wendy, trzymających się za ręce i rozmawiających z Kim, więc podeszłam do nich.

– To naprawdę fascynująca dziedzina! – mówiła

właśnie Kim. Zauważyłam, że Wendy wygląda wyjątkowo patriotycznie – miała na sobie bluzeczkę w biało-czerwone paski oraz granatowe szorty, a włosy ściągnęła czerwoną opaską. – Zamierzamy koniecznie umieścić technika weterynarii, albo może weterynarza, w tym planowanym teraz pilocie.

– Wendy ma zostać weterynarzem – oznajmił Warren, a ja obserwowałam, jak rozpromienił się z dumy, patrząc na stojącą obok dziewczynę. Miałam wrażenie, że nie poznaję własnego brata.

– Wiesz, zobaczymy, jak mi pójdzie – roześmiała się Wendy, a jej policzki leciutko poróżowiwały. – Jesienią dopiero zaczynam college.

– Powinnaś ją zobaczyć w sklepie – rozplęwał się Warren, jakby Kim przeprowadzała z Wendy rozmowę o pracę i musiała się koniecznie dowiedzieć o wszystkich jej cudownych zaletach. – Niesamowicie sobie radzi ze zwierzętami.

– Może umiałabyś mu w czymś pomóc? – zapytałam Wendy, wskazując Davy’ego, wokół którego biegał Muprhy. Pies popatrzył za rzuconym patykiem, a potem wrócił w podskokach do Davy’ego, kompletnie nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

Wendy potrząsnęła głową.

– Nie wiem, czy mi się uda – powiedziała z uśmiechem. Zauważyłam, że rzadko przestawała się

uśmiechać, a Warren uśmiechał się chyba bez przerwy przez cały wieczór. Zanim pojawiła się Wendy, naprawdę nie miałam pojęcia, że mój brat ma tyle zębów.

– Mimo wszystko to robi wrażenie. – Kim wypita łyk wina.

– Jeśli uda nam się zrobić ten serial, będziemy musieli cię zatrudnić jako konsultantkę.

Wendy zarumieniła się tak, że przybrała kolor swojej opaski.

– Nie jestem pewna, czy się na coś przydam – mruknęłam.

– Ona jest za skromna – oznajmił Warren. Objął ją ramieniem ostrożnym gestem, jakby nadal się do tego przyzwyczajał. – Wie absolutnie wszystko o zwierzętach. Powiedz im to, o czym opowiadałaś mi wczoraj. Wiesz, to o słoniach.

– Ach, to – powiedziała Wendy. – No więc rozmawialiśmy z Warrenem o... – urwała i splotła dłoń z ręką mojego brata na swoim ramieniu, a ja zobaczyłam, że ściska ją lekko, zanim zaczęła mówić dalej. – O śmierci – wyjaśniła, rzucając na niego spojrzenie, zanim znowu zwróciła się do Kim. – Opowiadałam mu, że niektóre zwierzęta mają własne rytuały pogrzebowe i żałobne... To nie jest tylko ludzki wynalazek.

– Naprawdę? – Kim uniosła brwi. – Widzisz, właśnie takie rzeczy świetnie nadawałyby się do naszego serialu.

Jakie rytuały?

– Na przykład... – zaczęła Wendy. Opowiedziała nam o lamach umierających z powodu złamanego serca, słońiach próbujących podnieść martwe młode, gorylach śpiących w gniazdach nieżyjących rodziców i odmawiających jedzenia. A chociaż słuchałam jej jednym uchem, jednocześnie zastanawiałam się nad różnymi rzeczami. Po pierwsze, mój brat jakimś cudem znalazł kogoś, kto lubił ciekawostki i dzielenie się nimi tak samo jak on. Po drugie, rozmawiał z Wendy o śmierci, a to znaczyło, że rozmawiał z nią o tacie i o tym, co sam czuje. Pomyślałam o wszystkich tych razach, kiedy Lucy pytała, czy chcę pogadać, albo Henry dyskretnie naprowadzał mnie na temat tego, co się dzieje u mnie w domu, i o tym, jak oboje spławiałam – w przypadku Lucy zmieniałam temat, zazwyczaj pytając o jej życie uczuciowe, a w przypadku Henry’ego zaczynałam go całować. Zakładałam, że Warren będzie się zachowywał tak samo, a to, że było inaczej, z jakichś dziwnych powodów odbierałam jak zdradę – jakby złamał jakąś niepisaną umowę.

Kim pytała Wendy, czy to możliwe, żeby weterynarz miał mieszkanie nad swoim gabinetem – to najwyraźniej było jednym z założeń serialu, podobnie jak postać stukniętej recepcjonistki – kiedy rozległ się świst wystrzelanego fajerwerka. Spojrzałam w stronę jeziora

i rzeczywiście, pierwszy fajerwerk przeciął ciemniejące niebo jak kometa, eksplodował z głośnym hukiem i zamienił się w pióropusz czerwonego, białego i niebieskiego światła. Wszyscy na trawniku zaczęli bić brawo, a potem przeszliśmy na pomost, skąd był lepszy widok na cały pokaz.

Czternaście osób (i jeden pies) to było nieco za dużo jak na nasz pomost, ale stłoczyliśmy się i zdołaliśmy jakoś zająć miejsca, zanim następny fajerwerk wystrzelił w niebo, niemal tuż nad nami.

Usiadłam prawie na początku pomostu, niedaleko krzesła, które moja mama przyniosła dla taty. Obejrzałam się, żeby zobaczyć, czy Henry nie schodzi od swojego domu, ale na razie nie było po nim śladu. Nie miałam pojęcia, jak długo zajmie mu praca w piekarni, a on powiedział tylko, że moja niespodzianka będzie po fajerwerkach. Obejrzałam się jeszcze kilka razy, ale potem odprężyłam się i cieszyłam pokazem. Może to dlatego, że od kilku lat nie oglądałam fajerwerków na czwartego lipca (bo na przykład byłam za granicą albo próbowałam się uczyć języka obcego), wydawały mi się wyjątkowo efektowne. Na pewno bardziej, niż pamiętałam z ostatniego razu, kiedy je tu podziwiałam.

Odchyliłam głowę do tyłu i patrzyłam po prostu na eksplozję kolorów i świateł, rozjaśniającą niebo i odbijającą się w wodzie. Po szczególnie spektakularnej

serii wybuchów zgromadzeni na pomoście zaczęli bić brawo, a pies uciekł pędem w moją stronę.

– Przepraszam. – Davy, który wcześniej go trzymał, odwrócił się do mnie. Złapałam psa, zanim zdążył wpaść do wody (nie byliśmy pewni, jakimi umiejętnościami pływackimi dysponuje Murphy) i wzięłam go na ręce. Zauważyłam, że trzęsie się gwałtownie. – Chyba nie lubi takiego huk.

– Zabiorę go do domu – zaproponowałam, wstając.

– Dzięki, mała – powiedział tata i ścisnął zwisającą psią łapę, kiedy przechodziłam obok niego. – Pewnie nie rozumie, co się dzieje. Biedak musi myśleć, że znalazł się nagle na polu bitwy.

– Wiecie – odezwała siedząca nieco dalej na pomoście Wendy – psy mają niezwykle wrażliwy słuch. To, co my słyszymy, on słyszy dziesięć albo dwadzieścia razy głośniej.

Poszłam do domu, czując, jak niesiony przeze mnie pies wzdryga się przy każdej eksplozji fajerwerków. Pomyślałam, że tata ma pewnie rację – gdyby mi nikt nie powiedział, że to tylko świętowanie, mogłabym z łatwością dojść do wniosku, że świat się kończy. W domu postawiłam psa na podłodze, a on natychmiast uciekł do mojego pokoju. Może dlatego, że miałam na łóżku sięgającą do ziemi narzutę, miał zwyczaj chować się tam zawsze podczas burzy. Najwyraźniej uznał, że to dla

niego najbezpieczniejsze miejsce.

Kiedy zaczęłam schodzić nad jezioro, zauważyłam, że wybuchy ucichły – ominął mnie finał pokazu. Rzeczywiście, grupa na pomoście zaczęła już wstawać i wracać na górę. Mimo wszystko podeszłam do nich, ponieważ doszłam do wniosku, że pewnie będzie potrzebna moja pomoc i nie chciałam ryzykować po raz drugi wybuchu gniewu mojej matki.

Piętnaście minut później pomogłam mamie posprzątać, pożegnałam się ze wszystkimi, podziękowałam im za przyście i obiecałam Lucy, że zadzwonię do niej później, żeby opowiedzieć, na czym polegała niespodzianka Henry'ego. Mój ojciec, wykończony, położył się od razu do łóżka, a Warren pomógł mu wejść po schodach.

– No to chyba koniec imprezy – oznajmiła mama, zbierając ostatnie zagubione talerze z trawnika i rozglądając się, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Gelsey biegała po trawniku od jednej cytronelowej świeczki do drugiej i zdmuchiwała je. – Gels! – zawołała mama do mojej siostry. – Do łóżka!

W blasku ostatniej świeczki patrzyłam, jak Gelsey opada w głębokiej arabesce, z nogami niemal równoległe pod nią.

– Jeszcze pięć minutek – odkrzyknęła lekko stłumionym głosem.

Matka skinęła głową i popatrzyła na mnie.

– A ty nie wracaj za późno – powiedziała. Także skinęłam głową i poczułam, że się uśmiecham. Podczas sprzątanía dostałam SMS od Henry’ego, który prosił mnie, żebym spotkała się z nim na pomoście za dwadzieścia minut, jeśli chcę moją niespodziankę. Chociaż nie miałam pojęcia, co będziemy robić ani kiedy wrócimy, w te wakacje zasady dotyczące mnie i godziny wracania do domu zostały bardzo złagodzone. Matka prosiła tylko, żebym wracała o rozsądnej porze i wchodziła do domu po cichu.

Poszłam na pomost trochę wcześniej, dlatego zauważyłam po drodze Henry’ego, który szedł w tę samą stronę. Jego biała koszula była wyraźnie widoczna nawet w ciemności.

– Cześć! – zawołałam, a on zatrzymał się i odwrócił, witając mnie uśmiechem.

– Cześć – odpowiedział. Skorzystałam z osłony ciemności i z tego, że w pobliżu nie było jego brata, który udawałby, że się dławi, zarzuciłam Henry’emu ramiona na szyję i pocałowałam go. Odwzajemnił pocałunek, przytulił mnie mocno i podniósł na moment do góry – robił to czasem, może tylko po to, żeby mi przypomnieć, że jest teraz ode mnie wyższy.

– Przepadł ci pokaz – powiedziałam, kiedy po chwili odsunęliśmy się od siebie.

– Naprawdę? – zapytał zaskakująco obojętnym tonem. –

Szkoda.

– No więc? – Rozejrzałam się. – Gdzie moja niespodzianka?

Henry uśmiechnął się i wziął mnie za rękę.

– Przy pomoście – powiedział. Zeszliśmy razem na brzeg. Po drodze usłyszałam za sobą jakiś ruch, więc odwróciłam się i zobaczyłam, że moja siostra ciągle jest na trawniku. Miałam już jej coś powiedzieć i przypomnieć, żeby wracała do domu, kiedy zobaczyłam, że wytrząsa z pudełka ostatni zimny ogień. Obserwowałam, jak nagle zapalił się i sychnął snopem iskier, a Gelsey tanecznym krokiem pobiegła do domu, unosząc go wysoko nad głową, kiedy wykonywała długie skoki i obroty *chaines*. Zostawiała za sobą smugę iskier, aż wreszcie zniknęła za rogiem domu, niosąc wciąż jasno świecące światło.

Okazało się, że Henry nie bez powodu zapowiedział niespodziankę, czekającą przy pomoście. To była łódka.

– Nie chodzi tylko o łódkę – oznajmił. Przygotował wszystko na pomoście i zapalił lampę gazową, którą teraz trzymał, żeby oświetlać nam drogę. Przycumowana do pomostu i kołysząca się na falach łódka była wyścielona śpiworami i sprawiała zaskakująco przytulne wrażenie – chociaż nie sądziłam, że tego przymiotnika da się użyć w stosunku do łodzi.

– Skąd ją wzięłeś? – zapytałam, schodząc po drabince przy pomocy i ostrożnie wsiadając do łodzi, która natychmiast zakołysała się z boku na bok. Przez ułamek sekundy serce stanęło mi z przerażenia, że łódka się wywróci. Wiedziałam, że rodzina Henry’ego ma kilka kajaków, ale byłam pewna, że zauważyłabym wcześniej łódkę wiosłową przy pomocy.

– Pożyczyłem od jednego ze stałych klientów taty – wyjaśnił.

– Jutro dam mu ciasto kawowe w ramach podziękowania. Ale musimy już płynąć.

– Okej – odparłam. Nie rozumiałam, po co ten pośpiech, ale ulokowałam się na przedniej ławeczce. Henry usiadł z tyłu i zaczął wiosłować z zaskakującą wprawą. Odwróciłam się, żeby siedzieć twarzą do niego, podciągnęłam kolana do piersi i po prostu cieszyłam się tą przejażdżką i tym, jak szybko poruszaliśmy się po jeziorze, aż znaleźliśmy się daleko od pomostu, który w oddali wydawał się malutki.

Henry przestał wiosłować i oparł wiosła po bokach łodzi. Wyjął komórkę, żeby sprawdzić godzinę, a światło jej ekranu wydało mi się zaskakująco jasne.

– Dobra – powiedział. – Już prawie pora.

Rozejrzałam się – byliśmy na środku jeziora i nie widziałam, na co miałyby być prawie pora.

– Henry? – zapytałam.

Uśmiechnął się i zgasił lampę, a potem położył się na śpiworach na dnie łodzi i gestem zaprosił mnie, żebym zrobiła to samo. Zrobiłam to, schodząc ostrożnie na czworaki. Kiedy znalazłam się koło niego, Henry położył się na plecach, a ja ulokowałam się obok niego, moszcząc się pod jego ramieniem na swoim miejscu. Zakołysaliśmy łódką, a jedynymi dźwiękami wokół był plusk wody o burty i granie cykad dobiegające z brzegów jeziora. Henry pochylił się i pocałował mnie szybko, a potem przesunął palcem po moim policzku i uśmiechnął się do mnie.

– Gotowa na niespodziankę? – zapytał.

– Gotowa – odparłam, rozglądając się i zastanawiając, czy coś mi umknęło. – Ale... – Właśnie kiedy zaczęłam to mówić, usłyszałam świst startującego fajerwerka, który w następnej chwili eksplodował dokładnie nad nami, ogromny i złoty.

– Co to ma być? – zapytałam, patrząc na Henry’ego, ale zaraz zwróciłam znowu uwagę na niebo, gdzie wybuchały kolejne fajerwerki, jeden za drugim.

– Chodziłem do szkoły z jednym gościem, który pracuje w tej firmie – wyjaśnił. – Zgodził się odłożyć kilka fajerwerków na później, żebyśmy mogli je obejrzeć z najlepszego miejsca.

– Niesamowite – mruknęłam, patrząc wprost w górę, na nocne niebo, którym zawładnęły wybuchy kolorów

i świateł. Nigdy wcześniej nie oglądałam fajerwerków, leżąc w łodzi i patrząc w górę, ale teraz wiedziałam, że tylko tak będę chciała je od tej pory podziwiać.

– Dziękuję – powiedziałam, nadal nie do końca mogąc uwierzyć, że Henry zdołał to zorganizować – prywatny pokaz fajerwerków, tylko dla nas. Wyciągnęłam się i pocałowałam go, a pod zamkniętymi powiekami nadal widziałam wybuchy światła, kiedy na niebie nad nami trwał pokaz.

Pokaz zakończył się po jeszcze kilku fajerwerkach, a Henry i ja biliśmy brawo, chociaż wiedzieliśmy, że nikt nie może nas usłyszeć. A chociaż wypłynęliśmy tylko po to, żeby obejrzeć fajerwerki, dryfowanie na łodzi było tak przyjemne, że żadne z nas nie spieszyło się do powrotu. Rozpięliśmy jeden ze śpiworów i wślizgnęliśmy się do środka, ponieważ na jeziorze zrobiło się trochę chłodno, nie mówiąc już o tym, że wilgotno.

Całowaliśmy się, aż moje wargi zdrętwiały, serce zaczęło się tłuc jak oszalałe i oboje byliśmy bez tchu, a wtedy nasze pocałunki stały się dłuższe i lżejsze, aż wreszcie, kiedy zrobiliśmy małą przerwę na odetchnięcie, zaczęliśmy po prostu rozmawiać, dryfując po jeziorze pod wielkim, wygwieżdżonym niebem.

Może to z powodu ciemności, może dlatego, że nie patrzyliśmy na siebie, a może po prostu tak się dzieje, kiedy leży się z kimś na łódce, ale zaczęliśmy poruszać

znacznie poważniejsze tematy niż kiedykolwiek wcześniej. Opowiedziałam mu, co się dzieje z moją matką i jak bardzo mnie przeraziło to, że prawie się rozplakała. Henry powiedział mi, że martwi się o Davy'ego, szczególnie dlatego, że za rok wyjedzie do college'u i nie będzie mógł się nim opiekować. Ja powiedziałam mu to, czego jeszcze nigdy nie mówiłam na głos, ale co myślałam od kilku tygodni – że widzę, jak pogarsza się stan mojego ojca i boję się tego, co ma na nastąpić.

Przerwy w naszej rozmowie stawały się coraz dłuższe, aż w końcu zamknęłam oczy i oparłam głowę na piersi Henry'ego, rozgrzana i bezpieczna w jego ramionach, otulona miękką flanelową podszewką śpiwora i usypiana łagodnym kołysaniem łodzi. Ziewnęłam, a chwilę potem Henry zrobił to samo, a chociaż od początku wakacji miałam problemy z zasypianiem, tym razem zapadłam w sen w ramionach Henry'ego i pod gwiazdami.

Kiedy się obudziliśmy i popłynęliśmy z powrotem do pomostu, zaczęło już świtać. Miałam kilka ugryzień komarów na szyi, ponieważ to był jedyny kawałek odsłoniętej skóry wystający ze śpiwora, natomiast Henry miał chyba z pięć bąbli na rękę. Początkowo czułam się okropnie zawstydzona tym, że zasnęłam, więc szybko wytarłam usta i miałam nadzieję, że nie zaczęłam się przypadkiem ślinić, a mój oddech nie pachnie szczególnie okropnie. Nigdy nie spałam w towarzystwie innej osoby

(chyba żeby uwzględnić Lucy na łóżku polowym, ale miałam przeczucie, że to się nie liczy) i bałam się, że niechcący kopnęłam go, mamrotałam coś przez sen albo zrobiłam jeszcze coś innego.

Nawet jeśli tak było, Henry nie wspomniał o tym ani słowem i nie sprawiał wrażenia niezadowolonego. Narzuciłam sobie śpiwór na ramiona i usiadłam obok niego z tyłu, kiedy wiosłował do domu. Miał na twarzy lekkie odgniecenie w miejscu, gdzie opierał policzek na szwie śpiwora, a jego włosy sterczały w małych kępkach. Z jakichś powodów podobał mi się teraz jeszcze bardziej niż zwykle.

Przycumowaliśmy łódkę i wyjęliśmy z niej wszystkie rzeczy, starając się poruszać jak najszybciej. Pan Crosby zwykle jechał do piekarni tuż przed szóstą, a Henry chciał wrócić do domu i udawać, że przespał tam całą noc.

– Dzięki za niespodziankę – powiedziałam, z całej siły powstrzymując się przed drapaniem bąbli po komarach na szyi.

– Nie ma za co. – Pochylił się i pocałował mnie szybko. – Zadzwoń później.

Uśmiechnęłam się i wspięłam się na palce, żeby też go pocałować. Stwierdziłam, że nie obchodzi mnie już, jaki mam oddech.

Przeszłam przez ogród i obeszłam dom, nucąc melodię, która dzięki Warrenowi przyczepiła się do mnie. Miałam

już wejść do środka, kiedy stanęłam jak skamieniała – przy stole na werandzie siedział mój tata z kubkiem kawy.

Przełknęłam ślinę i weszłam po schodach na werandę. Czułam, że moje policzki robią się gorące.

– Cześć – mruknęłam, starając się przyglądzić włosy i wiedząc doskonale, jak to wszystko wygląda.

Ojciec miał na sobie znajomą piżamę w niebieskie paski i kraciasty szlafrok. Na mój widok potrząsnął głową i upił łyk kawy, ale coś w wyrazie jego twarzy podpowiadało mi, że świetnie się bawi.

– Zabalowałaś? – zapytał.

– Tak jakby – przyznałam, czerwieniąc się bardziej niż kiedykolwiek. – No, Henry zabrał mnie na łódkę, żeby oglądać fajerwerki, a potem tak jakby zasnęliśmy. – Kiedy powiedziałam to na głos, uświadomiłam sobie, jak idiotycznie to brzmi.

Tata potrząsnął głową.

– Gdybym dostawał dolara za każdym razem, kiedy słyszę tę wymówkę... – powiedział ponuro, a ja wybuchnęłam śmiechem. Uniósł surowo brew, a ja nawet na jego wychudzonej twarzy rozpoznałam znajomy wyraz zapowiadający żart. – Obawiam się, że się pogrążasz i bulgoczesz – oznajmił, a ja jęknęłam i usiadłam koło niego. – Jeśli jeszcze raz trafi ci się taka wtopa, to Henry będzie musiał pływać...

– Dość – powiedziałam ze śmiechem. Popatrzyłam na

niego, kiedy podniósł oburącz kubek i wypił jeszcze łyk. – Dlaczego tak wcześniej wstałeś?

Tata popatrzył w okno werandy, wychodzące na jezioro.

– Chciałem zobaczyć wschód słońca – powiedział. Ja też spojrzałam w tę stronę i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. – Powinienem pewnie wygłosić ci kazanie. – Tata popatrzył na mnie. – Ale... – urwał i wzruszył ramionami. Wskazał na zewnątrz, gdzie całe niebo przybrało najbledszy odcień różowego, kolor baletek Gelsey. – Czy to nie jest przepiękne? – zapytał cichym szeptem.

Musiałam odchrząknąć, zanim udało mi się coś powiedzieć.

– Jest – mruknęłam.

– Nie wiem, ile takich widoków mnie ominęło, a ile uważałam za coś oczywistego – powiedział tata, nie odrywając spojrzenia od jeziora. – Obiecywałam sobie, że będę codziennie oglądać wschód słońca. Ale jedno ci powiem, mała – popatrzył na mnie. – Jestem okropnie zmęczony.

Kiedy to powiedział, uświadomiłam sobie, że rzeczywiście sprawiał wrażenie wyczerpanego, bardziej niż kiedykolwiek. Na jego twarzy pojawiły się nowe głębokie bruzdy, a pod oczami miał głębokie cienie. To było zmęczenie, na jakie nie mógłby pomóc po prostu

dobry i głęboki sen – taki rodzaj zmęczenia, który przenika człowieka do szpiku kości.

Nie mogłam nic na to poradzić, choćby nawet częściowo, więc tylko skinęłam głową i przysunęłam swoje krzesło trochę bliżej do taty. Razem patrzyliśmy, jak niebo rozjaśnia się i przemienia, rozpoczynając nowy dzień.

Rozdział trzydziesty drugi

W końcu zrozumiałam, o czym pisał Dickens. To był najlepszy i najgorszy czas, dokładnie wymieszany.

Sprawy układały się świetnie z Henrym, z Lucy, w pracy, nawet z moim rodzeństwem. Ale każdego dnia stan mojego ojca się pogarszał. Przestały przyjeżdżać furgonetki FedExu, a ja początkowo myślałam, że to tylko przypadek. Kiedy tata drzemał po południu, mama powiedziała mi, że firma przekazała tę sprawę komu innemu. To sprawiło, że tata stał się przygnębiony, nie ubierał się, ledwie czesał włosy i złościł się, kiedy próbowaliśmy z nim rozmawiać. Zrozumiałam, do jakiego stopnia polegałam na świadomości, że on zawsze będzie sobą, pogodnym i żartującym ojcem, którego uważałam za coś oczywistego.

To podsunęło mi jednak pewien pomysł. Leland i Fred zgodzili się pomóc, a wszystko zostało przygotowane podczas popołudniowej drzemki taty. Kiedy się obudził, Warren pomógł mu wyjść na zewnątrz, gdzie zorganizowaliśmy Kino pod Gwiazdami – Wersja Rodzinna Edwardsów. Leland zgodził się obsługiwać projektor, rozłożyliśmy koce na trawie nad jeziorem

i obejrzelśmy film, który – jak zawsze podkreślał ojciec – był idealnym lekarstwem na zły dzień.

Widownia była znacznie mniejsza niż zazwyczaj na plaży – tylko my, Wendy, Leland, Gardnerowie i Henry z ojcem i bratem. Poprosiłam tatę, żeby wygłosił wprowadzenie i wszyscy byliśmy bardzo cicho, podczas kiedy on robił, co w jego mocy, żeby nieco głośniej niż zwykle opowiedzieć nam w krótkich słowach, jak doskonale będziemy się bawić na *W pogoni za cieniem*. Podczas seansu potrafiłam wychwycić śmiech ojca pomiędzy głosami pozostałych.

Film pomógł tacie otrząsnąć się z przygnębienia, ale jego widok w takim stanie wystarczył, żeby mnie wystraszyć. Następných kilka tygodni przypominało wahadło, z dobrymi i złymi dniami stale się zmieniającymi, tak że nigdy nie potrafiłam w pełni cieszyć się z lepszych chwil, wiedząc, że za chwilę przyjdzie kolejne załamanie.

Zaczęliśmy wszyscy zostawać wieczorami w domu i spędzać czas po obiedzie, siedząc przy stole. Nie spieszyliśmy się już, żeby spotkać się z chłopakiem (ja), z dziewczyną (Warren), albo łapać świetliki z Norą (Gelsey). Mimo gorących protestów matki wydobyliśmy starą i podniszczoną planszę do *Rzyka* i rozłożyliśmy ją w salonie, który stał się świątynią strategii. Późniejszym wieczorem, kiedy było już zbyt ciemno lub zbyt zimno, by

siedzieć na werandzie, wchodziliśmy wszyscy do domu, żeby zagrać, aż w końcu tata ziewał, głowa zaczynała mu opadać, a matka ogłaszała zawieszenie broni na noc i razem z Warrenem pomagała tacie wejść na górę.

– Jasne! – powiedziałam do mojej matki z całą złością, na jaką potrafiłam się zdobyć. – Nie ufam ci za grosz, odkąd zostawiłeś mnie w Paragwaju na pewną śmierć. Zapamiętaj to sobie.

– Dobrze powiedziane, Charlie – powiedział mój brat monotonnym głosem, a matka przewróciła stronę, marszcząc brwi.

– Przepraszam – rzuciła po minucie, a Kim i Jeff jęknęli.

– Nie wiem...

– Strona sześćdziesiąta pierwsza – syknęła Nora. – Na dole.

– A, widzę – odparła matka. Odchrząknęła. – Zniszczę cię, Hernandez – powiedziała do mnie. – Dopadnę ciebie i twoją całą rodzinę, aż będziesz mnie błagał o litość. Ale z góry ci powiem, żebyś na nią nie liczył. – Popatrzyła z uśmiechem na Kim i Jeffa. – To jest naprawdę dobre – stwierdziła. Nora uniosła ręce do góry w triumfalnym geście, a tata brawami nagroził jej występ.

Ponieważ nie chodziliśmy nigdzie, znajomi zaczęli

przychodzić do nas. Od czasu do czasu wpadali Gardnerowie, głównie po to, żeby wykorzystać nas w zastępstwie prawdziwych aktorów do odczytania na głosy najnowszego fragmentu scenariusza. Nora robiła notatki dla swoich rodziców, którzy upierali się, żeby w czytaniu brała udział moja matka, mimo że nieustannie przerywała scenę w połowie i wygłaszała swoją opinię.

Kiedy nie zarzynaliśmy scenariusza Gardnerów naszym koszmarnym czytaniem ani nie graliśmy w *Ryzyko*, siedzieliśmy na starej, obitej sztruksem kanapie i oglądaliśmy wszystkie ulubione filmy ojca. Na początku opowiadał nam znacznie więcej ciekawostek, niż chcielibyśmy wiedzieć o *Amerykanizacji Emily* albo *Pan Smith jedzie do Waszyngtonu*, jednak w połowie seansu zazwyczaj zasypiał.

Czasem Wendy albo Henry przychodzili na film albo wspierali nas w walce o władzę nad światem – tylko dzięki pomocy Henry’ego udało mi się w końcu podbić Rosję – ale zwykle byliśmy w piątkę – tylko nasza rodzina. Stwierdziłam, że mi to odpowiada. Myślałam o tych wszystkich wieczorach w Connecticut, kiedy byłam za drzwiami, gdy tylko skończył się obiad, wołając przez ramię, jakie mam plany i idąc do samochodu, żeby zacząć prawdziwy wieczór. Czas spędzany z rodziną był po prostu czymś, co chciałam mieć z głowy jak najszybciej. Teraz, kiedy wiedziałam, że ten czas nie będzie trwał

wiecznie, starałam się go zatrzymać i rozciągnąć, żałując bezustannie, że nie doceniałam tego, co miałam wcześniej.

Zwykle jednak nie spędzałam całego wieczora w domu. Kiedy wszyscy kładli się spać, wymykałam się na zewnątrz. Czasem płynęłam kajakiem do pomostu Lucy, gdzie siedziałyśmy całymi godzinami, mocząc stopy w wodzie i gadając. Nadal pozostawała nieświadoma uczuć Elliota, ale machnęła także ręką na Brettę, kiedy przysłał jej przez pomyłkę całkowicie niedwuznaczny SMS przeznaczony dla jakiejś Lisy. W pewien sobotni wieczór spotkaliśmy się wszyscy na plaży – ja, Henry, Elliot, Leland i Lucy. Rachel i Ivy, pozostałe ratowniczkę, kupiły nam kilka sześciopaków w zamian za to, że Leland wziął za nie kilka dyżurów, więc mogliśmy zrobić imprezę na pustej i ciemnej plaży. Pływaliśmy po ciemku i graliśmy w „Jeszcze nigdy...” (okazało się, że Lucy praktycznie „Zawsze”) – a kiedy zaczęło świtać, Henry zawiózł mnie do domu na kierownicy swojego roweru. Moje mokre włosy były kompletnie poplątane, a ja zamknęłam oczy i rozkoszowałam się wiatrem na twarzy.

Ale imprezy na plaży albo wieczory z Lucy były wyjątkiem od reguły. Jeśli wymykałam się na zewnątrz, szłam zwykle do domu obok. Wiedziałam już, który pokój to sypialnia Henry’ego, a on wiedział, gdzie jest moja sypialnia. Na szczęście mieszkaliśmy oboje na parterze, a ja wyćwiczyłam się w przekradaniu się do jego domu

i leciutkim pukaniu w szybę jego okna. Henry spotykał się ze mną i albo szliśmy na pomost, albo do jego starego domku na drzewie, jeśli wiedział, że Maryanne nie ma akurat w mieście. Kiedy tata miał szczególnie zły dzień, zawsze szłam do Henry'ego. W tym, co działo się z moim ojcem, było coś niewypowiedziane okropnego, tym bardziej, że nie byłam w stanie nic na to poradzić. Jego stan się pogarszał, każda nowa wersja zastępowała poprzednią, a ja z trudem przypominałam sobie, jak to było, kiedy nie chodził całymi dniami w piżamie i szlafroku, kiedy nie musiał zmuszać się do jedzenia, trzęsącą się ręką podnosząc kęsy do ust i kaszląc przy każdej próbie przełykania. Kiedy nie potrzebował pomocy, żeby wstać, usiąść albo wejść po schodach, kiedy to on podnosił najcięższe pudła i zarzucał sobie Gelsey na ramię jak worek kartofli, a gdy byłam bardzo mała, przynosił mnie z samochodu po długiej jeździe, ponieważ udawałam, że zasnęłam. Coraz trudniej było mi przypomnieć sobie, jaki był jeszcze tydzień temu, a co dopiero przed czterema miesiącami, kiedy wydawało się, że wszystko jest w porządku.

Zaczął spać rano do późna, chociaż ja nadal budziłam się o ósmej, spodziewając się, że zobaczę go, jak łaskocze mnie w stopę i mówi, żebym się ruszyła, bo czekają na nas naleśniki. W dni wolne od pracy jeździłam do restauracji, brałam jedzenie na wynos i przywoziłam

mu do domu. Ale kiedy trzy kolejne porcje tostów w styropianowych pudełeczkach czekały nietknięte na blacie w kuchni, przestałam to robić.

W szczególnie złe wieczory – na przykład wtedy, kiedy tata rozzłościł się na moją matkę i natychmiast zrobiło mi się tak przykro, że wyglądał, jakby miał się rozplakać – szłam do Henry’ego, kiedy tylko wszyscy się położyli, a w domu zapadła cisza. Pomimo tamtej rozmowy na łodzi zwykle nie miałam ochoty opowiadać o tym, co się u nas dzieje, chociaż Henry zawsze dawał mi po temu sposobność. Chciałam przede wszystkim poczuć, że obejmuje mnie ramionami, mocnymi i realnymi, podczas kiedy ja próbowałam oderwać się od tych wszystkich emocji, które raniły moje serce tysiącem maleńkich igiełek, co wydawało się jeszcze gorsze niż jeden poważny cios.

Kiedy w domu było bardzo źle, wiedziałam, że szczęście czeka na mnie tuż za rogiem, po sąsiedzku. Ale w każdym szczęśliwym momencie – śmiejąc się z Lucy, całując Henry’ego, podbijając Azję z niewielką armią – nagle trzeźwiałam i przypominałam sobie, że czekają mnie jeszcze gorsze rzeczy i tak naprawdę nie mam prawa się dobrze bawić, podczas gdy mój ojciec przechodzi coś takiego. Pozostawała także nieprzyjemna wiedza, że kiedyś, niedługo, nastąpi punkt zwrotny.

– A tutaj – Henry objął mnie w talii – dzieje się prawdziwa magia.

– Naprawdę? – zapytałam, wspinając się na palce, żeby go pocałować. Byliśmy na zapleczu piekarni, za drzwiami ze stali nierdzewnej, w pomieszczeniu z piecami i stołami do pracy. Miałam wolny dzień, więc przyjechałam do miasta, żeby zrobić zakupy dla matki i odwiedzić Henry'ego. Ponieważ w sklepie nie było akurat klientów, zabrał mnie na zaplecze, żeby mi pokazać, co tam się dzieje.

– Miałem właśnie polukrować te babeczki – powiedział, wskazując miskę pełną białego maślanego lukru, który nawet z odległości pachniał cudownie. – Chcesz mi pomóc?

– Czemu nie – powiedziałam, obejmując go i znowu całując. Byłam w świetnym humorze – tata miał dobry poranek, był na nogach i przytomny, a przy śniadaniu opowiadał stare dowcipy. Ja nie musiałam iść do pracy, spotkałam się z Henrym, a do tego czekało na mnie mnóstwo lukru. Lucy zajmowała się najnowszym chłopakiem, chociaż miałam przeczucie, że to nie potrwa długo, więc nazywałam go po prostu Pittsburghiem. Tak czy inaczej wiedziałam, że nie będzie miała do mnie pretensji o niespędzenie z nią popołudnia, co oznaczało, że

mogłam przeznaczyć ten czas na całowanie się z Henrym. Akurat w tym momencie zadzwoniła moja komórka w torbie na blacie. Nasłuchiwałam przez chwilę – to był dzwonek, który ustawiłam dla telefonu stacjonarnego z domu. Miałam już odebrać, kiedy uświadomiłam sobie, że to na pewno Gelsey.

– Nie odbierzesz? – zapytał Henry.

– Nie – odparłam, podeszłam do telefonu i wyłączyłam dźwięk, żeby nam nie przeszkadzał, kiedy zadzwoni po raz kolejny. – To tylko moja siostra chce, żebym się jej pomogła wystroić. – Henry nadal nic nie rozumiał, więc wyjaśniłam – Dzisiaj otwierają wesołe miasteczko.

Gelsey panikowała z tego powodu od tygodnia i w końcu przyznała mi się, że zakochała się w chłopcu ze swojej grupy tenisowej – co w sumie wyjaśniało, dlaczego ostatnio przestała narzekać na te lekcje. Ona, ten chłopiec, Nora oraz chłopiec, w którym kochała się Nora, mieli się razem spotkać na czymś, co – jak upierała się Gelsey – na pewno nie miało być podwójną randką. Mimo to, kiedy tylko dowiedziała się, że nie idę dzisiaj do pracy, założyła, że spędzę popołudnie, pomagając jej, co jej zdaniem oznaczało, że miałam przemienić ją w piękność za pomocą mojego makijażu. A chociaż chciałam jej pomóc w tych przygotowaniach, nie zamierzałam przeznaczać na to czterech godzin.

– A, wesołe miasteczko – uśmiechnął się Henry.

Odgarnął włosy z mojego czoła i znowu się do mnie uśmiechnął. – Pamiętam je. – Odwzajemniłam uśmiech, całkowicie pewna, że oboje przypominamy sobie to samo. Pocałował mnie jeszcze raz i podszedł do miski z lukrem. – Babeczki.

Henry pokazał mi, jak należy prawidłowo nakładać lukier, a chociaż ja upierałam się, że muszę go co chwila próbować, żeby sprawdzić, czy na pewno jest jeszcze dobry, robota zaczęła nam iść całkiem szybko.

– To nie takie trudne, prawda? – zapytał.

Skinęłam głową, podziwiając moje dzieło. Kiedy skończyliśmy tę porcję, ze sklepu rozległ się dzwonek, a ja pomyślałam, że powinnam pewnie wracać do domu – dostatecznie długo już trzymałam Gelsey w niepewności. Zabrałam sobie babeczkę na drogę i pocałowałam Henry'ego na pożegnanie. Jechałam do domu na rowerze, nucąc pod nosem melodię Warrena i machając do przechodzących ludzi. W połowie drogi do domu wyciągnęłam jednak komórkę, żeby włączyć dzwonek, i uświadomiłam sobie, że coś jest nie tak. Miałam siedem nieodebranych połączeń i dwie wiadomości w poczcie głosowej.

Jechałam jak najszybciej, z nadzieją, że to tylko Gelsey potrzebuje mojej pomocy i jest jak zwykle natrętna. Ale kiedy tylko weszłam na werandę, poczułam w powietrzu ten rodzaj elektrycznego napięcia, które sprawiało, że

włoski na karku stanęły mi dęba. Moja matka stała przy telefonie w kuchni, ale na mój widok rzuciła słuchawkę.

– Gdzieś ty była? – zapytała ze złością. Miała zaczerwienioną twarz, na której gniew w równej proporcji mieszał się ze strachem.

Przełknęłam ślinę, myśląc o połączeniach, które zignorowałam, ponieważ zakładałam, że to tylko Gelsey. Ogarnęło mnie okropne przecucie.

– No... – zaczęłam, czując, jak tłucze mi się serce. Co się stało? – Byłam w mieście. Wyłączyłam dzwonek. Co się stało?

– Twój tata... – Głos mamy załamał się, odwróciła się ode mnie, wycierając oczy dłonią. – Nie jest z nim dobrze. Muszę go zawieźć do szpitala w Stroudsburgu i zobaczyć, co powiedzą.

– Co się dzieje? – zmusiłam się do zapytania, chociaż mój głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

– Nie wiem! – warknęła matka, odwracając się do mnie.

– Przepraszam – powiedziała po chwili, trochę ciszej. – Ja tylko... – Urwała i bezradnym gestem machnęła ręką.

– Gdzie jest Gelsey? – zapytałam, rozglądając się po domu, jakbym spodziewała się zobaczyć moje rodzeństwo siedzące po prostu na kanapie, podczas kiedy wokół działo się to wszystko.

– I Warren?

– Twoja siostra jest obok, u Nory – wyjaśniła mama. –

Warren pojechał gdzieś z Wendy, nie mogłam się do niego dodzwonić.

– Jasne – powiedziałam i odetchnęłam głęboko. – Co mam zrobić?

– Zajmij się siostrą – poprosiła mama, a ja natychmiast poczułam się zawstydzona, że spędziłam całe popołudnie, próbując się właśnie od tego wykręcić. – Nie mów jej, że pojechaliśmy do szpitala. Strasznie czekała na dzisiejszy wieczór. Powiem jej, kiedy wrócę.

Oddech uwiązał mi w gardle, ponieważ zauważyłam, że użyła liczby pojedynczej.

– Ale tata też wróci, prawda? – zapytałam powoli.

Matka wzruszyła ramionami, jej podbródek zadrżał, a ja poczułam, że żołądek mi się zaciska. Na moment przycisnęła rękę do oczu i odetchnęła głęboko. Kiedy znowu się odezwała, była spokojniejsza, znowu rzeczowa, tak jak zwykle.

– Potem prosiłabym, żebyś albo była w domu, albo pod komórką, na wypadek, gdybym miała jakieś nowe wiadomości. – Skinęłam głową, czując zalewającą mnie drugą falę wstydu, że przez całe popołudnie celowo ignorowałam swój telefon. – Jeszcze jedno. – Matka przygryzła wargi i wyglądała, jakby się nad czymś zastanawiała. – Chciałabym, żebyś zadzwoniła do dziadka.

– Aha. – Nie spodziewałam się tego usłyszeć. – Jasne,

ale dlaczego? – Ojciec mojego ojca był emerytowanym oficerem marynarki wojennej, wykładał obecnie w West Point i zawsze kojarzył mi się z kapitanem Von Trappem z *Dźwięków muzyki* – tylko bez pogodnego charakteru i słabości do piosenek o kwiatach. Zawsze się go trochę bałam, a tych kilka razy w roku, kiedy się widywaliśmy, nigdy nie mieliśmy o czym rozmawiać.

– Chciał wiedzieć... kiedy nastąpi odpowiedni moment – wyjaśniła matka. – Chce przyjechać, żeby się pożegnać.

Skinęłam głowę, ale czułam, jakby ktoś mnie właśnie pozbawił oddechu.

– Jaki moment? – zapytałam, chociaż właściwie nie chciałam usłyszeć odpowiedzi, ponieważ obawiałam się, że już ją znam.

– Chciał przyjechać – powtórzyła powoli moja matka, jakby musiała zastanawiać się nad każdym słowem – kiedy twój ojciec będzie jeszcze wiedział, co się wokół niego dzieje. Kiedy jeszcze... będzie z nami.

Znowu skinęłam głowę, głównie po to, żeby coś zrobić. Trudno mi było uwierzyć, że zaledwie dwadzieścia minut temu podjadłam lukier i całowałam się z Henrym.

– Zadzwońię do niego – obiecałam, starając się, żeby to zabrzmiało pewnie i rzeczowo, a nie tak, jak się czułam, czyli dokładnie przeciwnie.

– Doskonale – powiedziała mama. Położyła mi na moment rękę na ramieniu, a potem weszła do domu

i poszła na górę, wołając mojego ojca.

Piętnaście minut później wzięliśmy tatę pod ramiona, sprowadziłyśmy go po schodach i posadziłyśmy z tyłu w samochodzie. Zmiana, jaka w nim zaszła zaledwie od rana, była przerażająca – jego skóra przybrała teraz szarawy odcień, na czole miał kropelki potu, a oczy zaciskał mocno, chyba głównie z powodu bólu, jaki odczuwał. Nie przypominałam sobie, żeby tata dawniej narzekał na swoje samopoczucie i nigdy nie widziałam, żeby płakał, ale teraz jego czoło było zmarszczone, a z gardła wyrывały mu się niskie jęki, przerażające mnie tak, jak nic nigdy wcześniej.

Kiedy Murphy zobaczył, że tata wsiada do samochodu, przybiegł pędem i wskoczył na tylne siedzenie. Sięgnęłam po niego, ale wymknął się i schował za fotelem kierowcy.

– Taylor, możesz zabrać psa? – poprosiła mama, kładąc na siedzeniu obok torbę podróżną. Miałam właśnie zapytać, co w niej jest, ale domyśliłam się, że to ubrania na zmianę, na wypadek, gdyby mama albo tata musieli zostać dłużej.

Sięgnęłam po Murphy'ego, który próbował uciec. Wyraźnie uparł się, że chce być razem z tatą.

– Przestań – rzuciłam ostrzej, niż zamierzałam, złapałam go za kark i zatrzasnęłam drzwi samochodu.

– Zadzwoń, jak będę coś wiedziała – obiecała mama i usiadła za kierownicą.

– Okej – odparłam, trzymając mocno psa, który tylko czekał na okazję, żeby mi się wyrwać. – Będę w domu. – Zmusiłam się do uśmiechu i pomachałam im, kiedy samochód wycofywał się po podjeździe, chociaż moja mama była skoncentrowana na jeździe na wstecznym, a ojciec miał zamknięte oczy.

Kiedy zniknęli mi z oczu, pies przestał mi się aż tak wyrwać. Pogłodziłam go po szorstkim łbie i odetchnęłam, całkiem roztrzęsiona. Doskonale rozumiałam, jak się czuje.

Na szczęście Gelsey była zbyt podekscytowana wyprawą do wesołego miasteczka, żeby zadawać za dużo pytań. Kiedy przyszła od Nory, powiedziałam jej, że tata ma wizytę u lekarza, co – jak uznałam – brzmiało mniej przerażająco niż to, że pojechał do szpitala. Gelsey po prostu przyjęła to do wiadomości bez dalszych pytań.

Prostowałam Gelsey włosy, podczas gdy ona rozmawiała z Norą przez komórkę, naradzając się w sprawie każdego nowego pomysłu na jakiś element stroju. Stałam za moją siostrą, obserwowałam w lustrze jej podekscytowaną twarz, słuchałam, jak chichocze, rozmawiając z najlepszą przyjaciółką, i czułam się zarówno zazdrosna o to, że może jeszcze być tak beztroska, oraz niespokojna na myśl o tym, że niedługo nie będzie mogła się tak śmiać. Żadne z nas nie będzie mogło.

Prostowanie tak kręconych włosów, jakie miała Gelsey, zajęło sporo czasu. – Potem posadziłam moją młodszą siostrę na blacie w łazience i zrobiłam jej makijaż, nie tak mocny, jak chciała, ale z pewnością bardziej widoczny, niż życzyłyby sobie tego mama. Kiedy skończyłam, zakręciłam maszarę i cofnęłam się o krok, żeby Gelsey mogła podziwiać swoje odbicie.

Pochyliła się do lustra, żeby z bliska ocenić swój nowy wygląd.

– Jak myślisz? – zapytała. – Wyglądam tak jak ty?

Popatrzyłam na nią szeroko otwartymi oczami. Chciała wyglądać tak jak ja? Zamrugałam i przyglądałam jej włosy z tyłu. To w sumie wyjaśniało, czemu chciała je wyprostować.

– Nawet lepiej – uśmiechnęłam się do niej w lustrze. Gelsey odwzajemniła uśmiech, ale w tym momencie zadzwoniła jej komórka, więc zeskoczyła z blatu, pogrążona w rozmowie z Norą, i pobiegła do sypialni.

Kim i Jeff mieli zawieźć dziewczynki do wesołego miasteczka, więc przyszli razem z Norą.

– Gdzie są Katie i Rob? – zapytała Kim, kiedy Gelsey i Nora wzięły swoje torebki i poszły ostatni raz przejrzeć się w lustrze.

– Wszystko w porządku?

– Musieli jechać do Stroudsburga – wyjaśniłam, starając się mówić spokojnie. Popatrzyłam na Kim

i zobaczyłam, że jest zaniepokojona i chciałyby wiedzieć coś więcej. – Pojechali do szpitala – dodałam, przy ostatnim słowie tracąc panowanie nad głosem. Odetchnęłam głęboko. Wiedziałam, że muszę się trzymać jeszcze przez kilka minut, żeby nie zrujnować wieczoru mojej siostrze.

Kim skinęła głową, a chociaż widziałam, że chciałyby to zrobić, nie zadawała pytań, za co byłam jej wdzięczna, tym bardziej, że sama nic więcej nie wiedziałam.

– No cóż – odezwała się po chwili. – Daj nam, proszę, znać, gdybyśmy mogli coś dla was zrobić. Myślmy ciepło o waszym tacie.

– Tak właściwie, to czy Gelsey mogłaby u was przenocować? – zapytałam. Nie byłam pewna kiedy i czy w ogóle moja matka wróci dzisiaj wieczorem, a w ten sposób mogłam zyskać trochę na czasie.

– Oczywiście. – Kim uśmiechnęła się. – Nora pytała mnie o to samo, więc miałam to uzgodnić z waszą mamą. – Gelsey! – zawołała, podchodząc do Jeffa, który bezskutecznie próbował namówić Murphy’ego do aportowania. – Chcesz u nas przenocować po wesołym miasteczku?

Perspektywa imprezy pizamowej jako zakończenia walenie-randki znacząco podniosła poziom decybeli w salonie, aż Murphy uciekł do mojego pokoju, niewątpliwie szukając tam schronienia pod łóżkiem.

Kiedy Gelsey i Nora były w końcu gotowe, wpackowały się do toyoty Gardnerów i machały mi przez tylną szybę, kiedy samochód wyjeżdżał na ulicę.

Patrzyłam, jak odjeżdżają, a potem zamknęłam drzwi werandy, weszłam do środka i usiadłam na najbliższej kanapie, żeby pomyśleć. Nie potrafiłam zapomnieć matki pytającej mnie, gdzie byłam. Wiedziałam, dlaczego jej nie powiedziałam – ponieważ wyszłoby, że jestem kompletnie głupia i beztroska. Nie było mnie i nie mogłam pomóc przy ojcu, ponieważ chichotałam, jakbym była w wieku Gelsey, i całowałam się z Henrym. Nie było mnie tam, gdzie byłam potrzebna. To, co działo się z moim ojcem, było ważniejsze od mojego wakacyjnego romansu, a ja nie powinnam o tym zapominać.

Ale nie chodziło tylko o to – uświadomiłam to sobie, kiedy wstałam i poszłam do kuchni, żeby wziąć z lodówki colę light, na którą właściwie nie miałam ochoty. Chodziło o to, jak bardzo zaczęłam polegać na Henrym, jak uciekałam do niego każdego wieczora, kiedy potrzebowałam pocieszenia. Co by się stało, gdyby go tu nie było? Co się stanie, kiedy wakacje się skończą, a ja wrócę do Stanwich i będę musiała się nauczyć żyć bez niego? Z tego, co mówili lekarze ojca, wynikało, że wszyscy spodziewali się, że będzie żył do końca wakacji, ale nikt nie dawał nadziei na nic więcej. A jeśli będę musiała sobie radzić z okropnym rozstaniem z Henrym

i jednocześnie ze stratą ojca – nie pozwoliłam sobie nawet dokończyć tej myśli. Czułam, że muszę być w ruchu, jakbym mogła dzięki temu jakoś uciec, więc wyszłam na zewnątrz, zamykając za sobą siatkowe drzwi, i zesłam na pomost.

Do tego przewidywałam jeszcze, choć nadal było to głęboko skryte w cieniu przyszłości, w jak opłakanym stanie będę, kiedy stanie się to, co nieodwołalne. Czy naprawdę miałam prawo wciągać w to wszystko Henry'ego? Zwłaszcza jeśli wiedziałam, jak bardzo starał się opiekować Davym – właściwie każdym, łącznie z moim ojcem, któremu próbował pomagać ciasteczkami. Zawsze pomagał innym, wiedziałam o tym od naszego spotkania siedem lat temu, kiedy po raz pierwszy przyszedł mi z pomocą. Wiedziałam, że zostanie ze mną mimo wszystko, ponieważ to właściwa rzecz do zrobienia. Ale nie chciałam go zmuszać do podjęcia się takiej odpowiedzialności. I bez tego przeszedł już dostatecznie dużo.

Doszłam do końca pomostu i usiadłam, zwieszając nogi z krawędzi. Zapadał zmierzch, niebo ciemniało, a pierwsze gwiazdy właśnie zaczęły się pojawiać, ale prawie nie zwracałam na to uwagi. Musiałam zakończyć związek z Henrym, zanim zostanie wciągnięty w to, co musi się wydarzyć. Musiałam to przerwać, zanim sprawy zajdą dalej, zanim uzna, że ma jakieś zobowiązania

wobec mnie. Nagle samo to, że w ogóle się do niego zbliżyłam, wydało mi się okropnie samolubne. Było mnóstwo powodów, dla których nasz związek nie wydawał się najlepszym pomysłem. Nie dało się ich ignorować. Zobaczyłam, że zapaliło się światło w sypialni Henry’ego, więc wyciągnęłam komórkę. Musiałam to zrobić szybko, zanim znowu się zaczę zastanawiać albo przypomnę sobie, jak śmialiśmy się razem i jak roztapiałam się pod jego pocałunkami. To tak, jak zrywanie plastra z rany – początkowo bolesne, ale na dłuższą metę lepsze dla każdego.

Odetchnęłam głęboko i wysłałam mu SMS z prośbą, żeby przyszedł na pomost.

Henry szedł w moją stronę z uśmiechem, a chociaż chciałam odwrócić głowę, zmusiłam się, żeby na niego patrzeć i zapamiętać, jak wygląda, kiedy się cieszy na mój widok. Miałam przeczucie, że to może być ostatni raz, kiedy mam okazję to obserwować.

– Cześć – powiedział i podszedł do mnie z wyciągniętymi rękami, wyraźnie w oczekiwaniu, że wyjdę mu naprzeciw. Ale ja splotłam ręce za plecami i cofnęłam się o pół kroku, przypominając sobie całą listę powodów, dla których muszę to zrobić. Uśmiech Henry’ego odrobinę przybladł, uniósł jedną brew.

– Coś się stało?

– Myślę, że musimy przestać – wypaliłam. Uderzyło mnie, że to samo powiedziałam, kiedy po raz pierwszy proponowałam mu przyjaźń. Z jakichś powodów coś w nim nie ułatwiało mi skierowania rozmowy na odpowiedni temat. Henry wyglądał na zaskoczonego, więc sprecyzowałam: – Ty i ja. To, co robimy. Powinniśmy przestać.

Henry rzucił mi długie spojrzenie, popatrzył na jezioro, a potem znowu na mnie. Nie mogłam nie zauważyć, że go zraniłam – na jego twarzy malował się ból, którego nie było zaledwie kilka sekund wcześniej.

– Dlaczego? – zapytał. Jego głos był łagodny, nie żądał wyjaśnień, chociaż miał do nich pełne prawo. – Co się dzieje, Tay?

Wiedziałam, że zauważy, jeśli spróbuję go okłamać, a poza tym nie zasługiwał na to.

– Po prostu... – Odetchnęłam głęboko. – Po prostu muszę teraz spędzać cały czas z rodziną. To nie fair, wymagać od ciebie, żebyś był ze mną, kiedy przechodzę przez to wszystko.

– Więc mam po prostu sobie zniknąć? – zapytał Henry, zranionym i zdumionym głosem. – Taki masz plan?

– Nie chcę, żebyś... – zaczęłam.

– Taylor. – Henry zrobił krok w moim kierunku i nagle był tuż obok, blisko, tak blisko, że mogłabym się wyciągnąć i pocałować go, przytulić się do niego, zrobić

to wszystko, czego chciałam. – Nie przejmuj się mną. Naprawdę.

To było trudne, prawie niemożliwe, ale zmusiłam się, żeby się cofnąć o krok.

– Po prostu nie mogę teraz być z tobą – powiedziałam. – Z nikim – dodałam szybko, żeby nie pomyślał, że nagle z jakichś dziwaczkich powodów straciłam głowę dla Lelanda. – Po prostu myślę, że tak będzie najlepiej.

– Okej. – Henry nie odrywał ode mnie spojrzenia. – Ale możemy być przyjaciółmi, prawda?

Przełknęłam ślinę i zmusiłam się, żeby potrząsnąć głową. Wiedziałam, że jeśli pozostanie w moim życiu, nie będę się potrafiła powstrzymać od pragnienia całowania go, szukania u niego pociechy.

– Nie – wyszeptałam.

Twarz Henry'ego zmieniła się, po raz pierwszy od początku rozmowy sprawiał wrażenie rozgniewanego.

– Pozbywasz się też Lucy? – zapytał. Patrzyłam tylko na deski pomostu, pozwalając mu się domyślić odpowiedzi. – Nie rozumiem – powiedział spokojniej. – Dlaczego tylko ja mam zostać spławiony?

Nie miałam pojęcia, jak na to odpowiedzieć, jak mu powiedzieć całą prawdę – że zakochuję się w nim coraz bardziej, a jestem właśnie w przededniu utracenia kogoś, kogo kocham. Im bliżej będziemy, tym trudniej mi będzie rozstać się także z nim.

– Przepraszam – szepnęłam. – Ale nie wiesz, jak to jest, a...

– Wiem – przerwał mi, co sprawiło, że spojrzałam na niego.

– Moja matka odeszła i...

– Ale ona nie umarła. – Mój głos był ostrzejszy, niż myślałam.

– Możesz z nią porozmawiać, jeśli zechcesz. Możesz ją odnaleźć. Nie musi być nieobecna. To twój wybór. – Henry cofnął się, jakbym go spoliczkowała. – Przepraszam – powiedziałam po chwili. Wiedziałam, że posunęłam się za daleko.

Henry odetchnął głęboko i znowu na mnie spojrzał.

– Po prostu chcę być dla ciebie oparciem – powiedział cichym, pełnym bólu głosem. – Nie rozumiem, co się nagle zmieniło.

Poczułam nagłą potrzebę, żeby opowiedzieć mu o szpitalu, o moim dziadku, o wszystkim. Chciałam poczuć jego ramiona wokół siebie – jedyną rzecz, jaka miała sens w rozpadającym się wokół mnie świecie. Ale miałam przeczucie, żeby gdybym to zrobiła, on – i ja – cierpielibyśmy po wakacjach znacznie bardziej niż w tym momencie.

– Nie potrafię tego wyjaśnić – powiedziałam, starając się, żeby mój głos brzmiał możliwie zimno. Chciałam go odepchnąć na tyle mocno, żeby sobie poszedł i już nie

wrócił. – Przepraszam.

Henry popatrzył na mnie i przez ułamek sekundy zobaczyłam na jego twarzy cały ból – ból, który mu zadałam. Potem skinął głową i tak po prostu zaczął się zachowywać tak, jak zachowywał się w stosunku do mnie na początku wakacji – z odrobiną dystansu i chłodu.

– Skoro tego chcesz – powiedział. Skinęłam głową i wbiłam sobie mocno paznokcie w dłonie, żeby się powstrzymać przed powiedzeniem mu, że zmieniłam zdanie. Popatrzył na mnie jeszcze raz, a potem odwrócił się i zszedł z pomostu, wpychając ręce do kieszeni.

Kiedy za nim patrzyłam, poczułam, że po policzku spływa mi jedna łza, a potem następna, ale nie zawracałam sobie głowy wycieraniem ich. Kiedy byłam pewna, że wrócił już do siebie, sama poszłam powoli w stronę domu, pilnując się, żeby nie obejrzeć się na pomost i na to, co wryliśmy na nim tak dawno temu – znak plusa i serce, które znowu stały się nieprawdą.

Rozdział trzydziesty trzeci siedem wakacji wcześniej

Całkiem serio się zgubiłam.

Obróciłam się o trzysta sześćdziesiąt stopni, ale wokół widziałam tylko drzewa, a wszystkie drzewa wyglądały dokładnie tak samo. Nie było nawet śladu ścieżki, którą wmaszerowałam do lasu. Drzewa zasłaniały słońce, a w głębi lasu było ciemniej, niż się spodziewałam. Czulałam, że serce zaczyna mi mocniej walić, więc zamknęłam oczy i odetchnęłam głęboko. Widziałam, jak mój tata to robi, zanim wygłosi mowę przed sądem, a raz zrobił tak, gdy zobaczył, jak wygląda jego samochód, kiedy mama wleciała nim na drzewo, które wyskoczyło znikąd.

Ale kiedy otworzyłam oczy, nic się nie zmieniło. Nadal nie wiedziałam, gdzie jestem, zrobiło się tylko odrobinę ciemniej. Nie wybierałam się wcale do lasu, ale byłam okropnie wściekła na Warrena, który nie chciał ze mną zagrać w swoją głupią grę. Powiedziałam o tym mamie, ale ona pomagała Gelsey przy nowych baletkach i oznajmiła, że nie ma teraz czasu się mną zajmować, więc

wyszłam z domu; chciałam wziąć rower i pojechać nad jezioro albo wpaść do Lucy i zapytać, czy nie ma dla mnie czasu. Ale im dłużej myślałam o niesprawiedliwości losu, tym bardziej zła się robiłam, aż w końcu sama siebie przekonałam, że chcę tylko być całkiem sama. Na początku byłam zajęta rozglądaniem się i podziwianiem wszystkiego – ogromne – go mrowiska, o którym powiedziałabym Warrenowi, gdybym z nim rozmawiała, sprężystego mchu pokrywającego korzenie drzew, dziesiątek tysięcy paproci – aż wreszcie zatrzymałam się, rozejrzałam i stwierdziłam, że nie mam pojęcia, gdzie jestem. Uznałam, że nie mogłam odejść zbyt daleko, więc poszłam z powrotem, ale chociaż byłam pewna, że wiem, gdzie jest droga do mojego domu, widziałam tylko drzewa, drzewa i jeszcze więcej drzew. Zmieniłam kierunek, ale to nie pomogło i sprawiło tylko, że do końca straciłam orientację. A teraz robiło się ciemno, a mnie zaczynała ogarniać panika pomimo głębokich oddechów. W Lake Phoenix miałam mnóstwo swobody i przez cały dzień mogłam robić, co tylko chciałam, o ile tylko wracałam do domu na obiad. A chociaż moja mama zawsze narzekała, kiedy tak robiłam, zdarzało się, że jadłam obiad u Lucy i zapomniałam zadzwonić. Dlatego mogły minąć całe godziny, zanim ktoś zauważy, że zniknęłam i że coś jest nie tak. A wtedy będzie już ciemno. A w lesie są niedźwiedzie. Poczułam w oczach

pierwsze gorące łzy, więc zamrugałam gwałtownie, żeby je powstrzymać. Uda mi się znaleźć drogę powrotną. Muszę tylko myśleć racjonalnie, a nie panikować.

Z tyłu za mną trzasnęła gałązka, a ja podskoczyłam. Serce waliło mi jak młotem. Odwróciłam się z głęboką nadzieją, że to tylko wiewiórka, albo jeszcze lepiej motyl – w sumie wszystko, byle nie niedźwiedź. Zobaczyłam chłopca mniej więcej w moim wieku. Był chudy, miał podrapane kolana i strzechę brązowych włosów.

– Cześć – powiedział, podnosząc rękę na powitanie.

– Cześć – odparłam, przyglądając mu się uważniej. Nie znałam go, a znałam wszystkie dzieciaki, których rodziny miały domy w Lake Phoenix – większość z nas przyjeżdżała tutaj od niemowlęctwa.

– Zgubiłaś się? – zapytał. Nie mówił tego z drwiną i trafił w dziesiątkę, ale mimo wszystko policzki mi poczerwieniały.

– Nie – oznajmiłam, krzyżując ramiona na piersi. – Poszłam tylko na spacer.

– Zachowujesz się, jakbyś się zgubiła – zauważył tym samym rzeczowym tonem. – Cały czas obracasz się w kółko.

– Nie zgubiłam się – warknęłam. Miałam ogromną ochotę potrząsnąć z wyższością głową. Bohaterka książki, którą czytałam, bardzo często to robiła, a ja czekałam na jakąś okazję, żeby wypróbować ten gest, chociaż nie

wiedziałam dokładnie, jak by to miało wyglądać.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Okej – powiedział. Odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku, ale kiedy zrobił kilka kroków, pisnęłam:

– Zaczekaj!

Podbiegłam do niego.

– Może się troszeczkę zgubiłam – przyznałam, kiedy znalazłam się przy nim. – Próbuję wrócić na Dockside Terrace. Albo na dowolną ulicę, wtedy znajdę już drogę do domu.

– Nie wiem, gdzie to jest. – Wzruszył ramionami. – Ale jeśli chcesz, mogę cię zaprowadzić na ulicę, na której mieszkam. Nazywa się chyba Hollyhock Street.

Wiedziałam doskonale, gdzie to jest – dziesięć minut jazdy rowerem od mojego domu, co uświadomiło mi, jak bardzo straciłam poczucie kierunku.

– Wprowadziłeś się niedawno? – zapytałam, idąc obok niego. Był ode mnie trochę niższy, a kiedy patrzyłam na niego z góry, widziałam inwazję piegów na jego nosie i policzkach.

– Dzisiaj po południu – powiedział, kiwając głową.

– To skąd wiesz, gdzie masz iść? – zapytałam lekko podniesionym głosem, ponieważ znowu zaczęła mnie ogarniać panika. Czy teraz zgubiliśmy się we dwoje? Czy niedźwiedzie będą mogły sobie wybrać przystawkę

z menu?

– Umiem chodzić po lesie – wyjaśnił tym samym spokojnym głosem. – Mamy las przy naszym domu w Maryland. Szukamy po prostu odpowiednich znaków i dlatego mogę zawsze wrócić, nawet jeśli nie wiem, gdzie jestem.

To mi się wydawało skrajnie nieprawdopodobne.

– Serio?

Uśmiechnął się do mnie, a ja zobaczyłam, że jego przednie zęby są lekko krzywe, tak jak zęby Warrena, zanim zaczął nosić aparat.

– Serio – potwierdził. – Widzisz? – Wskazał mi prześwit między drzewami, a ja ku swojemu zdumieniu zobaczyłam ulicę i jadące samochody.

– O kurczę – poczułam zalewającą mnie falę ulgi. – Myślałam, że nigdy się stamtąd nie wydostanę. Myślałam, że zeżrą mnie niedźwiedzie. Dziękuję!

– Nie ma za co – wzruszył ramionami. – To nic takiego.

Kiedy to powiedział, uświadomiłam sobie, że nie próbował się przechwalać, nie powiedział „a nie mówiłem” ani nie dokuczał mi, że skłamałam i mimo wszystko potrzebowałam jego pomocy. Kiedy patrzyłam na niego, w jego spokojne, brązowo-zielone oczy, poczułam się zadowolona, że mimo wszystko nie potrząsnęłam z wyższością głową.

– Tak przy okazji, jestem Taylor.

– Miło mi cię poznać – odpowiedział z uśmiechem. –
Jestem Henry.

Rozdział trzydziesty czwarty

Tata przyjechał ze szpitala następnego dnia, ale było jasne, że sprawy nie wrócą do tego, co ostatnio uznawaliśmy za normę. Lekarze stwierdzili, że musi się znajdować pod stałą opieką, najwyraźniej też miał niedługo potrzebować pomocy, jakiej my nie potrafilibyśmy zapewnić. Dlatego warunkiem jego powrotu do domu było zatrudnienie obecnych przez całą dobę pielęgniarzy. Tacie nie wolno też było wchodzić po schodach, więc łóżko – takie sterowane pilotem, podnoszone i opuszczane, jak w szpitalach – zostało ulokowane w salonie, a stół, którego nigdy nie używaliśmy, odsunęliśmy pod ścianę, żeby zrobić miejsce. W kącie werandy stał wózek inwalidzki, jak okropna zapowiedź tego, co ma nastąpić.

Poczucie, że skończyły się znane nam wakacje, przypieczętował przyjazd mojego dziadka. Po rozmowie na pomoście z Henrym wróciłam do domu i płakałam przez godzinę, czym śmiertelnie przeraziłam Warrena. Przyjechał do domu z Wendy i pizzą na obiad, nie spodziewając się ani złych wieści o tacie, ani załamania nerwowego u swojej siostry. Kiedy zdołałam się

opanować, wraz z Warrenem jako wsparciem moralnym zadzwoniłam do dziadka w Nowym Jorku i powiedziałam mu, jaka jest sytuacja. Kiedy przerwałam dla nabrania oddechu, zapowiedział od razu, którym autobusem przyjeżdża i o której mam po niego wy – jechać. Dlatego kiedy moja matka rozmawiała z ludźmi od opieki medycznej i instalowała łóżko, a Warren zabrał Gelsey na lody, żeby wyjaśnić jej, co się dzieje (mniejsza o to, że była dziesiąta rano), ja pojechałam do Mountainview po dziadka.

Przyjechałam wcześniej i zaparkowałam w pobliżu dworca autobusowego, ale dopiero kiedy wysiadłam z samochodu, przyszło mi do głowy, że powinnam się była jakoś przygotować. Nie miałam nawet butów, co w Lake Phoenix nie stanowiło żadnego problemu – stopy stwardniały mi na tyle, że mogłam spokojnie biegać na bosaka po podjeździe, wołałam też prowadzić bez butów, czując pojedyncze ziarna piasku i żwiru pomiędzy moją stopą a pedałem. Mimo wszystko zwykle pamiętałam, żeby wrzucić do auta klapki i w razie czego nie wyglądać, jakbym przyjechała ze wsi. Ale całą noc leżałam bezsennie i zastanawiałam się, czy postąpiłam właściwie w przypadku Henry’ego, a od rana w domu było pełno nowego sprzętu i ludzi, więc nie czułam się zbyt przytomna.

Autobus przyjechał punktualnie, podeszłam do niego po

nagrzanym chodniku, kiedy otworzyły się drzwi i zaczęły wysiadać pasażerowie. Mój dziadek wysiadł jako trzeci, a kiedy mu pomachałam, skinął mi głową na przywitanie.

Chociaż była sobota rano, a temperatura zbliżała się do trzydziestu stopni, dziadek miał na sobie koszulę z kołnierzykiem i niebieski blezer, wyprasowane spodnie khaki oraz miękkie półbuty. Siwe włosy miał gładko zaczesane, niósł niedużą skórzaną torbę podróżną i większą walizkę z taką łatwością, jakby nic nie ważyły. Kiedy podszedł, ukłuła mnie boleśnie świadomość, że dziadek, który zawsze był dla mnie stary, teraz wydawał się w o wiele lepszej kondycji niż tata.

– Taylor – powiedział i przytulił mnie szybko. Nie przypominał mojego ojca, który, sądząc po zdjęciach, jakie widziałam, wdał się raczej w moją babcię. Teraz jednak po raz pierwszy zauważyłam, że dziadek miał takie same niebieskie oczy jak tata. I jak ja.

– Cześć – powiedziałam, czując się od razu skrzepowana i zastanawiając, jak długo zamierza u nas zostać. – Samochód stoi tam.

Kiedy szliśmy do samochodu, zauważyłam, że dziadek spojrzał na moje stopy i uniósł brwi, ale nie powiedział ani słowa, za co byłam mu wdzięczna. Nie byłam pewna, jak miałabym wyjaśnić, dlaczego dzisiaj rano zapomniałam założyć butów.

– No dobrze – powiedział dziadek, kiedy jechaliśmy do

Lake Phoenix. Zauważyłam, że jak zwykle siedzi wyprostowany jak struna i poczułam, że sama odruchowo się prostuję. – Jak się czuje Robin?

Potrzebowałam chwili, żeby zrozumieć, że mowa jest o moim tacie. Wiedziałam, oczywiście, że ma na imię Robin, ale to kojarzyło mi się tylko z niewielkim ptaszkiem, rudzikiem. Tata zawsze przedstawiał się jako Rob i mój dziadek był praktycznie jedyną osobą, która używała pełnej wersji jego imienia.

– Wrócił ze szpitala – powiedziałam, nie ufając sobie na tyle, żeby rozwijać temat. Tata przespał większość przedpołudnia, nawet instalację łóżka szpitalnego, która była na tyle hałaśliwa, że Murphy uciekł i schował się w bezpieczne miejsce. Dziadek skinął głową i popatrzył w okno, a ja spróbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział moją tatę – to musiało być kilka miesięcy temu, kiedy ciągle wydawał się zdrowy, silny i normalny. Nie miałam pojęcia, na ile dziadek jest przygotowany na te zmiany, jakie zaszły w jego synu, a z którymi sama ledwie potrafiłam się pogodzić. – Nie jest z nim dobrze – odezwałam się, patrząc przed siebie i koncentrując się na czerwonym świetle. – Możesz być trochę zaskoczony, jak go zobaczysz.

Dziadek znowu skinął głową i odrobinę ściągnął ramiona, jakby przygotowywał się psychicznie na to, co nastąpi. Po kilku minutach jazdy w ciszy wyciągnął coś

z torby.

– Zrobiłem to dla twojej siostry – powiedział. – Kończyłem w autobusie. – Wyciągnął do mnie rękę, kiedy dojechałam do następnych świateł i zwolniłam na żółtym. – Myślisz, że się jej spodoba?

Popatrzyłam. To był mały piesek wyrzeźbiony niesamowicie szczegółowo w kawałku drewna.

– Sam to zrobiłeś? – zapytałam z podziwem. Samochód za mną zatrąbił, a ja zauważyłam, że światło się zmieniło. Ruszyłam dalej, a dziadek obrócił pieska w dłoniach.

– Nauczyłem się robić takie rzeczy, kiedy służyłem na moim pierwszym statku i miałem wachty kuchenne – wyjaśnił. – Byłem najlepszy ze wszystkich w rzeźbieniu w kartoflach. – Uśmiechnęłam się, lekko zaskoczona tym, że dziadek najwyraźniej miał poczucie humoru. – Twoja matka powiedziała mi, że macie teraz psa, ale nie powiedziała, jakiego. Więc zrobiłem kundla.

– Nasz pies to właśnie kundel – zapewniłam go, rzucając jeszcze raz okiem na małą figurkę. – Jestem pewna, że Gelsey będzie zachwycona. – Kiedy teraz myślałam o tym, jak rzeźbił dla niej pieska, poczułam się zawstydzona, że moją pierwszą myślą na jego widok było to, jak długo zostanie. Wyobraziłam sobie, jak pracował nad figurką w autobusie i pomyślałam, że to dobrze, że nie postanowił przylecieć samolotem. Miałam przecucie, że ochrona lotniska nie byłaby zachwycona.

– To świetnie. – Dziadek schował prezent do torby. – Wiem, że musi jej być bardzo ciężko. Tak jak wam wszystkim.

Skinęłam głową i zacisnęłam palce na kierownicy, powtarzając sobie, że muszę jeszcze trochę wytrzymać. Nie chciałam rozplakać się akurat przy dziadku.

Kiedy podjechałam pod dom, furgonetka firmy medycznej już odjechała, ale koło auta mamy stał nieznamy samochód, który – jak się domyślałam – musiał należeć do pielęgniarki.

– Jesteśmy – powiedziałam, chociaż to chyba było oczywiste, biorąc pod uwagę, że zaparkowałam i zgasiałam silnik. Dziadek zabrał swoje bagaże, machnął ręką, kiedy chciałam pomóc, i ruszył za mną do domu.

Tata leżał na kanapie i z bladym uśmiechem słuchał Gelsey, która usiadła obok i najwyraźniej opowiadała mu o wizycie w wesołym miasteczku. Umilkła, kiedy stanęliśmy w drzwiach. Ojciec także powoli odwrócił głowę, ale ja obserwowałam twarz dziadka.

Nigdy nie widziałam, żeby dziadek płakał. Nie był skłonny do wylewności, a z ojcem witali się zawsze uściskiem dłoni i klepnięciem po plecach. Nigdy nie widziałam, żeby dziadek się rozklejał, ale teraz, kiedy zobaczył tatę, miałam wrażenie, że nagle, na moich oczach, przybyło mu z pięć lat. Potem znowu się wyprostował i podszedł do kanapy, kiwając Gelsey głową na

przywitanie.

Ku mojemu zdziwieniu przytulił łagodnie ojca i zaczął go lekko kołysać, podczas gdy tata ścisnął jego dłonie. Dałam znak Gelsey, która wstała i podeszła do mnie.

– Z dziadkiem wszystko w porządku? – zapytała, kiedy razem wycofałyśmy się na zewnątrz.

– Chyba tak – odparłam. Na moment zerknęłam jeszcze raz do salonu i uderzyło mnie, jak drobny wydawał się mój tata w ramionach dziadka. Prawdopodobnie tak, jak bardzo dawno temu, kiedy sam był małym chłopcem. Ostrożnie zamknęłam za sobą drzwi, żeby umożliwić dziadkowi spędzenie chwili sam na sam ze swoim synem.

Nie mogłam zasnąć w nocy. Nie było w tym nic niezwykłego. Niezwykłe okazało się to, że nie byłam sama.

Dawniej poszłabym do domu obok, do Henry'ego, żeby postarać się na chwilę o wszystkim zapomnieć. To, że nie mogłam tego zrobić – w dodatku z własnego wyboru – sprawiało, że bezsenne leżenie w łóżku stało się nieznośne.

Sprawy dodatkowo pokomplikowały się przez nowy układ w domu – dziadek został ulokowany w pokoju Gelsey, która w tym momencie spała jak kamień na moim łóżku polowym. Umówiłyśmy się, że będziemy z niego korzystać na zmianę, ale teraz, słuchając jej równomiernego oddechu, pożałowałam, że nie zgodziłam się na nim spać już tej pierwszej nocy. Byłoby mi

znacznie łatwiej wyjść z pokoju, gdybym nie musiała nad nią przełazić. Ale kiedy nie mogłam już dłużej wytrzymać, wyslizgnęłam się z łóżka i wstrzymując oddech, przeszłam po łóżku Gelsey. Nie obudziła się, tylko westchnęła przez sen i przewróciła się na drugi bok. Odetchnęłam, nacisnęłam kławkę i wyszłam na korytarz.

– Hej.

Wydałam z siebie zduszony pisk i dosłownie podskoczyłam, chociaż to powitanie było bardzo przyciszone. Kompletnie zapomniałam o Paulu, który miał nocny dyżur przy tacie.

– Hej – odparłam szeptem, próbując choć odrobinę uspokoić mocno bijące serce. Paul siedział na krześle koło łóżka szpitalnego, na którym spał mój ojciec, oddychający z trudem przez otwarte usta. Poznałam Paula po południu, kiedy przyjechał zmienić Melody, pielęgniarkę, która się uśmiechała, ale przez cały dzień nie odezwała się do nikogo ani słowem. Paul wydawał się przynajmniej odrobinę bardziej życzliwy. – Ja tylko, no, chciałam wyjść trochę na powietrze – wyjaśniłam. Paul skinął głową i wrócił do czytania czegoś, co wyglądało na komiks. Zauważyłam, że Murphy porzucił swoje posłanie i zwinął się w kłębek pod łóżkiem taty. Machnęłam na niego, otwierając drzwi, ale pies nie ruszył się z miejsca, oparł tylko łeb na przednich łapach.

Wyszłam na zewnątrz i zatrzymałam się jak wryta,

zaskoczona po raz drugi w ciągu kilku minut – na werandzie stał mój dziadek w piżamie, szlafroku i skórzanych kapciach, oglądając niebo przez imponujący teleskop.

– Cześć – powiedziałam, zbyt zdumiona, żeby coś dodać.

– Dobry wieczór. – Mój dziadek wyprostował się. – Nie możesz spać?

Potrząsnęłam głową.

– Nie bardzo.

– Ja też nie – westchnął dziadek.

Nie mogłam oderwać spojrzenia od teleskopu – był wielki, prześliczny i, szczerze mówiąc, troszeczkę mnie dziwiło, że dziadek go przywiózł.

– Na co patrzysz? – zapytałam.

Uśmiechnął się lekko.

– Znasz się na gwiazdach? – zapytał. – Chyba kilka lat temu dałem ci książkę o nich.

– Owszem – odparłam i poczułam, że policzki robią mi się gorące. Nie wiedziałam, jak mam mu powiedzieć, że ograniczyłam się do jej bardzo pobieżnego przekartkowania. – Właściwie nie – przyznałam się i zrobiłam krok w jego stronę. – Ale zawsze chciałam się ich nauczyć.

Dziadek skinął głową.

– Każdy żeglarz musi się znać na gwiazdach –

powiedział.

– W Akademii próbowali mnie przekonać, że to niepotrzebne. Ci wszyscy młodzi oficerowie wmawiają mi, że wystarczy, jeśli ma się GPS. Ale jeśli umiesz rozpoznawać gwiazdozbiory, nigdy się nie zgubisz.

Zrobiłam jeszcze krok i popatrzyłam w niebo. Tu było znacznie więcej gwiazd, niż kiedykolwiek widziałam w domu, może właśnie dlatego w te wakacje nagle zaczęły mnie tak fascynować.

– Naprawdę? – zapytałam.

– O tak – oznajmił dziadek, wyraźnie zapalając się do tego tematu. – Nieważne, co się stanie, gwiazdy nigdy się nie zmieniają. A jeśli się kiedyś zgubisz, a twój bezcenny GPS trafi szlag, powiedzą ci, gdzie jesteś. A potem zaprowadzą cię do domu.

Popatrzyłam na gwiazdy nade mną, a potem znowu na teleskop.

– Nauczyłbyś mnie? – zapytałam. Poczułam nieoczekiwanie, że chcę wiedzieć, jak nazywają się te gwiazdy, które oglądałam od kilku miesięcy.

– Jasne – odparł dziadek z lekkim zaskoczeniem. – Podejdź tutaj.

Pochyliłam się nad okularom i nagle tuż przed sobą, idealnie ostro i wyraźnie, zobaczyłam to, co było tuż nade mną i od początku wakacji lśniło na niebie.

Był sierpień. Dni stały się gorące i parne, a z moim

ojcem było coraz gorzej, znacznie szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał. Dziękowałam losowi za czwórkę pielęgniarzy, zmieniających się co osiem godzin, ponieważ pomaganie tacie przekraczało teraz nasze możliwości. Potrzebował pomocy przy wstawaniu z łóżka, chodzeniu, pójściu do łazienki. Zaczęliśmy używać wózka do wożenia go po domu. Nie był zbyt często potrzebny, ponieważ tata przesypiał większość dnia. Dostawał leki i środki przeciwbólowe w zastrzykach, a w kuchni stał teraz jaskrawoczerwony pojemnik na odpady medyczne, których nie wolno było wyrzucać ze zwykłymi śmieciami – pielęgniarze zabierali je ze sobą.

Zrezygnowałam z pracy. Porozmawiałam z Fredem, który zapewnił mnie, że rozumie – zorientował się w sytuacji, kiedy przyjechał na grilla czwartego lipca. Elliot przysyłał mi SMS-y z głupimi żartami, a Lucy wpadała każdego dnia po pracy, przywożąc mi colę light, gotowa mnie wysłuchać, gdybym się chciała wygadać, albo poplotkować, jeśli potrzebowałam chwili oddechu.

Nasza kuchnia – i lodówka – wypełniła się casserolą i wyrobami piekarniczymi. Fred przywoził torby chłodziarki pełne świeżo złowionych ryb, a kiedy Davy przychodził zabrać psa na spacer, zawsze przynosił zielone pudełko z piekarni – z babeczkami, ciasteczkami albo plackiem. Pielęgniarze przepadali za jego wizytami. Nawet Gardnerowie, którzy w ogóle nie gotowali, raz na

kilka dni przywozili nam pizzę.

Nadal myślałam o Henrym znacznie więcej, niżbym chciała i nadal cierpiałam na bezsenność. Ale mój dziadek także nie mógł spać, więc nocami kontynuowaliśmy lekcje astronomii. Rzeźbił coś w kawałku drewna i tłumaczył mi, gdzie mam skierować teleskop, a potem prosił, żebym opisała to, co widzę, i spróbowała to sama zidentyfikować. Nauczyłam się rozpoznawać konstelacje nawet bez teleskopu. Z zaskoczeniem dowiedziałam się, że na niebie są inne rzeczy widoczne gołym okiem, na przykład planety. Były tam od zawsze, to tylko ja nie wiedziałam, na co patrzę.

Wszyscy trzymaliśmy się blisko domu, jeżdżąc po zakupy albo do miasta tylko wtedy, kiedy to było konieczne. Tata wciąż miewał kilka lepszych godzin każdego dnia, kiedy nie spał, a żadne z nas nie chciało tracić tego czasu. Dlatego, kiedy Lucy jak zwykle przyjechała we wtorek, byłam zaskoczona, kiedy zaproponowała mi spacer, a moja matka zgodziła się, praktycznie upierając się, żebym poszła.

– Nie trzeba – powiedziałam do matki, która nieoczekiwanie dołączyła do nas na werandzie. Tata zasnął jakieś cztery godziny temu, a ja wiedziałam, że niedługo się obudzi i chciałam przy tym być.

– Proszę cię, chodź – nalegała Lucy. – Muszę z tobą porozmawiać o prywatnej sprawie.

Miałam ochotę jej powiedzieć, że możemy po prostu pogadać na pomoście albo w moim pokoju, ale sprawiała wrażenie lekko zdenerwowanej, więc wzruszyłam ramionami.

– Dobra – zgodziłam się. – Ale to będzie krótki spacer.

– Doskonale – powiedziała szybko moja matka. Popatrzyłam na nią, zastanawiając się, czemu jej tak zależy, żeby pozbyć się mnie z domu. Z drugiej strony Warren ciągle spotykał się z Wendy i czasem gdzieś wychodzili, a Gelsey wciąż wpadała po sąsiedzku do Nory. Może, ponieważ Lucy zawsze przychodziła do mnie, mama po prostu martwiła się, że za dużo siedzę w czterech ścianach.

– Chodźmy – powiedziałam i wstałam. Lucy także zerwała się z miejsca i wymieniła spojrzenia z moją matką, a potem zbiegła po schodach werandy tak szybko, że musiałam za nią gonić.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, Lucy zatrzymała się i potrząsnęła głową.

– Nie do wiary, że ciągle nie macie nazwy dla swojego domu – powiedziała, skracając w lewo. Poszłam za nią.

– Nigdy nie wymyśliliśmy niczego, co by pasowało. – Wzruszyłam ramionami. – Wydaje mi się, że gdyby ten dom miał mieć nazwę, już byśmy na nią wpadli. – Popatrzyłam na Lucy, która skoncentrowała się na szybkim marszu wzdłuż ulicy, chociaż oddalałyśmy się

w ten sposób od miasta. – O czym chciałaś pogadać? Jakieś kłopoty z Pittsburghiem?

– Co? – zapytała zaskoczona Lucy. – A, z nim. No... nie. Chodzi o...

Przez moment wyglądała na tak nieszczęśliwą, że nagle domyśliłam się, o co może chodzić.

– O Elliota? – zapytałam. Jeśli w końcu postanowił wyznać swoje uczucia, kiedy zostali tylko we dwoje w pracy, niewykluczone, że cała sytuacja stała się trochę niezręczna.

– Elliota? – powtórzyła kompletnie zaskoczona Lucy. – Nie, dlaczego miałyby chodzić o niego?

Wiedziałam, że to nie moja sprawa, ale postanowiłam mimo wszystko coś jej uświadomić.

– Elliot kocha się w tobie – powiedziałam. – Od początku wakacji.

Lucy zatrzymała się i popatrzyła na mnie.

– Powiedział ci to?

– Nie – przyznałam. – Ale to całkiem oczywiste. Jestem pewna, że nawet Fred to zauważył.

Lucy zastanowiła się przez chwilę, ale potrząsnęła głową i ruszyła dalej przed siebie.

– Lucy? – zapytałam, doganiając ją.

– To się nie uda – oznajmiła kategorycznie.

– Dlaczego nie? – zapytałam. Elliot nie był w moim typie, ale był całkiem przystojny i dobrze się dogadywali.

Nie mówiąc o tym, że stał się znacznie bardziej obiecującym kandydatem, kiedy nauczył się nieco hamować z używaniem wody kolońskiej.

– No bo to Elliot – powiedziała Lucy. – On jest... – Urwała, wyraźnie nie mogąc znaleźć właściwego słowa. Popatrzyła na swoją komórkę. – Wracajmy! – oznajmiła radośnie i zawróciła.

Nie dałam tak łatwo zbić się z tropu.

– Mówię serio – powiedziałam. – To fajny gość, świetnie się dogadujecie. Zawsze umie cię rozbawić. Dlaczego nie?

– Bo nie – powtórzyła Lucy, ale już nie tak kategoriycznym tonem jak wcześniej. Widziałam, że zaczęła się zastanawiać.

– Tak tylko mówię – rzuciłam, kiedy zbliżyliśmy się do domu. – Z miłymi chłopakami warto się umawiać. – Pomyślałam o Henrym i jego drobnych aktach życzliwości, i poczułam w sercu bolesne ukłucie.

– Wiem, że nie zwrzeszczałam cię za to tak, jak miałabym ochotę – oznajmiła Lucy, przyglądając mi się uważnie. – Ale dalej nie rozumiem, czemu rzuciłaś Henry'ego.

Skrzywiłam się, chociaż technicznie rzecz biorąc, miała rację.

– To byłoby za trudne – wyznałam w końcu. – Mogłam to przewidzieć. I wiedziałam, że oboje będziemy

cierpieć. – Uświadomiłam sobie, że mijamy właśnie dom Crosbych, więc odwróciłam głowę, kiedy obie skręciłyśmy w nasz podjazd.

– Powiedzieć ci coś o akrobatyce? – zapytała Lucy, idąc koło mnie.

– Marzę o tym – odparłam ponuro, a Lucy się uśmiechnęła.

– Widzisz, chodzi o to, że ludzie zwykle robią sobie krzywdę, ale taką poważną krzywdę, kiedy starają się być zbyt ostrożni. Właśnie wtedy jest najwięcej wypadków, jeśli ktoś w ostatniej chwili zaczyna się wahać, bo jest przestraszony. To się zwykle kończy tak, że robi krzywdę sobie i innym.

To wszystko miało sens aż do ostatniego zdania, które sprawiło, że zmarszczyłam brwi.

– Jak to innym?

– No wiesz – wyjaśniła Lucy, wyraźnie się ociągając. – Jeśli wypadnie przez to na kogoś z widowni czy coś takiego. Chodzi mi o to, że...

– Wiem, o co ci chodzi – zapewniłam ją. Doszłyśmy do domu, a ja miałam już wejść na werandę, kiedy Lucy złapała mnie za rękę i pociągnęła za dom. – Lucy, co ty.,,

– NIESPODZIANKA!

Zamrugałam ze zdziwienia na ten widok. Na stole stał tort, a do krzeseł były przywiązane baloniki. Zobaczyłam Gelsey, moją mamę, Warrena i Wendy, a także Kim, Jeffa,

Norę, Davy'ego, Elliota i Freda. Przyszedł nawet Leland, a ja nagle zaniepokoiłam się, kto w ogóle został na plaży. Zobaczyłam też tatę na fotelu inwalidzkim i stojącego obok niego dziadka. Obaj uśmiechali się do mnie.

– Wszystkiego najlepszego, skarbie – powiedziała mama i uściskała mnie. – Pomyślałam, że powinnaś mieć drugą szansę na przyjęcie urodzinowe – szepnęła mi do ucha, a ja się uśmiechnęłam, chociaż czułam jednocześnie, że zaraz się rozplaczę.

– Dzięki – odpowiedziałam szeptem. Mama pogładziła mnie szybko po włosach i odwróciła się do stołu.

– Tort! – zawołała. – Zapraszamy wszystkich chętnych!

Rozejrzałam się po gościach, chociaż wiedziałam, że Henry'ego tu nie będzie. Ale dopiero jego nieobecność uświadomiła mi, jak bardzo pragnęłam, żeby jednak przyszedł. Podeszłam do stołu i zobaczyłam, że napis *Sto lat, Taylor!* jest zrobiony jego charakterem pisma. Mama zaczęła dzielić tort, a ja zauważyłam, że z boku stoją dwa styropianowe pudełeczka z lodami ze Sweet Baby Jane. Bez próbowania mogłam powiedzieć, że są malinowe i kokosowe.

– Mamo? – zapytałam, starając się, żeby to brzmiało swobodnie. – Skąd się wzięły te lody?

– Przyszły razem z ciastem – wyjaśniła. – Henry nalegał. Powiedział, że to doskonale podkreśli smak. Czy to nie urocze z jego strony?

– Tak – powiedziałam. Wzięłam kawałek tortu, który mi podała i na którym była akurat litera T. Czułam w gardle narastającą gulę. – To naprawdę miłe.

Rozdział trzydziesty piąty

Czas się kończył. To było wyraźnie widać, nie tylko dlatego, że każdy dzień stawał się troszeczkę krótszy, ale także z powodu tego, co działo się z tatą. Każdego dnia był odrobinę bardziej zagubiony, a okresy przebudzenia i świadomości, co dzieje się wokół niego, wydawały się coraz krótsze i krótsze. Zaczął mieć trudności z mówieniem i to chyba było dla mnie najtrudniejsze – przywykłam do taty, który dominował nad całą salą sądową głębokim, donośnym głosem. Teraz ledwie udawało mu się coś powiedzieć i znaleźć odpowiednie słowa.

Kiedy był przytomniejszy, spędzaliśmy z nim czas na zmianę. Moja siostra zalewała go potokiem słów, jakby próbowała mu opowiedzieć jednocześnie o wszystkim, co kiedykolwiek chciałyby mu przekazać. Mój brat siedział przy jego łóżku i na ile zdołałam podsłuchać, rozmawiał z tatą o słynnych procesach – omawiali ulubione przypadki, chociaż tu także Warren mówił zwykle więcej. Dziadek siadał przy tacie i czytał mu na głos gazetę, zazwyczaj reportaże o różnych ludziach. Jego głos, tak jak dawniej głos taty, był słyszalny w całym domu, kiedy

mówił: „O, to cię na pewno zainteresuje. Posłuchaj tylko, co się wydarzyło w Harrisburgu”.

Mama niewiele się odzywała, kiedy byli razem. Czasem słyszałam, jak rozmawiają o sprawach finansowych, robią różne ustalenia i plany, ale zwykle po prostu trzymała go za rękę i patrzyła na niego, obserwując jego twarz, jakby wiedziała, że już niedługo nie będzie to możliwe.

Kiedy przychodziła kolej na mnie, zadawaliśmy sobie pytania, tak jak wcześniej przy śniadaniach w restauracji. Teraz jednak tata nie chciał mówić o sobie, chciał się dowiedzieć wszystkiego o mnie.

– Powiedz mi – pytał głosem trzeszczącym jak jedna z jego starych płyt – moja Taylor. Kiedy byłaś najszczęśliwsza?

A ja starałam się odpowiedzieć jak najlepiej i próbowałam odbić to pytanie, ale on miał już przygotowane następne. Nad jakimi kierunkami studiów się zastanawiam? W jakie miejsca chciałabym pojechać? Co chciałabym robić w życiu? Co uważam za najlepszy posiłek, jaki jadłam?

Czasem nie byłam w stanie odpowiedzieć, zaczynałam płakać, i wtedy słuchaliśmy jego płyt. Znałam teraz je wszystkie

– Jackson Brown, Charlie Rich, Led Zepplin, Eagles – mnóstwo zarośniętych facetów, za którymi mój dziadek

nadal nie przepadał, jeśli sądzić po jego reakcjach, kiedy wchodził do pokoju. Muzyka i pytania trwały dalej, a ja starałam się opowiedzieć tacie, kim byłam i kim mam nadzieję się stać, dopóki jeszcze był na to czas.

Pies odmówił opuszczania swojego miejsca pod łóżkiem taty. W końcu postawiliśmy mu tam jedzenie i miskę z wodą, chociaż Roberto, najbardziej zasadniczy z pielęgniarzy, narzekał na zarazki. Davy nadal wpadał dwa razy dziennie, a pies pozwalał się wyciągać spod łóżka i zabierać na bardzo krótki spacer, ale poza tym nie ruszał się z miejsca.

W końcu poddałam się i przeniosłam się na stałe na łóżko polowe, ponieważ i tak prawie nie spałam. Pielęgniarze z nocnej zmiany byli już do mnie przyzwyczajeni i witali mnie tylko skinieniem głowy, kiedy przekradałam się na werandę. Czasem dziadek także nie spał i siedział ze mną, kiedy patrzyłam w gwiazdy – potrzebowałam widoku czegoś niezmiennego, kiedy cała reszta mojego życia wydawała się rozsypywać. Jeśli kładł się wcześniej, zostawiał przygotowany teleskop. Pod koniec miesiąca spodziewał się deszczu meteorów, który jego zdaniem mogły poprzedzać ciekawe zjawiska na niebie, więc miałam ich wypatrywać.

W te wieczory, kiedy nie było ze mną dziadka, zwykle płakałam. Nie próbowałam się już hamować. Staraliśmy się mniej więcej trzymać przy tacie i przy sobie

nawzajem, ale w nocy, w samotności, przypominając sobie każdą chwilę danego dnia, pozwalałam sobie wypłakiwać się na werandzie. A chociaż wiedziałam, że to głupia i bezradna reakcja, wiedziałam także, że nic więcej nie mogę zrobić. Płakałam, próbowałam wymyślić żarty, które mogłyby jeszcze wywołać uśmiech taty, i patrzyłam w gwiazdy.

Właśnie wracałam do domu tej nocy, kiedy dziadek nie przyszedł na werandę, a mnie udało się znaleźć samodzielnie Syriusza. Nagle dostrzegłam Paula stojącego nad łóżkiem taty. Miałam wrażenie, że moje serce zatrzymało się na moment, a potem zaczęło uderzać znacznie szybciej.

– Wszystko w porządku? – zapytałam szeptem, patrząc na tatę, przerażona bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

– W porządku – odparł cicho Paul, a moja panika zaczęła ustępować. – Ma tylko trudną noc. Biedak.

Popatrzyłam na łóżko szpitalne, które teraz wydawało mi się stałym elementem umeblowania salonu. Tata, chudy do granic wyniszczenia, z woskową żółtawą skórą, spał z otwartymi ustami i wydawał się niezwykle mały na ogromnym łóżku. Jego oddech był ciężki i urywany, a ja uświadomiłam sobie, że słucham każdego oddechu i czekam na następny.

Wydawało mi się z jakichś powodów niewłaściwie, żeby wrócić po prostu do mojej sypialni i zwyczajnie zasnąć, więc zwinęłam się w kłębek na kanapie najbliższej łóżka i patrzyłam na tatę śpiącego w blasku księżyca. Serce zaczynało mi bić mocniej, kiedy tylko następowała króciutka przerwa, zaburzenie rytmu jego oddechu. Uświadomiłam sobie, że to właśnie robił tata wiele lat temu, kiedy byłam noworodkiem.

Żałowałam, że nie jestem w stanie pomóc mu w żaden sposób. Mogłam tylko leżeć i słuchać nierównych, ciężkich oddechów, licząc je. Wiedziałam, że nie zostało mu ich już wiele. Leżałam, słuchałam, wiedziałam, że każdy oddech oznacza chwilę dłużej, jaką spędza z nami, a jednocześnie przybliża go odrobinę do chwili, kiedy go już nie będzie.

Usłyszałam skrzypnięcie drzwi, podniosłam głowę i zobaczyłam Gelsey, stojącą w korytarzu. Miała na sobie prastarą, kompletnie spraną koszulę nocną, która kiedyś należała do mnie.

– Nie było cię w łóżku – szepnęła. – Wszystko w porządku?

Skinęłam głową i nie zastanawiając się nad tym, zaprosiłam ją gestem, żeby do mnie dołączyła.

Spodziewałam się, że zajmie drugą kanapę, ale Gelsey podeszła i położyła się przy mnie. Objęłam moją siostrę ramionami, przyglądałam jej miękkie, kręcone włosy

i leżałyśmy razem w ciemnościach, nie rozmawiając, słuchając tylko oddechu naszego ojca.

Oczywiście, myślałam o Henrym. Podczas jednej z naszych rozmów tata nawet poruszył jego temat. Odpowiedziałam wymijająco, ale mimo wszystko nadal wspominałam czas, jaki spędziliśmy razem. Przez większość czasu byłam całkowicie pewna, że podjęłam słuszną decyzję. Chwilami jednak – tak jak wtedy, kiedy Wendy przysłała i siedziała z Warrenem na werandzie, a ja zobaczyłam, jak kładzie mu głowę na ramieniu i pociesza go, a mój brat pozwala jej na to – zastanawiałam się, czy rzeczywiście dobrze zrobiłam, zrywając z Henrym. Jakaś część mnie obawiała się, że ubrałam w nowy kostium i nazwałam inaczej moją starą wadę, która po raz kolejny dawała o sobie nieprzyjemnie znać. Nadal uciekałam, kiedy sprawy posuwały się za daleko – nauczyłam się tylko, jak to robić, nie ruszając się fizycznie z miejsca.

Chociaż wiedziałam, kiedy ma nastąpić deszcz meteorów – tego dnia „Pocono Record” zamieścił nawet artykuł o tym, kiedy najlepiej będzie go obserwować – mimo wszystko zostałam całkowicie zaskoczona. Miał się rozpocząć na godzinę przed świtem, kiedy zwykle nawet ja byłam już w stanie zasnąć, więc nastawiłam sobie budzik. Odezwał się o wpół do piątej, budząc mnie, ale nie Gelsey. Wyłączyłam dzwonek i zastanawiałam się, czy nie

zasnąć znowu, ale dziadek obiecywał, że to będzie niezwykle widowisko, a ja uznałam, że skoro tyle czasu w te wakacje spędziłam na patrzeniu w gwiazdy i uczeniu się o nich, to należy mi się za to jakaś nagroda z ich strony.

Założyłam bluzę od dresu i wyszłam z pokoju na palcach, chociaż przekonałam się już, że moja siostra śpi zwykle jak kamień. Na korytarzu skinęłam głową Paulowi, który miał właśnie dyżur. Odwzajemnił powitanie. Tata spał, oddychając nierówno. Patrzyłam na niego przez długą chwilę, a Paul spojrzał na mnie, uśmiechnął się ze współczuciem, a potem wrócił do swojej książki. Przez ostatnie dwa dni sprawy bardzo się pogorszyły. Przestaliśmy rozmawiać o tym, w jakim stanie jest tata, jak się czuje. Staraliśmy się przede wszystkim przetrwać następny dzień. A chociaż tata był ciągle z nami, od ostatniej przytomnej rozmowy z nim minęło kilka dni – zresztą nawet wtedy była to tylko krótka chwila z mamą, zanim znowu przestał rozumieć, co się wokół niego dzieje.

Wyszłam na werandę, popatrzyłam w niebo i wstrzymałam oddech.

Całe nocne niebo nade mną rozjaśniały smugi światła. Nigdy wcześniej nie widziałam nawet jednej spadającej gwiazdy, a teraz przemykały po bezkresnym niebie – jedna, potem następna, a potem dwie jednocześnie.

Gwiazdy nigdy nie wydawały mi się tak jasne, zupełnie jakby mnie otaczały. Znajdowały się znacznie bliżej niż kiedykolwiek wcześniej, a część z nich postanowiła dla odmiany przebiec się po niebie. Kiedy patrzyłam na ten spektakl, zrozumiałam, że nie chcę go oglądać sama.

Pobiegłam do domu, niepewna, jak długo trwa deszcz meteorów i nie chcąc, żeby mnie ominął.

– Paul? – powiedziałam cicho, a pielęgniarz popatrzył na mnie znad książki i unióśł brwi.

– Coś się stało? – zapytał.

– Jest deszcz meteorów – powiedziałam. – Właśnie teraz.

– A tak. – Paul ziewnął i znowu sięgnął po książkę. – Chyba czytałem coś w gazecie.

– Chodzi o to, że... – Przystąpiłam z nogi na nogę. Czula narastającą niecierpliwość, jakby czas uciekał tuż przede mną, a ja musiałam jak najszybciej wyciągnąć ojca na zewnątrz.

– Chciałabym, żeby tata to zobaczył. – Paul znowu na mnie popatrzył, marszcząc brwi. – Czy to możliwe?

– Wiesz, Taylor – potrząsnął głową – to chyba po prostu nie bardzo ma sens.

– Wiem – odparłam, zaskakując samą siebie i Paula, sądząc po wyrazie jego twarzy. – Ale to nie znaczy, że nie powinniśmy tego zrobić. Tylko na chwileczkę, mógłbyś go wynieść na zewnątrz, albo mogę obudzić Warrena. Ja

tylko... – urwałam. Nie miałam pojęcia, dlaczego to mi się wydawało takie ważne. Nie uważałam przecież, żeby deszcz meteorów miał jakieś cudowne działanie uzdrowicielskie, chciałam tylko, żeby tata zobaczył tak niezwykle zjawisko. Nienawidziłam myśli, że dzień w dzień ogląda tylko ściany salonu. Chciałam, żeby wdychał, nawet z trudem, pachnące sosnami nocne powietrze. Szukałam jakichś słów, żeby to wyrazić, kiedy Paul wstał.

– Na pięć minut – powiedział. – I nie gwarantuję, czy w ogóle się obudzi.

– Wiem – odparłam. – Dziękuję.

Paul rozłożył wózek, a ja podeszłam do łóżka taty i stanęłam przy jego wezgłowiu. Nadal oddychał ciężko, z rzęzeniem, które pojawiło się w ciągu ostatnich dwóch dni i które mnie przerażało. Sprawiało, że każdy jego oddech wydawał się bolesny, a ja nie potrafiłam znieść tej myśli.

– Tatusiu – dotknęłam jego ramienia przez kołdrę i z bólem zauważyłam, jak bardzo jest kościste i kruche. – Wstawaj, szkoda dania.

Jego oddech nagle się załamał, a ja poczułam ukłucie paniki, ale tata otworzył oczy – te niebieskie oczy, które jako jedyna po nim odziedziczyłam. Patrzył na mnie, ale ostatnio patrzył na nas kompletnie nieobecny wzrokiem, więc to jeszcze nic nie znaczyło. Teraz jednak jego

spojrzenie skoncentrowało się na mojej twarzy, a kącik jego ust uniósł się w cieniu uśmiechu.

– Tay – powiedział z trudem, niewyraźnym głosem. Kilka razy otworzył i zamknął usta, aż wreszcie odezwał się, chociaż oczy zaczęły mu się znowu zamykać.

– Cześć, mała. Co tam słysząc?

Uśmiechnęłam się, chociaż czułam łzy pod powiekami.

– Chcesz popatrzeć na gwiazdy? – zapytałam. Zobaczyłam, że Paul stoi przy wózku inwalidzkim, więc skinęłam głową i cofnęłam się o krok. Z ogromną wprawą podniósł ojca z łóżka, jakby nic nie ważył, i posadził go na wózku. Otuliłam tatę kołdrą, a potem Paul popchnął wózek na werandę, a ja poszłam za nimi i z zachwytem zobaczyłam, że gwiazdy dalej spadają. To zjawisko, widoczne tylko przez krótką chwilę w roku, nie zdążyło nas ominąć.

Paul zatrzymał wózek na środku werandy, zablokował kółka i podniósł głowę do góry.

– Kurczę – mruknął. – Rozumiem, o co ci chodziło.

Usiadłam koło taty i dotknęłam jego ramienia.

– Popatrz – powiedziałam, wskazując w górę. Opierał głowę o oparcie wózka, ale otworzył oczy i spojrzał w niebo.

Patrzyłam, jak obserwuje gwiazdy i spadające smugi światła. Jego oczy były przytomne, popatrzył za jedną z nich, przecinającą ogromne, ciemne płótno nieba.

– Gwiazdy – powiedział głosem znacznie wyraźniejszym niż wcześniej i przepelnionym zachwytem.

Skinęłam głową i przysunęłam się do niego bliżej. Jego oddech znowu stał się rześący, widziałam kątem oka, że Paul stoi obok i czeka, żeby go zabrać do domu. Wzięłam tatę za rękę zwisającą z boku wózka i ścisnęłam ją. Była zbyt koścista, ale nadal wielka, większa od mojej. Ta ręka uczyła mnie zawiązywać sznurowadła i trzymać prawidłowo ołówek, a kiedy przechodziliśmy przez ulicę, mocno ścisnęła moją rękę, żebym była bezpieczna.

Jego głowa znowu opadła na oparcie fotela, a oczy się zamknęły. Nie wiedziałam, czy będzie wiedział, co do niego mówię – albo czy zapamięta, czy znajdzie się w miejscu, gdzie będzie mógł pamiętać – ale pochyliłam się nad nim i pocałowałam jego wychudzony policzek.

– Tatusiu – szepnęłam, czując, że oddech więźnie mi w gardle. – Kocham cię.

Kiedy byłam już pewna, że zasnął, kącik jego ust uniósł się w uśmiechu.

– Wiem o tym – mruknął. – Zawsze wiedziałem.

Nie obchodziło mnie, że Paul widzi, jak płaczę. To nie miało najmniejszego znaczenia. Powiedziałam tacie to, co chciałam. Ostrożnie ścisnęłam jego rękę i poczułam, że odwzajemnia słabiutko ten uścisk, a potem znowu zasnął, a ponad nami ciągle spadały gwiazdy.

Rozdział trzydziesty szósty

Kiedy obudziłam się rano, od razu wiedziałam, że coś się stało. Słyszałam za drzwiami głosy, dzwoniący telefon, głos mojej matki, niski i zdławiony. Słyszałam chrzęst opon na żwirze i głosy z salonu – rozmawiające normalnie, a nie przyciszone jak zwykle, żeby nie budzić ojca.

Teraz nikt nie przejmował się jego snem. A to znaczyło...

Nie.

Pomyślałam to z całej siły. Nie otworzyłam jeszcze oczu, a teraz zacisnęłam je jak najmocniej. Jeśli nie otworzę oczu, będę mogła się znaleźć gdziekolwiek. Na przykład w łóżku, w domu w Stanwich, pięć miesięcy temu, a to wszystko okaże się tylko koszmarnym snem. Zejdę na dół i zobaczę, że tata je rogalika, a mama karciego, że powinien pilnować wagi. Opowiem mu o tym śnie, którego szczegóły zaczną się już rozmywać i zacierać w pamięci, tylko okropnym śnie, dzięki Bogu...

– Taylor? – To był Warren, mówiący schrypniętym, załamującym się głosem. Poczułam, że podbródek zaczyna mi drzeć, a chociaż nie otworzyłam jeszcze oczu,

z prawego spłynęły mi dwie łzy.

– Nie – powiedziałam, przewracając się na drugi bok, twarzą do okna, i podciągając kolana pod brodę. Kiedy otworzę oczy, to wszystko stanie się realne. Kiedy otworzę oczy, nie da się wrócić do chwili, kiedy to jeszcze nie było prawdziwe. Kiedy otworzę oczy, mój ojciec nie będzie już żył.

– Musisz wstawać. – W głosie Warrena brzmiało zmęczenie.

– Opowiedz mi o coca-coli – poprosiłam. – Co oni próbowali wynaleźć?

– Aspirynę – odparł Warren po chwili. – To była kompletna pomyłka.

Otworzyłam oczy. Blask słońca wlewał się przez okno, a ja poczułam nagłą złość. To nie powinien być słoneczny dzień. To powinna być ciemna, burzowa noc. Popatrzyłam na Warrena, który miał podpuchnięte oczy i ścisnął w rękę chusteczkę.

– Tata – powiedziałam. To nie było nawet pytanie.

Warren skinął głową i przełknął z trudem ślinę.

– Paul powiedział, że to się stało o świcie, we śnie. Bardzo spokojnie.

Płakałam i nie próbowałam się nawet powstrzymywać. Miałam wrażenie, że nigdy nie będę potrafiła przestać. Tak długo, jak długo to była prawda, nie wyobrażałam sobie, że mogę chcieć przestać.

– Powinnaś przyjść – powiedział Warren, kładąc rękę na klawce. – Pożegnać się z nim.

Skinęłam i po chwili poszłam za nim. Rzeczy, które rzuciłam wieczorem na podłogę, nadal tam leżały. Moje kosmetyki do makijażu stały dalej na toaletce. Jak to możliwe, że te rzeczy, te głupie i nic nieznaczące rzeczy, dalej tu były, chociaż świat się skończył o świcie? Jak mogły tu być, skoro nie było mojego ojca?

Wyszłam na korytarz i zobaczyłam całą rodzinę. Dziadek stał w kuchni. Matka stała koło łóżka szpitalnego, obejmując Gelsey. Warren opierał się o kanapę. A na łóżku leżał mój ojciec z otwartymi ustami i zamkniętymi oczami.

Nie oddychał.

Nie było go.

To wszystko wydawało się całkowicie zwyczajne, widziałam to w tysiącach seriali i filmów kryminalnych. Ale teraz patrzyłam tylko na nieruchomego ojca na łóżku i nie potrafiłam się zmusić, żeby zrozumieć. Nigdy nie znałam go innego jak żywego, oddychającego, śmiejącego się, opowiadającego stare dowcipy, wypełniającego pokój swoim głosem i uczącego nas, jak rzuca się piłkę futbolową. To, że nagle przestał być żywy – był kompletnie nieruchomy, był tutaj, ale to już nie miało znaczenia – stanowiło rzeczywistość, której nie potrafiłam ogarnąć. Patrząc na jego zamknięte powieki,

uświadomiłam sobie, że nigdy już nie zobaczę jego oczu. Tata nigdy więcej na mnie nie spojrzy. Tata nie żyje.

Płakałam teraz otwarcie, a chociaż nie zauważyłam, kiedy matka się poruszyła, stanęła obok mnie i przytuliła mnie. Nie powiedziała mi, że wszystko będzie dobrze. W tym momencie zrozumiałam, że wszystko zmieni się już na zawsze – że dzisiejszy dzień podzieli moje życie na to, co wcześniej, i na to, co potem.

Ale w tej chwili po prostu pozwoliłam sobie płakać w jej ramionach, a mama przytulała mnie mocno, jakby chciała mi powiedzieć, że przynajmniej nie zostałam sama.

Rozdział trzydziesty siódmy

Pogrzeb odbył się cztery dni później, w pogodny, słoneczny dzień, co po raz kolejny wydało mi się niestosowne. Miałam nadzieję na deszcz – poprzedni wieczór był chłodny i pochmurny, ale mimo to siedziałam na schodach werandy z psem, aż nogi mi całkiem zdrętwiały.

Nie mogłam przywyknąć do tego, jak pusty wydawał się teraz dom i jak nieobecność mojego ojca sprawiła, że żadne z nas nie wiedziało, co ma ze sobą zrobić. Warren po raz pierwszy, odkąd pamiętałam, nie był w stanie czytać. Spędzał całe dnie w centrum tenisowym, odbijając piłkę od ściany z całej siły, a potem wracał do domu zmęczony i apatyczny. Dziadek rzeźbił coś i zabierał psa na długie spacery. Kiedy wracał, miał czerwony nos, mówił zachrypniętym głosem, a pies był kompletnie wykończony. Gelsey od tamtego ranka nie chciała być sama, więc spędzałyśmy dużo czasu razem. Nie rozmawiałyśmy jeszcze o tym, co się stało, ale do jakiegoś stopnia pomagało mi to, że mogłam spojrzeć w przeciwny kąt pokoju i zobaczyć, że moja siostra tam jest – stanowiła żywy dowód na to, że nie tylko ja muszę

sobie radzić. Mama całymi dniami zajmowała się sprawami organizacyjnymi – związanymi z nabożeństwem żałobnym, trumną, kwiatami – i sprawiała wrażenie, jakby zносиła to najlepiej z nas wszystkich. Ale kiedy któregoś dnia wcześniej wyszłam na zewnątrz, zastałam ją na werandzie z włosami mokrymi po kąpieli. Płakała. Jakaś część mnie wciąż pragnęła odwrócić się, żeby nie być zmuszoną sobie z tym radzić. Ale zmusiłam się, żeby podejść i usiąść koło niej na schodach. Nie rozmawiałyśmy, wzięłam tylko grzebień i rozczesywałam jej włosy w słońcu. Kiedy skończyłam i rzuciłam wyczesane włosy na wiatr, matka przestała płakać. Siedziałyśmy przez chwilę w milczeniu, dotykając się ramionami.

Maleńka kaplica w Lake Phoenix była pełna ludzi. Zamierzaliśmy urządzić większe nabożeństwo żałobne po powrocie do Connecticut, więc nie spodziewałam się, że tutaj przyjdzie aż tyle osób. Stałam przy pierwszej ławce, ubrana w pożyczoną od matki czarną sukienkę, i patrzyłam, jak wchodzi ludzie, którzy przyszedli tu dla mojego ojca. Pojawili się Wendy, Fred i Jillian, a także Dave Henson, który sprzedawał mi zawsze lukrecję. Przyszła Lucy z matką, Angela z restauracji, Gardnerowie, wszyscy pracownicy z plaży – a Leland nawet miał gładko zaczesane włosy.

Pastor nie był zachwycony, kiedy dałam mu CD

z mieszanką muzyczną, którą wybraliśmy. Przypuszczam, że było odrobinę niestandardowe – opera wymieszana z Jacksonem Browne'em, ale miałam przecucie, że tata właśnie tego by chciał. Pastorowi nie podobał się także pies, ale dziadek oznajmił, że Murphy to jego pies-asystent, więc mógł teraz siedzieć pod pierwszą ławką, przy nodze dziadka, idealnie grzeczny.

W pierwszej ławce siedziała tylko rodzina – Gelsey w mojej starej czarnej sukience, Warren w garniturze, w którym o dziwo wyglądał na młodszego, niż był. Dziadek założył galowy mundur marynarki wojennej, co mogło być jednym z powodów, dla których pastor nie próbował się z nim wyklócać. Mama siedziała koło mnie, ściskając w rękę jedną z chusteczek ojca. Zauważyłam, że zostawiliśmy dodatkowe wolne miejsce, jakby on mógł do nas dołączyć, miał tylko trochę się spóźnić, bo musiał zaparkować samochód. Nie potrafiłam jakoś przyjąć do wiadomości, że ta nieruchoma postać w trumnie, otoczona kwiatami, to ma być on.

Pastor skinął głową mojej matce i zaczął nabożeństwo. Pozwalałam, żeby słowa spływały po mnie, nie słuchałam ich, nie chciałam słuchać o obracaniu się w proch, kiedy chodziło o mojego ojca. Kiedy pastor zakończył modlitwę, mój dziadek opowiedział o tym, jaki tata był w młodości i jak bardzo dziadek był z niego zawsze dumny. Moja mama powiedziała kilka słów, a ja

przystałam powstrzymać łzy. Warren przeczytał fragment poematu T.S. Eliota, który tata uwielbiał.

A chociaż nie planowałam niczego mówić – ani niczego nie przygotowałam – kiedy Warren wrócił na miejsce, wstałam i podeszłam prosto do pulpitu.

Popatrzyłam na zgromadzonych i zobaczyłam z tyłu Henry’ego. Był z Davym, ubrany w garnitur, którego nigdy nie widziałam, i nie odrywał ode mnie spojrzenia – spokojnego, dodającego otuchy i pewności siebie, której potrzebowałam, żeby zacząć mówić.

Patrząc na tych ludzi, uświadomiłam sobie, że nie panikuję. Dłonie mi się nie pociły. I nie zastanawiałam się nad tym, co mam powiedzieć. To było proste, to była tylko prawda.

– Zawsze kochałam tatę – powiedziałam głosem mocniejszym, niż się spodziewałam. – Ale właściwie poznałam go dopiero tego lata. Uświadomiłam sobie, jak wiele zdążył mnie nauczyć przez cały ten czas. – Odetchnęłam głęboko, nie dlatego, że się denerwowałam, ale dlatego, że czułam łzy napływające do oczu, a chciałam najpierw skończyć mówić. – Na przykład tego, jak ważne są kiepskie żarty słowne. – Ludzie roześmiali się, a ja poczułam, że odrobinę się uspokajam. – I tego, że zawsze jest odpowiednia pora na lody, nawet tuż przed obiadem.

– Przełknęłam ślinę. – Ale przede wszystkim w te

wakacje nauczył mnie bardzo wiele o odwadze. Był niezwykle odważny wobec tego, z czym sam musiał się zmierzyć. Nie uciekał przed tym. I był na tyle odważny, żeby przyznać, że się boi. – Przetarłam oczy grzbietem dłoni i odetchnęłam z trudem, starając się skończyć myśl. – Cieszę się, że mogłam spędzić z nim ten czas, nawet jeśli... – Oddech uwiązał mi w gardle, a zgromadzeni goście zaczęli mi się rozmazywać przed oczami. – Nawet jeśli to było za krótko – dokończyłam. – Nawet jeśli to było o wiele za krótko.

Na wpół oślepiąca przez łzy, wróciłam prawie po omacku na swoje miejsce. Pastor znowu przemawiał, a z głośników śpiewał Jackson Browne. Ku mojemu zdziwieniu to Warren przytulił mnie mocno i pozwolił mi się wypłakać na swoim ramieniu.

Potem uroczystość zaczęła zmierzać do końca – pozostało zaproszenie gości na poczęstunek u nas w domu i ostatnie pożegnanie zmarłego. Ja zostałam na miejscu, z Murphym na kolanach, ponieważ czułam, że już pożegnałam się z tatą, wtedy, pod gwiazdami. Zauważyłam jednak, że kiedy mój dziadek podszedł do trumny, wyprostowany jak struna w swoim mundurze, włożył do niej figurkę, którą rzeźbił od tygodnia – małego rudzika w locie.

Rozdział trzydziesty ósmy

Zatrzymałam się pod domem, zgasiłam silnik i odetchnęłam głęboko. Właśnie odwiozłam dziadka wraz z jego teleskopem na autobus, a pożegnanie z nim było znacznie trudniejsze niż się spodziewałam. Miałam już kompletnie dość pożegnań.

Po pogrzebie powoli wróciliśmy do rytmu dnia z ostatnich kilku tygodni, ale zamiast grać w *Ryzyko* albo oglądać filmy, zaczęliśmy rozmawiać o tacie. Z każdą kolejną historią wspomnienie jego choroby stawało się coraz bardziej odległe, a ja zaczęłam pamiętać go takim, jaki był przez całe moje życie, a nie tylko w te wakacje.

Nadal byłam roztrzęsiona i byle drobiazg mógł sprawić, że wybuchałam nieoczekiwanie płaczem – jak wtedy, kiedy znalazłam w rzeczach do prania jedną z jego chusteczek do nosa i wpadłam w nagłą panikę, nie wiedząc, co z nią zrobić.

Dzisiaj, wracając z dworca autobusowego, czułam się odrobinę lepiej. Podeszłam na bosaka do werandy i zobaczyłam moją matkę siedzącą przy stole nad żółtą kopertą.

– Hej – powiedziałam, usiadłam koło niej i spojrzałam

na kopertę. – Co to jest?

Widok koperty sprawił, że zaczęłam się denerwować. Matka obróciła ją i zobaczyłam, że jest na niej wypisane *Taylor*, charakterem pisma mojego ojca. Zabrakło mi tchu, popatrzyłam zaskoczona na matkę.

Przysunęła kopertę do mnie.

– Okazało się, że to był ten tajemniczy projekt twojego ojca. Znalazłam je w szafie na górze, napisał je do każdego z nas.

Podniosłam kopertę i przesunęłam palcami po moim imieniu. Nie chciałam zachowywać się niegrzecznie wobec matki, ale nagle poczułam, że wołałabym przeczytać ostatnie słowa ojca w samotności.

– Przepraszam – powiedziałam, odsuwając odrobinę krzesło.

– Ale...

– Idź – odparła łagodnie moja matka. – Ja tu będę, gdybyś chciała o czymkolwiek porozmawiać, dobrze?

Skinęłam głową i wstałam.

– Dziękuję, mamó – powiedziałam i ostrożnie zabrałam kopertę, schodząc z werandy. Dla nikogo innego nie miała wartości, ale dla mnie w tym momencie była najcenniejszą rzeczą na świecie. Zanim sama zorientowałam się, co robię, stwierdziłam, że idę w stronę pomostu, który stał teraz pusty, a późnopopołudniowe słońce odbijało się w wodzie.

Zrzuciłam klapki i weszłam bosą na deski, czując ciepło pod stopami, ale wiedząc doskonale, że minęła już połowa sierpnia, lato zaczynało się kończyć i zdecydowanie zbyt szybko nie da się już chodzić na bosaka.

Podeszłam na koniec pomostu i usiadłam po turecku, kładąc torebkę obok siebie. Odetchnęłam głęboko i otworzyłam kopertę.

Spodziewałam się kilku kartek papieru. Nie spodziewałam się, że w środku, jak w rosyjskiej matryosce, znajdę mnóstwo innych kopert. Wytrząsnęłam je na pomost. Wszystkie były zaklejone i opisane ukośnym, eleganckim pismem taty: *Na zakończenie szkoły średniej. Na zakończenie collegeu. Na dzień uzyskania tytułu magistra prawa/doktoratu/dyplomu mistrzyni tańca ekspresyjnego. Na dzień ślubu. Na dzisiaj.*

Przejrzałam je, wciąż lekko zdumiona tym, co widzę, a potem odłożyłam na bok kopertę *Na dzisiaj* i starannie włożyłam wszystkie pozostałe do większej koperty. Zamknęłam ją małymi metalowymi zaciskami i umieściłam bezpiecznie w torbie, dla pewności przyciskając portfelem i komórką.

Potem otworzyłam kopertę, odetchnęłam głęboko i zaczęłam czytać.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Cześć, mała. Co tam słyszeć?

Skoro to czytasz, to znaczy, że popelnilem niewybaczalną gafę i porzuciłem swoją ziemską powłokę o kilka dekad za wcześnie. Naprawdę mi przykro, Taylor, że zrobiłem Ci coś takiego. Mam nadzieję, że wiesz, że gdyby to ode mnie zależało – gdybym miał jakikolwiek wybór – nie pozwoliłbym, żeby ktokolwiek zabrał mnie od Was. Walczyłbym jak lew z każdym, kto by tego spróbował.

Jak się zapewne domyślasz, zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby trochę się przydać i przekazywać Ci dobre rady jeszcze przez kilka lat. Mam nadzieję, że niektóre z nich Ci się przydadzą. Z wielu powodów żałuję, że musiałem odejść tak wcześnie, ale przede wszystkim dlatego, że nie będę mógł zobaczyć, kim się staniesz. Ponieważ mam przeczucie, że Ty, moja córko, dokonasz czegoś wielkiego. Wiem, że pewnie teraz przewracasz oczami, aleja to wiem. Jesteś moim rodzonym dzieckiem i wiem, że będę z Ciebie dumny.

Zawsze byłem, każdego dnia, po prostu dlatego, że byłaś sobą.

Nie martwię się o to, czy znajdziesz przyjaciół, czy będziesz się dobrze bawić, czego się nauczysz ani o to, co osiągniesz w życiu. Niepokoję się tylko troszeczkę o Twoje serce.

Zauważyłem, moja droga córko, że masz tendencję do uciekania przed rzeczami, które są najbardziej przerażające na świecie – przed miłością i zaufaniem. Byłbym naprawdę nieszczęśliwy, gdyby się okazało, że moje przedwczesne i wymuszone odejście spowodowało, że zamkniesz swoje serce albo że zamkniesz siebie na jakąkolwiek perspektywę miłości. (Uwierz mi, nie chcesz, żebym był nieszczęśliwy. Właśnie sprawdzam, czy mają tu jakieś opcje nawiedzania).

Twoje serce jest wielkie, piękne i silne, zasługuje na to, żebyś się nim podzieliła z kimś, kto będzie tego godny. Kiedy wiesz, że nie będziesz mieć okazji przewrócić kartki kalendarza na kolejny miesiąc, zyskujesz nowe spojrzenie na wiele spraw. Zrozumiałem, że Beatlesi nie mieli racji. Miłość nie jest jedynym, czego potrzebujemy – miłość jest wszystkim, co istnieje.

To będzie przerażające, ale wiem, że sobie poradzisz.

Wiem, że będę przy Tobie, jeśli tylko okaże się to dla mnie możliwe. Wiem też, że zawsze Cię kochałem – i zawsze będę Cię kochał.

Tata

Położyłam list na kolanach i popatrzyłam na jezioro. Po policzkach spływały mi łzy, ale nie starałam się ich łączyć wycierać. Miałam przecucie, że i tak się rozplacę, czytając ten list po raz drugi. Na razie włożyłam go starannie pod portfel, razem z innymi listami, nadal zdumiona tym, że tata zrobił to dla mnie. To, że zadbał o to, żeby móc ze mną rozmawiać – żeby powiedzieć mi parę słów w najważniejszych chwilach mojego życia – sprawiło, że myśl o życiu bez niego stała się odrobinę łatwiejsza do zniesienia.

Przesunęłam ręką po deskach, myśląc o tym, co najbardziej utkwiło mi w pamięci – że tata umiał zauważyć moje zachowanie. Nie byłam pewna, kiedy pisał ten list, ale dokładnie to zrobiłam w przypadku Henry'ego. Odepchnęłam go, ponieważ zaczął mi być zbyt bliski, zamiast pozwolić mu, żeby mi pomógł, tak jak Warren pozwolił Wendy. Nie stałam się dzięki temu silniejsza ani bardziej szlachetna – teraz to widziałam. Stałam się tylko słabsza i wystraszona.

Naprawdę nie wiedziałam, czy potrafię zrobić to, o co prosił mnie ojciec, i otworzyć przed kimś swoje serce. To

było wielkie pytanie bez odpowiedzi. Ale wiedziałam, że jestem ojcu winna to, żeby w jakimś momencie przynajmniej spróbować.

Tej nocy spałam lepiej i głębiej niż od początku wakacji. Obudziłam się, kiedy słońce wlewało się przez moje okno, a ptaki już klóciły się między sobą. To był kolejny piękny dzień, ale wiedziałam już, jak szybko potrafi mijać czas. Rozumiałam, że piękne dni nie są dostępne w nieograniczonej ilości. W tym momencie wiedziałam też, co muszę zrobić.

Nie próbowałam zrobić niczego ze swoim wyglądem, po prostu wstałam z łóżka i wyszłam z domu. Henry w te wakacje i tak widział mnie już w każdym możliwym stanie. Ale co najważniejsze, widział mnie – widział, kim byłam – nawet wtedy, kiedy robiłam wszystko, żeby to przed nim ukryć.

Dziwnie się czułam, szukając Henry’ego po tym, jak od początku wakacji wpadałam na niego w najmniej oczekiwanych momentach. W głębi duszy czułam jednak, że tak właśnie powinno być – po zbyt wielu latach uciekania przed różnymi rzeczami zaczęłam w końcu za nimi gonić.

Albo przynajmniej iść. Las – miejsce, w którym spodziewałam się go znaleźć – nie był najlepszym terenem do biegania. Szłam przez jakieś dwadzieścia minut, starając się omijać wszelkie spróchniałe pnie

drzew, aż w końcu minęłam kolejny zakręt i zobaczyłam go.

Henry siedział na ziemi, oparty plecami o drzewo, a przesiane między liśćmi promienie słońca oświetlały jego twarz. Popatrzył na mnie, chociaż nie zdążyłam się jeszcze odezwać, i wstał.

– Cześć – odezwałam się. Mogłam teraz patrzeć na niego tak, jak nie robiłam tego od naszego rozstania. Było inaczej niż wtedy, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy w te wakacje i zauważyłam tylko, jak przystojny się zrobił. Teraz widziałam także ciepło w jego oczach. Widziałam, jak samotnie wygląda jego ręka bez mojej, którą mógłby trzymać.

– Cześć – odpowiedział lekko pytającym głosem. Wiedziałam, że pewnie się zastanawia, co ja tu robię.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziałam, a on od razu zrozumiał, że miałam na myśli pogrzeb. – Naprawdę dziękuję.

– Nie ma za co. – Uśmiechnął się ze smutkiem. – Naprawdę bardzo, bardzo lubiłem twój tatę. – Zwróciłam uwagę na czas przeszły i skinęłam głową, nie odważając się odpowiedzieć. – I myślę, że prześlicznie przemawiałaś, Taylor. Byłem z ciebie naprawdę dumny.

Popatrzyłam na niego i poczułam, że mam ochotę odsunąć ten pukiel włosów, spadający mu na czoło. Chciałam go pocałować. Chciałam powiedzieć mu

o wszystkim tym, co czułam od początku, nawet jeśli do tej pory nie przyznawałam się do tych uczuć nawet sama przed sobą.

– To jak? – zapytał, wsuwając ręce do kieszeni. – Co robisz w lesie? Zgubiłaś się?

– Nie – odparłam i w tym momencie uświadomiłam sobie, że mówię szczerą prawdę. – Nie zgubiłam się. – Odetchnęłam głęboko, wiedząc, że za chwilę postąpię całkowicie wbrew swoim dotychczasowym przyzwyczajeniom. Musiałam stanąć oko w oko z tym, czego bałam się najbardziej. Ale tego chciał ode mnie ojciec, a ja gdzieś w głębi duszy rozumiałam, że już najwyższa pora. I że to właściwe miejsce, a Henry jest właściwą osobą. – Przestraszyłam się – powiedziałam. – Nie powinnam była cię tak odpychać.

Henry skinął głową i dalej patrzył w ziemię. Na dłuższą chwilę zapadła cisza, przerywana tylko szelestem liści i głosami ptaków, a ja wiedziałam, że muszę mówić dalej.

– Tak się zastanawiałam – zaczęłam. – Co myślisz o drugich szansach. – Czekając na odpowiedź, czułam, jak mocno bije mi serce, i zastanawiałam się, o czym myśli w tym momencie Henry. Choć to było naprawdę trudne do zniesienia, miałam przeczucie, że i tak było lepiej zmierzyć się z tym wprost, a nie uciekać, chować się i robić uniki. Odśloniłam swoje serce w promieniach słońca i czekałam, jak to zostanie przyjęte.

Henry popatrzył na mnie i uśmiechnął się.

– To chyba zależy od okoliczności – powiedział powoli. – Ale na ogół jestem jak najbardziej za.

Uśmiechnęłam się, chyba po raz pierwszy od wielu dni. Wiedziałam, że nadal mamy wiele spraw do omówienia i zrozumienia, ale miałam przeczucie, że razem poradzimy sobie z tym.

Zrobiłam krok w stronę Henry'ego, zmniejszając dzielący nas dystans, i pomyślałam o tym, co wryliśmy lata temu na pomoście – nasze imiona i *NA ZAWSZE*. Wspinając się na palce, żeby go pocałować, miałam nadzieję, że to się okaże prawdą.

Rozdział czterdziesty

Otuliłam się trochę szczerzej swetrem i usiadłam na wilgotnej trawie. Był już prawie wrzesień i zaczynało się robić chłodno. Liście, intensywnie zielone przez całe lato, odrobinę zmieniły odcień, pomalutku zaczynały zmierzać w kierunku pomarańcza, czerwieni i złota. Chociaż od położenia nagrobka przychodziłam tu często, za każdym razem musiałam uśmiechnąć się, jęknąć w duchu i zatęsknić za ojcem.

Znaleźliśmy instrukcje w jego testamencie. Chociaż miał zostać pochowany w Stanwich, chciał także mieć symboliczny nagrobek tutaj, w Lake Phoenix, gdzie spędził tyle cudownych dni. Warren nie wierzył, że tata serio tego chciał, ale przypomniałam mu, że tata traktował swoje kiepskie żarty ze śmiertelną powagą. Dlatego na niewielkim cmentarzu w Lake Phoenix widniało teraz takie epitafium: ROBIN EDWARDS. UKOCHANY MĄŻ I OJCIEC. OBRONA NIE MA WIĘCEJ PYTAŃ.

Popatrzyłam na nagrobek i wciąż jeszcze potrafiłam usłyszeć głos taty, zobaczyć jego uśmiech. *Cześć, mała! Co tam słyszać?* Dlatego starałam się mu opowiadać o wszystkim, co nas dotyczyło. Warren i Wendy nadal

zachowywali się jak dwa gołąbki i opracowywali szczegółowy harmonogram wzajemnych odwiedzin, kiedy już zaczną naukę w college'u. Mama zaczęła na nowo uczyć tańca. Gelsey planowała wybrać się na wiosnę do Los Angeles z wizytą do Nory i poznać gwiazdy filmowe. Murphy wbrew wszelkim przewidywaniom nauczył się aportować. A u mnie także wszystko układało się dobrze.

Obejrzałam się i zobaczyłam samochód Henry'ego, zatrzymujący się na niedużym parkingu poniżej cmentarza. Wiedziałam, że nie będzie mnie poganiał – czasem potrzebowałam dużo czasu, ponieważ w tym miejscu było mi łatwo płakać – i nie było w tym nic dziwnego. To przecież nie tak, że wszystko było świetnie, na pewno nie. Nadal zdarzały się chwile, kiedy tęskniłam za tatą tak bardzo, że ból stawał się niemal fizyczny, jakby ktoś mnie uderzył. Zdarzały się chwile, kiedy się złościłam i potrafiłam warknąć na niewinną osobę, tylko po to, żeby wyładować trochę wściekłości na niesprawiedliwość życia. Bywały też dni, kiedy budziłam się z oczami podpuchniętymi od płaczu. Ale my – pozostała czwórka Edwardsów – nauczyliśmy się, wbrew wszystkiemu dotąd, mówić o swoich uczuciach. W te najgorsze dni wiedziałam, że mam bliskich, do których mogę się zwrócić.

Wstałam i przez długą chwilę patrzyłam na nagrobek.
– Pa, tato – szepnęłam. – Niedługo wpadnę znowu.

Odwróciłam się i zesłam ze wzgórza do Henry'ego, który opierał się o samochód.

– Hej – powiedział, kiedy znalazłam się na tyle blisko, żeby go usłyszeć.

– Cześć – odparłam, zmuszając się odrobinę do uśmiechu. Nie było nam łatwo odbudować nasz związek, szczególnie biorąc pod uwagę moją żalobę. Ale nauczyłam się jednej rzeczy o tym, co się dzieje, kiedy jesteś w dołku – że zwykle znajdują się ludzie, którzy chcą cię wspierać. Chociaż mieliśmy niedługo wracać do Connecticut, a Henry zostawał tutaj, dzieląca nas odległość nie przerażała mnie. Za dużo razem przeszliśmy, żeby miał nas teraz rozdzielić dystans zaledwie kilku godzin. Henry pochylił się, żeby mnie pocałować, a ja odwzajemniłam pocałunek. Miałam przeczucie, że tata by mnie zrozumiał.

– Gotowa do drogi? – zapytał Henry po chwili.

Skinęłam głową. Urządzaliśmy w naszym domu pożegnalny obiad, zanim wszyscy zaczną wyjeżdżać. Lucy i Elliot, który nie przestawał trzymać jej za rękę (i całować jej), kiedy już zdobył się na odwagę, żeby powiedzieć jej, co czuje, mieli przynieść kubki i talerze (z pewnością wykradzione z baru). Fred i Jillian mieli przynieść ryby. Warren i Wendy mieli zająć się rozłokowaniem gości przy stole i nie miałam wątpliwości, że mój brat opowie nam wszystkim, kto

wymyślił to jako pierwszy. Kim i Jeff mieli przynieść ukończony scenariusz do zaprezentowania po obiedzie, a także przedpremierową wersję pilota *Weterynarza jasnowidza*. Henry miał przynieść coś na deser, a ja miałam podjechać do Daj Mi Znak i odebrać najważniejszą rzecz tego popołudnia.

Wyjęłam tabliczkę z torby i pokazałam Henry'emu, który uśmiechnął się na jej widok. Był na niej napis GNIAZDO RUDZIKA i sylwetka ptaka poniżej.

– Bardzo ładne – powiedział Henry. Obejrzał się na wzgórze, a potem spojrzął znowu na mnie. – Jestem pewien, że by mu się spodobało.

– Też tak myślę. – Podniosłam głowę i zauważyłam, że już się zmierzcha, a na niebie pojawiają się pierwsze gwiazdy. – Chodź – powiedziałam i z uśmiechem wzięłam go za rękę, splatając palce z jego palcami. – Wracajmy do domu.

MORGAN
MATSON

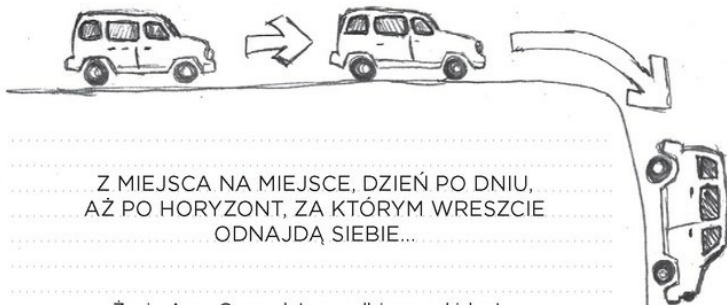
AZ PO
horyzont

morgan matson

KSIĄZKA
NOMINOWANA
DO WATERSTONES
BOOK PRIZE



Zagubiona dziewczyna, chłopak ze złamanym sercem
i podróż, która odmieni ich życie...



Z MIEJSCA NA MIEJSCE, DZIEŃ PO DNIU,
AŻ PO HORYZONT, ZA KTÓRYM WRESZCIE
ODNAJDĄ SIEBIE...

Życie Amy Curry dalece odbiega od ideału.
Jej ojciec zginął niedawno w wypadku samochodowym.
Matka, chcąc na nowo wszystko poukładać, postanawia
przeprowadzić się ze słonecznej Kalifornii do Connecticut.
Niedługo po zakończeniu roku szkolnego Amy ma do niej
dotrzeć - przejechać przez niemal cały kraj,
by zacząć zupełnie inne życie z dala od miejsca,
które kocha, oraz od wypróbowanych przyjaciół.

W długiej, zaplanowanej co do minuty, podróży Amy
towarzyszyć ma Roger, syn znajomej rodziców.
Dziewczyna nie widziała go od lat i początkowo
jest przerażona wizją spędzenia kilku dni w obecności kogoś,
kogo ledwie zna... Jednak Amy i Roger szybko znajdują
wspólny język i postanawiają zmienić nudną jazdę
z miejsca A do miejsca B w szaloną wyprawę
po Ameryce - wyprawę, w trakcie której nie tylko
przeżyją przygodę i odwiedzą kilka niezwykłych miejsc,
ale również odnajdą samych siebie.

ZNAKOMITA KSIĄŻKA, KTÓRA WZBUDZI W CZYTELNIKU
GŁÓD PODRÓŻY I MIŁOŚCI - Publishers Weekly

JESZCZE NIE DOJECHAŁISMY?

KALIFORNIA

NEWADA

(szafka misiodoporna)

